

Zabójca Trolli

King William

Książka I z Przygody Gotreka i
Felixxa



calibre 0.9.43

William King

Przygody Gotreka i Felixa

tom I

ZABÓJCA TROLLI

Tłumaczył Grzegorz Bonikowski

GTW

Spis treści

GEHEIMNISNACHT 3

(Geheimnisnacht)

WILCZY JEŹDŹCY 23

(Wolf Riders)

MROK POD ŚWIATEM 62

(The dark Beneath the World)

ZNAMIE ŚLAANESZA 98

(The Mark of Slaanesh)

CIEMNOŚĆ I KREW 140

(Blood and Darkness)

WŁADCY MUTANTÓW 200

(The Mutant Master)

DZIECI ULRICA 218

(Ulric's Children)

Geheimnisnacht

Po strasznych przypadkach i koszmarnych przygodach, jakie przeżyliśmy w Altdorfie, ja i mój towarzysz zbiegliśmy na południe, postępując ścieżkami, które wybierał dla nas ślepy los. Korzystaliśmy ze wszelakich środków transportu jakie się nadarzały: dylizansu, wieśniaczej bryki, wozu z beczkami piwa lub idąc na własnych nogach, gdy wszystko inne zawiodło.

Był to dla mnie czas ciężki i wypełniony obawami. Wydawało mi się, że za każdym zakrętem oczekuje na nas niebezpieczeństwo aresztowania, a potem uwięzienia lub egzekucji.

Wypatrywałem szeryfów w każdej tawernie i łowców nagród za każdym krzakiem. Jeśli Zabójca Trolli wiedział, jak sprawy mają się w istocie, nigdy nie próbował podzielić się tą wiedzą ze mną.

Dla takiego ignoranta w kwestii prawdziwego stanu naszego aparatu ścigania, jakim wówczas byłem, wydawało się zupełnie możliwe, że cała potęga Imperium zdąży do pojmania dwóch wygnańców - nas samych. Nie miałem naówczas żadnego pojęcia o tym, jak niemrawo i nieczęsto wprowadzano prawo w życie. W istocie wielki to żal, że wszyscy ci szeryfowie i wszyscy łowcy nagród zaludniający moją wyobraźnię, w rzeczywistości nie istnieli - inaczej bowiem może zło nie wybujałoby tak silnie w granicach mojej ojczyzny.

Rozmiary i natura zła stały się dla mnie jasne pewnego mrocznego wieczora, po załadowaniu się do zmierzającego na południe dylizansu, podczas być może najbardziej nawiedzanej nocy w całym naszym kalendarzu...

- Fragment z *Moich Podróży z Gotrekiem*,

Tom II, spisanych przez Herr Felixa Jaegera

(Wydawnictwo Altdorf, rok 2505)

- Przekleci wszyscy człeczy woźnice i wszystkie człeczki kobiety - wycedził Gotrek Gurnisson, dodając przekleństwo po krasnoludzką.

- Nie mogłeś nie obrazić lady Isoldy, prawda? - powiedział rozdrażniony Felix Jaeger. - Całe szczęście, że nas po prostu nie zastrzelili. Jeśli można nazwać „szczęściem” porzucenie w Reikwaldzie w Wigilię Geheimnisnacht.

- Zapłaciliśmy za nasz przejazd. Mieliśmy takie samo prawo usiąść w środku co ona. Woźnice to żalosne tchórze - mruknął Gotrek. - Odmówili walki ze mną sam na sam. Mogą mnie nadziąć na stał, ale zastrzelenie grubym śrutem to nie śmierć dla Zabójcy Trolli.

Felix pokręcił głową. Widział, że zbliża się jeden z ponurych nastrojów jego kompana. Nie będzie się z nim wyklócał. Felix miał mnóstwo innych spraw, którymi musiał się martwić. Słońce zachodziło, przydając okrytej mgłą puszczy rudawą barwę. Długie cienie tańczyły dziwacznie i przynosiły na myśl wiele przerażających opowieści o koszmarach kryjących się pod osłoną drzew.

Wytarł nos o brzeg płaszcza i otulił się szczelniej wełną z Sudenlandu. Pociągnął nosem i spojrzał w niebo gdzie widoczne już były Morrslieb i Mannslieb, księżycy mniejszy i większy. Morrslieb wydawał się promieniować słabą zielonkawą poświatą. To nie był dobry znak.

- Myślę, że ogarnia mnie gorączka - powiedział Felix. Zabójca Trolli popatrzył na niego i zachichotał pogardliwie.

W ostatnich promieniach umierającego słońca, łańcuch w jego nosie błyszczał krwawym łukiem biegnącym od nozdrza do płatka ucha.

- Twoja rasa to słabeusze - rzekł Gotrek. - Jedyna gorączka jaką czuję dzisiaj to gorączka walki. Ona śpiewa w mojej głowie.

Odwrócił się i wpatrzył w ciemność lasu.

- Wyłaźcie, małe zwierzołaki! - ryknął. - Mam dla was podarunek.

Zaśmiał się głośno i przesunął kciukiem po ostrzu wielkiego oburęcznego topora. Felix dostrzegł cieknącą krew. Gotrek zaczął ssać kciuk.

- Sigmarze chroń! Cicho bądź! - syknął Felix. - Kto wie, co czai się tam, w noc taką jak ta?

Gotrek spojrzał na niego. Felix dostrzegał błysk szalonej gwałtowności pojawiający się w jego oczach. Instynktownie dłoń Felixa przesunęła się bliżej główki miecza.

- Nie wydawaj mi rozkazów, człeczyno! Należę do Starszej Rasy i jestem poddany tylko Królom Pod Górą, chociaż przebywam na wygnaniu.

Felix skłonił się formalnie. Był dobrze wyszkolony w używaniu miecza. Blizna na jego twarzy wskazywała, że walczył w kilku pojedynkach podczas „dni studenckich”. Zabił człowieka i tak zakończył swoją obiecującą karierę akademicką. Ale nadal nie dopuszczał do siebie myśli o walce z Zabójcą Trolli. Koniec grzebienia włosów Gotreka sięgał zaledwie do klatki piersiowej Felixa, lecz krasnolud dominował nad nim wagą, a całą jego masę stanowiły mięśnie. Poza tym Felix widział jak Gotrek używa tego topora.

Krasnolud uznał ukłon za przeprosiny i obrócił się raz jeszcze ku ciemnościom.

- Wyłaźcie! - krzyknął. - Nie dbam o wszelkie moce zła pałętające się po lesie tej nocy. Zmierzę się z każdym śmiałkiem.

Krasnolud rozpalał w sobie szal. W czasie ich znajomości, Felix zauważył, że długie okresy głębokiego zamyślenia Zabójcy Trolli często poprzedzały krótkie eksplozje furii. Była to jedna z tych cech jego towarzysza, które fascynowały Felixa. Wiedział, że Gotrek stał się Zabójcą Trolli aby odpokutować jakieś przestępstwo. Poprzysiągł szukać śmierci w nierównej walce z przerażającym potworem. Wydawał się być zgorzkniały do skrajnego szaleństwa - jednak wypełniał swoją przysięgę.

Być może, pomyślał Felix, ja także oszalałbym gdybym został wysłany na wygnanie wśród obcych nie należących nawet do mej własnej rasy. Odczuwał pewne współczucie wobec zwariowanego krasnoluda. Felix wiedział co to znaczy być wygnanym z domu w niesławie. Pojedynek z Wolfgangiem Krassnerem wywołał spory skandal.

W tej chwili jednakże, krasnolud zdawał się ściągać śmierć na ich obu, a on nie chciał brać w tym udziału. Felix posuwał się dalej wzdłuż drogi, rzucając co pewien czas zaniepokojone spojrzenie na jasne księżycy w pełni. Za nim niosła się przemowa.

- Czy nie ma wśród was wojowników? Chodźcie posmakować mojego topora! On łaknie krwi!

Tylko szalenie kusiłby w ten sposób los i mroczne moce w najgłębszych ostojach puszczy

podczas Geheimnisnacht - Nocy Tajemnic, pomyślał Felix Jaeger.

Rozpoznał intonację w twardym, gardłowym języku Górskich Krasnoludów, a potem ponownie w Reikspielu usłyszał:

- Wyślijcie do mnie czempiona!

Przez sekundę trwała cisza. Kropla mgły spłynęła po brwi. Wtedy wśród cichej nocy zabrzmiał dźwięk galopujących koni - dochodzący z bardzo, bardzo daleka.

Co zrobił ten maniak, pomyślał Felix. Czy obraził jedną ze Starych Mocy? Czy wysłały po nas swoich demonicznych jeźdźców?

Felix zszedł z drogi. Wzdrygnął się gdy mokre liście dotknęły twarzy. Były niczym palce trupa. Grzmot kopyt zbliżył się, mknąc z piekielną prędkością po leśnej drodze. Z pewnością tylko nadnaturalna istota mogła utrzymywać takie tempo jadąc na złamanie karku po krętej ścieżce wśród drzew. Dobywając miecza poczuł drżenie swojej dłoni.

Wyprawa z Gotrekiem była głupotą - pomyślał. Teraz nigdy nie ukończę poematu. Słyszał głośnie rżenie koni, strzelanie z bata i obracające się potężne koła.

- Dobrze! - zaryczał Gotrek. Jego głos dochodził z tyłu ze ścieżki. - Dobrze!

Nastąpił głośny grzmot i drogą przemknęły cztery ogromne czarne konie ciągnące czarny powóz. Felix dostrzegł koła podskakujące na wybojach kolein drogi. Ledwo zauważył woźnicę w czerni. Skulił się z powrotem w krzakach.

Usłyszał zbliżające się kroki. Krzaki rozchyliły się. Przed nim stał Gotrek, wyglądający na bardziej obłąkanego i dzikiego niż kiedykolwiek przedtem. Jego grzebień był potargany, brązowe błoto pokrywało całe wytatuowane ciało, a kaftan z grubej skóry został poszarpany i rozdarty.

- Te pomioty snotlingów próbowały mnie przejechać! - wrzasnął. - Za nimi!

Obrócił się i pognął szybkim kłusem w górę błotnistej drogi. Felix zauważył, że Gotrek śpiewał radośnie w Khazalidzie.

* * *

Podążając dalej drogą do Bogenhafen, para odnalazła Gospodę Pod Stojącymi Głazami. Okna były zasłonięte i nie było widać żadnych świateł. Słyszeli rżenie w stajni, ale po sprawdzeniu okazało się, że nie ma tam żadnego powozu, czarnego czy jakiegokolwiek innego, tylko kilka płochliwych kuców oraz wózek domokrążcy.

- Zgubiliśmy powóz. Równie dobrze możemy poszukać łóżka na noc - zasugerował Felix. Spojrzał z obawą na mniejszy księżyc, Morrslieb. Chorobliwa zielona poświata nasiliła się. - Wolałbym nie zostawać na drodze pod tym przeklętym światłem.

- Jesteś słaby, człeczyno. A także tchórzliwy.

- Oni tam dają piwo.

- Z drugiej strony, niektóre twoje sugestie nie są całkiem pozbawione sensu. Jakkolwiek człeczce piwo bywa oczywiście wodniste.

- Oczywiście - rzekł Felix.

Gotrek nie zauważył nuty ironii w jego głosie.

Gospoda nie była ufortyfikowana, ale ściany miała grube, a kiedy spróbowali otworzyć drzwi, okazało się, że te są zablokowane belką. Gotrek zaczął w nie łomotać trzonkiem swego topora. Nie było odpowiedzi.

- Czuję zapach ludzi w środku - powiedział Gotrek.

Felix zastanawiał się jak on może czuć cokolwiek poza swoim własnym smrodem. Gotrek nigdy się nie mył, a jego włosy były sklezione zwierzęcym łojem by utrzymać na swoim miejscu farbowany na czerwono grzebień.

- Musieli zamknąć gospodę. Nikt nie podróżuje w Geheimnisnacht. O ile nie jest wiedźmą, albo miłośnikiem demonów.

- Czarny powóz był na drodze - odparł Gotrek.

- Jego podróżni to nic dobrego. Okna mieli zasłonięte, a na powozie nie widniał żaden herb.

- Moje gardło jest zbyt suche by dyskutować o takich detalach, Dalejże, otwierajcie tam, albo zapukam moim toporem!

Felixowi wydawało się, że usłyszał wewnątrz poruszenie. Przycisnął ucho do drzwi. Słyszał szemranie głosów i coś *co* brzmiało jak łkanie.

- Jeśli nie chcesz bym rozrąbał ci głowę, człeczyno, sugeruję byś usunął się na bok - powiedział Gotrek do Felixa.

- Jeszcze chwilka. Hej tam w środku! Otwierać! Mój przyjaciel ma bardzo duży topór i niewiele cierpliwości. Lepiej róbcie co mówi, albo straciecie drzwi.

- Co miało znaczyć to *niewiele*? - drażliwie zapytał Gotrek. Zza drzwi dobiegł cichy drżący szloch.

- W imię Sigmara, przepadnijcie demony z piekła rodem!

- Dobra, tego już za wiele - rzucił Gotrek. - Mam dosyć. Zamachnął się toporem wykonując wielki łuk. Felix dostrzegł runy lśniące na ostrzu broni w świetle Morrslieba. Uskoczył do tyłu.

- W imię Sigmara! - krzyknął Felix. - Nie możecie nas egzorcyzmować. Jesteśmy prostymi, strudżonymi wędrowcami.

Topór z trzaskiem wbił się w drewno. Posypały się drzazgi. Gotrek obrócił się w stronę Felixa i wyszczerzył do niego okrutnie. Felix zauważył brak kilku zębów.

- Tandetne te człeczce drzwi - rzekł Gotrek.

- Sugeruję byście otworzyli, dopóki jeszcze macie drzwi - zawołał Felix.

- Czekajcie - odpowiedział drżący głos. - Te drzwi kosztowały mnie pięć koron u Jurgena stolarza.

Drzwi zostały odblokowane i otwarte. Za nimi stał wysoki mężczyzna ze smutną twarzą okoloną rzadkimi siwymi włosami. W jednej ręce trzymał tęgą pałę. Za nim stała stara kobieta niosąca spodek z cieknącą świecą.

- Nie będziesz potrzebował broni, sir. Trzeba nam tylko łóżka na noc - powiedział Felix.

- Oraz *ale* - chrząknął krasnolud.

- Oraz *ale* - zgodził się Felix.

- Mnóstwo *ale* - rzekł Gotrek. Felix spojrzał na mężczyznę i bezradnie wzruszył ramionami.

Wewnątrz gospody znajdowała się niska sala biesiadna. Bar zbudowany był z desek położonych na dwóch beczkach. W rogu siedziało trzech przyglądających się im uważnie mężczyzn, którzy wyglądali na podróżnych domokrażców. Ich twarze skrywał cień, ale czuło się że byli zaniepokojeni.

Gospodarz popchnął parę do środka i zasunął belkę z powrotem na miejsce.

- Macie czym zapłacić, Herr Doktor? - zapytał nerwowo. Felix mógł dostrzec jego poruszającą się grdykę.

- Nie jestem profesorem, lecz poetą - rzekł, wyciągając swoją chudą sakiewkę i przeliczając kilka pozostałych złotych monet. - Ale mam czym zapłacić.

- Żarcie - rozkazał Gotrek. - I *ale*.

W tej chwili stara kobieta zalała się łzami. Felix spojrzał na nią.

- Ta stara jest przybita - stwierdził Gotrek. Starszy mężczyzna skinął głową.

- Nasz Gunter zaginął podczas jednej z tych nocy.

- Przynieś mi *ale* - powiedział Gotrek

Karczmarz wycofał się. Gotrek wstał i ruszył w stronę siedzących domokrażców. Ci obserwowali go trwożliwie.

- Czy ktoś z was wie cokolwiek o czarnym powozie ciągniętym przez cztery czarne konie? - zapytał Gotrek.

- Widzieliście czarny powóz? - spytał jeden z domokrażców. Strach w jego głosie był łatwo wyczuwalny.

- Czy go widziałem? Ta przekłeta bryka prawie mnie nie staranowała.

Mężczyzna wciągnął powietrze. Felix usłyszał upuszczoną warząchew. Zobaczył gospodarza schylającego się by ją podnieść i ponownie napełniającego kufel z pokrywą.

- Masz zatem szczęście - rzekł najgrubszy domokrażca wyglądający na najbardziej majątnego. - Powiadają, że powóz prowadzą demony. Słyszałem, że przejeżdża tędy co roku w Geheimnisnacht. Mówią, że unosi małe dzieci z Altdorfu na ofiarę w Kręgu Mrocznych Głazów.

Gotrek popatrzył na niego z zainteresowaniem. Felixowi nie podobało się *co* usłyszał.

- Z pewnością to tylko legenda - powiedział.

- Nie, sir - zawołał karczmarz. - Co roku słyszymy grzmot przejeżdżającego powozu. Dwa lata temu Gunter wyrzwał na zewnątrz i zobaczył czarny powóz dokładnie taki jak opisaliście.

Słyszając imię Guntera, stara kobieta zaczęła znowu płakać. Gospodarz przyniósł gulasz i dwa wielkie kufle *ale*.

- Przynieś piwo także dla mojego towarzysza - powiedział Gotrek. Oberżysta poszedł po następny kufel.

- Kim jest Gunter? - zapytał Felix gdy ten wrócił. Stara kobieta znowu wybuchła płaczem.

- Więcej *ale* - rzekł Gotrek. Gospodarz spoglądał w zdumieniu na puste dzbany.

- Weź moje - powiedział Felix. - A więc, mein gospodarzu, kim jest Gunter?

- I dlaczego ta stara wyje na każde wspomnienie jego imienia? - spytał Gotrek, wycierając usta w swoje pokryte błotem ramię.

- Gunter to nasz syn. Wyszedł tego popołudnia narąbać drewna. Nie wrócił.

- Gunter to dobry chłopak - stara kobieta pociągnęła nosem. - Jakże bez niego przetrwamy?

- Może po prostu zabłądził w lesie?

- Niemożliwe - odrzekł karczmarz. - Gunter zna okoliczne lasy tak dobrze jak ja włosy na mojej ręce. Powinien wrócić parę godzin temu. Obawiam się, że sabat porwał go na ofiarę.

- Zupełnie jak córkę Lotte Hauptmann, Ingrid - odezwał się gruby domokrażca.

Gospodarz rzucił mu ciężkie spojrzenie.

- Nie chcę słyszeć żadnych opowieści o narzeczonej naszego syna - powiedział.

- Pozwól mu mówić - powiedział Gotrek. Domokrażca spojrzał na niego z wdzięcznością.

- To samo wydarzyło się rok temu, w Hartzroch, niedaleko stąd. Pani Hauptmann zajrzała do swojej nastoletniej córki Ingrid tuż po zachodzie słońca. Wydawało jej się, że słyszy łomot dobiegający z pokoju córki. Dziewczyna zniknęła, porwana przez, któż wie jakie czarnoksiężskie moce, prosto z łóżka w zamkniętym domu. Następnego dnia odnaleźliśmy Ingrid. Cała była potłuczona i w strasznym stanie.

Spojrzał na nich by upewnić się, iż przyciągnął ich uwagę.

- Zapytaliście ją, co się stało? - dopytywał się Felix.

- Aye, sir. Zdaje się, że została zabrana przez demony, dzikie stwory z puszczy, do Kręgu Mrocznych Głazów. Tam oczekiwał sabat nikczemnych kreatur z lasu. Zamierzały złożyć z niej ofiarę na ołtarzu, ale wyrwała się oprawcom i wezwała dobre imię błogosławionego Sigmara. W zamieszaniu uciekła. Ścigali ją, ale nie zdołali jej pochwycić.

- Miała szczęście - sucho stwierdził Felix.

- Nie trzeba kpić, Herr Doktor. Poszliśmy do głazów i odnaleźliśmy liczne ślady na udeptanej ziemi. Łącznie z ludzkimi, zwierzęcymi i kopytami demonów. A także roczne niemowlę wypatroszone na ołtarzu niczym prosię.

- Kopyta demonów? - zapytał Gotrek. Felixowi nie spodobało się zainteresowanie w jego oczach. Domokrażca skinął głową.

- Nie szedłbym do Kręgu Mrocznych Głazów w taką noc - rzekł domokrażca. - Nawet za całe złoto Altdorfu.

- To byłoby dobre zadanie dla bohatera - powiedział Gotrek, spoglądając znacząco na Felixa. Felix oniemiał.

- Z pewnością nie masz na myśli...

- Czyż może być lepsze zadanie dla Zabójcy Trolli, niż zmierzenie się z tymi demonami podczas ich świętej nocy? To byłaby nie byle jaka śmierć.

- To byłaby głupia śmierć - mruknął Felix.

- Co powiedziałeś?

- Nic.

- Idziesz, prawda? - spytał z groźbą w głosie Gotrek. Pocierał kciukiem wzdłuż ostrza topora. Felix zauważył że palec znowu zaczął krwawić. Wolno skinął głową.

- Przysięga jest przysięgą.

Krasnolud rąbnął go w plecy z taką siłą, że prawie połamał mu żebra.

- Czasami, człeczyno, myślę że musisz posiadać w sobie krasnoludzką krew. Oczywiście, nie żeby Starsza Rasa zniżyła się do takiego mieszanego małżeństwa - stwierdził i wrócił do swojego *ale*.

- Oczywiście - odpowiedział jego towarzysz, masując się po plecach.

Felix gmerał w torbie w poszukiwaniu kolczugi. Zauważył, że gospodarz i jego żona oraz domokrażcy wpatrywali się w niego. Ich oczy ukrywały coś zbliżonego do strachu. Gotrek usiadł przy ogniu popijając *ale* i gderając po krasnoludzku.

- Chyba z nim nie pójdziesz? - wyszeptał gruby domokrażca. Felix skinął głową.

- Dlaczego?

- Uratował mi życie. Jestem mu to winien. - Felix uznał, że lepiej nie wspominać okoliczności w jakich ocalił go Gotrek.

- Wyciągnąłem człeczynę spod kopyt kawalerii Imperatora - krzyknął Gotrek.

Felix zmełł przekleństwo. Zabójca Trolli posiada słuch dzikiego zwierzęcia, podobnie jak rozum, pomyślał naciągając kolczugę.

- Aye. Człeczyna uznał za słuszne przedstawienie swej sprawy Imperatorowi, za pomocą petycji i marszów protestacyjnych. Stary Karl Franz zareagował, zupełnie rozsądnie, szarżą kawalerii.

Domokrażcy zaczęli się odsuwać.

- Rewolucjonista - Felix usłyszał mruknięcie jednego z nich. Felix poczuł rumieniec na swojej twarzy.

- Poszło o kolejny okrutny i niesprawiedliwy podatek. Sztuka srebra za każde okno. Co gorsza, wszyscy tłuści kupcy zamurowali swoje okna i milicja Altdorfu krążyła wybijając otwory w domach biednych ludzi. Mieliśmy prawo do protestu.

- Za złapanie rewolucjonisty wyznaczono nagrodę - powiedział domokrażca. - Dużą nagrodę.

Felix spojrzał na niego.

- Oczywiście, imperialna kawaleria nie równała się z toporem mojego przyjaciela - odrzekł. -

Cóż to była za rzeź! Wszędzie głowy, nogi, ręce. Stał na stosie ciał.

- Wzywali łuczników - rzucił Gotrek. - Uszliśmy boczną uliczką. Być przebitym z daleka to niegodna śmierć.

Gruby domokrażca gapił się na swoich kompanów, potem na Gotreka, następnie na Felixa i ponownie na swoich kompanów.

- Rozsądny człowiek trzyma się z dala od polityki - rzekł do mężczyzny, który wspomniał o nagrodzie. Popatrzył na Felixa. - Bez obrazy, sir.

- Nie ma sprawy - odpowiedział Felix. - Masz zupełną rację.

- Rewolucjonista, czy nie - powiedziała stara kobieta - niechaj cię Sigmar błogosławi, jeśli sprowadzisz mojego małego Guntera.

- On nie jest mały, Lise - rzekł karczmarz. - To wyrosnięty młody mężczyzna. Nadal mam jednak nadzieję, że przyprowadzicie mi syna z powrotem. Jestem stary i potrzebuję go do rąbania drewna i podkuwania koni i przenoszenia beczek i...

- Sir, jestem wstrząśnięty waszą troską rodzicielską - przerwał Felix. Naciągnął na głowę czapkę ze skóry.

Gotrek wstał i przypatrzył mu się. Uderzył się w pierś mięsistą dłonią.

- Zbroja jest dobra dla kobiet i zniewieściałych elfów - powiedział.

- Lepiej żebym ją nosił, Gotrek, jeśli mam wrócić żywy z opowieścią o twoich dokonaniach - jak zresztą przysiągłem uczynić.

- Masz rację człeczyno. I pamiętaj, że to nie wszystko co przysiągłeś zrobić. - Odwrócił się do karczmarza. - Jak odnajdziemy Krąg Mrocznych Głazów?

Felix poczuł suchość w ustach. Walczył aby powstrzymać drżenie rąk.

- Jest pewna ścieżka. Wybiega z drogi. Zaprowadzi was na miejsce.

- Dobrze - rzekł Gotrek. - To zbyt dobra okazja by ją przepuścić. Dzisiaj odpokutuję moje grzechy i stanę wśród Żelaznych Sal moich ojców. Według woli Wielkiego Grungni.

Wykonał zaciśniętą prawą dłonią osobliwy znak na swojej piersi.

- Ruszaj się, człeczyno, idziemy. - Wymaszerował przez drzwi. Felix chwycił swój pakunek. W drzwiach zatrzymała go stara kobieta i wcisnęła coś do jego ręki.

- Proszę, sir - powiedziała - Weź to. Oto talizman Sigmara. Będzie cię ochraniał. Mój mały Gunter nosi taki sam.

I dużo mu to dało, chciał już powiedzieć Felix, ale powstrzymał go wyraz jej twarzy. Widniały na niej strach, troska i być może nadzieja. Był poruszony.

- Zrobię co w mojej mocy, Frau.

Na zewnątrz, niebo jaśniało zielonkawą poświatą księżyców. Felix otworzył dłoń, na której leżał mały żelazny młot na drobnym łańcuszku. Wzruszył ramionami i zawiesił go na szyi. Gotrek i stary mężczyzna szli już drogą. Musiał podbiec aby ich dogonić.

- Co to według ciebie jest, człeczyno? - spytał Gotrek, nachylając się do samej ziemi. Przed nimi, droga zdążyła do Hartzroch i Bogenhafen. Felix oparł się o kamień milowy. Obok zaczynała się ścieżka. Felix miał nadzieję, że karczmarz bezpiecznie wrócił do domu.

- Ślady - stwierdził. - Prowadzące na północ.

- Bardzo dobrze, człeczyno. To ślady powozu zmierzającego ścieżką na północ do Kręgu Mrocznych Głazów.

- Czarny powóz? - zapytał Felix.

- Mam taką nadzieję. Cóż za chwalebna noc! Wszystkie moje modły zostały wysłuchane. Oto szansa zmazania mych przewinień i wypełnienia zemsty na tych świniach, które niemal mnie

przejechały. - Gotrek gdał wesoło, ale Felix wyczuwał w nim zmianę. Wydawał się napięty, jakby przeczuwał zbliżającą się godzinę swego przeznaczenia, w której skończy marnie. Stał się też niezwykle gadatliwy.

- Powóz? Czy ten sabat składa się ze szlachty, człeczyno? Czyż Imperium jest aż tak zepsute? Felix potrząsnął głową.

- Nie wiem. Może ich przywódca jest szlachcicem. Członkowie to pewnie pospólstwo.

Powiadają, że piętno Chaosu przenika głębiej w tych odległych miejscach.

Gotrek potrząsnął głową i po raz pierwszy zdawał się być skonsternowany.

- Opłakiwać należy głupotę twego ludu, człeczyno. Być tak zepsutym, żeby wasi włodarze zaprzędawali się potęgom ciemności, to rzecz straszna.

- Nie wszyscy ludzie są tacy - gniewnie odpowiedział Felix. - To prawda, niektórzy szukają władzy lub przyjemności ciała, ale jest ich niewiele. Większość ludzi oddana jest swej wierze. Zresztą, Starsza Rasa nie jest taka czysta. Słyszałem opowieści o całych armiach krasnoludów oddanych Potęgom Zniszczenia.

Gotrek wydał z siebie niski gniewny pomruk i splunął na ziemię. Felix mocniej ścisnął rękojeść swojego miecza. Zastanawiał się, czy nie posunął się za daleko w rozmowie z Zabójcą Trolli.

- Masz rację - rzekł Gotrek miękkiem i zimnym głosem. - Nie łatwo nam mówić o takich sprawach. Poprzysięgliśmy wieczystą wojnę przeciw hołocie, o której wspomniałeś i ich mrocznym władcom.

- Podobnie jak mój lud. Mamy naszych łowców czarownic i nasze prawa.

Gotrek wstrząsnął głową.

- Twoi ludzie nie rozumieją. Są miękcy, dekadency i żyją z dala od wojny. Nie rozumieją straszliwych rzeczy podgryzających korzenie świata, by zniszczyć nas wszystkich. Łowcy czarownic? Ha! - Splunął na ziemię.

- Prawa! Jest tylko jeden sposób poczynania sobie z groźbą Chaosu.

Znaczącym ruchem machnął toporem.

Przedzierali się ostrożnie przez las. Nad ich głowami księżyc lśnił chorobliwie. Morrslieb stał się jeszcze jaśniejszy i teraz jego zielona poświata plamiła niebo. Zebrała się lekka mgła, a teren który przekraczali był ponury i dziki. Kamienie wyzierały z darni niczym krosty zarazy na skórze świata.

Czasami Felixowi wydawało się, że słyszy wielkie skrzydła przelatujące górą, ale kiedy podnosił wzrok, mógł dostrzec jedynie poświatę na niebie. Mgła rozwinęła się i rozciągnęła, tak iż wyglądało jakby maszerowali po dnie jakiegoś piekielnego morza.

- W tym miejscu daje się wyczuć coś złego - stwierdził Felix.

Powietrze miało przykry zapach, a przez włosy na jego karku bez przerwy przechodziły ciarki. Kiedyś, gdy był chłopcem w Altdorfie, siadł w domu swojego ojca i obserwował niebo zasnuwane się na czarno groźnymi chmurami. Potem nastąpiła najbardziej potworna burza jaką pamiętał. Teraz odczuwał to samo wrażenie oczekiwania. Potężne siły zbierały się w jego pobliżu. Był tego pewien. Czuł się niczym owad pełznący po cielsku olbrzyma, który w każdej chwili może się przebudzić i zmiażdżyć go.

Nawet Gotrek wydawał się być przytłoczony. Zamilkł i nawet nie mamrotał do siebie jak to zwykle czynił. Co pewien czas zatrzymywał się i gestem nakazywał Felixowi ciszę, by mógł przystanąć i węszyć w powietrzu. Felix widział, że całe jego ciało było napięte, jakby przymuszał każdy nerw, do pochwylenia najlżejszego tropu. Potem ruszali dalej.

Mięśnie Felixa były naprężone z nerwów. Żałował, że poszedł. Z pewnością, wmawiał sobie, moje zobowiązanie wobec krasnoluda nie oznacza, że muszę stawać przed pewną śmiercią. Może

mógłbym czmychnąć we mgle.

Zacisnął zęby. Czuł w sobie dumę człowieka honoru, a dług który był winny krasnoludowi był prawdziwy. Krasnolud ryzykował swym życiem, by go ocalić. To prawda, w owym czasie nie wiedział, że Gotrek szuka śmierci, zalecając się do niej tak jak mężczyzna zaleca się do pożądanej kobiety. Nadal jednak musiał wypełniać swoje zobowiązanie.

Pamiętał rozpustny pijacki wieczór w tawernach Labiryntu, gdy przysiągł braterstwo krwi podczas tego niezwykłego krasnoludzkiego rytuału i zgodził się pomóc Gotrekowi w jego misji.

Gotrek chciał by jego imię było zapamiętane, a czyny krążyły w opowieściach. Kiedy dowiedział się, że Felix jest poetą, krasnolud poprosił go aby mu towarzyszył. Wówczas, w ciepłej piwnej atmosferze szynku, wydawało się to wspaniałym pomysłem. Poszukiwanie zagłady przez Zabójcę Trolli przemówiło do Felixa jako doskonały materiał na epicki poemat, taki który uczyni go sławnym.

Nie mogłem przypuszczać, pomyślał Felix, że to doprowadzi mnie tutaj. Polowanie na potwory podczas Geheimnisnacht. Uśmiechnął się ironicznie. Łatwo opiewać śmiałe czyny w tawernach i salach biesiadnych, gdzie strachy przywoływane są słowami uzdolnionych artystów. Tutaj wszystko wyglądało inaczej. Jego wnętrzości skręcały się z trwogi, a przytłaczająca atmosfera sprawiała, że miał ochotę uciec z krzykiem.

Nadal jednak udawało mu się trzymać się w kupie, co jest dobrym tematem na poemat. Jeśli tylko przeżyje, by móc go napisać.

Las stawał się coraz głębszy i bardziej splątany. Drzewa przybrały wygląd pokręconych, niesamowitych istot. Felix miał wrażenie jakby go obserwowały. Starał się odsunąć od siebie tę myśl, ale mgła i upiorna księżycowa poświata podsycała tylko jego wyobraźnię. Wydawało mu się, że każda plama cienia skrywa potwora.

Felix spojrzał na krasnoluda. Twarz Gotreka wyrażała mieszaninę wyczekiwania i lęku. Felix uważał go za odpornego na strach, ale teraz zdał sobie sprawę, iż tak nie było. Dzika wola pchała go w poszukiwaniu unicestwienia. Czując zbliżającą się własną śmierć, Felix zadał pytanie, które od dawna obawiał się wypowiedzieć.

- Zabójco Trolli, cóż takiego uczyniłeś, za co musisz odpokutować? Jaka zbrodnia zmusza cię do szukania takiej kary dla samego siebie?

Gotrek spojrzał na niego, potem odwrócił głowę w stronę ciemności nocy. Felix zauważył przy tym ruchu, poruszenie podobnych powrozom mięśni na jego karku, wijących się niczym węże pod skórą.

- Gdyby inny człowiek zadałby mi to pytanie, zarząbałbym go. Zrobię wyjątek ze względu na twoją młodość i ignorancję, oraz obrzęd przyjaźni jaki przeszliśmy. Taka śmierć uczyniłaby ze mnie bratobójcę. To przerażająca zbrodnia. Nie rozmawiamy o takich przestępstwach.

Felix nie zdawał sobie sprawy, że krasnolud jest do niego tak przywiązany. Gotrek spojrzał na niego, jakby oczekując odpowiedzi.

- Rozumiem - powiedział Felix.

- Czyżby, człeczyno? Czyżby? - Głos Zabójcy Trolli dźwięczał jak pękające kamienie.

Felix uśmiechnął się smutno. W tym momencie dostrzegł przepaść jaka oddziela człowieka od krasnoluda. Nigdy nie zrozumiałby ich dziwnych tabu, ich obsesji przysiąg, porządku i dumy. Nie domyślał się co może zmuszać Zabójcę Trolli do wykonywania tej nałożonej na samego siebie kary śmierci.

- Twój lud jest zbyt surowy wobec siebie - rzekł.

- Twój jest zbyt miękki - odparł Zabójca Trolli. Zamilkli. Obu zaskoczył cichy, szalony śmiech. Felix obrócił się wyciągając miecz w gotowości. Gotrek uniósł swój topór.

Coś wypęzło ze mgły. Felix stwierdził, że to coś było kiedyś człowiekiem. Widoczne były jego zarysy. Zdawało się, że jakiś oszalały bóg trzymał to stworzenie nad piekielnym ogniem, dopóki jego ciało nie szerniało i odpadło, a potem zostawił je, by oblekło się w nową, odrażającą formę.

- Tej nocy będziemy tańczyć - powiedziało coś wysokim głosem bez śladu szaleństwa. - Tańczyć i dotykać.

Łagodnie sięgnęło do Felixa i pogłaskało go po rękę. Felix cofnął się ze wstrętem gdy przed jego twarzą wyrosły palce niczym płatanina larw.

- Tej nocy pod głazami, będziemy tańczyć i dotykać i pocierać.

Coś starało się go objąć. Uśmiechało się pokazując krótkie, ostre zęby. Felix stał spokojnie. Czuł się jak widz, oddalony od wydarzeń, które rozgrywały się wokół. Cofnął się i wyciągnął koniec miecza ku piersi stwora.

- Nie zbliżaj się - ostrzegł Felix. Istota uśmiechnęła się. Jej usta wydawały się rozwierać szerzej, obnażając coraz więcej małych ostrych ząbków. Wargi odwinęły się w dół, aż połowa twarzy przypominała jedno wielkie błyszczące dziąsło, gdy szczeka opadła jak u węża. Stworzenie pchnęło ciałem miecz, aż na jej piersi zaślśniły krople krwi. Wydało z siebie bulgoczący, idiotyczny śmiech.

- Tańczyć i dotykać, i pocierać, i jeść - powiedziało i z nieludzką zwinnością określiło się wokół miecza skacząc na Felixa. Chociaż było szybkie, jednak Zabójca Trolli był szybszy. W połowie skoku jego topór dosięgł karku stwora. Głowa potoczyła się w noc, trysnęła czerwona fontanna.

To się nie dzieje naprawdę, pomyślał Felix.

- Co to było? Demon? - chciał wiedzieć Gotrek. Felix słyszał w jego głosie podniecenie.

- Myślę, że to było kiedyś człowiekiem - rzekł Felix. - Jednym z dzieci napiętnowanych Chaosem, które są porzucane po porodzie.

- To coś mówiło twoim językiem.

- Czasami piętna nie pojawiają się, aż do późnego wieku. Krewni uważają ich za chorych i chronią póki ci nie wydobędą się do lasu i w nim znikają.

- Krewni ochraniają takie obrzydlistwa?

- To się zdarza. Nie rozmawiamy o tym. Ciężko jest obrócić się plecami do ludzi, których kochasz, nawet jeśli się zmienili.

Krasnolud spojrział na niego z niedowierzaniem, po czym potrząsnął głową.

- Zbyt miękcy - rzekł. - Zbyt miękcy.

Powietrze tkwiło w bezruchu. Czasami Felixowi zdawało się, że wyczuwa obecność czegoś poruszającego się wśród drzew wokół niego i zamierał nerwowo, wpatrując się we mgłę, szukając poruszających się cieni. Spotkanie z napiętnowanym przywróciło mu świadomość niebezpieczeństwa sytuacji. Wyczuwał w sobie wielki strach i wielki gniew.

Sam był zły na siebie za odczuwanie strachu. Czuł się niedobrze i było mu wstyd. Zdecydował, że cokolwiek się wydarzy nie powtórzy swojego błędu. Nie będzie stał jak owca czekająca na ubój.

- Co to było? - rzucił Gotrek. Felix spojrział na niego.

- Nie słyszysz tego, człeczyno? Słuchaj! Brzmi jak śpiew.

Felix usiłował wylapać jakiś dźwięk ale nie słyszał niczego.

- Jesteśmy już blisko. Bardzo blisko.

Brnęli naprzód w ciszy. Przedzierając się przez mgłę, Gotrek stał się jeszcze ostrożniejszy i zszedł ze ścieżki, wykorzystując wysoką trawę dla osłony. Felix przyłączył się do niego.

Teraz mógł usłyszeć śpiew. Brzmiał jakby dobiegał z tuzinów gardeł. Niektóre z głosów były ludzkie, inne były głębokie i zwierzęce. Słyszało się głosy męskie i kobiece, zmieszane z wolnym rytmem bębna, uderzeniami czyneli oraz urywanymi dźwiękami piszczałki.

Felix rozróżniał tylko jedno słowo, powtarzane w kółko, aż zapadło w jego świadomość. Słowo to brzmiało *Slaanesh*.

Felix wzdrygnął się. Slaanesh, mroczny pan niewypowiedzianych rozkoszy. Było to imię, które wywoływało najgorsze głębie deprawacji. Szeptane było w jaskiniach narkotycznych oraz domach występku w Altdorfie przez ludzi nienasyconych tak bardzo, iż szukali rozkoszy poza rozumieniem człowieka. Było to imię powiązane z zepsuciem, nadmiarem i mrocznym podbrzuszem społeczeństwa Imperium. Dla tych, którzy wyznawali Slaanesh, żadna podnieta nie była nazbyt dziwaczna, żadna rozkosz zakazana.

- Mgła nas okrywa - Felix wyszeptał do Zabójcy Trolli.

- Pst! Bądź cicho. Musimy się bardziej przybliżyć.

Powoli skradali się naprzód. Długa, mokra trawa ocierała się o ciało Felixa i wkrótce całe ubranie było wilgotne. Przed sobą dostrzegał latarnie płonące w ciemnościach. Powietrze wypełniał zapach płonącego drewna oraz gęsty mdławosłodki dym kadzidła. Rozejrzał się, mając nadzieję że nie wpadnie na niego żaden maruder. Czuł się absurdalnie odsłonięty.

Poruszali się naprzód cal po calu. Gotrek ciągnął za sobą swój topór bojowy i Felix dotknął jego ostrego ostrza palcami. Zaciął się i zdławił w sobie okrzyk bólu.

Dotarli do brzegu długiej trawy i znaleźli się nieopodal nierównego kręgu sześciu nieprzyzwoicie ukształtowanych głazów, pośrodku których stał monolit kamiennej płyty. Kamienie lśniły zielono, blaskiem jakiś świecących grzybów. Na szczycie każdego głazu znajdował się kocioł wypuszczający kłęby dymu. Promienie bladego, zielonego światła księżycowego stanowiły iluminację tej piekielnej sceny.

Wewnątrz kręgu tańczyło sześciu ludzi w maskach, ubranych w długie płaszcze. Okrycia narzucone na jedno ramię odsłaniały nagie ciała, zarówno mężczyzn jak i kobiet. Na palcach jednej ręki wszyscy tańczący trzymali nawleczone małe czynele, w które uderzali, w drugiej ręce dzierżyli wierzbowe gałęzie, za pomocą których każdy okładał tancerza przed sobą.

- Ygrak tu amat Slaanesh! - wołali.

Felix zauważył, że niektóre z ciał pokryte były siniakami. Tancerze wydawali się nie czuć bólu. Być może był to narkotyczny efekt kadzidła.

Wokół kręgu zgromadziły się koszmarne postacie. Bębniarz był wielkim mężczyzną z głową jelenia i nogami zakończonymi kopytami. Obok niego zasiadł grajek na piszczałce z głową psa i przyssawkami zamiast palców u rąk. Wielki tłum napiętnowanych kobiet i mężczyzn wił się na ziemi w pobliżu.

Niektóre ciała były nieznacznie zniekształcone: wysocy mężczyźni z cienkimi, szpiczastymi głowami, grube kobiety z trzema oczami i trzema piersiami. U innych ledwo dało się rozpoznać ludzkie cechy. Byli tam pokryci łuskami ludzie-jaszczury, oraz wilkogłowe futrzaste bestie całe pokryte zębami, ustami i innymi otworami. Felix oddychał z trudnością. Obserwował całą scenę z ogarniającym go coraz większym przerażeniem.

Bęben przyspieszył puls, rytmiczne zaśpiewy zwiększyły tempo, piszczałka grała jeszcze głośniejsze i bardziej dziko, gdy tancerze popadli w większe szaleństwo, bicząc siebie i swoich towarzyszy aż widoczne stały się krwawe pręgi na ciele. Potem nastąpiło uderzenie w czynele i zapadła cisza.

Felix pomyślał, że zostali odkryci i zmarł. Dym i kadzidło wypełniające jego nozdrza wydawało się wzmacniać wszystkie jego zmysły. Czuł się jeszcze bardziej oddalony i wyłączony z rzeczywistości. Poczul ostry, wiercący ból w boku. Z zaskoczeniem stwierdził, że Gotrek szturcha go pod żebra. Wskazywał na coś poza kamiennym kręgiem.

Felix usiłował wypatrzeć to coś wynurzające się we mgle. Było wysokie i nosiło maskę. Odziane

w nakładające się na siebie płaszcze w wielu pastelowych kolorach poruszało się władczo w ciszy, a w swoich rękach niosło coś owinięte w brokatowy materiał. Felix zerknął na Gotreka, ale ten obserwował rozgrywającą się scenę z fanatyczną intensywnością. Felix zastanawiał się, czy krasnolud nie postradał zmysłów w tej późnej godzinie. Nowo przybyły wystąpił naprzód do kamiennego kręgu.

- Amat tu amat Slaanesh! - zawołał, wznosząc wysoko zawiniątko. Felix dostrzegł, iż było to dziecko, chociaż nie mógł ocenić czy było żywe, czy martwe.

- Ygrak tu amat Slaanesh! Tzarkol tean amat Slaanesh! - Tłum odpowiedział entuzjastycznie.

Mężczyzna w płaszczu spoglądał na otaczające twarze i Felix miał wrażenie, że obcy patrzy prosto na niego swoimi spokojnymi, brązowymi oczami. Zastanawiał się, czy mistrz sabatu wie gdzie się ukrywają i tylko się z nimi zabawia.

- Amak tu Slaanesh! - mężczyzna krzyknął czystym głosem.

- Amak klessa! Amat Slaanesh! - odpowiedziało zgromadzenie. Dla Felixa stało się jasne, że rozpoczął się jakiś nikczemny rytuał. W miarę postępowania obrzędu, mistrz sabatu zbliżył się powolnymi ceremonialnymi krokami do ołtarza. Felix poczuł suchość w ustach. Oblizął wargi. Gotrek obserwował wydarzenia jak zahipnotyzowany.

Dziecko zostało umieszczone na ołtarzu przy grzmocie uderzeń w bębny. Teraz każdy z sześciu tancerzy stanął za pilarami obejmując je okrakiem nogami i sugestywnie się do nich przyciskając. Następnie zaczęli poruszać się powolnymi węzowatymi ruchami, opadając do podnóża kamiennych słupów.

Mistrz dobył ze swej szaty długi nóż o falistym ostrzu. Felix ciekaw był, czy krasnolud zamierza cokolwiek uczynić. Złowieszcza obecność zawisła nad sceną. Mgła i kadzidło zdawało się krzepnąć i zespalać, a wewnątrz obłoku Felix dostrzegał groteskowy kształt wijący się i materializujący. Felix nie mógł znieść dłużej napięcia.

- Nie! - krzyknął.

Wyskoczył z Zabójcą Trolli z długiej trawy i zaczęli maszerować ramię w ramię w kierunku kamiennego kręgu. Z początku kultysty zdawali się ich nie zauważać, ale ostatecznie oszalałe bębnienie zamilkło, a śpiew zamarł gdy mistrz kultu obrócił na nich swoje zdziwione spojrzenie.

Przez chwilę wszyscy się gapili. Nikt nie rozumiał co się dzieje. Wtedy mistrz ceremonii wskazał ich nożem i wrzasnął:

- Zabić intruzów!

Wyznawcy rzucili się naprzód falą. Felix poczuł coś ciągnącego go za nogę, a potem ostry ból. Gdy spojrział w dół, zobaczył stwora, pół kobietę, pół węża, gryzącego go w kostkę. Kopniakiem wyswobodził nogę i mieczem przybił stworzenie do ziemi.

Wstrząs szarpnął jego ramieniem gdy ostrze uderzyło w kość. Zaczął biec, zdążając za Gotrekiem, który wyrąbywał sobie drogę do ołtarza. Potężny obusieczny topór wznosił się i opadał rytmicznie zostawiając na swojej drodze ślad czerwonego zniszczenia. Kultysty byli jakby zahipnotyzowani i powolni w ruchach, ale co przerażające, nie okazywali strachu. Mężczyźni i kobiety, napiętnowani i nie, rzucili się na intruzów nie dbając o swoje życie.

Felix rąbał i kłuł każdego kto się zbliżył. Wsunął ostrze pod żebra i w serce mężczyzny o twarzy psa, który na niego skoczył. Gdy usiłował uwolnić miecz, skoczyli na niego kobieta ze szponami i mężczyzna o skórze pokrytej śluzem. Ich impet przewrócił go, a ciężar wyrwał powietrze z płuc.

Poczuł pazury kobiety drapiącej jego twarz. Wcisnął stopę pod jej brzuch i strząsnął oboje. Krew z ran zalała mu oczy. Mężczyzna upadł z łomotem, ale rzucił się z powrotem do jego gardła. Felix macał szukając sztyletu lewą ręką, łapiąc gardło mężczyzny prawą. Mężczyzna wił się. Trudno go

było uchwycić z powodu pokrywającego jego ciało szlamu. Ocierając się o Felixa dyszał z rozkoszy, a jego ręce zaciskały się nieubłagane na gardle ofiary.

Ciemność zaczęła pochłaniać poetę. Małe srebrne punkty zatańczyły mu przed oczami. Poczuł ogarniającą potrzebę odpoczynku i pogrążenia się w mroku. Gdzieś z daleka usłyszał Gotreka wywrzaskującego okrzyk wojenny. Całym wysiłkiem woli Felix wyszarpnął sztylet z pochwy i zatopił go w żebrach napastnika. Stworzenie zeszytywniało i wyszczerzyło się pokazując rzędy węgorzowatych zębów. Nawet umierając wydawało ekstatyczne jęki.

- Slaanesh weź mnie - zapiszczał mężczyzna. - Ach, ból, słodki ból!

Felix podniósł się na nogi równo ze szponiastą kobietą. Uderzył butem w jej szczękę. Nastąpił trzask i kreatura upadła na ziemię. Felix wstrząsnął głową by pozbyć się krwi na oczach.

Większość kultystów skoncentrowała się na Gotreku. To ocaliło Felixa. Krasnolud starał się wyrąbać sobie drogę w kierunku serca kamiennego kręgu. Jego postępy spowalniał nacisk ciał wokół niego. Felix zauważył krwawienie z tuzinów małych ran na jego ciele.

Dzika energia krasnoluda była przerażającym widokiem. Z pianą na ustach nacierał rąbiąc, rozrzucając wszędzie wokół kończyny i głowy. Pokryty był brudną posoką, ale pomimo jego wścieklej zajadłości, Felix stwierdził, że Gotrek zaczyna przegrywać walkę. W chwili gdy patrzył, wyznawca w płaszczu uderzył krasnolud pałąk i Gotrek upadł przygnieciony falą ciał. A zatem odnalazł swoją śmierć, tak jak tego pożądał, pomyślał Felix,

Poza zasięgiem walki, mistrz kultu zebrał się w sobie. Ponownie rozpoczął śpiew i wysoko uniósł sztylet. Przerażający kształt formujący się we mgle zaczął ponownie się zestalać.

Felix przeczuwał, iż jeśli to coś osiągnie pełną materialność, będą zgubieni. Nie mógł wywalczyć sobie drogi poprzez ciała otaczające Zabójcę Trolli. Przez chwilę obserwował faliste ostrze odbijające poświatę Morrslieba.

Wtedy dobył swój sztylet.

- Sigmarze, prowadź moją rękę - pomodlił się i rzucił. Ostrze poleciało pewnie i prosto do gardła Wysokiego Kapłana, wbijając się pod maskę w odsłonięte ciało. Z bulgotem, mistrz kultu zwałił się do tyłu.

Przeciągły jęk frustracji wypełnił powietrze i mgła zdawała się wyparowywać. Kształt wewnątrz oparów zniknął. Kultysty rozglądali się zaszokowani. Napiętnowani spojrzeli na niego. Felix poczuł się otoczony wściekłymi spojrzeniami tuzinów złowrogich oczu. Stał nieruchomo i był bardzo, bardzo przestraszony. Zapadła śmiertelna cisza.

Wówczas nastąpił przepotężny ryk i Gotrek wyłonił się ze środka stosu ciał, okładając wokół siebie pięściami wielkości młotów. Sięgnął w dół i wydobył topór. Uchwycił rękójesc w połowie i podniósł się wspierając na trzonku broni. Felix podniósł miecz i podbiegł by do niego dołączyć. Walczyli w tłoku, aż stanęli do siebie plecami.

Kultysty przepełnieni strachem po stracie swojego przywódcy, zaczęli uciekać w noc i mgłę. Wkrótce Felix i Gotrek stali samotnie w cieniu Kręgu Mrocznych Głazów.

Gotrek spojrział złowrogo na Felixa. Grzebień jego włosów pokrywała zakrzepła krew. W bladym świetle wyglądał demonicznie.

- Pozbawiono mnie chwalebnej śmierci, człeczyno.

Uniósł groźnie swój topór. Felix zastanawiał się, czy przeszedł mu szal bojowy i nie zamierza przypadkiem go porąbać mimo wiążącej przysięgi. Gotrek zmierzał ku niemu powoli. Wreszcie krasnolud wyszczerzył zęby.

- Być może bogowie oszczędzili mnie dla jeszcze większej zagłady.

Wbił rękójesc topora w ziemię i wybuchnął śmiechem, aż łzy pociekły mu po twarzy. Gdy

skończył się śmiać, obrócił się do ołtarza i podniósł niemowlę.

- Żyje - stwierdził.

Felix zaczął badać ciała kultystów w płaszczach. Zdjął im maski. Pierwszym okazała się blondwłosa dziewczyna pokryta pręgami i stłuczeniami. Następny był młody mężczyzna. Na jego szyi wisiał szyderczo amulet w kształcie młota.

- Chyba nie wrócimy do gospody. - rzekł smutno Felix.

* * *

Jedna z miejscowych opowieści mówi o niemowlęciu znalezionym na schodach świątyni Shallya'y w Hartzroch. Było owinięte w nasiąknięty krwią płaszcz z Sudenlandu. Obok leżała sakiewka złota, a na szyi malca znajdował się stalowy amulet w kształcie młota. Kapłanka przysięgała, że dostrzegła czarny powóz z łomotem uchodzący w świetle jutrzeńki.

Mieszkańcy Hartzroch opowiadają inną, mroczniejszą historię o tym jak Ingrid Hauptmann i Gunter, syn oberżysty zostali usieчени w jakimś straszliwym obrzędzie na ofiarę Mrocznym Potęgóm. Strażnicy drogi, którzy odnaleźli ciała przy Kręgu Mrocznych Głazów, byli pewni, że musiał to być potworny rytuał. Ciała wyglądały tak, jakby zostały przez demona porąbane toporem.

Wilczy jeźdźcy

Nie pamiętam zbyt dokładnie kiedy i gdzie podjęta została decyzja, by wyruszyć na południe w poszukiwaniu zaginionego złota Karaku Osiem Szczytów. Niestety, jak wiele ważnych decyzji w moim życiu, zapadła ona w tawernie pod wpływem wielkich ilości alkoholu. Wydaje mi się, że przypominam sobie sędziwego i bezzębego krasnoluda mamroczącego o „złocie” i wyraźnie pamiętam obłąkańczy błysk jaki pojawił się w oczach mojego towarzysza, gdy słuchał opowieści o tym.

Być może było typowe dla mojego kompana, iż z najbardziej błahych powodów gotowy był ryzykować życie i kończył w najdzikszych i najbardziej jałowych miejscach jakie można sobie wyobrazić. Może też efekt „gorączki złota” był typowy dla całego jego ludu. Jak później zobaczyłem, urok owego błyszczącego metalu miał straszliwą i potężną władzę nad umysłami tej starożytnej rasy.

W każdym razie, decyzja podróży poza południowe granice Imperium była brzemienna w skutki i doprowadziła do spotkań i przygód, których przerażające konsekwencje nadal mnie nawiedzają...

- Fragment z *Moich Podróży z Gotrekiem*,

Tom II, spisanych przez Herr Felixa Jaegera

(Wydawnictwo Altdorf, rok 2505)

- Naprawdę panowie, nie chcę żadnych kłopotów - Felix Jaeger powiedział szczerze. Szeroko rozłożył puste ręce. - Po prostu zostawcie dziewczynę w spokoju. To wszystko o co proszę.

Pijani traperzy zaśmiali się nikczemnie.

- Po prostu zostawcie dziewczynę w spokoju - jeden z nich przedrzeźniał go wysokim, sepleniącym głosem.

Felix rozejrzał się po faktorii kupieckiej w poszukiwaniu wsparcia. Kilku hardych, odzianych w ciężkie futra ludzi z gór spoglądało na niego pijanymi oczami. Właściciel magazynu, wysoki garbiący się mężczyzna z resztką włosów, obrócił się i zaczął ustawiać w stos butelki zapasów na półkach z surowego drewna. Nie było innych klientów.

Jeden z traperów, wielki mężczyzna, nachylił się nad nim. Felix mógł dostrzec grudki tłuszczu tkwiące w jego brodzie. Kiedy otworzył usta by przemówić, smród taniej brandy pokonał nawet odór zjełczałego łoju niedźwiedzia, którym traperzy natarli się przed zimmem. Felix skrzywił się.

- Hej, Hef, myślę że mamy tu miastowego chłoptasia - powiedział traper. - Ładnie gada.

Ten, którego nazwano Hefem spojrział znad stołu, do którego przyparł opierającą się dziewczynę.

- Aye, Lars, ładnie gada i jakie ma śliczne złote włosy, jak zboże. Można go samego brać za dziewczuchę.

- Kiedy schodzę z gór, wszystko wygląda dobrze. Coś ci rzeknę. Ty weź dziewczkę. Ja wezmę tego ładnego chłoptasia.

Felix czuł rumieniec na twarzy. Ogarniał go gniew. Zamaskował swoją wściekłość uśmiechem. Wolał unikać problemów jeśli tylko się da.

- Słuchajcie panowie, tak nie musi być. Postawię wam wszystkim kolejkę.

Lars obrócił się do Hefa. Trzeci góral parsknął.

- On ma też pieniądze. Mam dzisiaj szczęście!

Hef uśmiechnął się zalotnie. Felix rozglądał się na boki w desperacji, gdy wielki mężczyzna ruszył na niego. Do diabła, gdzie jest Gotrek? Dlaczego nigdy nie ma w pobliżu krasnoluda, kiedy człowiek go potrzebuje? Obrócił się do Larsa.

- W porządku, przepraszam że przeszkodziłem. Zostawiam was w spokoju.

Zobaczył, że nadchodzący Lars nieco się rozluźnił, opuszczając gardę. Felix pozwolił mu zbliżyć się bardziej. Obserwował trapera rozkładającego ręce, jakby zamierzał go objąć. Felix nieoczekiwanie wbił mocno swoje kolano w pachwinę Larsa. Ze świstem niczym miech kowalski, całe powietrze uszło z wielkiego mężczyzny. Zgiął się w pół ze stęknieniem. Felix złapał trapera za brodę i trzasnął jego głową o własne kolano.

Usłyszał chrupnięcie pękającego zęba i głowa trapera odskoczyła do tyłu. Lars upadł na podłogę łapiąc powietrze i chwytając się za pachwinę.

- Co w imię Taala? - rzekł Hef. Wielki traper rzucił się na Felixa, a siła uderzenia zakręciła nim i posłała na stół po drugiej stronie pokoju. Wsparł się na kuflu *ale*.

- Przykro mi - Felix przeprosił zaskoczonego właściciela napoju. Felix wysilił się próbując podnieść ławę, aby rzucić nią w napastnika. Napiął się, aż poczuł jakby mięśnie na plecach miały zaraz pęknąć.

Pijak spojrział na niego i uśmiechnął się szyderczo.

- Nie dasz rady tego podnieść. Jest przybite do podłogi. Na wypadek bójki.

- Dzięki, że mi powiedziałeś - powiedział Felix, czując że ktoś łapie go za głowę i uderza nią o stół. Ból załomotał w czaszce. Czarne plamy zatańczyły przed oczami. Poczuł wilgoć na twarzy. Krwawię, pomyślał, po czym zrozumiał, że to tylko rozlane piwo. Jego głowa uderzyła o stół po raz drugi. Jakby z bardzo daleka usłyszał zbliżające się kroki.

- Trzymaj go, Kell. Zabawimy się nieco za to co zrobił Larsowi. - rozpoznał głos należący do Hefa.

Felix desperacko walnął do tyłu łokciem, godząc nim w twardy mięsień brzucha Kella. Chwył na jego włosach nieco zelżał. Felix wyrwał się i zwrócił twarzą do napastników. Prawą ręką desperacko usiłował namacać kufel piwa. Poprzez mgłę zobaczył zbliżających się dwóch ogromnych traperów. Dziewczyna zniknęła - Felix dostrzegł zamykające się za nią drzwi. Słyszał jak zaczęła wołać o pomoc. Hef wyciągał nóż zza paska. Palce Felixa zacisnęły się na rączce kufła. Rzucił się naprzód i z impetem rąbnął kuflem w twarz Kella. Głowa trapera zakołysała się. Uderzony splunął krwią i z głupawym uśmiechem odwrócił się do Felixa.

Palce, umięśnione niczym stalowe sztaby, schwytały przegub dłoni Felixa. Nacisk zmusił go do wypuszczenia kufła. Mimo szaleńczego oporu, ramię Felixa nieubłaganie wykręcało się do tyłu pod wpływem przeważającej siły Kella. Smród niedźwiedziego tłuszczu i odór ciała zwał z nóg. Felix

warknął i starał się wyslizgnąć, ale jego wysiłki były bezowocne.

Coś ostrego ukłuło go w gardło. Felix zerknął w dół. Hef przyciskał do jego szyi nóż o długim ostrzu. Felix czuł zapach dobrze naoliwionej stali. Widział własną czerwoną krew ściekającą centralnym wyżłobieniem noża. Zamarł. Wszystko co Hef musiał zrobić, to ruszyć naprzód i Felix będzie wędrował do królestwa Morra.

- To było bardzo nierozsądne, chłoptysiu - powiedział Hef. - Stary Lars cię polubił, a ty musiałeś wytłuc mu ząb. Co teraz według ciebie powinniśmy zrobić my, jego przyjaciele?

- Zabić pomiot snotliga - jęknął Lars. Felix poczuł jak Kell dociska jego ramię do pleców, aż było bliskie pęknięcia. Zakwilił z bólu.

- Myślę sobie, że to właśnie zrobimy - stwierdził Hef.

- Nie możecie - kupiec za ladą powiedział jękliwie. - To by było morderstwo.

- Zamknij się Pike! Kto cię o co pytał?

Felix widział, że mieli zamiar to zrobić. Przepelniała ich pijacka agresja i gotowość do zabijania. Felix dał im tylko wymówkę, której potrzebowali.

- Dawnoć temu jak zabiłem ładnego chłoptasia - rzekł Hef, posuwając nóż odrobinę naprzód.

Felix skrzywił się z bólu. - Chcesz błagać, ładny chłoptasiu? Chcesz błagać o swoje życie?

- Idź do diabła - odparł Felix. Chętnie by splunął, lecz miał sucho w ustach, a nogi mu się trzęsły. Drżał. Zamknął oczy.

- Niezbyt grzecznie, miejski chłoptasiu! - Felix czuł grubiański rechot łomoczący w gardle Kella. Cóż za miejsce na śmierć, pomyślał, jakaś diabelska dziura w Szarych Górach.

Wionęło lodowate powietrze i rozległ się dźwięk otwieranych drzwi.

- Pierwszy, który skrzywdzi człeczynę, umrze na miejscu - odezwał się głęboki głos przypominający rozbijane o siebie kamienie. - Nad drugim trochę się popastwię.

Felix otworzył oczy. Ponad ramionami Hefa zobaczył Gotreka Gurnissona, Zabójcę Trolli. Krasnolud stał w drzwiach, a jego sylwetka dorównywała im szerokością. Miał wzrost zaledwie dziewięcioletniego chłopca, ale umięśniony był jak dwóch silnych mężczyzn. Pochodnia oświetlała dziwne tatuaże, jakie pokrywały jego półnagie ciało i zmieniała oczodoły w cieniste pieczary, w których lśniły szalone oczy.

Hef zaśmiał się, a następnie przemówił nie odwracając się.

- Przepadnij nieznajomy, albo zajmijmy się tobą, jak tylko uporamy się z twoim przyjacielem.

Felix poczuł rozluźnienie uchwytu na ramieniu. Ręka Kella wskazywała na drzwi.

- A więc tak? - rzekł Gotrek, wkraczając do izby i trzęsąc głową by zrzucić śnieg ze swojego wielkiego grzebienia farbowanych na pomarańczowo włosów. Zadzwoił łańcuch biegnący od jego nosa do prawego ucha. - Gdy z tobą skończę, będziesz śpiewał wysoko jak zniewieściały elf.

Hef zaśmiał się ponownie i obrócił w stronę Gotreka. Jego rechot przerodził się w urywany kaszel. Krew odpłynęła mu z twarzy, która stała się blada jak u trupa. Gotrek paskudnie wyszczerzył do niego szczerbate zęby, potem przeciągnął kciukiem po ostrzu wielkiego obusiecznego topora, który trzymał w jednej pięści wielkości szynki. Krew swobodnie pociekła z rany, ale krasnolud po prostu wyszczerzył się jeszcze szerzej. Nóż Hefa wypadł mu z ręki i upadł ze stukotem na podłogę.

- Nie chcemy żadnych kłopotów - powiedział Hef. - A już najmniej z Zabójcą Trolli.

Felix nie dziwił im się. Żaden poczytalny człowiek nie poważyłby się podnieść ręki na przedstawiciela tego skazanego na zagładę i poszukującego śmierci kultu berserkerów. Gotrek spojrział na nich, potem lekko uderzył rękojeścią topora o podłogę. Wykorzystując rozproszenie Kella, Felix odsunął się nieco od ludzi z gór.

Hef zaczął panikować.

- Słuchaj, nie chcemy żadnych kłopotów. Żartowaliśmy tylko.

Gotrek zaśmiał się złowrogo.

- Podobają mi się takie żarty. Myślę, że też sobie zażartuję.

Zabójca Trolli ruszył ku Hefowi. Felix zauważył podnoszącego się Larsa, pełznącego w kierunku drzwi, w nadziei ominięcia Zabójcy Trolli, gdy ten miał odwróconą uwagę. Gotrek przydeptał butem dłoń Larsa z trzaskiem, na dźwięk którego Felix skrzywił się. To zdecydowanie nie była noc Larsa.

- A ty dokąd? Lepiej zostań ze swoimi przyjaciółmi. Dwóch na jednego to niezbyt uczciwe szanse.

Hef załamał się kompletnie.

- Nie zabijaj nas - błagał.

Tymczasem Kell ruszył się, stając ponownie w pobliżu Felixa. Gotrek przesunął się w prawo. Ostrze topora Zabójcy spoczęło na gardle Hefa. Felix widział runy na starożytnej broni lśniąco czerwono w świetle pochodni.

Gotrek wolno potrząsnął głową.

- Co jest? Jest was trzech. Uznaliście, że to wystarczy przeciw człeczynie. Powietrze z was uszło?

Hef skinął wstrząśnięty. Wyglądał, jakby miał się zaraz rozplakać. W jego oczach Felix dostrzegał paniczny strach przed krasnoludem. Wydawało się, że zaraz zemdleje.

Gotrek wskazał na drzwi.

- Wynocha! - ryknął. - Nie pożywię mego ostrza na takich tchórzach jak wy.

Traperzy popędzili do drzwi, Lars ciężko powłóczył nogą. Felix zobaczył jak dziewczyna ustąpiła miejsca w drzwiach by ich wypuścić. Zamknęła za nimi.

Gotrek spojrzał na Felixa.

- Czy nie można udać się za głosem natury, żebyś nie wpakował się w kłopoty?

- Może będzie lepiej, jeśli cię odprowadzę - zaproponował Felix, badawczo przyglądając się dziewczynie. Była mała i szczupła, jej twarz byłaby jasna gdyby nie duże ciemne oczy. Zaciągnęła na siebie płaszcz z szorstkiej wełny z Sudenlandu i przycisnęła do piersi pakunek, który nabyła w stacji kupieckiej. Uśmiechnęła się do niego nieśmiało. Uśmiech przemienił tą bladą wygłodzoną twarz, przydał jej piękna, pomyślał Felix.

- Może tak będzie lepiej, jeśli nie jest to dla ciebie zbyt kłopot.

- Absolutnie żaden kłopot - odrzekł. - Te zbójce nadal mogą gdzieś tutaj się czaić.

- Wątpię. Zdaje się, że zbyt obawiają się twojego przyjaciela.

- Pozwól zatem, że pomogę nieść te ziółka.

- Pani kazała bym przyniosła je osobiście. To na lek przeciw odmrożeniom. Będę się czuła pewniej, jeśli sama je wezmę.

Felix wzruszył ramionami. Wyszli na lodowate powietrze. Ich oddechy zamieniały się w parę. Na tle nocnego nieba Góry Szare wynurzały się niczym olbrzymy. Światło obu księżyców schwymane przez pokryte śniegiem szczyty przydawało im wyglądu wysp na niebie, unoszących się ponad morzem cienia.

Szli przez brudne miasteczko chatki otaczające faktorię kupiecką. W oddali Felix dostrzegał światła, słyszał porykiwanie bydła i głucho uderzenia kopyt końskich. Zmierzali ku obozowisku, dokąd przybywało coraz więcej ludzi.

Wychudzeni żołnierze z zapadniętymi policzkami, odziani w obdarte tuniki, na których widniał znak obnażającego kły wilka, eskortowali powozy ciągnięte przez chude woły. Wyglądający na zmęczonych woźnice w chłopskich ubiorach gapili się na niego. Kobiety siedziały obok powożących

z naciągniętymi ciasno szalami i opaskami na głowie zasłaniającymi niemal całą twarz. Czasami dzieci wyzierały z tyłu powozu by się im przyjrzeć.

- Co się dzieje? - zapytał Felix. - Wygląda jakby cała wieś szykowała się do drogi.

Dziewczyna popatrzyła na wozy, a potem z powrotem na niego.

- Jesteśmy ludźmi Gottfrieda von Diehl. Idziemy za nim na wygnanie, do ziem Księstw Granicznych.

Felix zatrzymał się, by spojrzeć na północ. Drogą zbliżało się więcej wozów, a za nimi podążali maruderzy powłócząc nogami, ściskając nędzne tobołki, tak jakby zawierały całe złoto Arabii. Felix potrząsnął głową zaintrygowany.

- Musieliście przebyć Przełęcz Czarnego Ognia - powiedział. On i Gotrek przeszli starymi krasnoludzkimi drogami pod górami. - A jest to późna pora roku na taki marsz. Pierwsze śnieżyce musiały już się tam zacząć. Przełęcz otwarta jest tylko latem

- Nasz pan dostał czas na opuszczenie Imperium do końca roku. - Skręciła i weszła do pierścienia wozów, ustawionych tak, by dawać pewną ochronę przed wiatrem. - Wyruszyliśmy o dobrej porze, ale nastąpił splot wypadków, który nas opóźnił. Na samej przełęczy spadła na nas lawina. Straciliśmy wielu ludzi.

Przerwała, jakby przypominając sobie o osobistej stracie.

- Niektórzy powiadają, że to była „Kłątwa Von Diehla”. Że baron nigdy nie może od niej uciec.

Felix ruszył za nią. Na ogniskach zauważył kilka gotujących się garnków. Był tam jeden wielki kocioł, z którego wydobywała się para. Dziewczyna wskazała go palcem.

- Kocioł mej pani. Oczekuje na zioła.

- Czy twoja pani jest wiedźmą? - zapytał Felix. Spojrzała na niego poważnie.

- Nie, sir. Jest czarodziejką z dobrymi dyplomami, szkoloną w samym Middenheim. Jest doradcą barona w sprawach magicznych.

Dziewczyna ruszyła ku schodkom wielkiego wozu, pokrytego tajemnymi znakami. Zaczęła wspinać się po schodach. Zatrzymała się z dłonią na gałce drzwi, po czym odwróciła twarz do Felixa.

- Dziękuję za pomoc - powiedziała.

Nachyliła się i pocałowała go w policzek, potem odwróciła się by otworzyć drzwi. Felix położył rękę na jej ramieniu, zatrzymując ją delikatnie.

- Chwileczkę - rzekł. - Jak masz na imię?

- Kirsten - odpowiedziała. - A ty?

- Felix. Felix Jaeger.

Uśmiechnęła się do niego raz jeszcze zanim zniknęła wewnątrz wozu. Felix stał patrząc na zamknięte drzwi, nieco otępiony. Potem, czując się ogromnie szczęśliwy, pomaszerował z powrotem do faktorii kupieckiej.

- Zwariowałeś? - zapytał Gotrek Gurnisson. - Chcesz byśmy podróżowali z jakimś księciem renegatem i tłuszcą jego ludzi. Czyżbyś zapomniał dlaczego tu dotarliśmy?

Felix rozejrzał się czy nikt na nich nie patrzy. On i Zabójca Trolli sączyli swoje piwo w najciemniejszym kącie faktorii kupieckiej. Kilku pijaków leżało chrapiąc na ławach, a ponure spojrzenia krasnoluda trzymały przypadkowych ciekawskich z daleka.

Felix nachylił się konspiracyjnie.

- Ależ słuchaj, to wszystko ma sens. Zmierzamy przez Księstwa Graniczne, a oni także. Będzie bezpieczniej jechać z nimi.

Gotrek spojrział groźnie na Felixa.

- Sugerujesz, że obawiam się jakiś niebezpieczeństw na tej drodze?

Felix potrząsnął głową.

- Nie! Mówię tylko, że to uczyni naszą podróż łatwiejszą i możemy dostać zapłatę za nasze wysiłki, jeśli baron da się przekonać, by przyjął nas jako najemników.

Gotrek rozjaśnił się na wzmiankę o pieniądzach. Wszystkie krasnoludy są w sercu sknerami, pomyślał Felix. Gotrek rozmyślał przez chwilę, po czym potrząsnął głową.

- Nie. Jeśli ten baron został wygnany, to jest przestępcą i nie może położyć łap na moim złocie. Schylił głowę i rozejrzał się wokół z paranoidalną ostrożnością.

- Ten skarb jest nasz, twój i mój. Głównie mój, oczywiście, ponieważ ja wezmę udział w większości walk.

Felix chciał się zaśmiać. Nie ma nic gorszego niż krasnolud w objęciach żądy złota.

- Gotrek, my nawet nie wiemy czy tam w ogóle jest jakiś skarb. Opieramy się jedynie na bełkotach pewnego sędziwego poszukiwacza, który twierdzi, że widział zaginiony skarb Karaku Osiem Szczytów. Faragrim zazwyczaj nie potrafi spamiętać swojego własnego imienia.

- Faragrim był krasnoludem, człeczyno. Krasnolud nigdy nie zapomina widoku złota. Wiesz co jest nie tak z twoim ludem? Nie żywiecie szacunku wobec waszych starszych. Pośród mego ludu, Faragrim traktowany jest z szacunkiem.

- Nic dziwnego zatem, że twój lud jest w takiej niedoli - mruknął Felix.

- Co takiego?

- Nic. Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie. Czemu Faragrim sam nie wrócił po skarb? Miał na to osiemnaście lat.

- Ponieważ okazał właściwą ostrożność finansową.

- Znaczący, skąpstwo.

- Jak wolisz, człeczyno. Został okaleczony przez strażnika. I nie mógł znaleźć ludzi, którym mógłby zaufać.

- Czemu nagle powiedział o tym tobie?

- Sugerujesz, że nie jestem wartym zaufania, człeczyno?

- Nie. Myślę, że on się chciał ciebie pozbyć, chciał by cię nie było w jego tawernie. Uważam, że zmyślił całą historię o największym skarbie świata, strzeżonym przez największego na świecie trolla, ponieważ wiedział, że to kupisz. Wiedział, że wyśle cię o setki mil z dala od niego i jego piwniczki z *ale*.

Broda Gotreka zjeżyła się, a on sam warknął gniewnie.

- Nie jestem takim głupcem, człeczyno. Faragrim przysiągł, że powiada prawdę, na brody wszystkich swoich przodków.

Felix jęknął głośno.

- I pewnie żaden krasnolud nigdy nie złamał swojej przysięgi, co?

- No cóż, to się zdarza bardzo rzadko - przyznał Gotrek. - Ale tej przysiędze zawierzam.

Felix widział, że nic nie wskóra. Gotrek chciał, by ta historia była prawdziwa, więc dla niego była to prawda.

Jest jak zakochany człowiek, niezdolny do dostrzeżenia wad ukochanej poprzez mur iluzji jaki wokół niej buduje, pomyślał Felix. Gotrek pogładził brodę i wpatrzył się w przestrzeń, zagubiony w rozmyślaniach o strzeżonym przez trolla skarbie. Felix zdecydował się zagrać swoją kartę atutową.

- To oznacza, że nie będziemy musieli iść pieszo - powiedział.

- Co? - chrząknął Gotrek.

- Jeśli zatrudnimy się u barona. Będziemy mogli załapać się na jazdę wozem. Zawsze narzekasz

na bolące nogi. Oto twoja okazja, by dać im odpocząć.

- Pomyśl tylko o tym - dodał kusząco. - Dostaniemy zapłatę i nie będą cię bolały stopy.

Gotrek zdawał się rozważać to raz jeszcze.

- Widzę, że nie zaznam spokoju, jeśli nie zgodzę się na twój plan. Pojadę z nimi pod jednym warunkiem.

- Jakimż to?

- Ani słówka o naszej wyprawie. Nikomu.

Felix przyjął warunek. Gotrek uniósł jedną krzaczastą brew i spojrzał na niego chytrze.

- Nie myśl, że nie wiem czemu jesteś tak skory do podróży z baronem, człeczyno.

- Co masz na myśli?

- Jesteś zakochany w tym dziewczęciu, które zostawiłeś tu wcześniej, czyż nie?

- Skądże - wybełkotał Felix. - Skąd taki pomysł?

Gotrek zaśmiał się hałaśliwie, budząc kilku drzemiących pijaczków. - Jeśli tak, to czemu jesteś czerwony na całej twarzy, człeczyno? - wykrzyknął triumfalnie.

Felix zapukał do drzwi wozu, który jak mu powiedziano należał do oficera wojsk barona.

- Wejść - odezwał się głos. Felix otworzył drzwi i jego nozdrza zostały zaatakowane smrodem niedźwiedziego łożu. Felix sięgnął do rękojeści miecza.

Wewnątrz wozu tłoczyło się pięciu mężczyzn. Trzech Felix rozpoznał jako traperów, których spotkał ubiegłego wieczora. Jeśli chodzi o pozostałych, jeden był młody, bogato odziany i o delikatnych rysach z włosami przyciętymi krótko na modłę szlachetnie urodzonych wojowników. Drugi był opalony i mimo srebrnoszarych włosów wyglądał na trzydziestolatka. Przez plecy przewieszony miał kołczan strzał o czarnych lotkach, a potężny łuk leżał w pobliżu jego ręki. Między mężczyznami dostrzegalne było rodzinne podobieństwo.

- Tho then bhenkart - powiedział Lars przez szczerbate zęby. Dwaj nieznajomi wymienili spojrzenia.

Felix przyglądał im się ostrożnie. Szarowłosa mężczyzna zbadał go wzrokiem, uważnie go oceniając.

- Zatem, ty jesteś tym młodym człowiekiem, który wybił ząb jednemu z moich przewodników - rzekł.

- Jednemu z waszych przewodników?

- Tak, Manfred i ja najęliśmy ich by poprowadzili nas przez niziny, wzdłuż Rzeki Grzmotów.

- To ludzie gór - rzekł Felix, zyskując czas. Zastanawiał się, jak wielkie miał kłopoty.

- Są traperami - powiedział dobrze ubrany młodzieniec z kulturalnym akcentem. - Przemierzają także równiny w poszukiwaniu grubego zwierza.

Felix rozłożył ręce.

- Nie wiedziałem.

- Czego tutaj chcesz? - zapytał Szarowłosa.

- Szukam pracy, jako najemne ostrze. Szukałem wodza wojsk barona.

- To ja - odrzekł Szarowłosa. - Dieter. Także Główny Leśniczy Barona, Mistrz Psiarni i Sokolnika.

- Majątek mego wuja popadł raczej w tarapaty - powiedział młody mężczyzna.

- To Manfred, siostrzeniec i dziedzic Gottfrieda von Diehl, Barona Pogranicza Vennlandu.

- Byłego barona - sprostował Manfred. - Od czasu gdy Hrabina Emmanuelle uznała za stosowne wypędzenie mego wuja i konfiskatę naszych ziem zamiast ukarania prawdziwych złoczyńców.

Zauważył zagubione spojrzenie Felixa.

- Różnice religijne, sam rozumiesz? Moja rodzina przybyła z północy i wyznaje błogosławionego Ulrica. Wszyscy nasi południowi sąsiedzi są oddanymi Sigmarytami. W tych nietolerancyjnych czasach, była to wystarczająca wymówka, by zagarnąć ziemię, jakich pożąдали. Ponieważ byli kuzynami Hrabiny Emmanuelle, zostaliśmy wygnani za wszczenie wojny.

Potrząsnął głową z niesmakiem.

- Imperialna polityka, ech?

Dieter wzruszył ramionami. Zwrócił się do górskich ludzi. - Poczekajcie na zewnątrz - powiedział. - Mamy sprawę do omówienia z Herr... ?

- Jaeger. Felix Jaeger.

Traperzy zaczęli wychodzić. Lars mijając Felixa rzucił pełne nienawiści spojrzenie. Felix spojrzał mu prosto w nabiegłe krwią oczy. Ich spojrzenia zatrzymały się na chwilę, po czym traperzy wyszli, zostawiając tylko wiszący w powietrzu opar niedźwiedziego tłuszczu.

- Obawiam się, że sprawiłeś tu sobie wrogów - rzekł Manfred.

- Nie boję się.

- Powinieneś się bać, Herr Jaeger. Tacy ludzie pamiętają zniewagi - rzekł Dieter. - Powiadasz, że szukasz zatrudnienia?

Felix skinął głową.

- Mój towarzysz i ja.

- Zabójca Trolli? - Dieter uniósł brew.

- Gotrek Gurnisson, tak jest.

- Jeśli chcecie pracy, dostaliście ją. Księstwa Graniczne to miejsce pełne przemocy i przydaliby nam się tacy dwaj wojownicy. Niestety, nie możemy pozwolić sobie na zbyt wielką zapłatę.

- Fundusze mego wuja są obecnie ubogie - wyjaśnił Manfred.

- Nie trzeba nam wiele więcej niż łóżka, wikt i przewozu - powiedział Felix.

Dieter roześmiał się.

- To naprawdę znakomicie. Jeśli chcecie, możecie z nami podróżować. Jeżeli zostaniemy zaatakowani, będziecie musieli walczyć.

- Zostaliśmy zatrudnieni?

Dieter wręczył mu dwie monety.

- Przyjęliście barwy barona. Jesteście z nami. - Szarowłosa mężczyzna otworzył drzwi. - A teraz, jeśli łaska, musimy zaplanować podróż.

Felix skłonił się przed oboma i wyszedł.

- Jeszcze chwilę.

Felix obrócił się i zobaczył Manfreda zeskakującego za nim z wozu. Młody szlachcic uśmiechał się.

- Dieter jest szorstkim człowiekiem, ale przywykniecie do niego.

- Jestem tego pewien, milordzie.

- Mów mi Manfred. Jesteśmy na rubieżach, nie na Dworze Hrabiosstwa Nuln. Ranga ma tu mniejsze znaczenie.

- Dobrze zatem, milordzie - Manfredzie.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że to co uczyniłeś zeszłego wieczora było słuszne. To znaczy wstawienie się za dziewczyną, nawet jeśli jest służką tej wiedźmy. Doceniam to.

- Dziękuję. Czy mogę zadać pytanie?

Manfred skinął głową. Felix oczyścił gardło.

- Imię dramaturga Manfreda Diehla nie jest nieznane wśród studentów Altdorfu, mego miasta

ojczystego.

Manfred pokraśniał wyraźnie.

- Ja nim jestem. Na Ulrica, wykształcony człowiek! Któż mógłby pomyśleć, że kogoś takiego można tu spotkać? Nie wie pan jak ciężko dać sobie radę z dala od tego wszystkiego, Herr Jaeger. Czy widział pan „Dziwne Kwiecie”? Podobało się panu?

Felix ostrożnie rozważył odpowiedź. Nie dbał o sztukę, która opowiadała o degeneracji szlachcianki pogrążającej się w szaleństwie, kiedy okazało się, że jest mutantką i staje się bestią. „Dziwne Kwiecie” nie posiadało tego otwartego, serdecznego człowieczeństwa, jakie można było odnaleźć w dziełach największego dramaturga Imperium, Detlefa Siercka. Jednakże, było to dość aktualne podejście w tych mrocznych dniach, gdy liczba mutacji wyraźnie wzrastała. O ile Felix pamiętał, wystawianie sztuki zostało zakazane przez Hrabinię Emmanuelle.

- To bardzo poruszające dzieło, Manfredzie.

- Niezwykle wstrząsające, a to dobre! Zaiste, to dobre! Muszę już iść, odwiedzić mego chorego wuja. Mam nadzieję, że porozmawiamy ponownie przed końcem podróży.

Obaj skłonili się, po czym szlachcic odwrócił się i odszedł. Felix patrzył na niego, nie mogąc pogodzić tego uprzejmego ekscentrycznego młodego szlachcica z przejmującymi, przesyconymi Chaosem obrazami jego dzieł. W świadomości odczytanych mieszkańców Altdorfu, Manfred von Diehl znany był jako wspaniały dramaturg - aczkolwiek bluźnierczy.

Wczesnym rankiem wygnańcy byli gotowi do odjazdu. Na przedzie długiej, szerokiej linii, Felix dostrzegał siwego mężczyznę o zmęczonym wyglądzie, ubranego w płaszcz z sobolowej skóry, dosiadającego czarnego rumaka. Jechał pod rozwiniętym wilczym sztandarem, trzymanym przez Dietera. Obok, Manfred nachylił się, by powiedzieć coś do starego mężczyzny. Baron wykonał gest i cała karawana jego ludzi zaczęła posuwać się naprzód.

Felix poczuł dreszcz przenikający go na ten widok. Pochłaniał wzrokiem widowisko linii wozów i fur, z ich uzbrojoną eskortą odzianych w zbroje wojowników na koniach. Wspiął się na wóz z zapasami, który stary sługa ubrany w liberię barona oddał jemu i Gotrekowi.

Wokół nich góry pięły się ku niebu niczym olbrzymy. Drzewa pokrywały teren po obu stronach, a strumienie spływały jak rtęć w kierunku źródła Rzeki Grzmotów. Deszcz, zmieszany ze śniegiem, zmiękczył surowe kontury krajobrazu i przydał mu dzikiej urody.

- Znowu czas w drogę - lamentował Gotrek, łapiąc się za głowę. Jego oczy były mętne od wczorajszego przepicia.

Ruszyli naprzód, zajmując swoje miejsce w szeregu. Za nimi zbrojni narzucili na ramiona kusze, otulili się ciasniej płaszczami i zaczęli maszerować. Ich przekleństwa mieszały się ze złorzeczeniami, smagnięciami batów woźniców i porykiwaniem wołów. Dziecko zaczęło płakać. Gdzieś za nimi, kobieta zaśpiewała niskim melodyjnym głosem. Krzyk dziecka ucichł. Felix nachylił się mając nadzieję dojrzeć Kirsten wśród ludzi przebijających się przez deszcz ze śniegiem ku falistym wzgórzom, które odsłoniły się przed nimi niczym mapa.

Czuł się niemal całkowicie uspokojony, porwany przez ów ludzki strumień, tak jakby urodził się wśród nich, by zmierzać do tego samego celu. Już poczuł się częścią tej małej wędrownej społeczności. Było to uczucie, jakiego brakowało mu od długiego czasu. Uśmiechnął się, ale z tego zamyślenia wyrwał go łokieć Gotreka wbity w zębra.

- Otwórz szeroko oczy człeczyno. Orki i gobliny nawiedzają te góry i ziemie u ich podnóża.

Felix spojrział na niego, ale kiedy popatrzył ponownie na otoczenie nie potrafił już podziwiać dzikiego piękna. Obserwował okolice czujnie wyszukując możliwych miejsc zasadzki.

* * *

Felix spojrział w tył na góry. Nie żałował, że opuszcza te ponure wyżyny. Kilka razy zostali napadnięci przez zielonoskóre gobliny, których tarcze nosiły znak szkarłatnego pazura. Wilczy jeźdźcy zostali odparci, ale ze stratami, a oczy Felixa były zaczerwienione od braku snu. Podobnie jak pozostali wojownicy, wzmacniał swą uwagę podczas warty, gdyż jeźdźcy atakowali nocą. Tylko Gotrek zdawał się być zawiedziony brakiem pościgu.

- Na Grungni - rzekł krasnolud. - Nie zobaczymy ich już więcej skoro Dieter zastrzelił ich wodza. Oni wszyscy to tchórze, gdy zabraknie wielkich chłopaków do zagrzewania w nich woli walki. Szkoda! Nic tak nie podnosi apetytu, co rzeź paru gobosów. Zdrowe ćwiczenia robią dobrze na trawienie.

Felix rzucił mu kwaśne spojrzenie. Wskazał kciukiem zakryty wóz, z którego zeszły Kirsten i wysoka kobieta w średnim wieku.

- Z pewnością ranni w tamtym wozie nie zgodziliby się z twoim pomysłem na zdrowe ćwiczenia, Gotrek.

Krasnolud wzruszył ramionami.

- Takie jest życie, człeczyno, że ludziom zdarza się oberwać. Ciesz się po prostu, że to nie była twoja kolej.

Felix miał dosyć. Zsunął się z siedziska wozu i zeskoczył na błotnistą ziemię.

- Nie obawiaj się, Gotrek. Mam zamiar być w pobliżu, by zakończyć twoją sagę. Nie złamię przecież złożonej przysięgi, prawda?

Gotrek spojrział na niego, jakby podejrzewając cień sarkazmu. Felix przybrał neutralny wyraz twarzy. Krasnolud traktował ideę dzieła Felixa poważnie. Chciał być bohaterem sagi po swojej śmierci i trzymał wykształconego Felixa, aby to sobie zapewnić. Potrząsając głową, Felix podszedł do miejsca, gdzie stała Kirsten i jej pani.

- Dzień dobry, Frau Winter. Kirsten.

Obie kobiety przyglądały mu się ze zmęczeniem w oczach. Zmarszczka przecięła długie oblicze czarodziejki, chociaż w jej wąskich, gadzich oczach nie migotała żadna emocja. Poprawiła jedno z kruczych piór wetkniętych we włosy.

- Cóż w nim dobrego, Herr Jaeger? Kolejni dwaj ludzie zmarli od ran. Te strzały są zatrute. Na Taala, nienawidzę tych wilczych jeźdźców.

- Gdzie jest Doktor Stockhausen? Sądzę, że mógłby pani pomóc.

Starsza kobieta uśmiechnęła się, nieco cynicznie, jak zauważył Felix.

- Opiekuje się dziedzicem barona. Młody Manfred stłukł sobie ramię. Stockhausen pozwoliłby raczej umierać dobrym ludziom, niżby małemu Manfredowi miała stać się krzywda.

Odwróciła się i odeszła. Jej włosy i okrycie trzepotały na wietrze.

- Nie zwracaj uwagi na panią - rzekła Kirsten. - Panicz Manfred ośmieszył ją w jednej ze swojej sztuk. Ciągłe jest o to obrażona. Ona naprawdę jest dobrą kobietą.

Felix spojrział na nią, zastanawiając się czemu jego serce bije tak głośno, a dłonie są takie spocone. Przypomniawszy sobie słowa Gotreka w tawernie i jego twarz oblał rumieniem. W porządku, pomyślał, Kirsten mu się podoba. Czy to coś złego? Może tylko fakt, że on nie podoba się jej. Rozejrzał się, czując supeł na języku, usiłując wymyślić co mógłby powiedzieć. W pobliżu dzieci bawiły się w żołnierzy.

- Jak się czujesz? - zapytał wreszcie.

Wyglądała na nieco osłabioną.

- Dobrze. Bałam się zeszłej nocy tego wycia wilków i spadających strzał, ale teraz... Cóż, za dnia to wszystko wydaje się takie nierzeczywiste.

Za nimi, z wozu dobiegły jęki umierającego człowieka. Na chwilę odwróciła się by spojrzeć, po czym hardość przemknęła przez jej twarz i stężała niczym maska.

- Niezbyt miło pracować przy rannych - powiedział Felix.

Wzruszyła ramionami.

- Można się do tego przyzwyczaić.

Felixa zmroził wyraz twarzy u kobiety w jej wieku. Był podobny do tego, jaki widział na obliczach najemników, ludzi których zawodem było zadawanie śmierci. Rozglądając się, dostrzegł dzieci bawiące się obok wozu z rannymi. Jedno z nich strzelało z wyimaginowanej kuszy, drugie zabalgotało, łapiąc się za pierś i upadło. Felix poczuł się wyobcowany i nagle bardzo daleko od domu. Bezpieczne życie poety i uczonego, jakie zostawił w Imperium, zdarzyło się jakby komuś innemu, dawno temu. Prawa i ich wykonawcy, którym zawierzał pozostały za Górą Szarymi.

- Życie tutaj nie jest wiele warte, nieprawdaż? - rzekł. Kirsten spojrzała na niego i jej twarz złagodniała. Wzięła go pod rękę.

- Choć, przejdźmy gdzie powietrze jest czystsze - powiedziała. Za nimi, wrzaski rozbawionych dzieci mieszały się z jękami umierających.

* * *

Felix zobaczył miasto, gdy wyłoniło się zza wzgórz. Było późne popołudnie. Na lewo, na wschodzie, widział krzywizną wartko płynącej Rzeki Grzmotów, a poza nią potężne szczyty Gór Krańca Świata. Na południe widać było kolejny szereg wzgórz tkwiących ponuro w oddali. Były nagie i nieprzystępne i sprawiły, że Felix się wzdrygnął.

W dolinie pomiędzy dwoma pasmami gnieździło się małe obwarowane murem miasteczko. Można było dostrzec białe kształty, które mogły być stadem owiec pędzonym przez bramy. Felixowi wydawało się, że widzi jakieś postacie ruszające się na murach, ale z tej odległości nie był tego pewien.

Dieter machnął na niego, aby się zbliżył.

- Jesteś wygadany - stwierdził. - Pojedź naprzód i pertraktuj. Powiedz tym ludziom, że nie chcemy ich skrzywdzić.

Felix zerknął tylko na wysokiego, wychudłego mężczyznę. Tak naprawdę chce wysłać mnie, pomyślał Felix, ponieważ nie jestem niezastąpiony, na wypadek gdyby ci ludzie nie byli przyjaźni. Felix rozważał, czy nie posłać go do diabła. Dieter musiał odgadnąć jego myśli.

- Przyjąłeś barwy barona - powiedział po prostu.

To prawda, przyznał Felix. Rozważał także wzięcie gorącej kąpieli i napicie się w prawdziwej gospodzie, spanie z dachem nad głową - wszystkie luksusy, jakie może zaoferować nawet najbardziej prymitywna przygraniczna osada. Perspektywy były bardzo kuszące.

- Dajcie mi konia - rzucił. - I sztandar poselski.

Wspinając się na płochliwego rumaka, starał się nie myśleć o podejrzeniach, jakie mogą żywić uzbrojeni w łuki ludzie wobec posłańca potencjalnego wroga.

Bełt kuszy świsnął w powietrzu i utkwiał drgając w ziemi przed kopytami wierzchowca. Felix usiłował zapanować nad wierzgającym zwierzęciem. W takich chwilach rad był, że jego ojciec nalegał aby jeździectwo było częścią edukacji majątnego młodego dżentelmena.

- Nie zbliżaj się, nieznajomy, albo naszpikujemy cię bełtami, bez różnicy czy masz białą flagę czy nie! - Głos był szorstki, ale mocny. Jego właściciel z pewnością przywykł do wydawania rozkazów i dbał by były wypełniane. Felix zmusił swego konia do spokoju.

- Jestem heroldem Gottfrieda von Diehl, Barona Pogranicza Vennlandu - zawołał Felix. - Nie chcemy niczyjej krzywdy. Szukamy tylko schronienia przed żywiołami i pragniemy odświeżyć nasze zapasy.

- Cóż, tutaj nie możecie tego zrobić! Powiedz swojemu Baronowi Gottfriedowi, że jeśli jest tak pokojowo nastawiony, to niechaj maszeruje dalej. To jest freistadt Akendorf i nie chcemy żadnych kontaktów ze szlachtą.

Felix przyjrzał się mężczyźnie krzyczącemu do niego z wieży nad bramą. Pod szpiczastym metalowym hełmem widniała bystra i inteligentna twarz. Po jego bokach stali dwaj mężczyźni, których kusze wycelowane były pewnie w Felixa. Felix poczuł suchość w ustach i pot ciekący zimną strużką po jego plecach. Nosił swoją kolczugę, ale wątpił, czy zdałaby się na wiele przeciw ich pociskom z takiej odległości.

- Sir, w imię Sigmara, oczekujemy tylko zwykłej gościnności...

- Odejdź, chłopcze, podróżując z dwudziestoma uzbrojonymi rycerzami i pięćdziesięcioma zbrojnymi nie znajdziesz gościny w Akendorfie, ani w żadnym innym mieście na tych ziemiach.

Felix podziwiał zdolności zwiadowców posiadanych przez freistadt, którzy tak dokładnie znali liczebność ich sił. Widział logikę rozwoju wydarzeń w tej krainie. Siły barona były zbyt potężne, by dowolny lokalny władca otwierał przed nimi wrota swego miasta. Stanowiłoby to zagrożenie dla

pozycji każdego władcy w tych odizolowanych osadach. Jednak Felix miał wątpliwości, czy siły barona byłyby dość liczne, aby wziąć otoczony murem fort przeciw zdeterminowanemu oporowi mieszkańców.

- Mamy rannych - zawołał. - Może chociaż ich weźmiecie?

Po raz pierwszy człowiek na wieży wyglądał przeprasząco.

- Nie. Sprowadziliście ze sobą te dodatkowe gęby. Możecie je zatem wyżywić.

- W imię Shallya'y, pani miłosierdzia, musicie im pomóc.

- Niczego nie muszę, heroldzie. Ja tutaj rządzę, nie twój baron. Powiedz mu, by podążał wzdłuż Rzeki Grzmotów na południe. Taal wie, jest tam wystarczająco ziemi niczyjej. Niech oczyści swoje własne majątki, albo przejmie jeden z opuszczonych fortów.

Felix w przygnębieniu zawrócił konia. Był całkowicie świadom broni wycelowanej w jego plecy.

- Heroldzie! - krzyknął lord Akendorfu. Felix obrócił się w siodle by na niego spojrzeć. W blednącym świetle twarz mężczyzny zdradzała wyraz troski.

- Co?

- Powiedz baronowi, by pod żadnym pozorem nie wjeżdżał między wzgórza na południu.

Powiedz, by trzymał się Rzeki Grzmotów. Nie chcę mieć was na sumieniu, jeśli zawędrujecie na Wzgórza Geistenmund bez ostrzeżenia.

Coś w brzmieniu głosu człowieka wywołało ciarki na karku Felixa.

- Te wzgórza są nawiedzone, heroldzie i żaden człowiek nie powinien się odważać tam jechać, pod groźbą mąk nieśmiertelnej duszy.

- Nie pozwolą nam przejechać przez wrota. I tyle - podsumował Felix spoglądając na twarze otaczające ogień. Baron nakazał mu usiąść słabym ruchem lewej dłoni, po czym zwrócił mętne spojrzenie na Dietera.

- Nie weźmiemy Akendorfu, przynajmniej nie bez wielkich strat w ludziach. Nie jestem ekspertem od oblężeń, ale nawet ja to dostrzegam - odezwał się szarowłosy mężczyzna. Pochylił się naprzód i dorzucił kolejną gałąź do ogniska. Iskry poszybowały w zimne nocne powietrze.

- Powiadacie, że musimy jechać dalej - rzekł baron. Jego głos był słaby i przypominał Felixowi szelest suchych liści.

Dieter pokiwał głową.

- Może powinniśmy ruszyć na zachód - powiedział Manfred. - Poszukać tam ziemi. W ten sposób ominiemy wzgórza, zakładając, że jest na nich czego się bać.

- Jest - odpowiedział traper, Hef. Nawet w wesołym blasku ogniska jego rysy były blade i zmęczone.

- Droga na zachód to zresztą głupi pomysł - rzekła Frau Winter. Felix zobaczył, że wpatrywała się prosto w Manfreda.

- Och, a czemuż to? - zapytał.

- Użyj swojego rozumu, chłopcze. Góry na wschód nawiedzane są przez gobliny, teraz gdy królestwo krasnoludów upadło. Zatem najlepiej będzie znaleźć krainy jak najdalej od Rzeki Grzmotów, najbezpieczniejsze przed najazdami. Utrzymywane będą przez najsilniejszych lokalnych władcy. Każde miejsce na zachodzie będzie lepiej bronione niż Akendorf.

- Znam geografie - szydził Manfred. Rozejrzał się nad ogniem, spotykając spojrzenie każdego z patrzących. - Jeśli pojedziemy dalej na południe, dotrzemy do Krwawej Rzeki, gdzie wilczych jeźdźców jest więcej niż glist na ciele trupa.

- Niebezpieczeństwo czyha w każdym kierunku - wycharczał stary baron. Spoglądał prosto na

Felixa, a jego błękitne oczy były niezwykle przeszywające. - Czy uważasz, że Lord Akendorfu ostrzegł nas byśmy trzymali się rzeki, aby uczynić z nas kuszący cel każdego najazdu zielonoskórych?

Felix namyślał się przez chwilę, ważąc swój osąd. Jak można było od niego wymagać, by stwierdził czy tamten człowiek kłamał czy nie, na podstawie kilkuminutowej konwersacji? Felix był całkowicie świadomy, że to co powie wpłynie na przeznaczenie wszystkich należących do karawany. Po raz pierwszy w swym życiu poczuł ślad odpowiedzialności przywódcy. Wziął głęboki oddech.

- Człowiek wydawał się szczerzy, Herr Baron.

- Powiadał prawdę - rzekł Hef, ubijając dymne ziele na dnie swej fajki. Felix zauważył jak palce mężczyzny nerwowo bawiły się trzonkiem fajki. Hef zanim dokończył, pochylił się i wyciągnął z ognia gałązkę, by zapalić od niej fajkę.

- Wzgórza Geistenmund to złe miejsce. Ludzie powiadają, że wieki temu z Bretonii przybyli czarnoksiężnicy, nekromanci wygnani przez Króla Słońce. Odnaleźli mogiły ludzi, którzy umarli tu w Dawniejszych Dniach i użyli swych zaklęć by stworzyć armię. Prawie udało im się podbić całe Księstwa Graniczne, zanim lokalni władcy nie sprzymierzyli się z krasnoludami z gór i odparli ich.

Felix poczuł dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa. Zwalczył potrzebę zerknięcia przez ramię w cienie za nim.

- Powiadają, że czarnoksiężnicy i ich sojusznicy uszli, by schować się w mogiłach. Zostały one zawałone przez krasnoludy kamieniami i zamknięte potężnymi zaklęciami zwycięzców.

- Ale to było wieki temu - rzekła Frau Winter. - Chociaż ci czarnoksiężnicy byli potężni, jak długo mogli przetrwać?

- Nie wiem, proszę pani. Ale rabusie grobów nigdy nie wracali z Geistenmunds. Podczas niektórych nocy, na wzgórzach można dostrzec nienaturalne światła, a gdy oba księżycy są w pełni, umarli nie zaznają spokoju na swych leżach w grobowcach. Wychodzą porwać żywych, by ich krew odnowiła życie mrocznych władców.

- To z pewnością nonsens - powiedział Dr Stockhausen. Felix sam nie był pewien. Ubiegłego roku podczas Geheimnisnacht widział straszliwe rzeczy. Wyrzucił to wspomnienie ze swojego umysłu.

- Jeśli pójdziemy na zachód, niezawodnie zmierzmy się z niebezpieczeństwem i nie ma pewności, czy znajdziemy schronienie - rzekł baron. Jego twarz podświetlona przez ogień była wychudła i kanciasta. - Na południu możemy znaleźć wolną ziemię, chociaż może być strzeżona, przez czarnoksiężskich nieprzyjaciół. Myślę, że powinniśmy się odważyć na południową drogę. Możliwe, że będzie czysta. Będziemy się trzymali Rzeki Grzmotów.

Jego głos nie wyrażał wielkiej nadziei. Brzmiał jakby należał do człowieka, który poddał się swojemu przeznaczeniu. Czy baron szuka śmierci, zastanawiał się Felix? W atmosferze stworzonej przez mroczną opowieść trapera, Felix prawie mógł w to uwierzyć. Zanotował sobie w pamięci, by dowiedzieć się więcej o kłątwie von Diehla. Następnie zauważył twarz Manfreda. Młody szlachcic gapił się w zachwycie w ogień. Na jego twarzy widniała niemal rozkosz.

- Myślę, że odnalazłem inspirację dla nowej sztuki - entuzjastycznie powiedział Manfred von Diehl. - Ta wspaniała opowieść, jaką zeszłej nocy przytoczył traper będzie stanowiła jej podstawę.

Felix spojrzał na niego podejrzliwie. Szli wzdłuż zachodniej strony karawany, trzymając się między wozami i złowieszczymi, jałowymi wzgórzami.

- To może być coś więcej, niż tylko zwykła opowieść trapera, Manfredzie. W wielu starych legendach jest nieco prawdy.

- Zupełna racja! Zupełna racja! Któż wie to lepiej niż ja? Myślę, że nazwę tę sztukę „Gdzie Umarli Wędrują”. Pomyśl o tym: srebrne pierścienie brzęczące na kościanych palcach, pergaminowa

skóra niespokojnych umarłych, lśniąca w tajemniczej poświacie. Wyobraź sobie leżącego w grobie, nietkniętego przez larwy króla, który wstaje co roku by szukać krwi, aby przedłużyć swoje mroczne panowanie.

Patrząc na owe posępne, nagie wzgórza Felix z wielką łatwością potrafił wyobrazić sobie takie rzeczy. Wśród czterystu podążających za Baronem von Diehl, tylko troje ośmielało się zapuścić na wzgórza. Podczas dnia Doktor Stockhausen i Frau Winter szukali ziół wśród omszałych głazów na pokrytych kamiennym rumowiskiem zboczach. Czasami, jeśli wracali późno, spotykali Gotreka Gurnissona. Zabójca Trolli wałęsał się po stokach nocą, jakby wyzywając moce ciemności, by go dotknęły.

- Pomyśl - powiedział Manfred konspiracyjnym szeptem. - Pomyśl jak leżysz w swym łóżku słysząc miękkie kroki zbliżających się stóp i żadnego oddechu poza własnym... Możesz leżeć wsłuchując się w bicie swojego serca i wiedzieć, że serce nie bije w piersiach nadchodzącego...

- Tak - Felix rzekł pospiesznie. - Z pewnością to będzie wspaniałe dzieło. Musisz dać mi je do przeczytania gdy będzie gotowe.

Postanowił zmienić temat, starając się wymyślić taki, który przemawiałby do tego dziwnego młodego człowieka.

- Sam myślałem o napisaniu poematu. Czy możesz opowiedzieć mi coś więcej o klątwie von Diehla?

Twarz Manfreda zamarła. Jego błyszczące spojrzenie wywołało u Felixa dreszcz, potem Manfred potrząsnął głową, uśmiechnął się i stał się znowu dawnym, uprzejmym sobą.

- Niewiele jest do opowiadania. - Zachichotał cicho. - Mój dziadek był bardzo pobożnym człowiekiem. Zawsze palił czarownice i mutantów by tego dowieść. Pewnej Hexensnacht upiekl śliczną dziewczkę zwaną Irina Trask. Wszyscy poddani przyszli oglądać, bowiem była ona rzadką pięknoscią. Gdy płomienie wezbrały wokół niej, wezwała moce piekła, by ją pomściły sprowadzając śmierć na mojego dziada i gniew Chaosu na jego następców, przyjaciół i wszystkie jego dzieci. Ciemność i jej potomstwo zabiorą was wszystkich, rzekła.

Zamilkł i spojrzał ponuro ku wzgórzom. Felix go ponaglił.

- Co się stało?

- Niedługo później mój dziadek został zabity podczas polowania przez bandę zwierzoludzi. Wśród jego synów wybuchły spory. Najstarszy, Kurt był dziedzicem. Mój ojciec i jego brat zbuntowali się i wyrzucili go. Niektórzy powiadają, że Kurt stał się bandytą i zginął z ręki wojownika Chaosu. Inni twierdzą, iż ruszył na północ, gdzie spotkał go znacznie gorszy los.

- Ojciec mój odziedziczył tytuł barona i ożenił się z moją matką, Kateriną von Wittgenstein. - Felix zerknął na niego. Wittgensteinowie byli rodziną o niejasnej reputacji, unikaną przez normalną społeczność. Manfred zignorował jego spojrzenie.

- Wuj Gottfried stał się dowódcą ich armii. Moja matka zmarła wydając mnie na świat, a mój ojciec zniknął. Gottfried przejął władzę. Od tego czasu nękają nas nieszczęścia.

Felix dostrzegł postać schodzącą po zboczu. To była Frau Winter. Wydawało się, że jest w wielkim pośpiechu.

- Zniknął? - spytał rozproszony Felix.

- Aye, bez śladu. Dopiero znacznie później dowiedziałem się co mu się stało.

Frau Winter zbliżyła się, spoglądając na Manfreda.

- Złe wieści - rzekła. - Odkryłam otwór tam na zboczu. Jest zablokowany runami, ale wyczuwam drzemiące za nim straszliwe niebezpieczeństwo.

Coś w brzmieniu jej głosu przekonywało, by dać temu wiarę. Obróciła się i zeszła do obozu.

Manfred rzucał mordercze spojrzenia za jej plecami.

Felix popatrzył na niego.

- Niezbyt się kochacie, wy dwoje, prawda?

- Nienawidzi mnie odkąd wuj uczynił mnie swym dziedzicem. Uważa, że jej syn powinien być następnym baronem.

Felix uniósł brew.

- Ach tak, nie wiedziałaś? Dieter to jej syn. Jest nieślubnym dzieckiem mego ojca.

* * *

Księżycowe światło barwiło wody Rzeki Grzmotów. Lśniły niczym płynne srebro. Stare sękate drzewa zwieszające się w tym miejscu ponad brzegami przypominały Felixowi wyczekujące trolle. Rozejrzał się nerwowo. Uznał, że coś wisi dziś w powietrzu.

Musiał zwalczyć wrażenie, że gdzieś poruszyło się coś złego, złaknione jego żywota, życia wszystkich ludzi z wyprawy Barona Gottfrieda.

- Czy coś jest nie tak, Felix? Wydajesz się dzisiaj bardzo roztargniony - spytała Kirsten.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się, zadowolony z jej obecności. Normalnie lubił ich nocne spacerowanie nad rzeką, ale tego wieczora pojawiło się jakieś przeczucie.

- Nie. Jestem tylko zmęczony. - Nie mógł powstrzymać się przed spojrzeniem w kierunku pobliskich wzgórz. W świetle księżyców, wylot drogi bardzo przypominał rozdziawioną gębę.

- To przez to miejsce, prawda? Jest w nim coś nienaturalnego. Czuję to. Tak jest kiedy Frau Winter przygotowuje jedno ze swoich niebezpiecznych zaklęć. Czuję ciarki na karku. Tylko teraz jest dużo gorzej.

Felix dostrzegł na jej obliczu pojawiającą się trwogę. Spoglądała ponad powierzchnię wody.

- Coś złego czai się pod tymi wzgórzami, Felix. Coś głodnego. Możemy tutaj zginąć.

Felix wziął ją za rękę.

- Jesteśmy całkiem bezpieczni. Nadal trzymamy się rzeki.

Jego głos zadrżał, a słowa nie były zbyt przekonywujące. Brzmiał jak głos przestraszonego chłopca. Oboje drżeli.

- Wszyscy w obozie się boją, za wyjątkiem twojego przyjaciela Gotreka. Dlaczego jest taki nieustraszony?

Felix zaśmiał się cicho.

- Gotrek jest Zabójcą Trolli, który przysiągł szukać śmierci, by odpokutować za jakąś zbrodnię. Jest wygnańcem swego domu, rodziny i przyjaciół. Nie ma swojego miejsca na tym świecie. Jest odważny, ponieważ nie ma nic do stracenia. Może odzyskać swój honor tylko ginąc chwalebnie.

- Czemu za nim podążasz? Sprawiasz wrażenie rozsądnego człowieka.

Felix zastanowił się głęboko nad odpowiedzią. Naprawdę nigdy nie przyglądał się swoim motywom tak uważnie. Pod spojrzeniem ciemnych oczu Kirsten nagle stało się to dla niego bardzo ważne.

- Ocalił moje życie. Potem przysięgliśmy sobie braterstwo krwi. Wówczas nie wiedziałem co oznacza ten rytuał, ale trzymam się go.

Podał najczystsze fakty, prawdę bez wyjaśnień. Przerwał i pogładził starą bliznę na prawym policzku. Chciał być szczery.

- Zabiłem człowieka w pojedynku. To wywołało skandal. Musiałem porzucić życie studenta, mój ojciec wydziedziczył mnie. Byłem pełen gniewu, popadłem w kłopoty z prawem. Kiedy spotkałem Gotreka nie miałem żadnego celu, po prostu dryfowałem. Zamierzenia Gotreka były tak jasno określone i tak zdecydowane, że po prostu pociągnął mnie za sobą. Łatwiej było pójść za nim, niż

rozpocząć nowe życie. Coś przemawiało do mnie w jego szaleństwie samozniszczenia.

Spojrzała na niego badawczo.

- Czy nadal przemawia?

Potrząsnął głową.

- A co z tobą? Cóż popycha cię wzdłuż Rzeki Grzmotów?

Zbliżyli się do przewróconego drzewa. Felix podał Kirsten rękę pomagając jej wejść na pień, po czym sam wskoczył obok niej. Wygładziła fałdy na długiej wieśniaczej spódnicy i odwinęła za ucho lok włosów. Felix uznał, że wyglądała prześlicznie w świetle dwóch bliźniaczych księżyców, wśród podnoszącej się mgły.

- Moi rodzice byli poddanymi Barona Gottfrieda, chłopami pracującymi w Diehlendorfie. Oddali mnie do pomocy Frau Winter. Zginęli w tamtej lawinie, razem z moimi siostrami.

- Przykro mi - powiedział Felix. - Nie wiedziałem.

Bezsilnie wzruszyła ramionami.

- Podczas wyprawy było tak wiele śmierci. Cieszę się tylko, że ja jestem tutaj.

Zamilkła na długą chwilę, a kiedy odezwała się ponownie, jej głos był miękki.

- Brakuje mi ich.

Felix nie wiedział co odpowiedzieć, więc milczał.

- Wiesz, moja babka nigdy w życiu nie podróżowała dalej niż milę od Diehlendorfu. Nigdy nawet nie zobaczyła od środka tego ponurego zamczyska. Wszystko co знаła, to jej chatka i pasy pól, na których pracowała. Ja oglądałam już góry i miasta i tą rzekę. Dotarłam dalej niż jej się kiedykolwiek śniło. W pewien sposób jestem temu rada.

Felix spojrzał na nią. Na ocienionej gładzi jej policzków dostrzegł błyszczącą łzę. Ich twarze były bardzo blisko siebie. Za nią, szybko gęstniejące opary mgły unosiły się z powierzchni rzeki. Ledwo mógł dojrzeć wodę. Kirsten przysunęła się bliżej.

- Gdybym nie poszła, to nie spotkałabym ciebie.

Pocałowali się, nieumiejętnie, nieśmiało. Usta ledwo otarły się o usta. Felix pochylił się naprzód i ujął w swoje dłonie jej długie włosy. Przytulili się do siebie, obejmując łapczywie, gdy pocałunek się pogłębiał. Ich namiętne dłonie zaczęły wędrować, badając nawzajem swe ciała przez grube warstwy ubrania.

Wychylili się za bardzo. Kirsten cicho krzyknęła gdy spadli z pnia drzewa w miękką wilgotną ziemię.

- Mój płaszcz jest cały w błocie - rzekł Felix.

- Zatem może lepiej go zdejmiesz. Będziemy się mogli na nim położyć. Ziemia jest taka mokra.

W cieniu śmiercionośnych wzgórz kochali się skąpani we mgle i księżycowym świetle.

- Gdzieżeś był, człeczyno i czemu wyglądasz na tak zadowolonego z siebie? - Gotrek dopytywał się gburowato.

- Nad rzeką - niewinnie odpowiedział Felix. - Tylko spacerowałem.

Gotrek uniósł krzaczastą brew.

- Wybrałaś sobie złą noc na spacer. Zobacz jak gęstnieje ta mgła. Węszę czary.

Felix spojrzał na niego, czując dreszcz rozchodzący się po kościach. Jego dłoń ruszyła do rękojeści miecza. Przypomniawszy sobie mgłę, która rok wcześniej okryła wrzosowiska wokół Kręgu Mrocznych Głazów i co w sobie ukrywała. Zerknął w ciemność ponad ramieniem.

- Jeśli to prawda, to powinniśmy o tym powiedzieć Dieterowi i baronowi.

- Już poinformowałem giermków księcia. Straże zostały podwojone. To wszystko co mogli zrobić.

- A co my zamierzamy uczynić?

- Prześpij się nieco, człeczyno. Wkrótce będzie twoja warta.

Felix położył się w głębi wozu na szczycie worków ze zbożem. Opatulił się szczelnie płaszczem. Chociaż próbował usnąć, sen nie nadchodził. Nie mógł przestać myśleć o Kirsten. Kiedy spojrzął na Morrslieba, mniejszy księżyc, wydawało mu się że widzi zarys jej twarzy. Mgła zgęstniała, tłumiąc wszelkie dźwięki za wyjątkiem cichego oddechu Gotreka.

Kiedy sen wreszcie nadszedł, śniły mu się mroczne koszmary, w których wędrowali umarli.

W oddali niespokojnie zarżał koń. Wielka dłoń zasłoniła usta Felixa. Szarpnął się wściekle, sądząc że Lars wrócił by się zemścić.

- Pst, człeczyno! Coś się zbliża. Bądź bardzo cicho.

Felix z trudem powrócił do pełnej czujności. Jego oczy były suche i zmęczone, mięśnie bolały od materaca z worków. Czuł się znużony i pozbawiony energii.

- Co to takiego, Gotrek? - zapytał cicho. Zabójca Trolli gestem nakazał mu milczenie i powąchał powietrze.

- Cokolwiek by to nie było, jest od dawna martwe.

Felix wzdrygnął się i wcisnął mocniej w płaszcz. Poczul trwogę wzbierającą na dnie żołądka. Gdy dotarło do niego znaczenie słów krasnoluda, musiał walczyć by powstrzymać przerażenie.

Felix wpatrzył się we mgłę. Opary okrywały ziemię, zasłaniając widok dalej niż na długość włóczni. Felix wysilając wszystkie zmysły dostrzegwał wóz po przeciwnej stronie. Rzucił spojrzenie za ramię, obawiając się, że skrada się za nim jakiś mieszkaniec mroku.

Bicie serca głośno dudniło mu w uszach i przypominał sobie słowa Manfreda. Wyobraził sobie kościste ręce, wyciągnięte by go złapać i unieść w głąb mrocznego grobowca. Czuł, jak jego mięśnie stężały. Z wysiłkiem zmusił je do ruchu, by dosięgnąć rękojeści swojego miecza.

- Idę się nieco rozejrzeć - wyszeptał Gotrek. Zanim Felix zdążył odpowiedzieć lub pójść za nim, krasnolud zeskoczył bezgłośnie z wozu i zniknął w ciemności.

Teraz Felix poczuł się całkowicie osamotniony. To było jak przebudzenie z koszmaru, by stwierdzić, że jest się w jeszcze gorszym. Był sam w ciemnościach i wilgotnej mgle. Wiedział, że tuż poza zasięgiem jego percepcji czają się głodne, niesamowite stworzenia. Tak mówiły mu jakieś pierwotne zmysły. Wiedział, że ruszenie się z wozu oznacza śmierć.

Jednak tam była Kirsten, śpiąca w powozie Frau Winter. Wyobraził sobie leżącą w łóżku, gdy straszliwa siła napiera na drzwi wozu, a drewno powoli wygina się do wewnątrz, by odsłonić...

Wyciągnął broń i zeskoczył z wozu. Miękkie tąpnięcie własnych stóp zabrzmiało dla jego wyostrzonych strachem zmysłów jak uderzenie dzwonu. Usiłował dojrzeć szczegóły we mgle, posuwając się w kierunku pojazdu Kirsten wzdłuż zewnętrznego pierścienia wozów.

Każdy krok zdawał się zabierać wieczność. Rzucal wokół siebie czujne spojrzenia, obawiając się, że coś skrada się bezgłośnie z tyłu. Brnął skrajem płam głębokiego cienia. Chciał głośno zawołać na alarm obozu, ale coś go od tego instynktownie powstrzymywało. Gdyby to uczynił, zwróciłby uwagę przerażających obserwatorów - a to oznaczałoby śmierć.

Postać zamajaczyła w cieniu i Felix uniósł swój miecz. Poczul serce w przetyku, gdy zauważył, że postać ubrana jest w skórzaną zbroję i metalowy hełm. Strażnik, pomyślał, uspokajając się. Dzięki Sigmarowi. Ale kiedy postać się odwróciła, Felix omal nie wrzasnął.

Na jej twarzy nie było ciała. Zielonkawe światło pełgało w pustych oczodołach. Przegniłe od wieków zęby uśmiechały się nikczemnie w bezcielesnych, pozbawionych warg ustach. Zobaczył, że hełm, który początkowo uznał za należący do strażnika pokryty był zaśnieżoną miedzią i runami, które kłuły w oczy. Smród pleśni i zgniłej skóry uderzył z tuniki istoty i jej obdartego płaszcza.

Coś rzuciło się na niego z zardzewiałym ostrzem. Felix przez chwilę stał bez ruchu, lecz działając instynktownie rzucił się w bok. Miecz napastnika dotknął jego żeber. Ból zapiekł w boku. Zauważył poruszenie prastarych ścięgien pod cienką jak papier skórą ręki dzierżącej broń. Odpowiedział wysokim ciosem w kark. Jego wyćwiczone ciało zareagowało posłusznie pomimo strachu paraliżującego umysł.

Ostrze rąbnęło w szyję istoty z trzaskiem rozrywanych kręgów. Jego cios przebił się przez klatkę piersiową stwora rąbiąc kości niczym tasak rzeźnika. Szkieletowaty wojownik upadł jak marionetka po odcięciu nitek.

Jak na sygnał uderzenia Felixa, noc ożyła mrocznymi postaciami. Słyszał pęknięcie drewna i przerażone wołania zwierząt, jakby przysło nałożone na nie zakłęcie ciszy. Gdzieś w głębi nocy Gotrek Gurnisson wydał z siebie swój zaśpiew bojowy.

Felix ruszył przez mgłę, niemal zderzając się z Dieterem zeskakującym z wozu. Wielki mężczyzna był całkowicie ubrany i trzymał toporek.

- Co się dzieje? - zawołał poprzez kakofonię okrzyków.

- Zaatakowali... martwe istoty spod wzgórz - rzucił Felix. Słowa wyrywały się ciężkimi sapnięciami.

- Wróg! - krzyknął Dieter. - Do mnie, ludzie. Biegiem do mnie! - Wydał okrzyk bojowy podobny do wilczego szczeknięcia. Rozległ się słaby zew kilku odpowiedzi. Felix ruszył dalej, szukając wozu Kirsten. Z ocienionej przerwy między dwoma wozami wyskoczyły stwory, uderzając na niego długimi złowrogo zakrzywionymi ostrzami.

Wygiął się unikając jednego i sparował drugie. Dwie kolejne szkieletowate kreatury rzuciły się na niego. Odrąbał nogę jednej z nich. Odpadła, gdy ostrze przecięło kolano. Umysł zdębiał ze strachu, walczył prawie mechanicznie, uskakując przed uderzeniem leżącego stwora i miażdżąc butem jego kręgosłup. Ciosy błyskały między nim, a drugim potworem, aż porąbał go na kawałki.

Dostrzegł dwa potwory przebijające się przez drzwi wozu Frau Winter, tak jak się tego obawiał. Ze środka dobiegł dźwięk zaśpiewu, który uznał za modlitwę. Gotował się do ataku, gdy jego oczy oślepił nagły błękitnawy błysk. Zamigotał łańcuch błyskawic i powietrze wypełnił wstrętny smród ozonu, pokonując nawet odór zgnilizny. Kiedy Felix odzyskał zdolność widzenia, zobaczył leżące nieopodal schodów do wozu zwęglone szczątki dwóch szkieletów.

W drzwiach stała spokojna i nieustraszona Frau Winter. W jej lewej dłoni pojawił się nimb światła. Spojrzała na Felixa i rzuciła mu zachęcające skinienie.

Za nią stała Kirsten, wskazująca bezgłośnie za jego ramię. Obrócił się gwałtownie i zobaczył tuzin nacierających na niego nieumarłych wojowników. Usłyszał Dietera i jego ludzi biegnących naprzeciw nim. Potem przyłączył się do gonitwy.

Noc stała się dla Felixa szalejącym chaosem, gdy w poszukiwaniu Gotreka wyrąbywał sobie drogę wokół obozu. W pewnym miejscu mgła przerzedziła się i wepchnął parę drżących dzieci pod wóz, z dala od ciał ich martwych rodziców. Mężczyzna leżał w nocnej koszuli, obok niego kobieta z trzonkiem miotły zaciśniętym niczym włócznia w dłoni. Felix usłyszał jakiś dźwięk i odwrócił się by zmierzyć się z olbrzymim szkieletem biorącym na niego zamach. Cudem udało mu się przeżyć.

Felix walczył oparty plecami o Dietera, aż stanęli wśród stosu gnijących kości. Bitwa oddaliła się od niego, gdy otoczyła go mgła i przez długą chwilę stał samotnie, nasłuchując krzyków konających.

Nagle wyskoczyła na niego rozpędzona postać. Wymienili ciosy. Felix dostrzegł, że był to Lars. Szydery uśmiech zastygł na jego twarzy odsłaniając szczerbate zęby, a piana wściekłości pokrywała mu usta. Natarł na Felixa w szale bojowym. Człowiek był oszalały ze strachu.

- Bhenkart! - zasyczał, uderzając Felixa z siłą, która powaliłaby drzewo. Felix uniknął ciosu i skoczył naprzód, trafiając w jego serce. Umierając, Lars zaszlochał. Felix zastanawiał się, jak bardzo Lars był szalony. Jeśli traper zabiłby Felixa, można by to było przypisać atakującym stworom. Powrócił do walki.

Minął róg wozu, by zauważyć dwudziestkę nieumarłych wojowników powstrzymywanych przez wściekły atak topora Gotreka. Błysnęły błękitne wyładowania i wokół niego nagle zrobiło się czysto. Poszukał wzrokiem Frau Winter, by okazać jej wdzięczność, ale ta odeszła, znikając we mgle. Odwrócił się i zobaczył Gotreka stojącego w zaskoczeniu z otwartą zwieszoną szczęką.

Nieco przed nadejściem świtu, napastnicy wycofali się w kierunku wzgórz, pozostawiając wojowników Barona von Diehla ze zrujnowanymi wozami i ciałami zabitych.

W świetle wczesnego poranka, Felix przyglądał się uważnie Gotrekowi badającemu rumowisko starego kamiennego łuku. Dobiegający z wnętrza odór wilgotnego powietrza i gnijących kości zatykał Felixowi usta. Obrócił się, by popatrzeć w dół zbocza, gdzie ocalali wygnańcy budowali ze szczątków zniszczonych wozów stosy pogrzebowe dla zmarłych. Nikt nie chciał pochować ich tak blisko wzgórz. Felix usłyszał mruczącego z satysfakcją Gotreka i obrócił się, by na niego spojrzeć. Krasnolud ze znawstwem przesunął dłonią wzdłuż popękanych kamieni pokrytych niewyraźną płataniną starych runów. Gotrek podniósł wzrok i dziko wyszczerzył zęby. - Nie ma co do tego żadnych wątpliwości, człeczyno: runy strzegące wejścia zostały zerwane od zewnątrz.

Felix spojrzał na niego. Ogarnęło go podejrzenie. Był bardzo zatrwożony.

- Wygląda na to, że ktoś podał kłótwie von Diehla pomocną dłoń - wyszeptał.

Deszcz smagał z szarego nieba. Powóz posuwał się na południe. Za karawaną, wody Rzeki Grzmotów toczyły się ku swemu celowi. Przesycona deszczem stale groziła wyrwaniem się ze swych brzegów. Felix szarpnął lejcam, woły zaryczały i zdwoiły swoje wysiłki brnąc przez błotnistą ziemię.

Obok niego kichnęła Kirsten. Jak niemal wszyscy pozostali, była blada i wyglądała niezdrowo. Wysiłek długiej podróży i pogarszająca się pogoda uczyniła ich łatwym łupem dla choroby.

Zadne miasto nie chciało ich przyjąć. Zbrojni wojownicy grozili bitwą, jeśli nie wyniosą się na niezamieszkane ziemie. Droga wlokła się bez końca. Zdawało im się, jakby jechali od zawsze i nigdy nie mieli zaznać odpoczynku. Nawet świadomość, że ktoś należący do wyprawy uwolnił nieumarłych spod wzgórz przestała być alarmująca, wobec niemożności odszukania winnego stając się tylko nieprzyjemnym podejrzeniem.

Felix spojrzał ciężko na Gotreka, spodziewając się że kichnięcie Kirsten wywoła jego zwykłe głupie komentarze na temat ludzkiej kruchości, ale Zabójca Trolli milczał, gapiąc się na Góry Krańca Świata z pewnością swego przeznaczenia niezwykłą nawet u niego.

Felix był ciekaw, kiedy zbierze się na odwagę, by powiedzieć Gotrekowi, iż nie będzie z nim dalej jechać, że zostaje z Kirsten. Obawiał się reakcji krasnoluda. Czy Gotrek po prostu uzna to za kolejny przykład ludzkiej wiarołomności - czy też stanie się agresywny?

Felix czuł się marnie. Lubił Zabójcę Trolli, za wszystkie jego czarne nastroje i gorzkie komentarze. Poruszała go myśl o Gotreku wędrującym w poszukiwaniu samotnej zagłady. Ale kochał Kirsten i nie mógł znieść bolesnej myśli o rozstaniu z nią. Być może Gotrek to wyczuwał i dlatego był w takim nietowarzyskim nastroju. Felix sięgnął i ścisnął dłoń dziewczyny.

- Czego pan poszukuje, Herr Gurnisson? - Kirsten spytała krasnoluda. Gotrek nie odwrócił się do niej, lecz nadal tęsknie wpatrywał się w góry. W pierwszej chwili wydawało się, że Zabójca Trolli nie odpowie, ale wreszcie wskazał na zarys jednego z okrytych chmurami szczytów.

- Karaz-a-Karak - rzekł. - Wieczny Szczyt. Mój dom - jego głos brzmiał łagodniej niż

kiedykolwiek i niósł rwącą serce głębię tęsknoty. Gotrek obrócił się do nich, a jego twarz miała wyraz tak niemej, przejmującej niedoli, że Felix musiał odwrócić wzrok. Grzebień włosów krasnoluda był spłaszczony przez deszcz, a jego twarz ponura i zmęczona. Kirsten sięgnęła, by poprawić płaszcz na jego ramionach, jakby był zagubionym dzieckiem.

Gotrek usiłował rzucić jej swe dzikie, groźne spojrzenie, ale nie mógł się na nie zdobyć i tylko uśmiechnął się smutnie, obnażając szczerbate zęby. Felix zastanawiał się, czy krasnolud nie pokonał całej tej drogi tylko dla tego przelotnego spojrzenia na górę. Zauważył kroplę wody wiszącą na końcu nosa Zabójcy Trolli. To mogła być łza, albo mógł to być tylko deszcz.

Jechali dalej na południe.

* * *

- Nie możemy ich jeszcze zostawić - rzekł Felix, przeklinając siebie za własne tchórzostwo.

Gotrek odwrócił się i popatrzył w kierunku podupadłego ufortyfikowanego dworu, który odszukali. Dostrzegał dym wznoszący się pióropuszcami z kominków niedawno oczyszczonego budynku.

- Czemu nie, człeczyno? Znaleźli wolną ziemię, grunt uprawny i ruiny tego starego fortu. Z niewielkim wysiłkiem powinien być dość dobrą osłoną.

Felix desperacko poszukiwał powodu. Był zaskoczony, że usiłował tak bardzo opóźnić moment, kiedy będzie musiał powiedzieć Gotrekowi o ich rozstaniu. Felixa onieśmielał sposób, w jaki spoglądał na niego Gotrek. Przypominał mu najbardziej surowe spojrzenia własnego ojca. Poczł raz jeszcze potrzebę wymówek i nienawidził siebie za to.

- Gotrek, jesteśmy tylko sto mil na północ od miejsca gdzie Rzeka Grzmotów wpada do Krwawej Rzeki. Dalej są Pustkowia i horda wilczych jeźdźców.

- Wiem o tym, człeczyno. Będziemy się musieli tamtędy przedrzeć w drodze do Karaku Osiem Szczytów.

Powiedz mu. Po prostu to powiedz, kłócił się sam ze sobą Felix. Ale nie był w stanie.

- Nie możemy jeszcze iść. Widziałeś ciała, jakie znaleźliśmy we dworze. Kości zmiażdżone do szpiku. Mury zostały przypalone. Dieter odnalazł w pobliżu ślad wilczych jeźdźców. To miejsce nie zapewni ochrony. Z twoją pomocą, z pomocą krasnoluda, to może się udać.

Gotrek zaśmiał się.

- Nie wiem, czemu tak uważasz.

- Ponieważ krasnoludy znają się na kamieniu i fortyfikacjach. Wszyscy o tym wiedzą.

Gotrek popatrzył z namysłem na dworzyszczce. Zdawał się przypominać sobie dawne życie. Zmarszczka pofałdowała jego brew, a czoło oparł o trzonek topora.

- Nie wiem - powiedział wreszcie - czy nawet krasnolud może uczynić to miejsce bezpiecznym. Typowe ludzkie rzemiosło, człeczyno. Liche, bardzo liche.

- Można je uczynić bezpiecznym. Ty to wiesz, Gotrek.

- Być może. Minęło wiele czasu odkąd pracowałem w kamieniu, człeczyno.

- Krasnolud nigdy nie zapomina takich rzeczy. I jestem pewien, że baron sowicie zapłaci za twoje usługi.

Gotrek podejrzliwie pociągnął nosem.

- Lepiej, żeby było tego więcej, niż płaci swoim najemnikom.

Felix zaśmiał się.

- Chodź. Przekonajmy się.

Nie mogąc usnąć, Felix wstał po cichu. Ubrał się szybko, nie chcąc obudzić Kirsten. Delikatnie poprawił płaszcz zastępujący jej koc, by nie było jej zimno, potem lekko pocałował ją w czoło.

Poruszyła się, ale nie obudziła. Podniósł swój miecz leżący obok wejścia do chatki i wyszedł w zimne nocne powietrze. Zima się zbliża, pomyślał Felix obserwując swój oddech zamieniający się w parę.

W świetle księżyców odnalazł drogę wśród gromady domostw skupionych pod wewnętrzną stroną muru okalającego dwór. Poczul spokój, po raz pierwszy od dłuższego czasu. Nawet nocne odgłosy obozowiska były uspokajające. Fort został ukończony przed pierwszymi śniegami, wyglądało na to, że osadnikom nie zabraknie ziarna, by przetrwać zimę i zasiać nowe zboże na wiosnę.

Wysłuchał się w porykiwania bydła i odmierzony krok wartowników na murach. Spojrzał w górę i zobaczył światło nadal migoczące w oknie pokoju Manfreda. Felix zadumał się nad swoim zagmatwanym przeznaczeniem... Nie jest to miejsce, które wymarzyłem sobie na osiedlenie się, ufortyfikowana wioska na skraju świata. Ciekaw jestem, co pomyślałby o tym mój ojciec gdyby mógł zobaczyć mnie teraz, kiedy staję się farmerem. Pewnie umarłby ze wstydu. Felix uśmiechnął się.

To było ekscytujące miejsce. Wyczuwało się wrażenie początku różnych spraw, społeczności ciągle przybierającej swój kształt. A ja znajdę miejsce wśród kształtujących tę społeczność, pomyślał. To doskonale miejsce, by zacząć nowe życie.

Ruszył w stronę wieży wartowniczej, gdzie spodziewał się znaleźć Gotreka. Krasnolud nie potrafił usnąć, niespokojny i gotowy do drogi. Gdy oddalały się warty lubił przesiadywać w wieży, którą sam wybudował.

Felix wspiął się po drabinie i przez klapę w podłodze do stróżówki. Znalazł Gotreka wpatrującego się w noc. Widok krasnoluda wywołał u Felixa nerwowość, ale opanował się, zdecydowany powiedzieć krasnoludowi prawdę.

- Też nie możesz usnąć, człeczyno?

Felix zmusił się do skinięcia głową. Kiedy ćwiczył przed sobą swoją przemowę, wszystko wydawało się takie proste. Racjonalnie wyjaśnił sytuację, powie Gotrekowi, że zostaje z Kirsten i będzie czekał na odpowiedź krasnoluda. Teraz to było trudniejsze, jego język był sztywny, a słowa jakby uwięzły w gardle. Złapał się na tym, że odpiera wszystkie oskarżenia, które jak sobie wyobrażał. Gotrek zarzucił mu, iż był tchórzem i wiarołomcą, że oto podziękowanie dla krasnoluda za uratowanie ludzkiego życia. Felix musiał przyznać, że złożył przysięgę towarzyszenia Gotrekowi i opisanie jego zagłady. Oczywiście, przysiągł to będąc pijanym i pełnym wdzięczności dla krasnoluda, który właśnie wyciągnął go spod kopyt imperialnej kawalerii, ale przysięga nadal była przysięgą, jak niewątpliwie wskaże Gotrek.

Przesunął się, by stanąć obok Zabójcy Trolli. Patrzyli ponad rowem otaczającym zewnętrzny mur osłonięty zaostrozonymi palami. Jediną łatwą drogą do środka był most z ziemi nad którym górowała wieża.

- Gotrek...

- Tak, człeczyno?

- Dobrze to zbudowałaś - rzekł Felix.

Gotrek spojrział na niego i uśmiechnął się ponuro.

- Wkrótce się o tym przekonamy - powiedział. Felix spojrział w kierunku wskazywanym przez Zabójcę Trolli. Pola czarne były od wilczych jeźdźców. Gotrek wzniosł do ust róg alarmowy i zagrał ostrzeżenie.

Felix wykonał unik, gdy strzała wbiła się tuż przed nim w drewno parapetu. Sięgnął w dół i wyciągnął kuszę z palców martwego wartownika. Mężczyzna leżał ze strzałą w gardle. Felix wydobyl pocisk i mocował się ładując broń. Wreszcie wsunął bełt na miejsce.

Skoczył naprzód. Ogniste strzały błyskały nad nim jak spadające gwiazdy. Z tyłu dochodził smród spalenizny. Felix spojrzął w dół palisady. Wilczy jeźdźcy otoczyli obóz niczym wilcza wataha osaczająca stado bydła. Dostrzegł zieloną skórę jeźdźców, lśniąca w świetle płonących strzał. Płomienie rozświetlały ich przepelnione nienawiścią oczy i żółtawe kły.

Muszą być ich setki, pomyślał Felix. Dziękował Sigmarowi za rów i pale, oraz drewniane ściany, do których budowy przymusił ich Gotrek. Wówczas wydawało się to zbędną robotą i otwarcie złorzeczono krasnoludowi. Teraz wszystko to zdawało się być ledwie wystarczającą prowizorką.

Felix wycelował w jeźdźca na wilku, który chciał strzelić ku wieży strzałą zanurzoną w smole. Pociągnął spust kuszy. Bełt pomknął w noc i trafił goblina w pierś. Ten opadł w siodle. Jego płonąca strzała wystrzeliła prosto w niebo, jakby wycelowana w księżycę.

Felix schował się ponownie i przeładował. Mając plecy oparte o palisadę, mógł spojrzeć w dół na podwórzec. Ludzki łańcuch kobiet i dzieci przenosił wiadra od beczek na deszczówkę do otoczonych płomieniami chat, na próżno starając się zdławić ogień. Dostrzegł upadającą staruszkę i pozostałych uskakujących przed strzałami spadającymi na nich niczym mroczny deszcz.

Felix odwrócił się i ponownie wystrzelił, chybiając celu. Noc wypełniała kakofonia dźwięków. Wrzaski umierających, wycie wilków, Zabójczo tnące szepty strzał i bełtów kusz. Słyszał Gotreka śpiewającego radośnie po krasnoludzku, oraz gdzieś w oddali suchy, zgrzytający głos barona stanowczo i spokojnie wydającego rozkazy. Psy ujadły, konie rżały przerażone, dzieci płakały. Felix żałował, że nie jest głuchy.

Usłyszał chrobotanie pazurów o drewno w pobliżu i poderwał się na nogi. Spojrzął przez balustradę i omal nie stracił twarzy. Szczęki wilka zatrzasnęły się poniżej. Stworzenie przeskoczyło rów, ignorując pale, które przykrywały ciała jego zabitych pobratymców.

Felix czuł smród oddechu upadającego wilka. Zobaczył jeźdźca zawzięcie uczeplonego wierzchowca i szykującego się do kolejnego skoku. Felix wypuścił bełt z kuszy. Pocisk zatopił się w piersi kreatury i wilk upadł. Jego jeździec przetoczył się i umknął w noc.

Felix zauważył Frau Winter wspinającą się na wieżę wartowniczą, aby stanąć u boku Gotreka. Miał nadzieję, że ona coś zrobi. W rozszałym chaosie nocy, nie sposób było to stwierdzić, ale Felix przeczuwał, że sprawy nie mają się dobrze dla obrońców. Rów napełniał się ciałami atakujących, ale wartownicy padali jak muchy pod nieustającym gradem strzał sypiących się mimo ochrony palisady.

Kiedy Felix spojrzął ponownie, zobaczył grupę ciężko opancerzonych orków, niosących zaostrowany pniak drzewa i pędzących w stronę wrót. Kilka bełtów z kusz wylądowało między nimi, ale pozostałe odbiły się od tarcz biegnących równolegle z niosącymi taran. Usłyszał trzask drzewa uderzającego we wrota.

Felix sięgnął po swój miecz, gotując się do skoku z murów na podwórzec, by wesprzeć wrota. Jeśli to zawiedzie, wszystko co mógł zrobić to drogo sprzedać swoje życie, tamci mieli zbyt dużą przewagę liczebną, by obrońcom udało się wytrzymać dłuższe oblężenie. Czuł strach ściskający wnętrza. Miał nadzieję, że Kirsten jest bezpieczna.

Rozległ się spokojny, czysty głos Frau Winter. Śpiewała niczym kapłan podczas modlitwy. Potem nastąpiła błyskawica.

Jaskrawe, błękitne światło skoczyło w noc. Powietrze zaśmierdziało ozonem. Włosy na karku Felixa stanęły dęba. Usiłował dostrzec wylądowanie błyskające między niosącymi taran. Słyszał ich wrzask. Kilku z nich porzucając pień, odskoczyło do tyłu podrygując jak klauni. Upadli na ziemię z tłącymi się ciałami. Powietrze wypełnił obrzydliwy zapach płonącego mięsa ich przypalonych ciał.

Błyskawice ponawiały uderzenia. Wilki wyły ze strachu, grad strzał osłabł, nasilił się

zniewalający odór. Felix spojrzał na Frau Winter. Jej twarz była ściągnięta i blada, a włosy sterczały w górę. Wyglądała demonicznie z obliczem mieniącym się w koszmarnych przeblyskach czernią i błękitem. Nie podejrzewał, że człowiek może posiadać tak potężną moc.

Wilczy jeźdźcy i piechota orków wyjąc z trwogi wycofywali się poza zasięg tych przerażających piorunów. Felix poczuł ulgę. Wtedy, w odległości, zauważył lśnienie światła.

Wpatrywał się w ciemność, dostrzegając starego szamana zielonoskórych. Czerwony nimb przeskakiwał wokół jego czaszki, oświetlając czapkę z wilczej skóry i kościaną laskę, którą trzymał w sękatych pazurach. Promień krwawego światła wyskoczył z jego głowy i uderzył we Frau Winter.

Felix zobaczył jak czarodziejka jęknęła i zachwiała się do tyłu. Gotrek sięgnął, by ją wesprzeć. Obserwował jej grymas bólu na bladej jak maska twarzy. Zaciśnęła zęby, a pot zrosił jej brwi. Zdawało się jakby była zamknięta w nadnaturalnym pojedynku sił woli ze starym szamanem.

Wilczy jeźdźcy zebrali się wokół swoich śmielszych przywódców. Ostrożnie zaczęli powracać, chociaż ich wznowionym atakom brakowało dzikiej zajadłości pierwszego natarcia. Zmagania trwały przez całą noc.

W pierwszym świetle świtu, Felix zbliżył się do Gotreka, który stał obok Manfreda, Dietera i Frau Winter. Kobieta wyglądała na wymęczoną ponad wytrzymałość. Ludzie tłoczyli się wokół, spoglądając na nią ze strachem.

- Jak się trzymamy? - Felix zapytał Gotreka.

- Damy sobie radę, tak długo jak ona zdierży. O ile będzie potrafiła wywołać błyskawice - Manfred spojrzał na Gotreka i skinął potwierdzająco głową.

Po drugiej stronie podwórca nastąpiło poruszenie.

- Frau Winter, proszę przyjść szybko - wzywał Doktor Stockhausen. - Baron został śmiertelnie ranny. Strzała, może być zatruta.

Czarodziejka z wysiłkiem ruszyła do dworu. Wśród tłumu Felix dostrzegł pomagającą jej Kirsten. Uśmiechnął się do niej szczęśliwy, że oboje żyją.

Z hukiem nagłego grzmotu, wrota zakołysały się na zawiasach. Jeszcze jedno takie uderzenie i ustąpią, ocenił Felix. Zerknął na Gotreka, który badał ostrze swego topora kciukiem. Tej drugiej nocy oblężenia Zabójca Trolli spodziewał się nadchodzącej walki wręcz. Felix poczuł szarpnięcie za ramię. To był Hef. Wielki mężczyzna wyglądał na śmiertelnie przerażonego.

- Gdzie jest Frau Winter? - zapytał. Skinął na bramę. - To nie taran. To laska tego starego diabła. Jeśli wiedźma go nie powstrzyma, będzie miał głowy nas wszystkich przed upływem nocy!

Felix odwrócił wzrok z Hefa na resztę gromady żałośnie zdziętkowanych obrońców. Ujrzał zmęczonych wojowników, rannych mężczyzn, którzy z trudem unosili miecz, nastoletnich chłopców i dziewczęta uzbrojonych w widły i inną zaimprovizowaną broń. Z zewnątrz dobiegało ogłuszające wycie wilków. Tylko Gotrek wyglądał na spokojnego. - Nie wiem gdzie ona jest. Dieter poszedł po nią dziesięć minut temu.

- Cóż, wybrał się w dobrej chwili.

- Dobra - rzekł Felix. - Pójdę po nią.

- Pójdę z tobą - rzekł Hef.

- O nie, ty nie pójdziesz - głośno odezwał się Gotrek. - Chcę być pewny, że człeczyna wróci. Ty zostaniesz tutaj. Gobaski przejdą tą bramą po naszych martwych ciałach.

Felix ruszył ku dworowi. Widział, że Kirsten była z czarodziejką. Jeśli sprawy miały się tak źle, jak się tego obawiał, przynajmniej zobaczy ją przed końcem.

Ledwo dotarł do drzwi, gdy usłyszał za sobą rozdzierający dźwięk i wstrzymujący serce łomot rozpadających się wrót. Dobiegł go bojowy okrzyk Gotreka i okrzyki przerażenia kilku wojowników.

Felix odwrócił się i ujrzał straszliwy widok.

W bramie pojawił się szaman dosiadający wielkiego białego wilka. Wokół jego głowy trzaskała aureola rdzawego światła. Igrało na końcu jego kościanej laski, zabarwiając na krwawo twarze wszystkich wokół. Od ściany nadleciał wystrzelony pocisk, ale jakaś siła odrzuciła go w bok zanim zdołał uderzyć czarownika.

Po bokach szamana znajdowało się sześciu potężnych orków, dzikich, odzianych w kolczugi i uzbrojonych w topory. Za nimi rozciągało się morze zielonych pysków i wilków. Gotrek roześmiał się głośno i natarł na nich. Ostatnią rzeczą, jaką zauważył Felix przed wejściem do środka był Zabójca Trolli biegnący w kierunku tego strasznego światła z wysoko wzniesionym toporem i najeżoną brodą.

Wewnątrz dworu panowała dziwna cisza, huk dźwięków z zewnątrz tłumiły kamienne ściany. Felix biegł przez korytarz nawołując Frau Winter. Jego głos dziwacznie rozbrzmiewał w cichych salach.

Znalazł ciała w głównej sali. Frau Winter została kilkakrotnie dźgnięta w pierś sztyletem. Na jej twarzy widniał wyraz zaskoczenia jakby śmierć zabrała ją bez ostrzeżenia. Jak goblinom udało się dostać do środka? Felix myślał szaleńczo. Ale wiedział, że nie dokonał tego żaden goblin.

Kolejne ciało leżało opodal drzwi. Starła się je otworzyć, gdy nóż uderzył w plecy. Nie chcąc, nie odważając się uwierzyć, Felix podszedł z sercem w przełyku. Delikatnie przewrócił ciało Kirsten. Poczł krótkie mignięcie nadziei gdy jej oczy otworzyły się, po czym zauważył strużkę krwi wypływającą z ust.

- Felix - westchnęła. - Czy to ty? Wiedziałam, że przyjdiesz.

Jej głos był słaby, a gdy mówiła krew pienila się na jej ustach. Zastanawiał się, jak długo tutaj leżała.

- Nic nie mów - rzekł. - Odpoczywaj.

- Nie mogę. Muszę mówić. Jestem szczęśliwa, że poszłam wzdłuż Rzeki Grzmotów. Jestem szczęśliwa, że ciebie spotkałam. Kocham cię.

- Ja też cię kocham - powiedział, po raz pierwszy, a potem zauważył, że jej powieki opadły. - Nie umieraj - prosił, kołysząc ją delikatnie w ramionach. Jej ciało zwiotczało, a jego serce zamieniło się w popiół. Położył ją ostrożnie ze łzami w oczach, po czym spojrział na drzwi, które starała się otworzyć i wypełniła go zimna furia. Felix wstał i popędził korytarzem.

* * *

Ciało Dietera leżało w drzwiach do pokoju barona. Bok głowy mężczyzny był wgnieciony. Felix wyobraził go sobie jak wpada z wściekłością do środka i zostaje uderzony z boku przez przygotowanego wroga.

Felix przeskoczył nad ciałem jak tygrys, turlając się po dotknięciu podłogi i zrywając się na nogi. Obrzucił spojrzeniem komnatę. Stary baron leżał w łóżku z nożem w sercu. Krew nasączała bandaż na jego piersi i prześcieradła na łóżku.

Felix spojrział na krzesło, w którym rozsiadł się Manfred z poplamionym posoką mieczem opartym na poręczy.

- Klątwa nareszcie się dopełniła - dramatopisarz odezwał się napiętym głosem na samej krawędzi hysterii. Uniósł wzrok i Felix zadrzał. Twarz Manfreda stała się jakby maską, poprzez którą spoglądało coś innego, coś obcego.

- Wiedziałem, że mym przeznaczeniem jest dopełnić klątwy - rzekł Manfred, jakby podawał godzinę. - Wiedziałem to od chwili gdy zabiłem mojego ojca. Gottfried uwięził go, gdy ten zaczął się zmieniać. Zamknął go w starej wieży, sam przynosił mu jedzenie. Nikomu nie wolno było wejść do

tej wieży, za wyjątkiem Gottfrieda i Frau Winter. Nikt tam nie poszedł, aż do dnia kiedy ja to uczyniłem. Ulric wie, wolałbym tego nigdy nie zrobić.

Podniósł się na nogi łapiąc rękojęć miecza. Felix obserwował go, zahipnotyzowany własną nienawiścią.

- Znalazłem tam mojego ojca. Nadal istniało podobieństwo rodzinne, pomimo sposobu w jaki się... zmienił. Nadal mnie rozpoznawał, rzekł do mnie „Synu” straszonym, zgrzytliwym głosem. Błagał bym go zabił. Nie miał dość odwagi by uczynić to samemu. Podobnie jak Gottfried. Myślał, że okazuje memu ojcu łaskę, trzymając go przy życiu. Utrzymując przy życiu mutanta.

Manfred zaczynał coraz bardziej zbliżać się do skrajności szaleństwa. Felix zauważył kapiącą z ostrza jego miecza krew, która plamiła podłogę. Poczł zawrót głowy i zmęczenie. Szalony młody arystokrata stał się centrum jego świadomości.

- Gdy poczułem krew starego człowieka płynącą po moim nożu, wszystko się zmieniło. Po raz pierwszy wyraźnie ujrzałem wiele spraw. Dostrzegłem w jaki sposób Chaos piętnuje wszystkie rzeczy, wypaczając i plugawiąc je, jak uczynił z ciałem mojego ojca. Wiedziałem, że jestem jego synem i że we mnie, unoszone moją krwią, tkwi znamię demonów. Byłem dzieckiem mroku. Moim przeznaczeniem stało się zniszczenie rodu von Diehl. Co też uczyniłem.

Zaśmiał się.

- Wypicie było doskonałą okazją, zesłaną przez piekło. Lawina była moja, na dobry początek. Myślałem że poniosłem klęskę, kiedy uwolniłem nieumarłych, a im nie udało się zniszczyć mego wuja i jego stronników. Ale teraz nic wam to nie pomoże. Mrok nadejdzie by zabrać was wszystkich. Klątwa jest dokonana.

- Jeszcze nie - rzekł Felix głosem dławionym przez nienawiść. - Jesteś von Diehlem i nadal żyjesz. Jeszcze cię nie zabiłem.

Wybuchnął obłąkańczym śmiechem. Raz jeszcze Felixowi wydało się, że patrzy na jakiegoś diabła w ludzkiej skórze.

- Herr Jaeger, masz poczucie humoru. Bardzo dobrze! Wiedziałem, że będziesz zabawny. Ale jakże możesz zgładzić pomiot Chaosu?

- Przekonajmy się - powiedział Felix, rzucając się naprzód do ataku. Z prędkością kobry, ostrze Manfreda uniosło się do bloku i zaczęło kontrować. Uderzenia mieczy migotały między nimi jak błyskawice. Stal dzwoniła o stal. Trzymające miecz ramię Felixa było odrętwiałe od ciosów Manfreda. Szlachcic miał siłę maniaka.

Felix cofnął się. Normalnie sparaliżowałyby go zimna furia obłądzenia Manfreda, ale teraz był tak przepełniony wściekłością i nienawiścią, że brakowało miejsca na strach. Jego świat był pusty. Żył tylko by zabić mordercę Kirsten. To była jedyna żądza jaka w nim pozostała.

Dwóch szaleńców walczyło w komnacie barona. Manfred nacierał z kocim wdziękiem, uśmiechając się z pewnością siebie, jakby rozbawiony jakimś lekkim dowcipem. Jego ostrze tknęło sieć stali która z wolna zaciskała się wokół Felixa. Jego oczy lśniły, zimne i nieludzkie.

Felix poczuł kamień ściany za swoimi plecami. Skoczył naprzód, uderzając w twarz Manfreda. Manfred sparował z leniwą łatwością. Stali naprzeciwko siebie z zakleszczonymi ostrzami i twarzami oddalonymi od siebie o cale. Mocowali się z całych sił, każdy walcząc o przewagę. Muskły na karku Felixa napięły się, jego ręka płonęła zmęczeniem gdy wolno, nieubłaganie, Manfred spychał jego ramię, zbliżając swoją ostrą jak brzytwa broń do twarzy Felixa.

- Do widzenia, Herr Jaeger - rzekł niedbale Manfred.

Felix podniósł obcas swojego buta i rąbnął nim stopę Manfreda, miażdżąc ją całą swoją siłą i ciężarem. Poczł pękającą kość i zobaczył oblicze szlachcica skręcające się w potwornym bólu.

Nacisk osłabł. Pchnął ostrzem, tnąc Manfreda po karku. Dramatopisarz zachwiał się do tyłu i Felix pchnął go w serce.

Manfred padł na kolana i spojrzał na Felixa pustymi, nierozumiejącymi oczami. Felix obalił go butem i splunął mu w twarz.

- Teraz klątwa jest dokonana - rzekł.

Z jasnym umysłem i bez lęku, Felix wyszedł w zimne nocne powietrze, spodziewając się znaleźć wilczych jeźdźców i śmierć. Nie dbał już o to. Oczekiwał tego. W pełni zrozumiał Gotreka. Nie miał nic dla czego warto by było żyć. Stał ponad wszelkim strachem.

Kirsten, wkrótce będę z tobą, pomyślał.

W bramie zobaczył Gotreka, stojącego pośród stosu ciał. Krew spływała z przerażających ran krasnoluda. Słaniał się podparty na swym toporze, ledwo zdolny ustać na nogach. Obok, Felix zobaczył ciała Hefa i innych obrońców.

Gotrek spojrzał na niego i Felix zauważył, że brakowało mu jednego oka, wyrwanego z oczodołu. Krasnolud zatoczył się, upadł, po czym powoli i boleśnie usiłował się podnieść.

- Co cię zatrzymało, człeczyno? Przegapiłeś niezgorszą walkę.

Felix ruszył w jego stronę.

- Niezupełnie.

- Wszystkie parszywe gobosy to tchórze o żółtych ślepiach. Zabij ich herszta, a reszta podwinie ogon i zwieje. - Zaśmiał się zboląły. - Oczywiście... Musiałem zabić z tuzin lub dwa, zanim się ze mną zgodziły.

- Oczywiście - powiedział Felix, patrząc na stos martwych wilków i orków. Dostrzegął wilcze nakrycie głowy szamana.

- Przeklęta rzecz - rzekł Gotrek. - Zdaje się, że nie mogę powstać.

Zamknął oko i leżał bez ruchu.

Felix obserwował niewielką linię maruderów zaczynających brnąć na północ pod czujnym wzrokiem kilku ocalałych żołnierzy. Felix uznał, że mogą zostać przyjęci przez jedną z osad, teraz kiedy nie byli już eskortowani przez pełne siły barona. Miał taką nadzieję ze względu na dobro dzieci.

Odwrócił się do masowej mogiły, w której pochowali ciała. Pomyślał o przyszłości, jaką pochował wraz z nimi. Znowu był bezdomny i samotny. Ułożył tobolek na ramieniu i obrócił się by spojrzeć na odległe góry.

- Żegnajcie - powiedział. - Będę za wami tęsknił.

Gotrek potarł nerwowo swoją nową opaskę na oko, po czym wydmuchał nos. Podniósł topór. Felix zauważył, że jego rany były różowe i prawie wyleczone.

- W tych górach są trolle, człeczyno. Czuję to!

Kiedy Felix się odezwał, jego głos był płaski i pozbawiony wszelkich emocji.

- Ruszajmy zatem i dorwijmy je.

Wymienili z Gotrekiem spojrzenia pełne wzajemnego zrozumienia.

- Jeszcze z ciebie zrobimy Zabójcę Trolli, człeczyno.

Obaj zmęczonym krokiem ruszyli ku mrocznym tajemnicom gór, idąc wzdłuż jasnej nitki Rzeki Grzmotów.

Mrok pod światem

Po okropnych przeżyciach w Forcie Diehl, wyruszyliśmy z ciężkim sercem ku Karakowi Osiem Szczytów. Była to długa, trudna podróż, której nie ułatwiała dzikość krainy jaką przemierzaliśmy. Głód, niewygody i stałe zagrożenie ze strony zielonoskórych maruderów, niezbyt poprawiały stan

mego umysłu. Być może stałem się szczególnie wyczulony, gdy po raz pierwszy dostrzegłem blednącą chwałę tego starożytnego, zrujnowanego miasta krasnoludów, zagubionego przez całe długie wieki wśród owych odległych szczytów. W każdym razie, przypominam sobie obecnie przerażające przecucie tego, co można było tam znaleźć i jak zwykle się zdarzać, moje obawy okazały się całkowicie usprawiedliwione...

- Fragment z *Moich Podróży z Gotrekiem*,
Tom II, spisanych przez Herr Felixa Jaegera
(Wydawnictwo Altdorf, rok 2505)

Krzyk odbijał się echem w zimnym, górskim powietrzu. Felix Jaeger wyszarpnął miecz z pochwy i stanął w gotowości. Padał śnieg, lodowaty wiatr poruszał jego długimi jasnymi włosami. Zarzucił swój płaszcz z czerwonej wełny na ramię, odkrywając rękę trzymającą miecz. Ponura okolica stanowiła doskonałe miejsce na zasadzkę, pełna jam i kamieni, bardziej chropowata niż powierzchnia Mannslieba, większego księżycy.

Zerknął w lewo, w górę zbocza. Kilka skarłałych sosen uczepiło się splątanymi korzeniami górskiego stoku. Poniżej, na prawo, znajdowała się prawie pionowa przepaść. Po obu stronach nie widać było najmniejszych oznak niebezpieczeństwa. Żadnych bandytów żadnych orków, ani mroczniejszych stworów czyhających w tych odległych szczytach.

- Hałas pochodzi z góry, przed nami, człeczyno - rzekł Gotrek Gurnisson trąc opaskę na oku wielką, wytatuowaną dłonią. Łącuch w jego nosie podzwaniał na wietrze. - Tam toczy się walka.

Niepewność opanowała Felixa. Wiedział, że Gotrek miał rację, posiadając nawet tylko jedno oko, zmysły krasnoluda były czulsze niż jego. Pytanie brzmiało, czy powinni stać i czekać, czy też ruszyć naprzód i zbadać sytuację. Góry Krańca Świata pełne były wielu potencjalnych wrogów. Szanse spotkania sprzymierzeńców były nikłe. Jego naturalna ostrożność skłaniała go, by nic nie robił.

Gotrek pobiegł kamienistą ścieżką, trzymając ogromny topór wysoko ponad grzebieniem swoich farbowanych na czerwono włosów. Felix zaklął. Czemu choć raz Gotrek nie mógł zapamiętać, że nie wszyscy są Zabójcami Trolli?

- Nie wszyscy poprzysięgliśmy szukać śmierci w walce - mruknął i ruszył wolno, ponieważ w tym zdradzieckim terenie brak mu było pewności kroków krasnoluda.

Felix jednym szybkim spojrzeniem ogarnął scenę rzezi. W długiej dolinie, banda ohydnych, zielonoskórych orków prowadziła bitwę z mniejszą grupą ludzi. Walczyli ponad wartkim strumieniem, który płynął w dół dolinki, aby zniknąć w obłoku srebrnego rozprysku za skalistą krawędzią. Woda spływała czerwienią krwi ludzi i koni. Łatwo było wyobrazić sobie co się stało: przekraczający wodę podróżni wpadli w zasadzkę.

W połowie strumienia wielki mężczyzna w lśniącej zbroi płytowej zmagił się z trzema muskularnymi, krzywonogimi napastnikami. Dzierżąc bez wysiłku dwuręczny miecz, odbił uderzenie z lewej, po czym jednym potężnym cięciem odrąbał głowę drugiemu przeciwnikowi. Siła własnego ciosuomal nie pozbawiła go równowagi. Felix domyślił się, jak śliskie musi być dno strumienia.

Na bliższym brzegu, mężczyzna w ciemnych, brokatowych szatach wyśpiewywał zaklęcie. W jego lewej dłoni zaświeciła kula ognia. Ciemnowłosy wojownik w futrzanej czapce i traperskim odzieniu z jeleniej skóry ochraniał czarodzieja przed dwoma wrzeszczącymi orkami, używając jedynie długiego miecza trzymanego w lewej dłoni. Felix widział jak jasnowłosy żołnierz upadł, usiłując powstrzymać własne wnętrzności wylewające się z rany po cięciu szablą przez brzuch. Gdy padał, krępkie półnagie dzikusy porąbały go na kawałki. Tylko trzech z napadniętej grupy jeszcze stało. Atakujący przeważali liczebnie jak pięć do jednego.

- Orkowe plugastwo! Ośmielacie się zanieczyszczać ziemię świętego podejścia do Karaku Osiem Szczytów. Uruk mortari! Szykujcie się na śmierć - krzyknął Gotrek pędząc na dół, by włączyć się do walki.

Ogromny ork obrócił się, stając mu na drodze. Wyraz zaskoczenia zamarł na zawsze na jego pysku, gdy Gotrek obciął mu głowę jednym potężnym uderzeniem. Szmaragdowa krew skropiła wytatuowane ciało Zabójcy Trolli. Rycząc i warcząc krasnolud pruł przez orki, rąbiąc na lewo i prawo wielkimi podwójnymi cięciami. Martwe ciała leżały wszędzie tam, gdzie opadł topór.

Felix pól zbiegł, pól zesunął się w dół piargu. Upadł na zadek. Mokra trawa łaskotała jego nozdrza. Przetoczył się na bok, gdy machający szablą, niemal dwukrotnie cięższy potwór, ciął w dół. Skoczył na nogi, uniknął cięcia, które mogło rozrząbać go na dwoje i kontrującym ciosem odrąbał napastnikowi ucho.

Zaskoczony, ork chwycił się za ranę, usiłując powstrzymać krew zalewającą mu pysk. Felix wykorzystał okazję i dźgnął w górę przez dolną szczękę stwora, aż do jego mózgu.

Gdy starał się uwolnić ostrze, inny potwór skoczył na niego, wymachując nad głową szablą. Felix zostawił broń i ruszył na atakującego. Schwycił go za nadgarstki, ale został pokonany. Gdy ork upadał na niego, cuchnący oddech zamknął usta Felixa. Stwór upuścił swoją broń. Zmagali się na ziemi, tocząc się ku strumieniowi.

Miedziane kółka wczepione w ciało orka drapały Felixa, gdy stwór szukał jego gardła, by rozerwać je swymi ostrymi kłami. Felix wił się, by uniknąć przegryzienia tchawicy. Ork wepchnął mu głowę pod wodę. Felix spojrzał w górę zbolalymi oczyma i ujrzał nachylające się nad nim dziwnie zniekształcone oblicze. Jego usta wypełniła lodowato zimna woda. W płucach brakowało mu powietrza. Rozpaczliwie uniósł się, próbując przewrócić napastnika. Przetoczyli się i nagle Felix znalazł się nad orkiem. Teraz on wepchnął łeb przeciwnika do strumienia.

Ork złapał go za przeguby rąk i napał. Złączeni w śmiertelnym zmaganiu zaczęli przetaczać się w zamarzającej wodzie. Raz po raz głowa Felixa zanurzała się pod wodą, raz po raz wynurzała z dyszeniem na powierzchnię. Ostre kamienie rozrywały jego ciało. W przeblysku myśli uświadomił sobie nowe niebezpieczeństwo, gdy własny impet pchał ich ku krawędzi urwiska. Felix usiłował się uwolnić, porzucając pragnienie utopienia przeciwnika.

Kiedy po raz kolejny jego głowa znalazła się na powierzchni, rozejrzał się za obłokiem rozprysniętej wody. Ku swojemu przerażeniu, znalazł go kilkanaście kroków dalej. Podwoił swoje wysiłki uwolnienia się, ale ork trzymał go w śmiertelnym uścisku i nadal zbliżali się do urwiska.

Może jeszcze dziesięć stóp. Felix słyszał grzmot wodospadu, czuł wzburzone prądy niespokojnej wody. Cofnął pięść i zdzielił orka w pysk. Złamał się jeden z jego kłów, ale stwór nie puścił.

Jeszcze pięć stóp. Rzucił się ponownie, tłukąc łbem orka o dno strumienia. Uścisk osłabł. Był prawie wolny.

Nagle zaczął spadać, przez wodę i powietrze. Rozpaczliwie starał się czegoś uchwycić. Jego ręce trafiły na skałę i zaczął walczyć o oparcie na śliskiej powierzchni dna strumienia. Ciśnienie lodowatej wody zalewającej jego głowę i ramiona było nie do zniesienia. Zaryzykował rzut oka w dół.

Daleko poniżej zobaczył doliny wśród wzgórz. Przepaść była tak wielka, że zagajniki drzew wyglądały jak krosty z mchu na krajobrazie. Spadający ork stał się znikającą, wrzeszczącą zielonkawą kroplą. Ostatkiem sił Felix przewrócił się na krawędzi, prąc przeciw nurtowi zdrętwiąłymi z zimna palcami. Przez sekundę wydawało mu się, że nie da rady, po czym jego twarz znalazła się nad powierzchnią. Chwytał powietrze wśród spienionej wody.

Wyczołgał się na brzeg. Orki zostały rozgromione po stracie swoich przywódców. Felix zrzucił

swój przemoczony płaszcz, zastanawiając się, kiedy dopadnie go chłód zimnego górskiego powietrza.

- Na Sigmara, to była dobra robota! Nieźle nas tu przycisnęli - rzekł wysoki, ciemnowłosy mężczyzna. Mówiąc, wykonał na piersi znak młota. Był przystojny na swój surowy sposób. Jego zbroja, choć pocięta, była najprzedniejszej jakości. Felixa niepokoiła intensywność spojrzenia nieznanego.

- Zdaje się, że zawdzięczamy wam nasze życie, panowie - powiedział czarodziej. On również był bogato ubrany. Jego brokatowa szata obszyta była złotą nicią, zwoje pokryte tajemniczymi symbolami wetknięte były w wiszące na ubraniu pierścienie. Długie jasne włosy ułożone były w osobliwy sposób. Na środku spływających loków wyrastał grzebień włosów podobny do tego, który miał Gotrek, z tą różnicą że był nie farbowany i krótko przycięty. Felix był ciekaw, czy jest to znak jakiegoś mistycznego bractwa.

Rozległ się śmiech mężczyzny w zbroi.

- To proroctwo, Johann. Czyż bogowie nie rzekli, iż wspomocze nas jeden z naszych starszych braci! Chwała Sigmarowi! Zaiste, to dobry znak.

Felix spojrzał na trapera. Ten rozłożył ręce i bezsilnie wzruszył ramionami. W sposobie, w jaki uniósł brew zauważalne było pewne cyniczne rozbawienie.

- Jestem Felix Jaeger z Altdorfu, a oto mój towarzysz Gotrek Gurnisson, Zabójca Trolli - rzekł Felix, kłaniając się rycerzowi.

- Jam jest Aldred Keppler, znany jako Opadające Ostrze, Rycerz Świątynny Zakonu Płonącego Serca - powiedział człowiek w zbroi.

Felix powstrzymał wzdrygnięcie się. W jego ojczystym Imperium, zakon sławny był z fanatycznej gorliwości z jaką prowadził swoją krucjatę przeciw rasom goblinom - oraz ludziom uznawanym za heretyków.

Rycerz wskazał na czarodzieja.

- To mój doradca w sprawach magicznych, doktor Johann Zauberlich z Uniwersytetu w Nuln.

- Do usług - rzekł Zauberlich z ukłonem.

- Jestem Jules Gascoigne, dawniej z Quennes w Bretonii. Jednakże to było wiele lat temu - powiedział odziany w futro mężczyzna. Miał bretoński akcent.

- Herr Gascoigne jest zwiadowcą. Zaangażowałem go, by prowadził nas przez owe góry - rzekł Aldred. - Mam wielkie dzieło do wykonania na Karaku Osiem Szczytów.

Felix i Gotrek wymienili spojrzenia. Felix wiedział, że krasnolud wolałby raczej podróżować samotnie w poszukiwaniu zaginionego skarbu starożytnego krasnoludzkiego miasta. Jednakże, unikanie towarzystwa przypadkowo spotkanych ludzi wzbudziłoby tylko ich podejrzenia.

- Może powinniśmy połączyć siły - powiedział Felix, mając nadzieję, że Gotrek poszedł tą samą drogą rozumowania. - My również zmierzamy ku miastu ośmiu szczytów, a ta droga nie należy do najbezpieczniejszych.

- Kapitalna propozycja - odpowiedział czarodziej.

- Bez wątplenia twój kompan zamierza odwiedzić swych rodaków - rzekł Jules, niepomyślnie na mordercze spojrzenie jakim obdarzył go Gotrek. - Nadal znajduje się tam mała placówka imperialnych krasnoludów.

- Pochowajmy lepiej naszych towarzyszy - rzucił Felix by wypełnić milczenie.

- Czemuś taki ponury, przyjacielu Felixie? Czyż nie jest to uroczna noc? - zapytał sardonicznie Gascoigne, chuchając w zdrętwiałe z zimna dłonie. Felix naciągnął zapasowy płaszcz na kolana i wyciągnął ręce ku małemu ognisku, jakie Zauberlich rozpałił mrukniętym zaklęciem. Spojrzał na

Bretończyka, którego twarz zmieniła się w świetle ogniska w demoniczną maskę.

- Te góry są zimne i ponure - odparł Felix. - Kto wie, jakie kryją niebezpieczeństwa?

- Istotnie, kto? Jesteśmy blisko Mrocznych Krain. Powiadają iż jest to wylęgarnia orków i innych zielonoskórych diabłów. Słyszałem także opowieści, że te góry są nawiedzone.

Felix wskazał na ogień.

- Czy myślisz, że powinniśmy byli to rozpałać? - Z pobliza dobiegły uspokajające pochrapywania Gotreka i regularne oddechy pozostałych.

Jules zachichotał.

- To wybór mniejszego zła, czyż nie? Widziałem ludzi zamarzających na śmierć podczas nocy takich jak ta. Jeśli coś ma nas zaatakować, lepiej byśmy mieli światło aby to coś zobaczyć.

Zielonoskórzy potrafią dostrzec w ciemnościach człowieka, ale my nie, ech? Nie, nie sądzę by ognisko cokolwiek zmieniło. Jednakże, nie wydaje mi się iżby był to powód twojego smutku.

Spojrzał wyczekująco na Felixa. Sam nie wiedząc czemu, Felix opowiedział całą smutną historię, jak Gotrek i on przyłączyli się do ekspedycji von Diehla ku Księstwom Granicznym. Von Diehl i jego poddani szukali pokoju na nowej ziemi, a znaleźli tylko straszliwą śmierć. Opowiedział o swoim spotkaniu z ukochaną Kirsten. Bretończyk słuchał ze współczuciem. Kiedy Felix skończył opowiadać o śmierci Kirsten, Jules potrząsnął głową.

- Ach, nieszczęsny jest ten świat, na którym żyjemy, czyż nie?

- Nieszczęsny, zaiste.

- Nie zatrzymuj się na przeszłości, mój przyjacielu. Nie można jej zmienić. Czas zaleczy wszystkie rany.

- Nie jestem tego tak pewien.

Zamilkli. Felix spojrzał na śpiącego krasnoluda. Gotrek siadł niczym gargulec, znieruchomiały z zamkniętym okiem, ale toporem w garści. Felix był ciekaw, jak krasnolud przyjąłby radę zwiadowcy. Gotrek, podobnie jak wszystkie krasnoludy, stale opierał się na lekcjach przeszłości. Jego zmysł historii pchał go nieubłaganie ku przyszłości. Twierdził, iż ludzie mają niedoskonałe wspomnienia, że krasnoludy spamiętują wszystko lepiej.

Czy dlatego szuka swej zagłady, zastanawiał się Felix? Czy jego wstyd płonie w nim równie silnie co w chwili, gdy popełniał owe przestępstwo, za które pragnie odpokutować? Felix rozmyślał jak wyglądać musi życie z przeszłością tak silnie wpływającą na teraźniejszość, że nigdy nie da się jej zapomnieć. Postradałbym zmysły, uznał.

Rozwagał swój własny ból i starał się go w sobie ponownie rozbudzić. Zdawało mu się, że żal rozpadł się na kawałeczki, zanikał z upływem czasu i nadal będzie słabł. Nie poczuł się lepiej, wiedząc iż skazany jest na zapomnienie, że jego wspomnienia staną się bladymi cieniami. Może krasnoludy mają lepiej, pomyślał. Nawet chwile spędzone z Kirsten, wydawały się bledsze, mniej barwne.

Podczas swojej warty, Felixowi wydawało się, że dostrzegł zielonkawą poświatę wysoko w górach ponad nimi. Patrząc, poczuł dotyk trwogi. Światło unosiło się, jakby czegoś szukając. W środku przyjęło niewyraźny ludzki kształt. Felix słyszał opowieści o demonach nawiedzających te góry. Spojrzał na Gotreka, zastanawiając się, czy nie powinien go obudzić.

Światło zniknęło. Felix wypatrywał długo, ale nie zobaczył już nic. Być może był to tylko widok ogniska, albo igraszka światła i zmęczonego umysłu. Jakoś w to jednak wątpił.

Rankiem, odsunął od siebie podejrzenia. Grupa ruszyła drogą okrążającą górski stok i nagle pod stalowoszarym zaciągniętym niebem pojawiła się przed nimi nowa kraina. Spoglądali w dół długiej doliny zagnieżdżonej w niecce między ośmioma górami. Szczyty wznosiły się niczym pazury

gigantycznej łapy. Na środku owej dłoni wyrastało miasto.

Wejścia do doliny blokowały wielkie mury, wybudowane z kamiennych bloków wyższych od mężczyzny. W obrębie murów, obok srebrnego jeziora wyrastała wielka warownia. U jej stóp rozciągało się miasto. Długie drogi bieły od fortecy do mniejszych wież wyrastających u podstawy każdej z gór. Kamienne zapory przecinały dolinę, tworząc mozaikę zarośniętych pól.

Gotrek trącił łokciem w żebra Felixa i wskazał na szczyty.

- Patrzaj - rzeki z zachwytem w głosie. - Carag Zilfin, Carag Yar, Carag Mhonar i Srebrny Róg.

- To wschodnie góry - powiedział Aldred. - Carag Lhune, Carag Rhyn, Carag Nar i Biała Dama strzegą zachodniego podejścia.

Gotrek spojrział z szacunkiem na Sigmarytę.

- Prawdę powiadasz, Templariuszu. Od dawna te góry nawiedzają moje sny. Od dawna marzyłem by stanąć w ich cieniu.

Felix spojrział w dół na miasto. W tym miejscu wyczuwało się siłę. Karak Osiem Szczytów został wybudowany na fundamentach góry, aby przetrwać do końca świata.

- Są naprawdę piękne - rzekł.

Gotrek popatrzył na niego z dziką dumą.

- W zamierzonych czasach, to miasto znane było jako Królowa Srebrnych Głębi. Było najwspanialszym z naszych królestw i jego upadek opłakujemy najbardziej.

Jules zapatrzył się na masywne ściany.

- Jak mogło dojść do takiego upadku? W tych górach można by było odeprzeć wszystkie armie wszystkich ludzkich królów. Te pola byłyby w stanie wyżywić całą populację Quenelles.

Gotrek wstrząsnął głową i wpatrzył się w miasto na dole z taką intensywnością, jakby spoglądał w stare czasy.

- Z dumą wybudowaliśmy Osiem Szczytów, w zenicie naszej starożytnej potęgi. Był to cud świata, piękniejszy niż Wieczne Wzgórze, otwarte ku niebu. Oznaka naszego bogactwa i mocy, siły ponad miarę krasnoludów, elfów czy ludzi. Myśleliśmy, że nigdy nie upadnie i że strzeżone przez nie kopalnie na zawsze pozostaną nasze.

Zabójca Trolli przemawiał z gorzką, poruszającą pasją, jakiej Felix nigdy wcześniej nie słyszał w jego głosie.

- Jakimiż byliśmy głupcami - rzekł Gotrek. - Jakimiż głupcami. Z dumą wznieśliśmy Osiem Szczytów, pewni iż nasze mistrzostwo zapanowało nad kamieniem i mrokiem pod światem. Jednak, jeszcze gdy budowaliśmy miasto, zasiane zostały ziarna jego zagłady.

- Co się stało? - spytał Felix.

- Zaczął się nasz spór z elfami, wypędziliśmy je z lasów i wyparliśmy z ziem. Po tym wszystkim, z kim mieliśmy handlować? Handel między naszymi rasami stanowił źródło wielkiego bogactwa, jakiegokolwiek by nie było pochodzenia. Co gorsza, straty w zabitych były boleśniejsze niż zadane naszym kupcom. Najlepsi wojownicy trzech generacji polegali w owych żalonych zmaganiach.

- Nadal jednak lud twój sprawował kontrolę nad wszelką ziemią między Górą Krańca Świata i Wielkim Morzem - rzeki Zauberlich z pedantycznym zadowoleniem. - Tak też twierdzi Ipsen w swej księdze o Wojnach Starożytnych.

Jad śmiechu Gotreka strawiłby stal.

- Czyżby? Wątpię w to. Podczas gdy wojowaliśmy z naszymi niewiernymi sojusznikami, mrok gromadził swe siły. Byliśmy znużeni wojną, kiedy czarne góry wybuchnęły kłębam popiołu. Niebo zasnuło się, a słońce schowało swe oblicze. Nasze zboża obumarły, a bydło popadło w chorobę. Lud nasz powrócił do schronienia wśród swych miast, a wrogowie natarli z samego serca naszego

królestwa, z miejsca, które uważaliśmy za najsilniejsze.

Przerwał i w ciszy Felixowi wydało się, że słyszy krzyk jakiegoś dalekiego ptaka.

- Z tuneli znacznie głębszych niż kiedykolwiek przez nas wykopane, nieprzyjaciele uderzyli na jądro tej fortecy. Poprzez kopalnie będące źródłem naszego bogactwa wylały się armie goblinów i podobnych szczirom skavenów, oraz rzeczy o wiele, wiele gorsze.

- Cóż uczynił twój lud? - zapytał Felix.

Gotrek szeroko rozłożył ramiona i spojrzał na ich twarze.

- Co mogliśmy zrobić? Chwyciliśmy za broń i ponownie ruszyliśmy na wojnę. A była to wojna straszliwa. Nasze bitwy z elfami miały miejsce pod niebem, wśród pól i lasów. Nowa wojna toczona była w ciasnych miejscach pogrążonych w głębokim mroku, z przerażającymi rodzajami broni i zjadłością poza waszą wyobraźnię. Zapadły się szyby, miotacze płomieni oczyściły korytarze, jamy zostały zalane. Nasi wrogowie odpowiadali gazem trującym i nikczemną magią, oraz przyzywaniem demonów. Poniżej miejsca, gdzie teraz stoimy walczyliśmy korzystając ze wszystkiego co nam pozostało, wszelką bronią i z całą odwagą jaką sprowadza desperacja. Walczyliśmy i przegraliśmy. Krok po kroku zostaliśmy wyparci z naszych domów.

Felix spojrzał w dół na ciche miasto. Wydawało się niemożliwe, by to co opisał Gotrek mogło się kiedykolwiek wydarzyć, a jednak coś w głosie Zabójcy Trolli kazało temu wierzyć. Felix wyobrażał sobie desperackie zmagania tych pradawnych krasnoludów, ich strach i oszołomienie, gdy wypierani byli z miejsca, które uważali za swoje. Wyobrażał sobie ich toczoną z nadludzkim uporem skazaną na klęskę walkę.

- W końcu stało się oczywiste, że nie utrzymamy miasta, a zatem grobowce naszych królów i skarbcze zostały zapieczętowane i ukryte za pomocą sekretnych urządzeń. Pozostawiliśmy to miejsce naszym wrogom.

Gotrek patrzył na nich.

- Od tamtych czasów, nie byliśmy już tak głupi by wierzyć, iż jakiekolwiek miejsce jest bezpieczne przed ciemnością.

Przez cały dzień, podczas którego zbliżali się do murów, Felix rozmyślał jak wiele musiały ucierpieć te stare budowle. To, co z odległości dawało wrażenie nieprzemijającej potęgi i pewności, okazało się przy bliższej inspekcji równie zrujnowane co droga, którą podróżowali.

Zasłona murów blokujących wejście do doliny była czterokrotnie wyższa od człowieka i przechodziła między stromymi, prostymi klifami. Oznaki zaniedbania były oczywiste. Mech wyrastał pomiędzy pęknięciami wielkich kamiennych bloków. Kamienie zostały poprzecinane wyłobieniami od deszczu i upstrzone żółtymi porostami. Niektóre były poczerniałe, jakby od wielkich jezorów ognia. Znaczny fragment murów rozpadł się i zawalił.

Wszyscy milczeli. Smutek okrył całą grupę całunem. Felix był przygnębiony i rozdrażniony. Czuł się, jakby duchy starożytności obserwowały go, gromadząc się nad zrujnowanymi resztkami pradawnej wielkości. Felix nie odsuwał dłoni od rękojeści swego miecza.

Spękane odrzwia starej bramy zostały wyważone na oścież. Ktoś bez zaangażowania wysilił się na oczyszczenie wyrzeźbionego w kamieniu znaku młota i korony nad ośmioma szczytami. Porosty już powracały na swoje miejsce.

- Ktoś niedawno był tutaj - rzekł Jules, badając z bliska wrota.

- Teraz widzę, jak zaskarbiłeś sobie reputację zwiadowcy - rzekł z sarkazmem Gotrek.

- Stójcie gdzie jesteście - rozległ się nieznany głos. - O ile nie chcecie zostać naszpikowani bełtami z kuszy.

Felix spojrzał w górę na palisadę. Zobaczył głowy w hełmach tuzina krasnoludów

spoglądających poprzez blanki murów. Każdy celował w nich załadowaną kuszą.

- Witajcie w Karaku Osiem Szczytów - rzekł ich szarobrody przywódca. - Mam nadzieję, że posiadacie dobre powody, by wkraczać w domenę Księcia Belegara.

Wędrowali przez miasto pod szarobiałymi chmurami. Była to scena z dnia nazajutrz po wielkim sędzie, gdy siły Chaosu wróca, by zawładnąć światem. Domy stały zrujnowane i upadały na ulice. Z wielu budynków dobywał się stęchły, zgniły zapach. Złowrogo wyglądające kruki krakały ze szczątków starych kominów. Nad nimi unosiło się jeszcze więcej kłębow wychudłych czarnych ptaszysk.

Oddział towarzyszących im krasnoludzkich wojowników był stale w gotowości. Badali wzrokiem wrota, jakby w każdej chwili spodziewali się zasadzki. Ich kusze były załadowane i gotowe. Istotnie sprawiali wrażenie, jakby znajdowali się w środku bitwy.

Wreszcie zatrzymali się. Przywódca gestem zażądał ciszy. Każdy stał słuchając. Felixowi wydało się, że słyszy oddalający się dźwięk, ale nie był tego pewien. Wpatrywał oczy w ciemności wczesnego wieczora, ale nie dostrzegał oznaki zagrożenia. Dowódca drużyny wykonał ruch ręką. Pozostali uformowali się w szyk kwadratu. Po długiej, napiętej chwili, zwiadowcy dali znak, że droga jest wolna.

Ciszę przerwał śmiech Gotreka.

- Boicie się kilku goblinów? - zapytał.

Przywódca spojrzał na niego.

- Podczas nocy takich jak ta są gorsze rzeczy niż gobliny. Możesz być tego pewien - rzekł.

Gotrek przesunął kciuk po ostrzu swego topora, upuszczając nieco krwi.

- Dawać je - zaryczał. - Dawać!

Jego okrzyk odbijał się echem wśród ruin, aż został stłumiony i pochłonięty przez złowieszczą ciszę. Po tym, nawet Gotrek zamilkł.

Miasto było większe, niż wyobrażał to sobie Felix. Być może nawet rozmiarów Altdorfu, największego miasta Imperium. Większość miasta była zrujnowana i zdewastowana podczas starożytnych wojen.

- Z pewnością wasz lud nie przyczynił się do tych wszystkich spustoszeń. Niektóre ze zniszczeń wydają się być całkiem niedawne - rzekł Felix.

- Gobosy - odparł Gotrek. - Przekleństwem ich rodzaju jest to, że gdy nie mają z kim się bić, walczą pomiędzy sobą. Bez wątplenia, po upadku miasto zostało podzielone między różnymi hersztami. To pewne jak zdrada elfów, że zaczęły się tłuc przy podziale łupów.

- Dodatkowo, mój lud i ludzie z Księstw Granicznych podjęliśmy wiele prób ponownego przejścia miasta. Tam na dole nadal znajduje się główna żyła srebra.

Splunął.

- Żadna z prób utrzymania miasta nie wytrzymała długo. Tu zaległ mrok. Tam gdzie pojawiła się ciemność nigdy jej już nie zabraknie.

Weszli na obszar gdzie budynki zostały częściowo odbudowane i wydawały się ponownie porzucone. Próba kolejnej rekolonizacji miasta poniosła klęskę, uległa samemu ogromowi ruin. Pod murami wielkiej twierdzy, krasnoludy wydawały się bardziej odprężone. Ich przywódca rzucał od czasu do czasu rozkaz, by podtrzymać czujność.

- Pamiętajcie Svenssona - powiedział. - On i jego ludzie zostali zabici na drodze do wielkiej bramy.

Krasnoludy natychmiast skupiły całą uwagę na obserwacji otoczenia. Felix trzymał dłoń w pobliżu miecza.

- To niezbyt zdrowe miejsce - wyszeptał Jules Gascoigne. Gdy tylko przez nie przeszli, wielkie wrota twierdzy zostały zamknięte z łomotem niczym walące się wieże.

Sala była ponura. Jej ściany pokrywały wytarte gobeliny. Oświetlały ją dziwne lśniące klejnoty zawieszane na żyrandolu pod sufitem. Na tronie z rzeźbionej kości słoniowej wysadzonej złotem zasiadał sędziwy krasnolud w otoczeniu wojowników odzianych w kolczugi i błękitne tuniki. Spojrzał zamglonymi oczami przerzucając wzrok od Zabójcy Trolli do ludzi. Stojąca obok starca krasnalka ubrana w purpurową szatę obserwowała wszystko z dziwną, skupioną uwagą. Na łańcuchu wokół jej szyi zwisała okuta żelazem księga.

Felixowi zdawało się, że wyczuwa napięcie na twarzach krasnoludów. Być może mieszkanie w nawiedzonym, opustoszałym mieście podkopało ich morale. Albo może było coś jeszcze, zdawali się stale zerkać przez ramię. Zrywali się przy najlżejszym szmerze.

- Z czym przybywacie, nieznajomi - rzekł sędziwy krasnolud głębokim, dumnym i dźwięcznym głosem. - Po co tu przybyliście?

Gotrek spojrzał na niego prostacko pewnym wzrokiem.

- Jestem Gotrek Gurnisson, niegdyś z Wiecznego Szczytu. Przybywam by zgładzić trolla w mroku pod światem. Człeczyna Felix Jaeger jest bratem mojej krwi, poetą i spamiętywaczem. Czy odmawiasz mi mych praw?

Wypowiadając ostatnie zdanie Gotrek uniósł swój topór. Krasnoludzcy żołnierze wzniesli swe młoty. Starzec zaśmiał się.

- Nie, Gotreku Gurnissonie. Nie odmawiam. Kroczysz drogą honoru i nie widzę powodów, by na niej stawać. Jakkolwiek twój dobór brata nie jest najlepszy.

Krasnoludzcy żołnierze zaczęli szemrać między sobą. Felix był zmieszany. Gotrek zdaje się złamał jakieś niezrozumiałe tabu.

- Istnieje precedens - odezwała się krasnalka w szatach. Dźwięki szemrania ustały. Felix spodziewał się, że ona powie coś więcej, że wyjaśni co powiedziała, ale nie zrobiła tego. Krasnoludom chyba wystarczyło, że przemówiła.

- Obaj możecie przejść, Gotreku synu Gurni'ego. Strzeż się, bowiem obierasz drogę wiodącą w ciemność i zważaj, by nie zawiodła cię twa odwaga. - Jego głos nie niósł śladu zainteresowania, tylko zgorzknienie i ukrywany wstyd.

Gotrek skłonił się dwornie przed krasnoludzkim władcą i wycofał się na koniec sali. Felix wykonał swój najbardziej dworski ukłon, po czym podążył za Zabójcą Trolli.

- Z czym przybywacie, nieznajomi - kontynuował władca. Aldred klęknął przed tronem na jedno kolano, a pozostali naśladowali go.

- Przybyłem ze sprawą tyczącą się mej wiary i starożytnych ślubów pomocy między twym ludem i moim. Opowieść ma jest złożona i jej przekazanie może zabrać nieco czasu.

Krasnolud zaśmiał się nieprzyjemnie. Raz jeszcze Felix wyczuł jakąś sekretną wiedzę, która zżerała starego krasnoludzkiego przywódcę.

- Mów dalej. Nie opływamy w żadne dobra, poza czasem. Możemy go wydawać swobodnie.

- Dzięki ci. Czy mam rację, zakładając iż jesteś tymże samym Księciem Belegarem, który powiódł dwadzieścia lat temu ekspedycję, by odebrać zielonoskórnym to miasto?

Belegar skinął głową.

- Masz rację.

- Waszym przewodnikiem był krasnoludzki poszukiwacz imieniem Faragrim, który odnalazł wiele tajemnych dróg do miasta, biegnących pod Ośmioma Szczytami.

Krasnolud skinął raz jeszcze. Felix i Gotrek wymienili spojrzenia. To właśnie Faragrim

powiedział Gotrekowi o strzeżonym przez trolla skarbie pod górami.

- Waszej wyprawie towarzyszył młody rycerz z mojego zakonu, kompan Faragrima za jego awanturniczych dni. Jego imię brzmi Raphael.

- Był prawdziwym mężczyzną i wrogiem naszych nieprzyjaciół - rzekł Belegar. - Wyruszył z Faragrimem w jego ostatnią wyprawę ku głębiom i nigdy nie powrócił. Gdy Faragrim odmówił poszukiwania go, wysłałem gońców, lecz nie potrafili odnaleźć jego ciała.

- Dobrze wiedzieć, że oddaliście mu honor, chociaż ze smutkiem dowiedziałem się, iż zaginęło ostrze, które nosił. Była to broń przepelniona mocą i o wielkim znaczeniu dla mojego zakonu.

- Nie jesteś pierwszym, który przybył tu by ją wydobyć - powiedziała krasnoludzka kobieta. Aldred uśmiechnął się.

- Tym niemniej, złożyłem ślub, iż zwrócę miecz Karaghul, do kapituły mego zakonu. Mam powody, by wierzyć iż uda mi się tego dokonać.

Belegar uniósł brew.

- Zanim wyruszyłem na wyprawę, pościłem przez dwa tygodnie i smagałem swe ciało biczami. Podczas Sigmarzeitu zostałem nareszcie obdarzony wizją. Mój pan objawił się przede mną. Rzekł, iż spogląda z łaskawością na moją misję i że czas jest bliski, gdy zaklęte ostrze zostanie ponownie dobyte.

- Co więcej - powiedział mi, że zostanę w mej misji wspomóżon przez jednego z naszych starożytnych braci. Interpretuję to jako określenie krasnoluda, albowiem lud wasz zawsze zwracał się do Niedokończonej Księgi.

- Błagam cię, szlachetny Belegarze, nie przeciwstawiaj się mej misji. Mój brat Raphael uhonorował pradawny ślub naszej wiary, nigdy nie odmówił pomocy krasnoludowi w potrzebie. Zgoda na odzyskanie przeze mnie jego ostrza będzie znakiem szacunku.

- Dobrze powiedziane, człowiecze - rzekł Belegar. Felix widział, że jest on poruszony, jak niezmiennie bywają krasnoludy słuchając przemów o honorze i starożytnych przysięgach. Jednak gdy się odezwał, nadal dało się zauważyć cień złości w jego spojrzeniu i głosie. - Udzielam ci zgody. Obyś miał więcej szczęścia niż twoi poprzednicy.

Aldred podniósł się i skłonił.

- Czy zapewnisz nam przewodnika?

Belegar raz jeszcze zaśmiał się, a w jego wesołości tkwiło coś dziwnego i dzikiego. Zaczął wstrętne zrzędzić.

- Pewien jestem, że Gotrek Gurnisson gotów będzie, by pomóc w zadaniu tak bliskim jego własnej misji.

Belegar powstał z tronu, a kobieta w szatach ruszyła by go wspomóc. Obrócił się i wyszedł utykając z komnaty. Gdy dotarł do tylnego wyjścia, odwrócił się i rzekł. - Możecie odejść!

Z okna wieży, w której umieściły ich krasnoludy, Felix patrzył w dół na wybrukowaną ulicę. Na zewnątrz śnieg zaczął padać pierzastymi płatkami. Za nim, pozostali cicho się sprzeczali.

- To mi się nie podoba - powiedział Zauberlich. - Kto wie jak wielkie przestrzenie rozciągają się pod powierzchnią ziemi? Możemy szukać do końca świata, a i tak nie odnajdziemy ostrza. Myślałem, że strzegą go krasnoludy.

- Musimy zaufać wierze - spokojnie i niezłomnie odpowiedział Aldred. - Sigmar życzy sobie, by ostrze zostało odnalezione. Musimy zawierzyć, że poprowadzi do niego nasze ręce.

W głosie Zauberlicha wyczuwało się lekką histerię.

- Aldred, jeśli Sigmar chce by ostrze zostało zwrócone, czemu nie umieścił go w rękach trzech naszych braci, którzy zeszli przed nami?

- Kimże jestem, by odgadywać zamiary Błogosławionego Pana? Być może czas nie był właściwy. Może jest to próba naszej wiary. Tej mi nie zabraknie. Nie musisz nam towarzyszyć, jeśli nie chcesz.

Między ruinami Felix zauważył zimne zielone światło. Widok ten napełnił go trwogą. Skinął na Julesa, by ten podszedł i rzucił okiem. Zanim Bretończyk zbliżył się do okna, nic już nie było widać. Zwiadowca spojrzał na niego pytająco.

Zmieszany, Felix odwrócił się by obserwować dyskusję. Czy zaczynam tracić rozum? - zastanawiał się. Próbował usunąć z umysłu widok zielonego światła.

- Herr Gurnisson, co pan o tym myśli? - zapytał Zauberlich. Odwrócił się do Zabójcy Trolli.

- Schodzę na dół tak czy inaczej - odpowiedział Gotrek. - Nie dbam o to co uczynicie. Zakończcie wasze spory.

- Straciliśmy już trzy czwarte ludzi, z którymi wyruszyliśmy - rzekł Zauberlich, przenosząc wzrok od Julesa Gascoigne do Aldreda. - Czemuż miałaby służyć strata naszego własnego życia?

- Czemuż miałoby służyć poddanie się, uczynienie bezsensownym poświęcenia się naszych towarzyszy? - odparł templariusz. - Jeśli poddamy się, ich śmierć pójdzie na próżno. Wierzyli, że uda nam się znaleźć Karaghul. Oddali swoje życie za tę wiarę.

Fanatyzm templariusza niepokoił Felixa. Aldred mówił zbyt swobodnie o oddawaniu swego życia. Posiadał jednak pełną spokoju pewność, która nadawała jego słowom siłę przekonywania. Felix wiedział, że wojownicy idą za takimi ludźmi.

- Złożyłeś taką samą przysięgę jak wszyscy inni, Johann. Jeśli chcesz ją teraz złamać, niech tak będzie, lecz konsekwencje dotkną twej wiecznej duszy.

Felix poczuł pewną sympatię dla maga. Sam przysiągł Gotrekowi będąc pijanym w ciepłej tawernie cywilizowanego miasta, po tym jak krasnolud uratował mu życie. Niebezpieczeństwa wydawały się wówczas odległe. Potrzęsnał głową. Łatwo jest składać takie przysięgi kiedy nie ma się pojęcia o konsekwencjach. Czym innym jest ich dotrzymanie, gdy droga prowadzi do takich posępnych miejsc jak Karak Osiem Szczytów.

Felix usłyszał zbliżające się kroki. Nastąpiło pukanie i drzwi otworzyły się ukazując krasnoludkę, która stała obok Belegara w komnacie tronowej.

- Przyszłam, by was ostrzec - powiedziała swoim niskim, przyjemnym głosem.

- Ostrzec nas przed czym? - grzecznie zapytał Gotrek.

- W głębinach znajdują się przerażające rzeczy. Jak myślicie, czemu żyjemy w takim strachu?

- Myślę, że najlepiej będzie jeśli wejdiesz pani do środka - rzekł Zabójca Trolli.

- Jestem Magda Freyadotter. Trzymam Księgę Pamięci w świątyni Valaya'i. Przemawiam głosem Valaya'i, zatem będziecie wiedzieli, iż mówię prawdę.

- Zgoda - powiedział Gotrek Gurnisson. - Mów zatem prawdę.

- W ciemnościach wędrują niespokojne duchy. - Przerwała i objęła ich wzrokiem. Jej spojrzenie spoczęło na Zabójcy Trolli i zatrzymało się na nim.

- Kiedy po raz pierwszy tu przybyliśmy, było nas pięć setek, z kilkoma człeczymi sprzymierzeńcami. Jedynymi niebezpieczeństwami, z jakimi się zetknęliśmy były orki i ich poplecznicy. Oczyszciliśmy tę warownię i część wyższego miasta, jako wstęp do odzyskania naszych starożytnych podziemi.

- Prowadziliśmy najazdy w głębie, szukając skarbców naszych przodków, wiedząc, że jeśli je znajdziemy, wieść dotrze do naszych ziomeków i będzie ich tu napływało więcej.

Felix zrozumiał tą strategię. Wieść o skarbie mogłaby zwabić w to miejsce więcej krasnoludów. Czuł się nieco winny. To samo przyciągnęło jego i Gotreka.

- Wysyłaliśmy wyprawy w głębie, na poszukiwanie starych siedzib. Wiele zmieniło się od

starych planów, jakie zapamiętaliśmy jako dzieci. Tunele się zapadły, ścieżki zostały zablokowane, nędzne nowe przejścia wykopane przez orki przecinały nasze własne.

- Czy krasnolud Faragrim przewodził którejs z tych ekspedycji? - zapytał Gotrek.

- Owszem - opowiedziała Magda. Gotrek spojrzął na Felixa.

- Jest zatem prawda w tym co opowiadał - powiedział Zabójca Trolli.

- Faragrim był śmiały i dotarł głębiej i dalej niż wszyscy inni. Cóż wam powiedział?

Gotrek gapił się na swoje stopy.

- Że spotkał najpotężniejszego trolla, jakiego kiedykolwiek zobaczył i...uciekł.

Krasnoludy nie potrafią dobrze kłamać, pomyślał Felix. Wydawało się niemożliwe, by kapłanka nie zauważyła, że on coś ukrywa. Ale Magda zdawała się niczego nie dostrzegać.

Felix wrócił myślami do nocy w odległym Nuln, w tawernie pod Ośmioma Szczytami, gdzie straszliwie pijany Faragrim przelał swą opowieść na Gotreka. Krasnoludy były tak urżnięte, że zdawały się zapominać o obecności człowieka i podekscytowane rozmawiały mieszaniną Reikspielu i Khazalid. Wówczas Felix zakładał, że krasnoludy próbują pokonać się nawzajem w opowiadaniu dyrdymałów. Teraz nie był pewien.

- A zatem to go przeraziło - myśleliśmy, że to były duchy - rzekła Magda. - Pewnego dnia powrócił z głębin. Jego broda całkowicie osiwiła. Nie rzekł ani słowa, tylko po prostu odszedł.

- Mówiłaś o strachach w głębinach - przerwał Zauberlich.

- Tak. Nasze podziemne patrole wkrótce zaczęły opowiadać o spotkaniach z duchami naszych przodków. Duchy wyły i jęczały oraz błagały nas by uwolnić je z okowów Chaosu. Wkrótce nasze pierwsze sukcesy obróciły się w klęskę. Jaki krasnolud może znieść widok rodaków wydartych z łona starożytnych duchów? Nasze siły straciły serce do walki. Książę Belegar poprowadził potężną wyprawę, by odnaleźć źródło zła. Jego oddziały zostały zniszczone przez mieszkańców głębin. Powrócił tylko on i parę zaufanych sług. Nigdy nie mówili o tym, co znaleźli. Większość ocalałych ziomków powróciło do swych ojczyzn. Teraz pozostała ledwo setka z nas, by utrzymać tę warownię.

Krew odpłynęła z twarzy Gotreka. Felix nigdy nie widział u Zabójcy Trolli takiego objawu strachu. Gotrek mógł zmierzyć się bez lęku z każdym żywym stworzeniem, ale ta opowieść o duchach pozbawiła go odwagi. Kult własnych przodków musiał być niezwykle ważny dla jego ludu, pomyślał z nagłym przekonaniem Felix.

- Zatem was ostrzegłam - rzekła kapłanka. - Czy nadal chcecie zejść na dół?

Gotrek zagapił się w ogień. Wszystkie oczy w pokoju zwróciły się na niego. Felix przeczuwał, że jeśli Gotrek porzuci swą misję, wówczas nawet Aldred może się poddać. Templariusz wydawał się być przekonany, że Zabójca Trolli jest krasnoludem z jego proroctwa.

Gotrek zacisnął dłoń na swoim toporze tak silnie, że zbieleły mu kłykcie. Wziął głęboki oddech. Zdawał się przymuszać do mówienia.

- Krasnolud czy duch, żywy czy martwy, nie lękam się - powiedział cicho nieprzekonywującym głosem. - Zejdę na dół. Trzeba tam się spotkać z pewnym trollem.

- Dobrze powiedziane - rzekła Magda. - Poprowadzę was do wejścia do podziemnego królestwa.

Gotrek wykonał ukłon.

- To będzie zaszczyt.

- Jutro zatem - powiedziała i podniosła się do wyjścia.

Gotrek przytrzymał dla niej drzwi. Gdy wyszła, zwałił się na krzesło. Odłożył swój topór i pochwycił poręcz krzesła jakby obawiał się, że spadnie. Wyglądał na bardzo przerażonego.

Ogromne wrota tkwiły w boku góry. Ponad nimi, wznosząc się nad skałą, widniało wielkie okno wycięte w kamieniu. Okno zostało zadane czerwonymi dachówkami, z których wiele odpadło.

Zdawało się, jakby warownia została zbudowana, a później zagłębiła się w grunt, tak że tylko najwyższe części wystawały ponad ziemią.

- Oto Srebrne Wrota - powiedziała Magda. - Srebrna Droga prowadzi do Wyższych Spichlerzy i Długich Schodów. Sądzę, że Droga jest czysta. Dalej jednak strzeżcie się!

- Dziękujemy ci - rzekł Felix. Gotrek skinął kapłance. Aldred, Jules i Zauberlich skłonili się. Mężczyźni wyglądali bardzo ponuro.

Zaczęli sprawdzać swoje latarnie i zapasy oliwy. Byli doskonale zaopatrzeni. Cała broń była naoliwiona i gotowa.

Magda sięgnęła do rękawów swej szaty. Dobyła tubę zwoju i wręczyła ją Gotrekowi. Ten rozwinął go, obrzucił szybkim spojrzeniem i skłonił się w pas, aż jego grzebień dotknął ziemi.

- Niechaj Grungni, Grimmir i Valaya mają baczenie nad wami wszystkimi - rzekła Magda i wykonała nad nimi dziwny znak błogosławieństwa.

- Chwała Sigmara nad tobą i twoim klanem - odpowiedział Aldred Opadające Ostrze.

- Ruszajmy - rzekł Gotrek Gurnisson. Podnieśli swoje sprzęty i przeszli pod łukiem. Felix zauważył, że był on pokryty starymi krasnoludzkimi runami, które nie zdążyły jeszcze zniszczyć.

Gdy przeszli, zostali otoczeni cieniem i zimnem. Felix nie mógł powstrzymać dreszczy.

Światło z wielkiego okna oświetlało drogę w ciemności. Felix podziwiał precyzję inżynierii krasnoludów. Na końcu pochyłości odwrócił się i spojrzał na przebytą drogę. Kapłanka i jej eskorta nadal tam stała. Pomachał do niej, a ona wzniosła ramię w pożegnaniu. Potem zaczęli schodzić i ziemia nad nimi zniknęła im z oczu. Felix zastanawiał się, czy ktokolwiek z nich zobaczy jeszcze światło dnia.

- Cóż dała ci kapłanka, Herr Gurnisson? - zapytał Zauberlich. Gotrek rzucił dokument w ręce magika.

- To mapa miasta skopiowana z mapy głównej w świątyni Valaya'i Pamiętającej. Pokrywa cały teren zbadany przez wyprawy Księcia Belegara.

W świetle lśniących kryształów nad głową czarodziej obejrzał mapę, po czym podrapał się po głowie. Felix spojrzał mu przez ramię i zobaczył tylko płataninę drobnych runów połączonych z liniami różnokolorowego atramentu. Niektóre linie były grube, inne cienkie, a niektóre kropkowane.

- Jeszcze nie widziałem takiej mapy - rzekł mag. - Nic z niej nie rozumiem.

Usta Gotreka ułożyły się szyderczo.

- Zdziwiłbym się, gdybyś rozumiał. Spisana jest runicznym kodem Gildii Inżynierów.

- Oddajemy się w twoje ręce, Herr Gurnisson i pod opiekę Sigmara - powiedział templariusz. - Prowadź!

Felix usiłował zliczyć przebyte stopnie, ale poddał się przy ośmiuset i sześćdziesięciu dwóch. Dostrzegł przejścia prowadzące od Srebrnej Drogi i zaczął mieć pojęcie o skali krasnoludzkiego miasta. Było jak pływające góry lodowe na Morzu Szponów, o których opowiadali marynarze. Dziewięć dziesiątych ich ogromu znajdowało się pod powierzchnią. Skala ta przekraczała wszystkie dzieła, jakie Felix kiedykolwiek widział. Było to doświadczenie uczące pokory.

Od drogi jaką przekraczali wybiegało wiele otworów w ścianach. Niektóre nadal były częściowo zamurowane. Robota kamieniarska wyglądała na wykonaną niedawno. Coś przebiło się przez mur przy pomocy bardzo topornych narzędzi. W powietrzu czuło się zapach zgnilizny.

- Składy ziarna - wyjaśnił Gotrek. - Używane do wykarmienia miasta podczas zimy. Wygląda jednak na to, że gobosy przedarły się do magazynów Belegara.

- Jeśli jacyś zielonoskórzy są w pobliżu, zaraz posmakują mojej stali - rzekł Aldred Opadające Ostrze.

Jules i Felix wymienili zatroskane spojrzenia. Nie byli tak chętni jak templariusz i Zabójca Trolli do zmagania z czymś co czyhało poniżej.

Felix stracił rachubę czasu, ale zgadywał, że minęło pół godziny od kiedy opuścili Srebrną Drogę i weszli do hollu równie wielkiego co Koenigspark w Altdorfie. Sala oświetlona była przez wielkie szczeliny w suficie. Kłęby kurzu tańczyły w tuzinie kolumn światła wyższych niż wieże Nuln. Dźwięk ich kroków odbijał się echem, płosząc dziwne mroczne i skrzydlate stworzenia czyhające pod sufitem.

- Plac Merscha - rzekł Gotrek głosem pełnym zachwytu. Rozglądał się po sali z osobliwą mieszaniną nienawiści i dumy. - Oto gdzie osobiste oddziały Królowej Hilgi zawróciły i powstrzymały armię goblinów sto razy bardziej liczną niż oni. Dali Królowej i wielu mieszkańcom dość czasu na ucieczkę. Nie wierzyłem, że to kiedykolwiek zobaczę. Stąpajcie uważnie. Każdy kamień został uświęcony krwią bohaterów.

Felix spojrzał na Zabójcę Trolli. Zobaczył nową osobę. Gotrek zmienił się od chwili, gdy weszli do miasta. Zdawał się wyższy, bardziej dumny. Nie rzucał już ukradkowych spojrzeń na boki i nie mamrotał do siebie. Krasnolud był spokojny, po raz pierwszy od czasu gdy Felix go spotkał. Zupełnie jakby powrócił do domu, pomyślał Felix.

Teraz to my, ludzie, jesteśmy nie na swoim miejscu, zdał sobie sprawę, uświadomiwszy sobie nagle potworną masę skały, która znajdowała się między nim a słońcem. Musiał zwalczyć strach przed myślą, że cała góra utrzymywana w miejscu tylko dzięki kruchemu rzemiosłu tych pradawnych krasnoludów spadnie na niego grzebiąc go na zawsze. Wyczuwał bliskość mroku, płynącego ze starych miejsc pod górami, które nigdy nie zaznały światła słonecznego. W jego serce zapadły ziarna przerażenia.

Spojrzał na plac większy niż jakakolwiek struktura, jaką znał i wiedział, że nie zdołałby go przekroczyć. Absurdalnie, daleko poniżej powierzchni ziemi, zaczął czuć atak lęku przestrzeni. Nie chciał przechodzić pod zamkniętym sufitem, obawiając się, że sztuczne niebo zapadnie się nad nim. Kręciło mu się w głowie i oddychał nierównymi sapnięciami.

Uspokajająca dłoń spoczęła na jego ramieniu. Felix zobaczył stojącego obok Gotreka. Powoli przeszła ochota ucieczki w górę Srebrnej Drogi i poczuł powracające pozory spokoju. Spojrzał ponownie na plac Merscha, ogarnięty trwogą.

- Zaiste, twój lud jest potężny, Gotreku Gurnissonie - rzekł. Gotrek spojrzał na niego ze smutkiem w oczach.

- Aye, człeczyno, tacy byliśmy, ale sztuka która stworzyła tę salę zaginęła. Nie mamy już takiej liczby kamieniarzy, jaka potrzebna była do wybudowania czegoś takiego.

Gotrek odwrócił się i popatrzył z powrotem w głąb sali, po czym potrząsnął głową.

- Ach, człeczyno, masz już pewne pojęcie jak bardzo upadliśmy. Dni naszej chwały przeminęły. Niegdyś stworzyliśmy to wszystko. Teraz gromadzimy się w kilku małych miasteczkach i oczekujemy końca świata. Dzień krasnoluda minął, aby nigdy nie wrócić. Pełzamy niczym larwy po dziele starszych dni, a chwała tego co niegdyś było nasze, dziś z nas kpi.

Machnął toporem w stronę sali, jakby chciał zniszczyć ją jednym uderzeniem.

- Oto z czym musimy się zmierzyć! - krzyknął. Zaskoczeni ludzie spojrzeli na niego. Echo przedrzeźniało go. Felixowi Jaegerowi wydawało się, że gdzieś wokół nich posłyszał hałas ukradkowego poruszenia. Przysiągłby, że kiedy spojrzał w tamtym kierunku, zobaczył mrugające bursztynowe oczy cofające się powoli w ciemność.

Gdy szli dalej, kamień podziemnego miasta przyjął osobliwe zielonkawe zabarwienie. Przeszli z oświetlonej sali do mroku, ledwo rozświetlanego przez przyćmione, migoczące kryształy. Od czasu

do czasu Felix słyszał dźwięk przypominający pukanie. Gotrek zatrzymał się i położył na ścianie dłoń. Z ciekawości, Felix uczynił to samo. Poczuł słabą, odległą wibrację przenikającą skałę. Gotrek spojrział na niego.

- Goboskie bębnienie w ściany - rzekł. - Wiedzą o nas. Przyspieszmy lepiej kroku, by zmylić zwiadowców.

Felix skinął. Ściany błyszcząły jak jaspis. Dostrzegali tłuste szczury o czerwonych ślepiach uciekające przed światłem. Ich sierść była doskonale czarna. Gotrek zaklął i próbował nadepnąć na najbliższego zwierzaka, ale ten uciekł. Potrzęsnał głową.

- Nawet tutaj, tak blisko powierzchni, dostrzegam piętno Chaosu. Poniżej musi być gorzej.

Dotarli do schodów prowadzących w dół w ciemność. Wielkie kolumny zawaliły się. Stosy gruzu leżały wszędzie wokół. Same schody były pokruszone. Zakłócili spokój gniazda skrzydlatych stworów. Małe nietoperze uniosły się w powietrze niczym strzępy cienia i fruwały wokół nich. Felix z niepokojem zastanawiał się jak bezpieczne były schody.

Zeszli przez galerie noszące oznaki rabunku orków. Szczury zbiegały się wokół nich z gniazd pod zgruchotanymi kamieniami.

Gotrek dał znak do zatrzymania się i stał węższąc. Felixowi wydawało się, że słyszy za nimi dźwięk kroków na schodach powyżej.

- Czuję gobosy - rzekł Zabójca Trolli.

- Są za nami, tak mi się zdaje - powiedział Jules.

- Są wszędzie wokół nas - oparł Gotrek. - To miejsce przez wiele lat było używane jako droga orków.

- Co powinniśmy zrobić? - zapytał Felix, wymieniając zatroskane spojrzenia z Zauberlichem.

- Iść dalej - rzekł Gotrek po skonsultowaniu się z mapą. - Idziemy naszą drogą tak czy inaczej.

Felix zerknął w tył. Podejrzewał, że zostali wciągnięci w pułapkę. Sprawy nie wyglądały dobrze, pomyślał. Nasza droga na powierzchnię została już odcięta, o ile Gotrek nie zna innego przejścia.

Wyraz twarzy Zabójcy Trolli upewnił go, że Gotrek nie myśli o takich sprawach. Krasnolud rozglądał się wokół strachliwie, jakby spodziewając się zobaczyć ducha.

Kroki ich prześladowców zbliżyły się jeszcze bardziej. Przed sobą usłyszeli odbijający się echem wśród galerii ryk czegoś głębszego i głośniejszego niż jakikolwiek ork.

- Co to było? - zapytał Zauberlich.

- Coś dużego - cicho odparł Aldred.

Gotrek przesunął kciukiem wzdłuż ostrza topora, aż kropla krwi zalśniła na jego ostrzu.

- Dobrze - powiedział.

- Musi być blisko - nerwowo rzekł Felix, zastanawiając się czy jego twarz była równie popielata co oblicza czarodzieja i zwiadowcy.

- Ciężko stwierdzić - odezwał się Gotrek. - Te tunele zniekształcają dźwięk. I wzmacniają go. To może być mile stąd.

Ryk rozległ się ponownie, po czym usłyszeli dźwięk biegnących stóp. Gobliny zbierały się wykonując rozkazy.

- Tym razem jest bliżej - rzekł Felix.

- Uspokój się, człeczyno. Jak powiedziałem, to pewnie mile stąd.

Stało czekając w następnej sali, na początku długich schodów. Przeszli pod łukiem wyrzeźbionym w kościane głowy demonów i ujrzeli bestię: ogromnego ogra, o połowę wyższego i czterokrotnie cięższego niż Aldred. Z jego liszajowatej głowy wystawał grzebień włosów. Podobnie jak grzebień Gotreka, był ufarbowany. Inaczej jednak jak u Gotreka, pokrywał go wzór naprzemiennych czarnych i

białych pasów. Jego prawe ramię okrywała ogromna kolczasta rękawica bojowa, zakończona paskudnym sierpem. Wielka kolczasta kula wisiała na łańcuchu na jego lewej ręce. Wyglądała, jakby mogła zniszczyć mur zamku.

Stwór wyszczerzył się, pokazując spiczaste metalowe zębiska. Za nim gromadziła się grupa goblinów o lśniących zielenią skórach. Trzymali metalowe tarcze ozdobione emblematem w kształcie czaszki. Strupy, wrzody i krosty znaczyły ich chytre, wstrętne pyski. Niektóre nosiły najeżone kolcami obroże wokół szyi. Inne miały metalowe pierścienie wpięte w ciało. Ich ślepie były czerwone i pozbawione źrenic. Felix ciekaw był, czy jest to kolejna oznaka piętna Chaosu.

Rozejrzał się wokoło. Na prawo znajdowała się zrujnowana kolumna. Wyglądało jakby starą robotę krasnoludów obalono, by stworzyć miejsce na nowe, toporne rzeźby. Żelazne łańcuchy wbite były w ścianę obok niego. Na lewo znajdowało się wielkie palenisko wyrzeźbione tak, że wylot stanowił gębę wielkiej demonicznej głowy. Brązowawa krew plamiła kamień. Czy weszliśmy do jakiejś goblinńskiej świątyni? zastanawiał się Felix. Tylko tego nam było trzeba, głodny ludzkiego mięsa ogr i horda goblinskich fanatyków. Zebrał się w sobie, cóż, przynajmniej nie może już być gorzej.

Poczuł dotknięcie na ramieniu i odwrócił się, by spojrzeć w górę schodów. Nadciągała kolejna kompania goblinów prowadzona przez tęgiego orka. W lewej ręce trzymał szablę, a w prawej sztandar przedstawiający zębate oblicze przekłętego księżycy, Morrslieba. Na szczycie sztandaru nabita została ludzka głowa. Za chorążym nadchodziło więcej goblinów uzbrojonych w maczugi, włócznie i topory.

Felix spojrzał na Julesa. Bretończyk wzruszył ramionami. Cóż za okropne miejsce na śmierć, pomyślał Felix. Przez dłuższą chwilę, trzy grupy wymieniały spojrzenia. Potem nastąpiła krótka spokojna cisza.

- Za Sigmara! - krzyknął Aldred, wznosząc wysoko swój miecz i nacierając w dół schodów z zaskakującą zwinnością jak na człowieka odzianego w ciężką zbroję.

- Tanugh aruk! - zawył Gotrek i ruszył za nim. Nad nimi lśniące kryształy przez chwilę pojaśniały.
- Zabić goblinskie śmieci!

Felix uniósł swoje ostrze do pozycji obronnej. Za nim, Jules Gascoigne stał w gotowości. Ork ze sztandarem spojrzał na nich, ale nie zbliżył się. Felix nie chciał atakować goblinów na schodach powyżej. To była patowa sytuacja.

Za sobą Felix słyszał uderzenia broni i wrzaski okrzyków bojowych. W nozdrzach czuł obrzydliwy smród orka. Za nim rozległ się stukot okutych w żelazo stóp. Błyskawicznie się odwrócił, w sam czas by sparować silne uderzenie maczugi zielonoskórego wojownika. Siła uderzenia wstrząsnęła jego ramieniem.

Zacisnął zęby i dźgnął mieczem. Jego ostrze zalśniło w ciemnościach błyszczącym łukiem. Goblin uskoczył w bok i Felix omal nie stracił równowagi. Ruszył tak prędko jak mógł w dół schodów, stawiając niepewne kroki.

- Jules, broń schodów! - krzyknął.

- Wszystko dla przyjaciela.

Felix naparł na goblina. Miał nieco kłopotów z przewróceniem zwinnego przeciwnika na zrujnowane podłoże. Gobos wysunął swój język i wrzasnął wściekle. Porwany gorącym gniewem Felix ruszył naprzód i potknął się. Upadł na kolana i przetoczył się, czując ból w miejscach gdzie odarł sobie skórę z kolan. Coś go otoczyło. Zaczęły go drapać drobne pazurki. Rozbiłem gniazdo szczurów, pomyślał. Przez chwilę był zdezorientowany. Usiłując wstać na nogi obrzucił wzrokiem pole walki.

Gotrek rąbnął swego przeciwnika w pierś. Kolczuga eksplodowała na goblinie w miejscu, gdzie uderzył wielki topór. Aldred Opadające Ostrze natarł przedzierając się pod zamachem wielkiej rozbijanej kuli ogra i pchnął miecz w brzuch stwora. Felix dostrzegł ostrze sterczące z pleców ogra. Goblino minęły Felixa, by dostać się do krasnoluda, ich pradawnego wroga. Tuż poza zasięgiem potyczki, Johann Zauberlich wyciągnął zwój i śpiewał zaklęcie. Kula ognia pojawiła się w jego lewej dłoni. Czarne szczury roily się wszędzie. Wokół walczących fruwały mroczne nietoperze.

Felix walczył o odzyskanie równowagi. Skierował wzrok ku Julesowi Gascoigne mężnie odpierającego na schodach kilku ciężko uzbrojonych wrogów. Zabił już jednego, ale coraz więcej zaczęło pojawiać się za kolejnym chorążym.

Ból przeszył Felixa, gdy pałka rąbnęła go w ramię. Błyszczące srebrne gwiazdki wypełniły jego pole widzenia. Upadł na twarz upuszczając swój miecz. Ponad nim stał goblin ze wzniesioną pałką i wyrazem triumfu na pysku. Ruszaj się, do cholery, nakazał swoim protestującym kończynom gdy pałka śmignęła w dół. Opadała jak pień ściętego drzewa poruszając się z bolesną powolnością dla ogarniętych paniką zmysłów człowieka.

W ostatniej chwili Felix przetoczył się na bok i pałka z głośnym trzaskiem uderzyła w skałę. Felix skręcił się i wyrzucił nogę wysyłając goblina w powietrze. Desperacko próbował namacać swój miecz i odczuł wielką ulgę, gdy palce zacisnęły się na rękojeści.

Dał nura naprzód, przebijając goblina zanim ten zdążył się podnieść. Stwór zaklął umierając. Nagle potężny błysk oślepił Felixa. Rzucił się w tył, osłaniając oczy przed wybuchającym przed nim piekłem. Gorący powiew obmył jego twarz. Powietrze zaśmierdziało siarką. Jestem martwy i w piekle, pomyślał. Potem jego umysł rozjaśniło zrozumienie. Zauberlich uwolnił swoją ognistą kulę.

Rozejrzał się. Gotrek i Aldred wycinali ścieżkę wśród zdezorientowanych goblinów. Za nimi nacierał zwiadowca i czarodziej. Jules złapał Felixa za ramię.

- Chodź! - krzyknął. - Musimy się wydostać póki są w rozsypce. Pobiegli w dół długiego korytarza. Za nimi rozległy się hałasy prowadzonej dalej walki. - Co się tam dzieje? - spytał krzycząc.

- Różne szczepy gobosów - rzucił Gotrek. - Jeśli mamy szczęście, to poderzną sobie nawzajem gardła, walcząc by przekonać się kto nas zje.

* * *

Felix spojrzał w dół otchłani. Gwiazdy lśniły w jej głębiach. Aldred i Gotrek popatrzyli na korytarz. Jules przechodził po skorodowanym metalowym moście. Czarodziej Zauberlich oparł się o wykutego w żelazie gargulca, ciężko dysząc.

- Obawiam się, że nie przeznaczone mi było awanturnicze życie - sapnął. - Moje studia nie przygotowały mnie na te wszystkie wycieńczające wysiłki.

Felix uśmiechnął się. Czarodziej przypominał mu jego starych profesorów. Jedynymi zmaganiem jakich doświadczyli były spory nad właściwą interpretacją drobnych punktów poezji klasycznej. Był zaskoczony i zawstydzony czując pogardę wobec tych starszych ludzi. Niegdyś miał ambicję stać się takim jak oni. Czy życie pełne przygód zmieniło go aż tak bardzo?

Zauberlich badał uważnie gargulca. Felix zmienił swoją opinię o czarowniku. Tylko powierzchownie przypominał tych podstarzałych akademików. Żaden z nich nie przetrwałby drogi do Karaku Osiem Szczytów. O zręczności czarodziejstwa Zauberlicha mówiły tomy opowiadające o determinacji i inteligencji tego człowieka. Magia nie była sztuką dla słabeuszy. Niosła swoje własne niebezpieczeństwa. Felixa ogarnęła ciekawość. Nagle zechciał zapytać czarodzieja w jaki sposób połączył swe drogi z templariuszem

- Myślę, że zgubiliśmy goblino - krzyknął Aldred. Gotrek i on dołączyli do reszty. Pytanie, jakie

Felix zamierzał zadać Zauberlichowi zamarło na jego ustach. Gdy zbliżali się do mostu, Felix poczuł, że nie dostanie następnej szansy by je zadać.

Wpatrywali się w głąb długiego, ciemnego korytarza. Po raz pierwszy światło lśniących kryształów przybladło. Felix przyzwyczał się do przyćmionego zielonkawego światła i jego nagły niedobór zaszokował go. Czuł się jakby słońce zaszło w środku dnia. Gotrek ruszył w mrok jakby nie zdając sobie sprawy z braku światła. Felix był ciekaw jak dobrze widział krasnolud.

- Lepiej zapalcie latarnie - odezwał się Gotrek potrząsając głową. - Zniszczyli światła. Przeklęte gobosy. Te kryształy mogły świecić wiecznie, ale one po prostu nie mogły tego zostawić w spokoju. Teraz nigdy nie uda się ich zastąpić. Sztuka została zatracona.

Jules przygotował latarnię. Zauberlich zapalił ją słowem. Felix obserwował ich czując się zbyteczny, aż usłyszał za sobą jęk Gotreka. Felix obrócił się by spojrzeć.

Daleko w dole korytarza znajdowała się blada, zielonkawa lśniąca postać. Był to stary brodaty krasnolud. Światło wypływało i przepływało przez niego. Wyglądał na przezroczyściego, niczym bańka mydlana. Widmowa postać zawyla, wysokim, piszczącym głosem i ruszyła ku Gotrekowi z rozpostartymi ramionami. Zabójca Trolli stał sparaliżowany. Przerazenie ogarnęło Felixa. Rozpoznał to światło. Widział je wcześniej, na stoku góry i w mieście nad nimi.

- Sigmarze strzeż nas - zamruczał Aldred. Felix usłyszał brzęknięcie ostrza templariusza dobywającego go z pochwy.

Gdy prastary krasnolud zbliżył się, Felix poczuł jak włosy stają mu dęba. Powietrze było zimne. Jego ciało mrowiło. Usta postaci poruszyły się i Felixowi wydawało się, że słyszy bełkoczący odległy głos. Gotrek drgnął i ruszył naprzód, ze wzniesionym toporem jakby chciał powstrzymać cios.

Duch zdwoił swoje rozpaczliwe jęki. Gotrek potrząsnął głową jakby nie rozumiał. Widmowy krasnolud pospieszył ku niemu, spoglądając przez ramię, jakby ścigany przez odległego, niewidzialnego wroga.

Trwoga wypełniła Felixa. Duch rozpadał się. Wyglądało to jak mgła na silnym wietrze, część z niej po prostu odleciała i zniknęła. Zanim Gotrek zdołał do niej dotrzeć, przepadła całkowicie. W tym momencie Felix usłyszał odległy, rozpaczliwy zew. Był to krzyk potępionej duszy, niktnej w piekle. Gdy Gotrek wrócił do Felixa, można było na jego twarzy dostrzec oszołomienie. Zabójca Trolli wyglądał na przerażonego i zszokowanego. Pod jego jedynym okiem błyszczała łza. Ruszyli w dół pogrążonego w mroku korytarza. Nawet gdy dotarli do obszaru, gdzie lśniące kryształy świeciły jasno jak wcześniej, nikt nie kwapił się, by zgasić latarnie. Przed długie godziny jakie potem nastąpiły, Zabójca Trolli nie powiedział słowa.

Felix czuł pokusę napicia się ze strumienia płynącego przez stare rzeźbione koryto. Nachylił się nad zielonkawo lśniącą wodą, gdy poczuł silne ręce zaciskające się na jego włosach i odciągające go od wody.

- Czyś ty zwariował, człeczyno? Nie widzisz, że woda jest spaczona? - Felix miał zaprotestować, gdy Zauberlich spojrział na wodę i przyjrzał się świecącemu zielonkawo pyłowi.

- Spaczeń? - powiedział zdziwiony. Felix czuł jak jego krew zmienia się w lód. Wszystko co kiedykolwiek słyszał o tej strasznej substancji sprowadzało się do tego, że była to czysta esencja Chaosu, poszukiwana przez złych alchemików pojawiających się w pewnych przerażających opowieściach.

- Co rzekłeś, magu? - Gotrek zapytał uprzejmie.

- Myślę, że to może być spaczeń. Posiada zielonkawą luminescencję, jaką niektóre uczone tomy przypisują tej nieprzyjemnej substancji. Jeśli w wodzie znajduje się choćby ślad spaczenia, może to

wyjaśniać wysoki poziom mutacji w okolicy.

- Istnieją stare opowieści o skavenach trujących studnie - rzekł Gotrek. - Czy nawet one byłyby tak głupie, aby używać do tego spaczenia?

- Słyszałem, że skaveni istnieją dzięki spaczeniowi. Być może czerpią z niego podwójną korzyść. Podtrzymuje ich formę i sprawia, że studnie stają się bezużyteczne dla ich wrogów.

- Zdajesz się wiedzieć wiele o Chaosie, Herr Zauberlich - powiedział podejrzliwie Felix.

- Doktor i ja zabiliśmy swoją liczbę wiedźm - odpowiedział Aldred Opadające Ostrze. - Jest to zadanie, które zobowiązuje do poznawania znacznej ilości dziwnej wiedzy. Czy dajesz do zrozumienia, iż mój towarzysz może być dotknięty taką głupotą, by parać się Niszczycielskimi Mocami?

Felix potrząsnął głową. Nie zamierzał sprzeciwiać się tak Zabójczemu wojownikowi co templariusz.

- Proszę o wybaczenie moich niesprawiedliwych podejrzeń.

Gotrek parsknął śmiechem.

- Nie trzeba przepraszać. Ciągła czujność jest niezbędna wobec wszystkich wrogów czających się w ciemności.

Aldred wyraził zgodę skinieniem głowy. Zabójca znalazł chyba pokrewną duszę.

- Lepiej się ruszajmy - rzekł Jules Gascoigne, patrząc nerwowo w stronę, z której przybyli.

- Radzę byś pił tylko wodę, którą ze sobą zabraliśmy, człeczyno - rzucił Gotrek gdy ruszali.

- Co to takiego? - spytał nerwowo Felix. Jego pytanie odbiło się echem w oddali. Jules poświecił latarnią w ciemne jaskinie. Wielkie, bezkształtne grzyby rzucały cienie na białe pokryte pleśnią ściany. Zarodniki dryfowały w strumieniu światła latarni.

- Niegdyś uprawialiśmy grzyby do jedzenia - mruknął Gotrek. - Teraz wygląda to na kolejną ofiarę mutacji.

Zabójca Trolli wszedł do komnaty. Jego buty zostawiły ślad na rozmokłym dywanie pleśni. Felixowi wydawało się, że gdzieś w dali usłyszał płynącą wodę.

Długie na stopę odłamki bieli oderwały się od ścian, powiększając się w miarę zbliżania. Ruszyły w kierunku zaskoczonych awanturników. Gotrek siekł jeden z nich toporem. Wydało skrzeczący dźwięk. Coraz więcej i więcej strzępków leciało ze ścian niczym burza śnieżnych płatków. Felix otoczyły miękkie nadęte ciała i furkoczące skrzydła.

- Ćmy! - krzyknął Zauberlich. - To są ćmy! Starają się dostać do światła. Zgaście latarnie.

Zapadła ciemność. Felix zobaczył jeszcze ciało Gotreka pokryte gigantycznymi owadami, po czym znalazł się w środku wirującej śnieżycy uderzających skrzydeł. Jego ciało wzdrygało się miękkimi dotknięciami. Potem nastąpiła cisza.

- Z powrotem. Powoli - wyszeptał Gotrek z odrazą w każdej sylabie. - Znajdziemy inną drogę.

Felix zatrzymał się, by spojrzeć w dół długiego korytarza, żałując że lśniąca kryształ nie są jaśniejsze. Był przekonany, że coś usłyszał. Sięgnął i dotknął gładkiego zimnego kamienia ściany. Drgała słabą wibracją. Bębnienie w ściany.

Wysilił wzrok. W oddali dostrzegał niewyraźnie kształty. Jeden niósł wielki sztandar z czymś co przypominało ludzką głowę na szczycie. Wyciągnął swój miecz z pochwy.

- Wygląda na to, że znowu nas znaleźli - rzekł. Nie było odpowiedzi. Pozostali zniknęli za rogiem. Felix zorientował się, że maszerowali dalej, gdy on się zatrzymał. Podbiegł by ich dogonić.

Przepełniony przerażeniem, Felix otworzył jedno oko. Przebudził się z drzemki. To była warta Gotreka, ale wydawało mu się, że słyszy dziwne dźwięki. Rozejrzał się po małej komorze, a włosy stanęły mu dęba. Dudnienie serca brzmiało głośno i szybko w jego uszach i wydawało mu się, że

umiera. Opuścili go wszelkie siły.

Dziwna zielona poświata rozjaśniła otoczenie. Musnęła wychudzoną twarz Zabójcy Trolli, nadając mu wygląd widmowego zombie. Cień Gotreka na ścianie był wielki i groźny. Istota, z której dobywało się światło klęczała przed Zabójcą Trolli z błagalnie rozpostartymi ramionami. Był to duch starożytnej krasnalki.

Była niematerialna, a jednak dawało się zauważyć jej wiek, jakby manifestacja starszych czasów oblekła się w rzeczywistość. Miała królewski ubiór, a twarz niegdyś pełna była autorytetu. Jej policzki były zapadnięte, a ciało zdawało się odpadać i pokryte było krostami, zupełnie jakby toczyły je larwy. Oczy zerkające spod kruczonych brwi stanowiły plamy cienia, w których lśniła dziwna poświata. Zdawało się, że ducha zżerała jakaś nieziemska choroba, rak duszy.

Widok ducha przeraził Felixa, a jego cierpienie tylko wzmogło straszliwą trwogę. Dawało do zrozumienia, że za grobem czekały rzeczy, przed którymi nawet śmierć nie jest ucieczką, mroczne moce będące w stanie zapanować nad duszą i zamęczać ją. Felix zawsze bał się śmierci, ale teraz wiedział, że istnieją gorsze rzeczy. Był na skraju utraty zmysłów. Chciał uwolnić się od tej przerażającej wiedzy, która może sprowadzić szaleństwo.

Obok, Jules Gascoigne zapiszczał jak dziecko śniące koszmar. Felix usiłował odwrócić wzrok od rozgrywającej się przed nim sceny, ale nie potrafił, coś go to tego zmuszało. Był przerażająco zafascynowany spotkaniem.

Gotrek uniósł swój topór i zasłonił się nim przed umęczonym duchem. Czy to tylko moja wyobraźnia, zastanawiał się Felix, czy też runy na wielkim ostrzu załśniły wewnętrznym ogniem?

- Przepadnij przekłeta - zgrzytliwym głosem ledwo wznoszącym się ponad szept powiedział Zabójca Trolli. - Odejdź, jeszcze jestem wśród żywych.

Istota zaśmiała się. Felix zdał sobie sprawę, że nie wydała żadnego dźwięku. Słyszał głos we własnej głowie.

- Pomóż nam, Gotreku synu Gurni'ego. Uwolnij nas. Nasze groby zostały splugawione, a straszliwa wypaczająca moc spoczywa w naszych salach. - Duch zachwiał się i zdawał się rozmywać jak mgła. Z widocznym wysiłkiem zachowywał swoją formę.

Gotrek starał się mówić, ale nie mógł. Naprężył wielkie mięśnie na karku, krew tętniła na jego skroni.

- Nie popełniliśmy żadnej zbrodni - rzekł duch głosem niosącym wieki cierpienia i samotności. - Wyruszyliśmy, by spotkać nasze pradawne duchy, gdy sprowadzono nas z powrotem przez splugawienie miejsca naszego spoczynku. Zostaliśmy wyrwani z wiecznego spokoju.

- Jak to możliwe? - zapytał Gotrek głosem pełnym zarówno zadziwienia jak i przerażenia. - Co może wyrwać krasnoluda z łona jego przodków?

- Cóż innego posiada siłę zaburzania porządku wszechświata, Zabójco Trolli? Cóż innego niż Chaos?

- Jestem tylko zwykłym wojownikiem. Nie mogę stawać przeciw Mrocznym Mocom.

- Nie ma potrzeby. Oczyść nasze grobowce z tego co tam zalega, a staniemy się wolni. Czy uczynisz to, synu Gurni'ego? Jeśli nie, nigdy nie połączymy się ponownie z naszym ludem. Zniszczemy i zgaśniemy niczym płomień świecy podczas burzy. Nawet teraz słabniemy. Pozostało tylko kilkoro z nas.

Gotrek spojrział na udręczonego ducha. Felix dostrzegł szacunek i żal pojawiający się na twarzy krasnoluda.

- Jeśli jest to w mojej mocy, uwolnię was.

Uśmiech przemknął po spustoszonej twarzy ducha.

- Prosiliśmy innych, włącznie z naszym potomkiem Belegarem. Byli zbyt załęcznieni, by nam pomóc. W tobie nie znajduję słabości.

Gotrek skłonił się, a duch wyciągnął lśniąca dłoń, by dotknąć jego broni. Felixowi zdawało się, że na Zabójcę Trolli spłynęło nagłe olśnienie. Duch zmniejszył się i wyblakł jakby oddalając się w niezmiernej przestrzeni. Wkrótce nie było po nim śladu.

Felix spojrzął na pozostałych. Wszyscy byli przebudzeni i patrzyli ze zadziwieniem na krasnoluda. Aldred spoglądał na Zabójcę Trolli wzrokiem wyrażającym coś zbliżonego do czci. Gotrek uniósł swój topór.

- Mam robotę do wykonania - powiedział chropowatym głosem.

Niczym w transie, Gotrek Gurnisson wiódł ich w dół długimi korytarzami w głębie pod starym miastem. Zatrzymali się na obszarze szerokich, niskich tuneli, wzdłuż których stały pozbawione twarzy posągi.

- Zielonoskórzy byli tutaj - Felix zwrócił uwagę stojącemu obok Julesowi Gascoigne.

- Tak, ale dość dawno, mój przyjacielu. Te posągi nie zostały zniszczone wczoraj. Zauważ liszaj porastający szczeliny. Nie podoba mi się jego lśnienie.

- W tym miejscu jest coś złego. Wyczuwam to - rzekł Zauberlich, podciągając rękaw swojej szaty i rozglądając się wokół nerwowo. - W powietrzu jest jakaś przytłaczająca obecność.

Felix zastanawiał się, czy wyczuwa to samo, czy też był po prostu zasugerowany przecuciami towarzysza. Minęli róg i ruszyli wzdłuż linii potężnych kamiennych łuków. Między każdym łukiem wyryte były dziwne runiczne wzory.

- Mam nadzieję, że twój przyjaciel nie prowadzi nas do jakiejś pułapki założonej przez Mroczne Moce - cicho wyszeptał czarodziej.

Felix potrząsnął głową. Był przekonany o szczerości ducha. Ale z drugiej strony, pomyślał, cóż ja wiem o takich sprawach? Był tak daleko poniżej ziemi, którą znał z doświadczenia, że wszystko co mógł uczynić, to zaufać rozwojowi wydarzeń. Fatalistycznie wzruszył ramionami. Sprawy pozostawały poza jego kontrolą.

- Z przykrością wam przeszkadzam, ale nasi prześladowcy powrócili - rzekł Jules. - Dlaczego nie zaatakowali? Czy obawiają się tej okolicy?

Felix spojrzął do tyłu w lśniące czerwienią ślepią grupy zielonoskórych. Dostrzegł ohydny sztandar.

- Czegokolwiek by się nie bali, teraz zdaje się, że powróciła do nich odwaga.

- Może zapędzili nas tutaj na ofiarę - powiedział Zauberlich.

- Tak, zawsze patrz na dobrą stronę wydarzeń - rzekł Jules.

Ostatecznie przeszli przez kolejny most nad przepaścią i wkroczyli do następnego korytarza z dekoracyjnymi portykami. Gotrek zatrzymał się przy szczególnie wielkim otwartym łuku. Wstrząsnął głową niczym człowiek obudzony ze snu.

Felix zobaczył wielkie wyżłobienie wykonane dla zasuwającej belki. Po zastanowieniu się, stwierdził, że jeśli wylot zostałby zamknięty, stałby się niewidzialny, stapiając się ze wzorem ścian wzdłuż drogi, którą szli. Felix zapalił latarnię, przepędzając gęste cienie.

Za otworem znajdowała się wielka komora. Wzdłuż jednej ze ścian leżały wielkie sarkofagi przypominające postacie śpiących krasnoludów o szlachetnym wyglądzie. Na prawo byli mężczyźni, na lewo kobiety. Niektóre z pokryw kamiennych trumien zostały usunięte. Na środku komory znajdował się wielki stos złota i starych sztandarów pomieszanych z poźółkłymi, zgruchotanymi kośćmi. Z centrum stosu wystawała rękojeść miecza, wyrzeźbiona w kształcie smoka.

Felixowi przypominał się kopiec kamieni, który zbudowali dla współwyznawców Aldreda na

drodze do miasta. Ohydny smród dobywał się zza łuku i zatykał usta Felixa.

- Spójrzcie na to całe złoto - rzekł Bretończyk. - Czemu nie zabrał go żaden zielonoskóry?

- Coś go strzeże - powiedział Felix. Pytanie pojawiło się w jego umyśle. - Gotrek, to jeden z ukrytych grobowców twego ludu, o których mówiłeś, prawda?

Krasnolud skinął głową.

- Dlaczego jest otwarty? Z pewnością został zapieczętowany?

Gotrek podrapał się w głowę i przez chwilę zamyślił się głęboko.

- Otworzył go Faragrim - powiedział gniewnie. - Niegdyś był inżynierem. Znał kod runiczny.

Duchy zaczęły się pojawiać dopiero gdy opuścił miasto. Porzucił grobowiec na zniszczenie.

Wiedział co się wydarzy.

Felix zgodził się. Poszukiwacz był chciwy i z pewnością złupiłby grobowiec, gdyby tylko mógł. Znalazł zaginiony skarb Karaku Osiem Szczytów. Jeśli jest to prawda, czy wówczas pozostała część jego opowieści była także prawdziwa? Czy uciekł przed trollem? Czy pozostawił templariusza, Raphaela, aby samotnie walczył z potworem?

Gdy rozmawiali, Aldred wszedł do grobowca i ruszył do stosu skarbów. Obrócił się i Felix ujrzał wyraz triumfu na szczupłej fanatycznej twarzy templariusza.

Nie, wchodź tam!, chciał krzyknąć Felix.

- Znalazłem je - zawołał rycerz. - Zaginione ostrze, Karaghul. Znalazłem je! Chwała Sigmarowi!

Zza stosu skarbów wychylił się wielki rogaty cień, dwukrotnie wyższy od Aldreda, szerszy niż jego wzrost. Zanim Felix zdążył wykrzyknąć ostrzeżenie, coś rozdarło głowę templariusza jednym machnięciem potężnego pazura. Posoka splamiła starożytne kamienie. Coś pochyliło się w przód, z niepowstrzymaną siłą przepychając się przez kopiec skarbów.

Felix słyszał opowieści o trollach i być może to był jeden z nich. Teraz został pokracznie przemieniony. Miał sękatą skórę pokrytą wielkimi ciekącymi guzami i trzy potężnie umięśnione ramiona, z których jedno zakończone było szczypcami. Z lewego ramienia wyrastała niczym jakiś plugawy owoc mała dziecięca główka, która spoglądała na nich złośliwymi oczami. Przemówiła straszliwym głosem w języku, którego Felix nie potrafił rozpoznać. Na klatkę piersiową istoty kapąła ropa z wielkich ust pijawki umieszczonych na karku.

Zwierzęca głowa zaryczała, a echo odbiło się w długim korytarzu. Felix zauważył amulet z zielonkawo-czarnego lśniącego kamienia wiszący na łańcuchu wokół szyi potwora. Spaczeń, pomyślał, umieszczony tam umyślnie.

Nie winił Faragrima za ucieczkę. Ani Belegara. Stał sparaliżowany przez strach i niemożność podjęcia decyzji. Za sobą usłyszał wymiotującego Zauberlicha. Wiedział, że tą istotę stworzył spaczeń. Przypomniawszy sobie opowieści Gotreka o dawnej wojnie pod górami.

Ktoś był na tyle szalony, że przypiął spaczeń do trolla, aby umyślnie wzbudzić mutacje. Być może byli to szczuroludzie, skaveni, o których wspomniawszy Gotrek. Troll pozostawał na dole od czasów wojny, ropiejące szkaradztwo zmieniające się i rosnące z dala od światła dnia. Być może to splugawienie grobowców przez tą stworzoną spaczeniem potworność wyгнаło duchy krasnoludów? Albo może była to obecność spaczenia, czystego skondensowanego Chaosu.

Myśli pędziły przez jego głowę, gdy ryk szalonej istoty odbił się echem w komorze. Stał niezdolny do ruchu, sparaliżowany strachem, a potwór zbliżał się coraz bardziej. Jego smród wypełnił nozdrza Felixa. Słyszał wstrętne mlaskanie gęby pijawki. Zniszczona bólem, zwierzęca twarz uniosła się z ciemności piekielnie podświetlona przez lśniący amulet.

Troll zamierzał go dosięgnąć i rozerwać, a on nie był w stanie zrobić czegokolwiek. Przywita śmierć, wołając to od walki z tym wcieleniem szaleństwa wszechświata.

Gotrek Gurnisson rzucił się naprzód między niego a potwora, zgarbiony w bojowym przykucnięciu. Jego cień mignął za nim w zielonym świetle, gdy stanął w plamie ciemności ze wzniesionym toporem na którym czarodziejską poświatą migotały runy.

Troll Chaosu zatrzymał się i zerknął na niego, jakby zdziwiony zuchwałością tej drobnej istoty. Gotrek spojrział w górę i splunął.

- Czas umierać, śmieciu - rzekł i wyskoczył z toporem, otwierając straszliwą ranę w piersi stwora. Stworzenie nadal stało w miejscu, z fascynacją przyglądając się ranie. Gotrek uderzył ponownie w jego kostkę, usiłując przeciąć ścięgno łapy. Ponownie trysnęła krew. Stwór nie upadał.

Z osłepiającą prędkością opadły szczypce, zamykając się z trzaskiem. Urwałyby głowę Zabójcy Trolli, gdyby nie udało mu się wykonać uniku. Troll zawył gniewnie i wyrzucił przed siebie szponiastą dłoń. Gotrek zdołał jakoś odbić ją machnięciem topora. Uniknął spadającego gradu ciosów.

Krasnolud i troll ostrożnie krążyli wokół siebie, wyczekując odsłonięcia się przeciwnika. Felix ku swojemu przerażeniu zauważył, że rany które zadał Gotrek na powrót się zasklepiają. Wydawały przy tym dźwięk podobny do zamykających się zaślinionych ust.

Jules Gascoigne ruszył naprzód i dźgnął trolla swoim mieczem. Ostrze przebiło nogę stwora i tam pozostało. Gdy Bretończyk zmagił się, by je wyciągnąć, potwór uderzył na odlew wyrzucając go w powietrze. Felix usłyszał pękające żebra i głowę zwiadowcy, uderzającą w ścianę z przeraźliwym trzaskiem. Jules padł w rozszerzającej się kałuży własnej krwi.

Gdy stworzenie nadal miało odwróconą uwagę, Gotrek skoczył na nie i uderzył błyskawicznym cięciem w ramię. Odrąbał dziecięcą główkę. Ta potoczyła się w pobliże stóp Felixa i zatrzymała z wrzaskiem. Felix zdołał odłożyć latarnię, wyciągnąć miecz i pchnął nim w dół, rozcinając głowę na dwie. Ponownie zaczęła się łączyć. Rąbał dalej swym mieczem, aż broń stępiła się, popękała i wreszcie złamała od uderzeń w kamienną podłogę. Nadal nie udało mu się jej zabić.

- Odsuń się - usłyszał Zauberlicha. Uskoczył na bok. Powietrze nagle zapłonęło. Śmierdziało siarką i spalonym mięsem. Drobna główka zamilkła i przestała się leczyć.

Jakby wyczuwając nowe zagrożenie, troll skokiem minął Gotreka i chwycił czarodzieja swoimi gigantycznymi kleszczami. Felix dostrzegł przerażenie na twarzy uniesionego wysoko Zauberlicha.

Wybuchła kula ognia, a cienie na moment uciekły. Monstrum wrzasnęło. Instynktownym ruchem zamknęło szczypce, rozdzierając maga na dwoje.

Czarownik upadł na ziemię z płonącym ubraniem. Czarna rozpacz ogarnęła Felixa. Zauberlich mógł zranić potwora, spalić go oczyszczającym ogniem. Teraz był martwy. Gotrek mógł tylko na próżno rąbać trolla, ale jego wzmocnione przez Chaos moce uzdrowicielskie czyniły go niemal niezniszczalnym. Byli zgubieni.

Ramiona Felixa opadły. Nic nie mógł zrobić. Inni zginęli na darmo. Misja zakończyła się klęską. Duchy krasnoludzkich władców będą wędrowały w męce. Wszystko na próżno.

Spojrzał na spoconą twarz Gotreka. Wkrótce Zabójcę Trolli ogarnie zmęczenie i nie będzie w stanie unikać ciosów stwora. Krasnolud także o tym wiedział, ale nie poddawał się. Odnowiona determinacja ogarnęła Felixa. On także się nie podda. Spojrzał na płonące ciało czarodzieja.

Ogień stał się intensywniejszy, bardziej niż gdyby płonęło tylko ubranie człowieka. Zaświtało zrozumienie. Zauberlich niósł w swym płaszczu zapasowe flaszki z oliwą do latarni. Felix szybko ściągnął swoją torbę i zaczął grzebać w poszukiwaniu oliwy.

- Zajmij go! - krzyknął do Gotreka, odkorkowując ceramiczną butelkę. Gotrek rzucił wstrętne krasnoludzkie przekleństwo. Felix cisnął flaszkę w stronę potwora, skrapiając go błyszczącym olejem. Stwór zignorował to, starając się przebić Gotreka. Krasnolud zdwoił swoje wysiłki, rąbiąc

niczym szalenie. Felix opróżnił drugą flaszkę, a potem trzecią, zawsze trzymając się ślepej strony potwora.

- Cokolwiek zamierzasz uczynić, człeczyno, na boga, zrób to prędko! - wrzasnął Zabójca Trolli.

Felix podbiegł i złapał swoją latarnię. Sigmarze, prowadź moją rękę, pomodlił się rzucając lampą w kreaturę. Latarnia uderzyła w jej plecy, pękając i rozlewając płonąca oliwę. Zajęła paliwo, którym Felix uprzednio oblał potwora.

Troll krzyknął przenikliwie. Rzucił się w tył. Teraz rany w miejscu uderzeń topora przestały się leczyć. Krasnolud zepchnął płonącego trolla z powrotem do stosu złota. Stwór potknął się i przewrócił.

Gotrek wzniosł swój topór wysoko nad głowę.

- W imię moich przodków! - zawył Zabójca Trolli. - Giń! Topór opadł niczym piorun, rozrywając wstrętą głowę potwora. Troll umarł i nie podniósł się ponownie.

Gotrek ostrożnie podniósł amulet ze spaczeniem używając odłamka miecza Felixa. Trzymając przedmiot w wyciągniętej ręce, wyniósł go na zewnątrz, by wrzucić do przepaści.

Felix usiadł, pozbawiony wszelkich emocji, na szczycie jednego z sarkofagów. Znowu do tego doszło, pomyślał, siedząc wśród zgliszczy i ciał po straszliwej walce.

Usłyszał zbliżającego się biegiem Gotreka. Krasnolud dysząc wpadł do komory.

- Gobosy przybyły, człeczyno - rzekł.

- Jak wielu? - zapytał Felix.

Gotrek ze zmęczeniem pokręcił głową.

- Zbyt wielu. Przynajmniej pozbyliśmy się tej splugawionej rzeczy. Mogę umrzeć szczęśliwy, tu pośród grobowców moich przodków.

Felix ruszył się i podniósł miecz o smoczej rękojeści.

- Chciałem zwrócić to ludziom Aldreda - powiedział. - To nadałoby jakieś znaczenie wszystkim tu poległym.

Gotrek wzruszył ramionami. Spojrzał na drzwi. Łuk wejściowy zapełnił się zielonoskórymi maruderami, posuwającymi się pod swoimi sztandarami ze szczerzącym zęby księżycem. Felix wysunął gładko z pochwy miecz Sigmarytów. Zabrzmiał przejmujący melodyjny dźwięk. Runy wzdłuż ostrza zaślniły jasno. Przez chwilę gobliny zawahały się.

Gotrek zerknął na Felixa i wyszczerzył się, pokazując swoje szczerbate zęby.

- To będzie naprawdę heroiczna śmierć, człeczyno. Żałuję jedynie, że nikt z mojego ludu nigdy o niej nie usłyszy.

Felix spojrzał ponownie na zbliżającą się horde, ustawił się tak, że plecy wsparte miał o sarkofag.

- Nie masz pojęcia, jak jest mi przykro z tego powodu - powiedział ponuro, wykonując kilka próbnych wymachów ostrzem. Czuł je znakomicie, było lekkie i dobrze wyważone, jakby wykonane specjalnie dla jego dłoni. Z zaskoczeniem stwierdził, że już się nie boi. Przekroczył granicę strachu.

Niosący sztandar zatrzymał się i obrócił, by przemówić do swoich oddziałów. Żaden z nich nie kwapił się by być pierwszym, który spotka topór Zabójcy Trolli, albo świecący runiczny miecz.

- Ruszajcie się wreszcie! - zawołał Gotrek. - Mój topór łaknie krwi.

Gobliny zawyły. Przywódca odwrócił się i gestem nakazał atak Ruszyli naprzód niepowstrzymanie jak fala przyływu. To już koniec, pomyślał Felix, uspokajając się i szykując do walki, by zabrać ze sobą do krain umarłych jak najwięcej wrogów.

- Żegnaj Gotrek - rzekł i zatrzymał się. Gobliny stanęły i nie ruszały się, wyglądając na ogarnięte skrajną paniką. Co się dzieje? zastanawiał się Felix. Zimne zielone światło zaślniło za jego

ramionami. Spojrzał w tył i zamarł na widok, który ujrzał. Komora wypełniła się szeregami zbliżających się duchów królewskich krasnoludów. Byli zaciekli i przerażający.

Gobliński chorąży starał się zebrać swoje oddziały, ale widmowi władcy krasnoludów dosięgli go i dotknęli jego serca. Oblicze stwora poblądło i upadł łapiąc się za pierś. Duchy ruszyły za goblinami. Błysnęły widmowe topory. Zielonoskórzy wojownicy padali bez śladu cięcia na swoich ciałach. Powietrze wypełniło dziwne wycie, słaba piskliwa imitacja krasnoludzkich okrzyków bitewnych. Pozostali współplemieńcy zmarłych goblinów odwrócili się i uciekli. Widmowi wojownicy pognali za nimi.

Felix i Gotrek stali w pustej komorze, otoczeni przez wznoszące się sarkofagi. Przed nimi powoli tężało powietrze. Promienie zielonkawego światła przeniknęły przez wejście, przyjmując krasnoludzkie kształty. Duchy wyglądały inaczej.

Stał przed nimi duch, który wcześniej rozmawiał z Gotrekiem. Krasnoludzica zmieniła się - jakby zniknął straszliwy ciężar z jej wiecznego serca. Popatrzyła na Gotreka.

- Odwieczni wrogowie zniknęli. Opuszczamy nasze oczyszczone grobowce. Zielonoskórzy mogą je sobie teraz grabić. Jesteśmy waszymi dłużnikami.

- Pozbawiliście mnie chwalebnej śmierci - rzekł Gotrek niemal jadowniczo.

- Nie było twoim przeznaczeniem polec dziś w tym miejscu. Twoja śmierć będzie wielkim wydarzeniem i jej czas nadchodzi.

Gotrek spojrzał pytająco na starożytną królową.

- Nie mogę rzec nic więcej. Żegnaj Gotreku, synu Gurni'ego. Życzymy ci powodzenia. Będiesz pamiętany.

Duchy zdawały się zlewać w jeden zimny zielony płomień, który lśnił jak gwiazda w ciemności. Światło zmieniło się z zielonego na ciepło złote, po czym stało się jaśniejsze od słońca. Felix osłonił swoje oczy, ale nadal był oślepiiony. Kiedy powrócił mu wzrok, rozejrzał się po grobowcu. Miejsce było puste, za wyjątkiem jego samego i Gotreka. Krasnolud zmarszczył brwi w zadumie. Przez długą chwilę dziwna myśl jarzyła się w jego jedynym zdrowym oku, po czym odwrócił się i spojrzał na skarb.

Felix mógł niemal czytać w jego myślach. Krasnolud rozważał zabranie bogactwa, sam gotów był popełnić świętokradztwo w grobowcu. Felix wstrzymał oddech. Po upływie długich minut, Gotrek wzruszył ramionami i odwrócił się.

- A co z pozostałymi? Czy nie powinniśmy ułożyć ich do wiecznego spoczynku? - zapytał Felix.

- Zostaw ich - wychodząc rzekł Gotrek przez ramię. - Leżą pośród potężnych władców. Ich ciała są bezpieczne.

Przeszli pod łukiem i Gotrek zatrzymał się, by dotknąć run według starodawnego wzoru. Grobowiec został zapieczętowany. Ruszyli w górę poprzez ciemność ku światłu dnia.

Znamię Slaanesh

Ponieważ zaczynały się kończyć pieniądze, postanowiliśmy powrócić do Imperium i znaleźć jakieś zatrudnienie. Nasz powrót z Karaku Osiem Szczytów w żadnym razie nie należał do łatwych. Pogoda była ohydna, okolica ponura i opustoszała, a nastrój mojego towarzysza jeszcze bardziej nieprzyjemny niż zwykle. O ile na północ ruszyliśmy w stosunkowym komforcie i bezpieczeństwie jako część dużej eskortowanej karawany, o tyle nasza podróż na południe pozbawiona była wszelkiej pomocy, oraz innych sposobów transportu niż nasze własne nogi. Mieszkańcy kilku wiosek, do których dotarliśmy byli zrozumiale ostrożni, obawiając się dwóch uzbrojonych nieznajomych, a zapasy jakie nam sprzedawali były drogie i nie najlepszej jakości.

Być może nierozsądna była moja nadzieja przerwania tego nieskończonego łańcucha

przerażających przygód, gdy powrócimy do mojej ojczyzny, albowiem zdaje się, że przeznaczeniem moim i Zabójcy Trolli jest na zawsze spotykać sługi Mrocznych Mocy. Mimo to, sam nie mógłbym dać wiary rozmiarom rozplenienia się ich złowieszczych wpływów, gdyby moje własne oczy nie były tego świadkami. Co więcej, moim przeznaczeniem stało się przez jakiś czas samotne zmaganie z siłami ciemności, bowiem dziwne fatum dotknęło Zabójcę...

- Fragment z *Moich Podróży z Gotrekiem*,
Tom II, spisanych przez Herr Felixa Jaegera
(Wydawnictwo Altdorf, rok 2505)

- Na Grungni! Co to było? - krzyknął Gotrek, odwracając się i unosząc wyzywająco swój potężny topór.

Gdy drugi pocisk z procy świsnął koło ucha, Felix Jaeger uchylił się instynktownie. Ostry kamień rozbił się o płaską powierzchnię pobliskiego głazu, zostawiając rysę na jego szarzielonym pokryciu z liszaju. Felix rzucił się za skałę i szukając źródła ataku spojrzął w tył przestraszonymi błękitnymi oczami.

Dolina u stóp Przełęczy Czarnego Ognia była cicha. Widział tylko faliste zadrzewione wzgórza wznoszące się ku ogromnym górcom za nimi. Cicho przeklął wielką skałę, która tkwiła w dolinie blokując linię wzroku.

Nagle poruszenie zwróciło uwagę Felixa. Z wysokości, po jego prawej stronie, w dół zbocza opadała fala bezkształtnych ciał wywołując małą lawinę żwiru i piasku. Wrzeszcząc jak maniacy, zwierzęce figury pędziły ku nim ze zrećnością górskich kozic. Powietrze przeciął długi, przeciągły zew rogu łowieckiego.

- Nie, nie teraz - Felix usłyszał kwilący głos, który ku swojemu zaskoczeniu rozpoznał jako własny.

Był tak blisko cywilizacji. Długa, ciężka droga z Karaku Osiem Szczytów do południowych granic Imperium miała się ku końcowi. Walczył z goblinami na wzgórzach opodal starego krasnoludzkiego miasta i potykał się z bandytami grasującymi w ruinach Fortu Diehl. Przebył zimne wyżyny Przełęczy Czarnego Ognia, trząsł się z chłodu na zaśnieżonych ścieżkach prowadzących do starych krasnoludzkich przejść pod górami. Wzdrygnął się na wspomnienie mrocznych rzeczy, które się tam czaiły i pełzały w ciemności na licznych odnóżach. Doszedł tak daleko i przeżył tak wiele - a teraz znajdował się u granic swojej ojczyzny i znowu był atakowany. To po prostu nie było sprawiedliwe.

- Przestań się chować, człeczyno. To tylko banda porzuconych przez bogów mutantów! - huknął Gotrek głębokim szorstkim głosem.

Felix rzucił krasnoludowi nerwowe spojrzenie żalując, że nie podziela pewności siebie Zabójcy. Gotrek stał śmiało na otwartym podłożu doliny, gardząc osłoną skał. Jego wielki topór balansował niedbale w jednej potężnej pięści. Zdawał się kompletnie niewrażliwy na grad miotanych pocisków wznoszących pióropusze pyłu wokół jego stóp. Szaleńczy grymas wykrzywił jego brutalne oblicze: w jedynym zdrowym oku płonęła diabelska radość. Gotrek wyglądał jakby się dobrze bawił.

To było typowe dla krasnoluda. Był szczęśliwy chyba tylko podczas bitewnej zawieruchy. Uśmiechał się, kiedy zaskoczyły ich gobliny, czując posmak zbliżającej się bijatyki. Po prostu śmiał się, kiedy spragnione ludzkiej krwi potworności o skrzydłach nietoperza i twarzach pięknych dzieci opadły na nich podczas przeprawy przez Rzekę Grzmotów. Im gorzej sprawy się miały tym szczęśliwszy stawał się Zabójca. Witał każdą szansę spotkania własnej śmierci.

Gotrek rąbnął pięścią we własną pierś i ryknął:

- Chodźcie! Mój topór łaknie. Od tygodni nie pił krwi.

Kamień z procy świsnął koło jego głowy. Zabójca nawet nie mrugnął. Felix uznał, że zwarta masywna sylwetka Gotreka stanowiła mniejszy cel niż jego wysoka, szczupła figura. Potrząsnął głową, ogarnięty szalem bojowym krasnolud z pewnością nie brał takich rzeczy pod uwagę. Felix ponownie skupił uwagę na napastnikach.

Istotnie były to mutanty, ludzie splugawieni i przemienieni dziwną magią Chaosu. Niektórzy powiadają, że dzieje się tak, ponieważ w ich krwi płynie ślad spaczenia. Inni mówią, że są to tajemni wyznawcy Mroku, których wygląd zmienił się z czasem, aby uzewnętrznić ich wewnętrzne zepsucie. Kilka wyroczni utrzymywało, iż są to niewinne ofiary procesów przemiany opanowujących całą ludzkość. W tym konkretnym momencie Felixowi było wszystko jedno. Czuł utajone przerażenie wobec wstrętnych stworów, które wzrastało w nim za każdym razem gdy je spotykał. Strach przepełniał go i wzniecał morderczą wściekłość.

Byli już dość blisko, by Felix potrafił odróżnić poszczególnych członków bandy. Przywódcą był niezwykle gruby olbrzym z pasem pełnym sztyletów rozciągającym się wokół jego nadętego brzucha. Był tak otyły, że jego ciało wyglądało jakby zrobione z ciasta. Wielkie marszczące się fałdy podskakiwały z każdym ociężałym krokiem. Felix był zaskoczony, że ziemia nie trzęsie się pod jego monstrualnymi tupnięciami. Dziecięcy grymas przywódcy odkrywał mnóstwo podbródków i prawie równie wiele brakujących zębów, ile ubytków u warczącego Gotreka. W pucołowatej dłoni trzymał masywną maczugę zakończoną kamieniem.

U boku wodza znajdowała się chuda kreatura wyższa od Felixa. Jej ucho zostało nacięte od strasznego ugryzienia otrzymanego podczas jakiejś bójki. Długi cienki pas włosów opadał niczym gnijący liszaj ze szczytu wąskiej, niemal wygolonej głowy. Stworzenie zawyło wezwanie do walki i wzniosło swoją pordzewiałą szablę wysoko ponad szpiczastą głowę. Felix mógł dostrzec siekacze istoty przypominające kły wilka.

Olbrzym o głowie łosia zatrzymał się i podniósł do ust wielki, kręcony róg. Kolejny grzmot sygnału przetoczył się po okolicy, po czym mutant wypuścił instrument zawieszony na łańcuchu okręconym wokół szyi i ruszył do ataku z łbem naprzód i porożem do dołu.

Za nimi nadciągnęła bezkształtna horda wyznawców o gburowatych twarzach. Każdy niósł znaną Chaosu. Niektórzy mieli pyski wilków, kóz lub baranów. Niektórzy posiadali zamiast dłoni pazury lub macki, albo wielkie kościane pałki. U jednego głowa wychodziła z brzucha, a kark wyglądał jak pniak ściętego drzewa. Inny niósł na grzbiecie garb, w którym tkwiły wielkie błyszczące usta. Mutanci nieśli różnorodny wybór topornych broni, włócznie i pałki oraz wyszczerbione szable zabrane z zapomnianych pól bitewnych. Felix oceniał liczbę atakujących na coś ponad dziesięciu i poniżej dwudziestu. Nie były to uspokajające szacunki, mimo że znał niesamowite możliwości fizyczne Zabójcy.

Felix zaklął cicho. Byli tak blisko ucieczki z Czarnych Gór do nizin południowych prowincji Imperium. Wczorajszego wieczora Felix dostrzegł z brzegu przełęcz światła ludzkiej osady. Oczekiwał, że dziś znajdzie ciepłe łóżko i zimny kufel ale. Teraz strach krążył w jego żyłach niczym lodowata woda, znowu musiał walczyć o swe życie. Mimowolnie wyrwał się z niego cichy jęk.

- Wstawaj, człeczyno. Czas by upuścić nieco krwi - rzekł Gotrek. Splunął wielką kulą flegmy na skałę pod swoimi stopami i przesunął lewą dłonią po masywnym czerwonym grzebieniu włosów wyrastających ponad ogoloną, wytatuowaną czaszką. Łańcuch w jego nosie zadzwonił cicho, dziwny kontrast wobec szalonego huczącego śmiechu krasnoluda.

Z westchnieniem rezygnacji, Felix narzucił swój wyblakły czerwony płaszcz na szerokie prawe ramię, szykując do walki rękę, która wyciągnęła długi miecz ze zdobionej pochwy. Czerwone krasnoludzkie glify zapłonęły wzdłuż całej długości ostrza.

Mutanci byli już tak blisko, że słyszał miękkie plaśnięcia ich bosych stóp, oraz pojedyncze słowa wypowiedane gardłowymi, charczącymi głosami. Widział zielonkawe żyłki na żółtawych, złośliwych ślepiach i mógł policzyć wszystkie ćwieki na obrzeżach skórzanych tarcz. Niechętnie podniósł się ze swojej kryjówki i gotował do bitwy.

Rzucił okiem na Gotreka i ku swojemu przerażeniu zauważył kamień z procy uderzający w masywną czaszkę krasnoluda. Usłyszał trask i zobaczył, że Zabójca się zachwiał. Strach opanował człowieka, jeśli krasnolud upadnie, wiedział że nie ma szans na przetrwanie ataku roju napastników. Gotrek zakręcił się, ale stał w miejscu, po czym wyciągnął dłoń i dotknął rany, którą pozostawił pocisk. Wyraz zdziwienia przemknął mu przez twarz gdy dostrzegł krew na swoich palcach. Zastąpił go natychmiast grymas straszliwego gniewu. Zabójca Trolli wydał z siebie potężny ryk i natarł na rechoczących mutantów.

Jego wściekły atak spadł na nich jak piorun z nieba. Thusty przywódca ledwo zdążył uskoczyć, gdy topór Zabójcy śmignął obok jego głowy. Zręczność potwora zaskoczyła Felixa. Z przeraźliwym traskiem topór przebił się przez pierś chudego pomocnika, a potem odrąbał łeb drugiego z napastników. Powrotne cięcie rozdarło skórzaną tarczę i odcięło wyrastającą mackę.

Nie dając im czasu na zebranie się do kupy Gotrek przebijał się przez nich niczym śmiertelny huragan. Gruby wódz uskakiwał z zasięgu Zabójczego topora bełkocząc rozkazy do swoich popleczników. Mutanci zaczęli otaczać krasnoluda, trzymając się z dala od wielkiej ósemki opisywanej przez bojowy topór Gotreka.

Felix rzucił się do walki. Magiczne ostrze, które zabrał martwemu Templariuszowi Aldredowi zdawało się tak lekkie w jego dłoni, jak wierzbowa witka. Zdawało się śpiewać, gdy zamierzył się od tyłu na głowę mutanta. Runy rozpały się jasno, gdy odcinał łeb równie łatwo jak nóż rzeźnicki tnący udziec wołu. Mózg mutanta bluzgnął do przodu. Felix skrzywił się, gdy galareta ochlapała mu twarz. Zmusił się do zignorowania obrzydzenia i dalej siekł następnego mutanta. Wstrząs szarpnął jego ramieniem, kiedy pchnął swe ostrze pod cętkowaną klatkę piersiową prosto w zgniłe serce kreatury. Ujrzał rozszerzające się ze strachu i bólu oczy mutanta. Jego pokryta brodawkami twarz wyrażała przerażenie i umierając stwór zapiszczał coś, co mogło być modlitwą lub przekleństwem do mrocznego bóstwa.

Ręka Felixa stała się wilgotna i lepka. Poprawił chwyt miecza, by nie dopuścić do jego wyslizgiwania się, ponieważ został jednocześnie zaatakowany z obu stron. Uchylił się przed cięciem najeżonej kolcami maczugi i uskoczył na prawo. Jego ostrze rozcięło policzek przypominającego beczkę mutanta, odzierając nausznik skórzanej czapki potwora. Hełm zsunął się na twarz kreatury, zasłaniając jego oczy i na chwilę blokując mu pole widzenia. Felix końcówką ciężkiego skózanego buta z Reiklandu, kopnął stwora w żołądek i nachylił się głupio, odsłaniając kark przed uderzeniem, które za chwilę nastąpiło.

Ból od uderzenia pałąką zabłysnął w ramieniu Felixa. Warknął i odwrócił się rozwścieczony. Przeklęta istota zauważyła wygląd jego twarzy i zamarła na jedno uderzenie serca. Podniosła broń w geście, który mógłby oznaczać poddanie się. Felix potrząsnął głową i rąbnął w przegub stwora. Krew spryskała go całego. Mutant wrzasnął i wił się łapiąc za kikut ręki, próbując zatamować wypływ krwi.

Wszystko przebiegało jakby w spowolnionym tempie. Felix odwrócił się i dostrzegł ślaniającego się niczym pijany, Gotreka. U jego stóp leżał stos poszarpanych ciał. Felix obserwował powolne opadanie potężnego topora, który trafił następną ofiarę, rozdzierając pokiereszowane ciało na dwie skrwawione części. Upadły w splątaną masę zwłok. Topór wznosił się i opadał krwawymi łukami, gdy Gotrek nadal rąbał ciała na strzępy.

Wszelkie ślady człowieczeństwa i zahamowania zniknęły w fali żądzы krwi i nienawiści. Felix skoczył w stronę ocalałych. Zakłęte ostrze błyskało gwałtownie niczym język żmii. Runy rozpalały się coraz jaśniej w miarę gdy spijały coraz więcej krwi. Felix ledwo odczuwał wstrząsy uderzeń i nie słyszał wycia bólu i męki. Był teraz maszyną stworzoną wyłącznie do zabijania. Nie dopuszczał do siebie myśli o ratowaniu własnego życia. Pragnął jedynie rzezi swoich wrogów.

Wszystko skończyło się równie nagle, jak się zaczęło. Mutanci byli w rozsypce i uciekali tak prędko jak pozwalały im na to nogi, a najprędzej gruby przywódca. Felix patrzył jak zmykają. Gdy ostatni z nich był już poza zasięgiem, odwrócił się z rykiem sfrustrowanej żądzы zabijania i zaczął rąbać ciała.

Po chwili zaczął się trząść. Zauważając straszliwe zniszczenie jakiego dokonali z Zabójcą, zgiął się w pół i zwymiotował.

Czysta zimna woda strumienia spłynęła czerwienią krwi. Felix obserwował jak zniknęła w wirze i rozmyślał o tym jak bardzo czuł się odrętwiały. Jakby chłód wody przeciekł do jego żył. Zdał sobie sprawę jak bardzo się zmienił od czasu dołączenia do Gotreka i nie był pewien, czy to się mu podoba.

Pamiętał jak się czuł po zabiciu studenta, Krassnera, pierwszej ofiary jego miecza. To był wypadek podczas czegoś, co miało być chłopięcym pojedyńkiem na polach za Uniwersytetem w Altdorfie. Ostrze ześlizgnęło się i zgiął człowiek. Felix pamiętał wyraz niedowierzania na jego twarzy i ogarniające jego samego przerażenie oraz żalosne wyrzuty sumienia. Zakończył czyjeś życie i czuł się winny.

Ale to wydarzyło się komuś innemu, całe długie życie temu. Od tego czasu, od kiedy przysiągł towarzyszyć Zabójcy w jego samobójczym poszukiwaniu bohaterskiej śmierci, wciąż zabijał i zabijał. Z każdą śmiercią odczuwał coraz mniej wyrzutów sumienia, z każdą śmiercią, rozmyślanie nad kolejnym zabitym stawało się coraz łatwiejsze. Koszmary senne, które go kiedyś nawiedzały nie stanowiły już problemu. Opuściło go poczucie straty i żalu. Było tak jakby zaraził się szaleństwem Gotreka i więcej się tym nie przejmował.

Niegdyś, jako student, badał dzieła wielkiego filozofa Neustadta. Twierdził on w swym wielkim opusie De Re Munde, iż wszystkie stworzenia posiadają dusze. Że nawet mutanci są czułymi stworzeniami zdolnymi do miłości i warte by żyć. Ale Felix wiedział, że zgładził je bez zastanawiania się. Byli wrogami, starającymi się go zabić i nie czuł prawdziwego żalu po ich śmierci, dziwił się jedynie swoim brakiem emocji. Pytał sam siebie, kiedy nastąpiła ta zmiana i nie znajdował odpowiedzi.

Czy dlatego tak bardzo nienawidził przeklętych? Czy dlatego, że widział zachodzące w nim zmiany i obawiał się ich zewnętrznej manifestacji? Uznawał swój nowy chłód emocji za dość potworny, by to było prawdą. Jak to się mogło stać i kiedy?

Czy po tym jak Kirsten, pierwsza miłość jego życia, umarła z rąk Manfreda von Diehla? Nie sądził. Proces był bardziej subtelny, dziwna alchemia przemieniła go podczas długich mil włóczęgi. Nowy Felix narodził się na tej jałowej ziemi na krańcu świata, produkt pustki tego miejsca i znoju życia, oraz zbyt wielu śmierci, jakie widział ze zbyt bliska.

Spojrzał na Gotreka. Zabójca siadł zgarbiony na płaskiej płycie skalnej wbiegającej do strumienia. Kawałek materiału urwanego z płaszcza Felixa owinięty był wokół jego głowy. Czerwona wełna zaplamiona była głęboką czernią zakrzepłej krwi krasnoluda.

Czy ja ostatecznie też się taki stanę, zastanawiał się Felix. Pozbawiony nadziei, szalony i przeklęty, umierający powoli od setek małych ran, poszukujący tylko wspaniałej śmierci, aby się odkupić? Ta myśl nie niepokoiła go. I było to niepokojące.

Felix rozmyślał nad tym co stracił i kiedy to stracił, słuchając pędu wody jak gdyby niosła ze sobą jakąś zakodowaną odpowiedź. Gotrek uniósł głowę i powoli rozejrzał się wokół. Felix zauważył, że opaska zsunęła się z jego wybitego lewego oka, odkrywając zablizniony i pusty oczodół.

Felix spojrzał na otaczającą go płataninę bezlistnych drzew i ciernistych krzewów, oraz zimną szarość skały. Czuł się skarłowaciały wobec posępnych gigantycznych cieni wielkich, nakrytych czapami śniegu gór. Dumał jak znalazł się w owym zapomnianym przez bogów padole, tak wiele mil od swego domu. Przez chwilę czuł, że zagubił się w nieskończonym ogromie Starego Świata, że nie ma punktu odniesienia w czasie ani przestrzeni, że on i Zabójca byli samotni w wymarłym śmiecie, gdzie duchy unosiły się w wieczności uwieszone na wykutych w Piekło łańcuchach wydarzeń.

Gotrek zwrócił na niego wzrok. Felix odpowiedział spojrzeniem z uczuciem niemal nienawiści. Czekał w milczeniu gdy krasnolud zacznie napawać się tym bezsensownym, próżnym zwycięstwem.

- Co się tutaj stało? - zapytał Zabójca.

Felix spojrzał na niego z otwartymi ustami.

Po opuszczeniu gór okolica stała się bardziej zielona. Ciepłe złote słońce rzucało na długie trawy niziny łagodne światło późnego popołudnia. Tu i tam zakwitały łąty purpurowych wrzosów. Czerwone kwiaty przebijały się ponad trawę. Przed nimi, może w odległości mili, nad równiną wynurzał się wielki szary zamek, usadowiony na skalistym szczycie wzgórza. Poniżej Felix dostrzegał mury miasta. Dym leniwie unosił się ku niebu z wielu kominów osady.

Poczuł się odprężony. Oceniał, że dotrą do miasta przed zmrokiem. Ślina wypełniła mu usta na myśl o gotowanej wołowinie i świeżo wypieczonym chlebie. Miał serdecznie dosyć krasnoludzkich racji polowych, jakie zabrali w Księstwach Granicznych, twardych sucharów i pasków suszonego mięsa. Dzisiaj, po raz pierwszy od tygodni będzie mógł się bezpiecznie położyć pod prawdziwym dachem i cieszyć się towarzystwem krajan. Może nawet pociągnie sobie nieco *ale* przed snem. Napięcie zaczęło go opuszczać. Czuł się zrelaksowany i rozumiał jak bardzo spięty pozostawał podczas podróży, stale usiłując wypatrzeć wszelkie chowające się w górach niebezpieczeństwa.

Spojrzał z obawą na Gotreka. Twarz krasnoluda była blada, a on sam często zatrzymywał się, by popatrzeć wokół z wyrazem pełnej dezorientacji, jakby nie całkiem mógł sobie przypomnieć gdzie są, albo dokąd zmierzają. Uderzenie w głowę najwyraźniej znacznie dotknęło Zabójcę. Felix nie mógł zrozumieć dlaczego. W swoim czasie, widział Gotreka przyjmującego znacznie gorszy łomot.

- Dobrze się czujesz? - zapytał, prawie spodziewając się, że krasnolud na niego warknie.

- Tak, tak. Dobrze - odparł Gotrek, lecz jego głos był miękki i przypominał Felixowi starego człowieka.

Po zimnym, czystym powietrzu gór, oraz wietrznej świeżości równin, miasto Fredericksburg stanowiło wstrząs dla jego zmysłów. Z oddali wysokie, wąskie domy z pokrytymi czerwonymi płytkami dachami i pobielonymi ścianami wydawały się czyste i porządne. Ale nawet przyćmione światło zachodzącego słońca nie ukrywało pęknięć w murze i dziur w spadzistych dachach.

Wąskie, przypominające labirynt ulice pełne były śmieci. Głodne psy wałęsały się od stosu gnijących warzyw do sterty nieczystości, dosłownie w biegu wydalając fekalia. Wybrukowane ulice śmierdziały uryną i pleśnią, oraz tłuszczem kapiącym do ognisk kuchennych. Felix zakrył usta ręką i przełknął z trudem. Tuż nad kostką zauważył czerwoną krostę po świeżym ugryzieniu pchły. Nareszcie cywilizacja, pomyślał ironicznie.

Sprzedawcy wystawili latarnie, by oświetlić rynek targowy. Kurtyzany stały w kręgach czerwonego światła w pobliżu drzwi wielu domów. Całodzienne interesy zmierzały ku końcowi, atmosfera tego miejsca zmieniała się, gdy mieszkańcy szli jeść i szukać rozrywki. Gawędziarze

gromadzili małe kręgi słuchaczy wokół swoich kociołków na węgiel drzewny i współzawodniczyli z magikami, którzy wywoływali maleńkie smoki pojawiające się w kłębach dymu. Niedoszły prorok stał na stołku pod statuą założyciela miasta, bohatera Fredericka i napominał tłum, by powrócił do cnót dawniejszych prostych czasów.

Ludzie byli wszędzie, ich żywe ruchy oślepiały oczy Felixa. Domokrażcy podciągali rękawy oferując talizmany szczęścia, lub tace małych pachnących cynamonem ciasteczek. U wylotu wąskiej ulicy dzieci kopały nadmuchany świński pęcherz, ignorując nawoływania matek, by wróciły przed zmrokiem do domów. Ponad głowami obdarte pranie wisiało na sznurkach rozciągniętych od okna do okna ponad wąskimi alejami. Opróżnione z towarów wozy toczyły się ku ogródkom sprzedawców piwa, stukocząc na koleinach i poruszając obluzowane kamienie bruku.

Felix zatrzymał się przy stoisku starej kobiety i kupił kawałek żylastego kurczaka, który upiekła nad kociołkiem. Ciepłe soki wypełniły jego usta gdy chciwie przełykał posiłek. Stał przez chwilę starając się odnaleźć w zamieszaniu kolorów, zapachów i hałasów.

Patrząc na rój ludzi czuł się nie na swoim miejscu. Wśród tłumu poruszali się żołnierze w uniformach lokalnego burmistrza. Bogato ubrani młodzieńcy przypatrywali się ulicznicom i wymieniali dowcipy ze swoimi ochroniarzami. Przed wejściem do Świątyni Shallya'i, żebracy wznosili swe okropne kikuty ku przechodzącym kupcom, którzy trzymali wzrok uważnie skoncentrowany przed sobą, a ręce na sakiewkach. Pijani chłopcy o czerstwych twarzach toczyli się przez ulice z podziwem spoglądając na budynki wyższe niż jedno piętro. Stare kobiety z głowami owiniętymi w obdarte chusty stały na schodach wejściowych i plotkowały ze swoimi sąsiadkami. Ich zasuszone twarze przypominały Felixowi suszone na słońcu jabłka.

Fredericksburg w porównaniu z Altdorfem był niemal wioską. Przeżył w stolicy Imperium większość życia i nigdy nie tracił rezonu. Po prostu przywykł do spokoju i samotności gór. Był nieprzyzwyczajony do otaczającego go tłumu. Niemniej, ponowne przywyknięcie do przebywania wśród ludzi powinno mu zabrać ledwie parę godzin.

Stojąc pośród tłumu czuł się samotny, jeszcze jedna twarz w morzu twarzy. Słuchając paplaniny głosów nie słyszał żadnych przyjaznych słów, jedynie targowanie się i gburowate dowcipy. Była tu energia, witalność rozwijającej się społeczności, ale on nie stanowił jej części. Był obcym, wędrowca z dziczy. Miał niewiele wspólnego z tymi ludźmi, którzy prawdopodobnie nigdy w życiu nie dotarli dalej niż milę od swoich domostw. Uderzyło go, jak dziwne stało się jego życie. Nagle poczuł straszliwą tęsknotę by znaleźć się w domu, w wygodnych wyłożonych drewnem salonach jego ojca. Potarł starą bliznę, na prawym policzku i przeklął dzień, w którym został wydany z uniwersytetu by żyć wśród drobnych przestępców i aktywistów politycznych.

Gotrek maszerował wolno przez plac targowy, gapiąc się głupawo na stoiska sprzedawców ubrań, amuletów i żywności, jakby nie całkiem rozumiał co się wokół niego dzieje. Jedyne dobre oko Zabójcy było szeroko otwarte, oszołomione widokami. Zaniepokojony zachowaniem swojego towarzysza Felix wziął go za ramię i skierował do drzwi tawerny. Leniwy namalowany smok zwieszał się z szyldu nad drzwiami.

- No, dalej - powiedział Felix. - Napijmy się piwa.

Wolfgang Lammel popchnął kolanem wrywającą się barmankę. Próbuąc uniknąć pocałunku poplamiała różem z policzków wysoki aksamitny kołnierz jego kaftana.

- Precz, flądno - rzeki do niej swoim najbardziej władczym głosem.

Jasnowłosa dziewczyna spojrzała na niego gniewnie. Jej twarz zaczerwieniła się pod nieumiejętnie nałożoną maską pudru i barwiczki, a irytacja wykrzywiła ładne wieśniacze oblicze.

- Mam na imię Greta - powiedziała. - Nazywaj mnie po imieniu.

- Mogę cię nazywać jak mi się podoba, brudasie. Mój ojciec jest właścicielem tej tawerny i jeśli chcesz zatrzymać tak niedawno zdobytą posiadłość trzymaj swój wygadany język za zębami.

Powstrzymała ripostę i uciekła poza jego zasięg.

Wolfgang uśmiechnął się złośliwie. Wiedział, że wróci. Zawsze wracają. Sprawiało to złoto ojca.

Dokładnie wytarł dobrze zadbaną dłońią róż ze swojego ubrania. Potem obejrzał swoje brodate orle rysy w małym srebrnym lusterku ręcznym, upewniając się, że żaden ślad makijażu dziewczyny nie znaczy jego miękkiej białej skóry. Zignorował chichoty swoich pochlebców i zadziwione spojrzenia tęgich chłopaków, których zatrudnił jako swoich ochroniarzy. Mógł sobie na to pozwolić. Dzięki bogactwu ojca był bezdyskusyjnie liderem klikki wytwornych młodych lalusiów odwiedzających tą tawernę. Kątem oka dostrzegał łającego dziewczynę Ivana, gospodarza tawerny. Mężczyzna wiedział, że nie może sobie pozwolić na obrazę syna i dziedzica właściciela. Zobaczył jak dziewczyna rzuca gniewną odpowiedź i powraca do niego idąc przez salę.

- Przepraszam za uszkodzenie waszej odzieży - powiedziała miękkim głosem. Wolfgang zauważył dwa kolorowe punkty na jej bladej twarzy - Proszę przyjąć moje najpokorniejsze przeprosiny.

- Oczywiście - rzekł Wolfgang. - Ponieważ twoją niezdarność przekracza tylko twoja głupota, a twoją głupotę przewyższa jedynie twoja prostota muszę się nad tobą ulitować. Przyjmuję przeprosiny. Poproszę Ivana, by odliczył od twoich zarobków koszt nowego kaftana, jakim muszę zastąpić ten, który zniszczyłaś.

Usta dziewczyny otworzyły się, ale nic nie powiedziała. Wolfgang wiedział, że kaftan kosztuje znacznie więcej niż dziewczyna zarobi w ciągu miesiąca. Chciała się kłócić, ale wiedziała że to nic nie da. Ivan musiał być po jego stronie. Jej ramiona opadły. Wolfgang zauważył fragment piersi odsłoniętych przez nisko wycięty stanik i przyszła mu do głowy nowa myśl.

- O ile oczywiście nie zechciałabyś spłacić długu w inny sposób. Powiedzmy... składając wizytę w moich komnatach dziś o północy.

W pierwszej chwili pomyślał, że odmówi. Była młoda i dopiero przybyła ze wsi i nadal trzymała się osobliwych ideałów cnoty. Ale była niewolnicą, należała do jednej z najniższych klas chłopstwa poddanemu swoim panom. Uciekła do miasta, aby szukać ucieczki od pańszczyzny. Utrata pracy oznaczałaby wybór między śmiercią głodową w mieście, lub powrotem do wioski i gniewem właściciela. Wolfgang nie spodziewał się, by znalazła pracę gdziekolwiek indziej jeśli straci swoją posiadłość w tym miejscu. Zdała sobie sprawę z tej sytuacji, więc opuściła głowę i skinęła. Gest był tak nieznaczny, że ledwo dało się go zauważyć.

- Zatem do tego czasu zejdź mi z oczu - rzekł Wolfgang. Dziewczyna uciekła przeciskając się przez grupę jego znajomków. Łzy ciekły jej po twarzy. Ścigały ją grubiańskie kpiny.

Wolfgang pozwolił sobie na westchnienie satysfakcji, po czym opróżnił kolejny puchar wina. Słodki, pachnący korzeniami płyn palił jego gardło i napełniał ogniem żołądek. Spojrzał na Heinricha Kastermana. Gruby młody szlachcic o pokrytej krostami twarzy przerwał napychanie sobie brzucha tylko na chwilę potrzebną by wykrzywić się do niego pochlebco.

- Dobrze zrobione, Wolfgang. Zanim upłynie ta noc, przedstawisz młodej Grecie sekretne tajemnice naszego ukrytego pana. Czy mogę się później do ciebie przyłączyć? Postawię ci kolejkę.

Wolfgang zmarszczył brwi gdy Heinrich wykonał tajemny znak Slaanesha. Nawet bogactwo jego ojca może go nie uchronić jeśli wyda się, że on i kilku zaufanych towarzyszy są wyznawcami Pana Występku. Rozejrzał się wokół by stwierdzić, że nikt nie zwrócił uwagi na wzmiankę tłustego głupca. Nikt chyba tego nie zauważył. Uspokoił się. Wmawiał sobie, że jest niepotrzebnie nerwowy. Po prawdzie stał się nieco niespokojny od czasu, gdy na jego piersi uwidocznili się stygmat. Księgi

zapewniały go, że jest to oznaka specjalnej łaski mocy jego patrona, zamię pokazujące, że jest jednym z Wybranych. Mimo wszystko, gdyby dowiedział się o tym łowca czarownic...

Może rozsądniej byłoby zająć się odpowiednio dziewczyną, gdy skończy z nią zabawę tego wieczora.

- Być może. No cóż, to igraszka na dziś - lecz co uczynimy, by spędzić owe długie nudne godziny w tym jakże nudnym miejscu?

Nie zauważał nikogo nadającego się do dręczenia. Większość gości miała podobny do niego status i przyszła ze swoimi ochroniarzami. W jednym kącie siedział starzec, najwyraźniej czarodziej, opierając się na lasce. Oba narożne stoły wypełniali weseli pielgrzymi Sigmara. Tylko głupiec zadzierałby z magiem, a pielgrzymi byli zbyt liczni by stanowić łatwą zdobycz. Pochodnie zamigotały w przeciągu, gdy otwarły się zewnętrzne drzwi.

- Otóż może właśnie przybyła rozrywka na ten wieczór.

Dziwacznie nie pasująca do siebie para wkroczyła do Śpiącego Smoka. Jednym z przybyłych był wysoki, wychudły mężczyzna o jasnych włosach, którego smagłą i przystojną twarz szpeciła długa blizna. Jego ubranie z pewnością było niegdyś wytworne, lecz obecnie poplamione, połatane i obdarte od długiej podróży. Wnioskując po ubraniu możnaby go brać za żebraka, ale coś w sposobie noszenia się, nerwowa poza, sugerowało iż nie był taki biedny jak się wydawało.

Drugim był krasnolud. O całą głowę niższy od mężczyzny, pomimo wielkiego czerwonego grzebienia włosów, jednak z pewnością znacznie cięższy od towarzysza, sądząc po wielkich mięśniach osłaniających grube kości. W jednej ręce niósł topór, który kował z trudem uniósłby dwoma. Jego ciało pokrywały dziwne tatuaże. Zgrubna przepaska ze skóry zasłaniała jedno oko. Wolfgang nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział. Krasnolud wyglądał na rannego i poruszał się powoli. Jego twarz była pusta, głupkowata i zmieszana.

Ruszyli do baru i mężczyzna zamówił dwa kufle piwa. Jego akcent i doskonale modulowany Reikspiel sugerowały wykształconego człowieka. Krasnolud odłożył topór obok ognia. Mężczyzna spojrzał zaszokowany, jakby nigdy coś takiego się nie wydarzyło.

Tawerna ucichła oczekując na to co powie Wolfgang i jego przyjaciele. Wolfgang wiedział, że widzieli jak wcześniej prowokował nowo przybyłych. Westchnął, zdaje się, że musiał utrzymać swoją reputację.

- Pięknie. Pięknie. Czyż to cyrk przyjechał do miasta? - zapytał głośno. Ku jego irytacji, dwaj przy barze zignorowali go. - Wy tam, idioci! Pytałem: Czy cyrk przyjechał do miasta?

Mężczyzna w wyblakłym czerwonym płaszczu odwrócił się do niego.

- Raczy pan mówić do mnie, sir? - spytał miękkim, grzecznym głosem i z zimnym spojrzeniem skierowanym ku Wolfgangowi.

- Tak, do ciebie i twojego przygłupiego przyjaciela. Jesteście może klaunami jakiejś wędrownej trupy?

Jasnowłosy mężczyzna zerknął na krasnoluda, który nadal rozglądał się ze zdziwieniem.

- Nie - odparł i odwrócił się do swojego napoju. Mężczyzna wyglądał na zmieszanego, jakby spodziewał się reakcji krasnoluda, ale nie doczekał się żadnej.

Nic nie doprowadzało Wolfganga do większej wściekłości niż kiedy go ignorowano.

- Widzę, że jesteście gburowaci i nieuprzejmi. Jeżeli nie przeprosicie, myślę że będę musiał posłać mych ludzi, aby udzielili wam lekcji dobrych manier.

Mężczyzna przy barze lekko poruszył głową.

- Zdaje mi się, że jeżeli ktokolwiek potrzebuje lekcji uprzejmości to jesteś nim pan we własnej osobie, sir - powiedział cicho.

Nerwowy śmiech pozostałych gości tawerny był zarzewiem gniewu Wolfganga. Heinrich obliżał swoje usta i walnął zaciśniętą pięścią w otwartą pulchną dłoń. Wolfgang skinął głową.

- Otto, Herman, Werner. Nie zniosę dłużej smrodu tego włóczęgi. Wyrzucicie go z tawerny.

Herman pochylił się nad Wolfgangiem i potarł wielką guzowatą dłonią po swojej niewyczesanej brodzie.

- Nie wiem czy to rozsądne, panie. Tych dwóch wygląda na twardzieli - wyszeptał.

Otto podrapał się po ogolonej głowie, spoglądając na krasnoluda.

- On ma tatuaże Zabójcy. Podobno są groźni.

- Ty też jesteś groźny, Otto. Nie trzymam cię dla twojego rozumu ani osobistego czaru, nieprawdaż? Zajmij się nimi.

- Nie wiem - mruknął Werner. - To może być błąd.

- Ile ci płaci mój ojciec, Herman? - Wielki mężczyzna wzruszył z rezygnacją ramionami i machnął na pozostałych osiłków by za nim ruszyli. Wolfgang zauważył, coś twardego i metalicznego pojawiającego się w dłoni ochroniarza. Oparł się na krzesło, by napawać się przedstawieniem.

Jasnowłosy mężczyzna spojrział na zbliżających się ochroniarzy.

- Nie chcemy żadnych kłopotów z wami, panowie.

- Za późno - powiedział Herman i zamachnął się. Ku zaskoczeniu Wolfganga, nieznajomy zablokował cios Hermana swoim przedramieniem, a następnie zmusił do zatrzymania wielkoluda uderzeniem w jego wydatny brzuch. Krasnolud nie zrobił niczego.

- Gotrek, pomóż! - zawołał mężczyzna, gdy ochroniarze rzucili się na niego. Krasnolud ledwie rozejrzał się wokoło otumaniony, cofając się gdy Werner i Otto schwycili ręce młodego mężczyzny. Ten szarpał się wściekle, podcinając Otto kopniakiem w goleń, a następnie waląc głową w twarz Wenera. Tęgi ochroniarz zatoczył się w tył, łapiąc za obficie krwawiący nos.

Karl i Pierre, dwa najemne prostaki Heinricha przyłączyli się do bijatyki. Karl uderzył krzesłem w tył głowy jasnowłosego mężczyzny i posłał go na podłogę. Pozostali poderwali go i przyparli do baru. Werner i Otto trzymali go, gdy Herman wyładowywał na bezbronnym nieznajomym swoją wściekłość.

Heinrich krzywił się za każdym razem gdy pięść uderzała w ciało. Wolfgang warcząc obnażył wargi. Rozpalał w sobie żądzę krwi. Czuł wielką pokusę by pozwolić Hermanowi na bicie mężczyzny aż do śmierci. Jego myśli podryfowały ku Grecie. Był podniecony. Coś przemawiało do niego w bólu, szczególnie zadawanym innym ludziom. Być może później on i dziewczyna podążą tą linią myślenia do logicznej konkluzji.

Ostatecznie Wolfgang uspokoił się. Gdy dał znać, że już się napatrzył, rozkazał wyrzucić ofiarę na ulicę. Mieszkaniec Reiklandu był cały potłuczony i zakrwawiony.

A krasnolud nadal niczego nie zrobił.

Felix leżał na kupie śmieci. Bolała go każda część ciała. Jeden z jego zębów poluzował się. Coś mokrego ściekało po karku. Miał nadzieję, że nie jest to jego własna krew. Pulchny czarny sznur siedział na kopcu spleśniałej żywności i spoglądał na niego ironicznie. Światło księżyca sprawiło, że jego ślepia lśniły niczym złowrogie gwiazdy.

Spróbował poruszyć ręką. Położył ją na ziemi odpychając się i szykując do monumentalnego wysiłku podniesienia się na nogi. Coś trzasnęło pod jego ręką. Potrząsnął głową. Małe srebrne światełka zaślniły w polu jego widzenia. Próba poruszenia się była dla niego zbyt wyczerpująca i położył się z powrotem na środku stosu, pod nim było miękko jak w ciepłym łóżku.

Ponownie otworzył oczy. Musiał stracić przytomność. Nie miał pojęcia na jak długo. Większy księżyc znajdował się wyżej niż przedtem, Dołączył do niego na niebie Morrslieb, mniejszy satelita.

Jego dziwna poświata oświetlała plugawą ulicę. Zaczęła podnosić się mgła. W oddali, lampa nocnego stróża rzuciła płamę siarkowego światła. Felix usłyszał powolne, bolesne kroki starego człowieka.

Ktoś pomógł mu wstać na nogi. Długie falujące włosy łaskotały go w twarz. W nozdrzach tanie perfumy walczyły z odorem odpadków. Z wolna dotarło do mózgu Felixa, że jego dobroczyńcą jest kobieta. Zaczął się osuwać i walczył by utrzymać się w pionie.

- Herr Wolfgang nie jest miłym człowiekiem.

To głos wieśniaczki, zdecydował Felix. Słowa były przyjemnie wyciągnięte i miały swojskie, ziemiańskie brzmienie. Spojrzał w okrągłą twarz. Duże jasne oczy patrzyły na niego ponad wysokimi kośćmi policzkowymi.

- Nigdy bym się nie spodziewał - rzekł Felix. Ból dźgnął w jego boku gdy gałka miecza w przesuniętej pochwie zakłuła go w czułe miejsce pod żebrami. - Przy okazji, mam na imię... uch... Felix. Dziękuję ci za pomoc.

- Greta. Pracuję w Śpiącym Smoku. Nie mogłam cię tak zostawić leżącego na ulicy.

- Myślę, że powinnaś znaleźć miejsce z gospodarzem lepszej klasy, Greto.

- Sama zaczynam o tym myśleć. - Jej nieco zbyt szerokie usta uśmiechnęły się do niego nerwowo. Księżycowe światło odbiło się od bieli upudrowanej twarzy, nadając jej blady i chorowity wygląd, gdyby nie ten makijaż, byłaby piękna, uznał Felix.

- Nie mogę uwierzyć, że nikt nie wyszedł by zobaczyć co z tobą - mówiła.

Drzwi tawerny otworzyły się. Felix automatycznie sięgnął do miecza. Ten ruch kosztował go stęknienie z bólu. Wiedział, że będzie bezsilny jeśli osiłki znowu się za niego wezmą.

Gotrek stał w drzwiach z pustymi rękami. Jego ubranie było zbryzgane piwem. Grzebień włosów został spłaszczony i potargany, jakby ktoś rąbnął go beczką ale. Felix spojrzał na niego.

- Dzięki za twoją pomoc, Gotrek.

- Kto to jest Gotrek? - zapytał Zabójca. - Czy mówisz do mnie?

- Dalej - powiedziała Greta. - Lepiej zabiorę was obu do znajomego uzdrowiciela. Jest nieco dziwny, ale ma do mnie słabość.

Biuro alchemika Lothara Kryptmanna śmierdziało formaldehydem i kadzidłem, oraz błędnym korzeniem, który żuł bez przerwy, Ściany pokrywały półki zawierające słoje chemikaliów: sproszkowany róg jednorożca, rtęć, niegaszone wapno i suszone zioła. Na stojaku w kącie sterczał parszywy sęp o lśniących ślepiach, miejscami był łysy i nie miał piór na jednym skrzydle. Felixowi nieco czasu zabrało zorientowanie się, że ptak jest wypchany. Na ciężkiej dębowej ławie, pośród sterty papierów zabazgranych nieczytelnym pismem, stała masywna butla zawierająca zakonserwowany łeb koziogłowego zwierzoczęłka. Moździerz i tłuczek służyły jako prowizoryczny przycisk do papieru, powstrzymujący notatki przed odlotem w przeciągu niedbale zatrzaśniętych okien.

Dymiące pochodnie migotały w niszach i rzucały cienie uciekające w zimne zakamarki komnaty. Oprawne w skórę woluminy z tytułami wytłoczonymi w wyblakłym złocie, wymieniały nazwiska wielkich filozofów. Wiele z ksiąg zostało byle jak upchanych na półkach, które niebezpiecznie ugiwały się pod ciężarem. Wosk ze świecy stojącej w porcelanowym spodku skapywał na najwyższy tom. Na ruszcie trzaskał mały stos płonącego węgla. Felix dostrzegł częściowo spalone kartki papieru kopące w palenisku. Stwierdził, że to miejsce byłoby niezwykle niebezpieczne w przypadku wybuchu pożaru.

Kryptmann wziął kolejną szczyptę ziół, kichnął, po czym wyczyścił nos w rękaw swojej brudnej niebieskiej szaty, dodając kolejną płamę obok wszytych w nią run. Małą szufelką dorzucił do ognia

odrobinę węgla i odwrócił się, by spojrzeć na pacjentów.

Alchemik przypominał Felixowi wypchanego sępa w kacie. Jego łysa głowa otoczona była skrzydłami niesfornych szarych włosów. Wielki dziób nosa wystawał ponad wąskimi, pomarszczonymi ustami. Bładoszare oczy lśniły jasno za małymi binoklami. Felix zauważył, że źrenice były duże i rozszerzone, widomy znak uzależnienia Kryptmanna od halucynogennego błędnego korzenia. Gdy alchemik się poruszał, obszerne szaty furkotały wokół jego wąskiej sylwetki, sprawiając że nabierał wyglądu bezskrzydłego ptaka usiłującego poderwać się do lotu.

Kryptmann podszedł i usadowił się na brzegu ławy. Wskazał na Felixa długim kościstym palcem. Felix zauważył częściowo obgryziony paznokieć i gruby osad brudu pod nim. Głos Kryptmanna był wysoki i piskliwy, równie irytujący co dźwięk wydobywany przez palec nauczyciela w szkole przesuwanego go po tablicy.

- Czujesz się lepiej, mój młody przyjacielu?

Felix musiał przyznać, że czuł się lepiej. Bez względu na swój niepociągający widok, Lothar Kryptmann znał się na swojej robocie. Specyfiki, jakie mu zaaplikował już zmniejszyły opuchliznę śluzów, a wstrętne smakujący wywar, do którego wypicia zmusił Felixa sprawił, że ból zniknął niczym mgła w porannym słońcu.

- Greto, mówisz, że sprawili to ochroniarze Wolfganga Lammela?

Dziewczyna skinęła. Alchemik westchnął.

- Młody Wolfgang to nicpoń. Jednakże, "malum se delet", jak powiada De Re Munde.

- Być może w przypadku młodego Wolfganga, zło istotnie zniszczy samo siebie. Ale mam zamiar podać mu pomocną dłoń - odezwał się Felix.

- Rozumiesz klasyczny! Och, to wspaniale. Myślałem, że w tym mrocznym wieku wymarł wszelki szacunek dla wiedzy - powiedział szczęśliwy Kryptmann. - Dobrze. Jestem uradowany mogąc przynieść pomoc uczoneму koledze. Gdybyż tylko uleczenie twego przyjaciela było tak proste. Obawiam się, że to będzie niemal niemożliwe. - Uśmiechnął się marzycielsko. Z kąta w którym siedział, Gotrek odwzajemnił spojrzenie wzrokiem pustym jak jama w ziemi.

- Co to dokładnie znaczy? - zapytała Greta. - Co z nim jest nie tak?

- Zdaje się, że jego umysł został poruszony na skutek uderzenia w głowę. Płaty pamięciowe zostały gwałtownie wstrząśnięte i wiele wspomnień rozsypało się po umyśle. Nie wie do końca kim jest, a jego zdolność rozumowania została znacznie osłabiona.

Tak jakby kiedykolwiek miał jej zbyt wiele, pomyślał Felix.

- Co więcej, zwoje mózgowie zawiadujące jego osobowością ułożyły się w nowej konfiguracji. Wyobrażam sobie, że ostatnio nie zachowywał się zbyt normalnie, prawda mój młody przyjacielu? Widzę po jego wyglądzie, iż należy do kultu Zabójców Trolli. Nie są znani ze swej tolerancji dla pacyfizmu.

- Prawda - potwierdził Felix. - Za obrazę zwyczajnie wydarłby płuca tych ludzi.

Zauważył jak szeroka twarz Grety pojaśniała na wzmiankę o przemocy wobec napastników i zastanawiał się jaką żywi do nich urazę. Felix zmusił się by przyznać, że posiada jeszcze jeden niegodziwy powód, dla którego chciał uzdrowienia krasnoluda: pragnął zemsty na ludziach, którzy go pobili. Wiedział, że nie ma zbyt wielkich szans dokonać jej samemu.

- Czy można cokolwiek dla niego uczynić? - zapytał Felix, otwierając sakiewkę gotów do zapłaty za opiekę medyczną. Kryptmann pokręcił smutno głową.

- Chociaż... może pomogłoby kolejne uderzenie w głowę.

- Znaczący, po prostu go rąbnąć?

- Nie! To musi być potężne uderzenie, zadane we właściwy sposób. Czasami działa, ale szanse są

z pewnością nie większe niż tysiąc do jednego. Możliwe, że taka kuracja pogorszyłaby jeszcze jego stan, a może nawet zabiła pacjenta.

Felix potrząsnął głową. Nie chciał ryzykować śmierci Zabójcy. Jego serce zmartwiało. Przepelniała go złożona mieszanina emocji. Wielokrotnie zawdzięczał Zabójcy swoje życie i współczuł mu stanu otumanienia i niemożności zapamiętania czegokolwiek, włącznie z własnym imieniem. Nie mógł pozostawić krasnoluda w takim stanie. Czuł się zobowiązany, by coś z tym zrobić.

Ale z drugiej strony, od czasu gdy podczas pijackiej nocy przyrzekł towarzyszyć Gotrekowi w jego samobójczej misji i opisać dla potomności jego koniec w epickim poemacie, miał tylko same kłopoty. Choroba Gotreka stanowiła okazję uniknięcia wypełnienia przysięgi. W obecnym stanie Gotrek zdawał się zapomnieć o całej swojej szalonej wyprawie. Może łaskawiej byłoby zostawić tak krasnoluda, niepomnego zbrodni, które popełnił i mrocznego przeznaczenia, które pcha go w poszukiwaniu własnej zagłady.

Ale czy naprawdę potrafił porzucić Gotreka pozostawiając go samemu sobie z osłabionymi umiejętnościami rozumowania i działania? A jak dotrze do domu w Altdorfie poprzez nieprzeliczalne mile pełnych niebezpieczeństw dziczy i lasów, pozbawiony pomocy potężnego topora Zabójcy?

- Czy nic innego nie da się zrobić?

- Nic. Chyba, że...

- Chyba, że co?

- Nie... to pewnie i tak nie zadziała.

- Co nie zadziała?

- Znalazłem formułę eliksiru, używanego przez starzejących się magików. Składa się on między innymi z sześciu części błędnego zieleń i jednej górskiego słonecznego kwiecica. Powiadają, że bardzo dobrze ustawia zwoje w ich właściwym układzie.

- Może więc powinieneś tego spróbować.

- Gdybym tylko mógł, panie starszy. Lecz słoneczne kwiecice jest rzadkie i dla osiągnięcia efektu, musi zostać zebrane, gdy dzień umiera na najwyższych stokach Góry Czarnej Ognia.

Felix westchnął.

- Cena nie gra roli.

Kryptmann zdjął swoje okulary i wytarł je o rękaw szaty.

- Niestety nie zrozumiałeś mnie młody człowieku. Nie dbam o jakieś drobne korzyści finansowe. Chodzi mi po prostu o to, że nie mam słonecznego kwiecica na składzie.

- Cóż, zatem to już po wszystkim.

- Czekaście - powiedziała Greta. - Góra Czarnej Ognia nie jest tak daleko stąd. Koło jej szczytu biegnie przełęcz... Czy nie mógłbyś tam pójść i zebrać nieco kwiecica, Felix?

- Wrócić w góry o tej porze roku, samotnie? Tam są bandy oszalałych mutantów.

- Nie mówiłem, że to będzie łatwe - rzekł Kryptmann.

Felix jęknął, tym razem nie tylko z bólu.

- Jutro. Pomyślę o tym jutro.

Kryptmann z aprobatą skinął głową.

- Nie polecałbym wracać dziś do gospody. Świątynia Shallya'i ma pensjonat dla ubogich. Prawdopodobnie dostaniecie tam łóżko na noc, jeśli się pospieszycie. A co do mojej zapłaty. Biorąc pod uwagę wasze oczywiste ubóstwo, zaniecham jej jeśli przyniesiesz mi z powrotem dostatecznie dużo słonecznego kwiecica.

Felix spojrział w swoją pustą sakiewkę i opuścił bezradnie ramiona.

- Dobrze więc. Pójdę.

Gotrek usiadł i gapił się bezmyślnie w przestrzeń. Felix był ciekaw co dzieje się za tym jednym szalonym i pustym oknem.

Wolfgang Lammel leżał pijany w swoim łóżku. Ze Śpiącego Smoka poniżej dochodziły stłumione dźwięki zabawy. Nawet grube bretońskie kobierce na podłodze, oraz ciężkie, ołowiane szkło z Tilei w oknach nie wyciszało zupełnie hałasów z zewnątrz. Wychylił jednym haustem kielich estaliańskiej sherry i wyciągnął się rozkoszując pieśczołą atłasowych prześcieradeł na jego skórze. Z nostalgicznym westchnieniem zamknął lubieżną książeczkę z Kitaju, która była jego pierwszym zakupem w tej dziwnej księgarni w Nuln. Prawdę powiedziawszy, kaligrafia wydawała mu się obecnie dość prostacka, a pozycje zilustrowanych par nudne i nieekscytujące. Tylko jedna z nich wyglądała dość interesująco, ale jak mógł o tej porze roku zdobyć w Fredericksburgu diabelskiego pytona z Lustrii?

Podniósł się z łóżka i naciągnął na siebie jedwabną szatę, aby zakryć stygmat na piersi. Uśmiechnął się, odzienie było podarunkiem od fascynującego podróżnika Dieng Chinga, gościa Hrabiny Emmanuelli i współwłaściciela Magazynu Egzotycznych Książ i Towarów Van Niek'sa. Wolfgang spędził z nim interesujący wieczór w Ukochanym Vereny, słynnym domu publicznym na terenie Uniwersytetu Nuln. Ich dyskusja zataczała szerokie kręgi i dotyczyła wielu tematów. Niebiański, jak sam siebie nazywał, dowiódł swej wiedzy o wielu ezoterycznych filozofiach i skrytych tajemnicach wielu tajnych kultów. Pomimo jego braku zainteresowania co ciekawszymi punktami czci Slaanesha, okazał się niezwykle stymulującym kompanem - jednym z wielu, jakich Wolfgang spotkał podczas swego pobytu w Nuln.

Teraz Wolfgang tęsknił za uniwersytetem. Miał dość tego małego zacofanego miasteczka z jego wiejskimi dziewczętami o okrągłych twarzach i trzeciorzędnymi kurtyzanami, które po prostu w ogóle nie miały wyobraźni. Często odnosił się nostalgicznie do czasu spędzonego w Nuln jako do złotego okresu jego życia, do którego nigdy tak naprawdę nie powróci. Nie całkiem była to edukacja jaką wyobrażał sobie jego ojciec wysyłając syna do najlepszego uniwersytetu Imperium, ale był to czas, który Wolfgang bardzo sobie cenił jako uczeń. Jego nauczyciele należeli do najbardziej zepsutych rozpustników i galantów tego wieku. Szkoda tylko, że nie radził sobie równie dobrze z bardziej konwencjonalnymi studiami. Ostatecznie nauczyciele napisali do jego ojca objaśniając mu to, co uważali za prawdę o swoim uczniu.

Wolfgang zaśmiał się głośno. Prawda! Gdyby ci zasuszeni starcy mieli najmniejsze pojęcie o rzeczywistej prawdzie dotyczącej jego zajęć, posłaliby po łowców czarownic. Jeśli ojciec podejrzewałby taką prawdę, nie skończyłoby się tylko na groźbach wydziedziczenia, wygnałby go do lasu, aby przyłączył się do nadętego kuzyna Heinricha, Dolphusa, tego który jadł aż stał się podobny do kuli ciasta. Plotka głosi, że złapano go próbującego usmażyć ucho jego własnej matki. Takie opowieści były przykładem ubóstwa wyobraźni lokalnych mieszkańców.

Cóż tacy pozbawieni imaginacji ludzie wiedzą o kulcie Lorda Slaanesha, prawdziwego boga bólu i rozkoszy? Podniósł małą statuetkę obok łóżka i przyglądał się jej. Nefrytowa rzeźba była niemal doskonała, przedstawiała figurę hermafrodyty, nagiego poza płaszczem narzuconym, by odsłonić jedyną pierś. Jedno ramie kiwało kusząco na oglądającego, delikatny uśmiech lubieżności błąkał się na pięknej twarzy. Wolfgang badał figurkę prawie z miłością. Nie, cóż drobni głupi ciułacze mogą wiedzieć o oddawaniu czci prawdziwemu bóstwu?

Postradali by rozum pod sprowadzającym szaleństwo wpływem tajemnic, jakie Wolfgang poznał w katakumbach pod Nuln. Ich słabe dusze zostałyby zmiażdżone przez dziwne rytuały przywołania odbywające się w mordowniach na Kommerzplatz. Nawet w najdzikszych marzeniach nie potrafiliby wyobrazić sobie tego, co można zobaczyć na cmentarnym burdelu za miastem, gdzie zmutowane prostytutki usługują zdeprawowanym szlachcicom podczas tak zwanego Nocnego Cyrku.

Wolfgang znał prawdę: świat zmierza do końca, Mroczne Moce rosną w siłę, człowiek jest chorą, zdeprawowaną istotą ukrywającą swoją żądzę pod maską stosowności. Nie chciał takiej hipokryzji. Zwrócił się ku bogu, który oferował ekstazę na ziemi, zamiast radości w niepewnym życiu pozagrobowym. Wiedział o ostateczności ludzkiego życia przed końcem wszechrzeczy. Uśmiechnął się do prawd jakie objawiało mu wino. Kolejny dowód wyższości drogi Slaanesha.

Odłożył lubieżny album i statuetkę obok kopii Sekretów Haremu Al-Hazima, wziął ze słoika pałeczkę specjalnego błędnego korzenia, po czym wsunął bezpiecznie na miejsce panel tajemnej alkowy. Nie byłoby dobrze, gdyby Papa złożył mu niezapowiedzianą wizytę i znalazł te rzeczy. I tak był bliski wydziedziczenia Wolfganga za jego dotychczasowe postęпки. Tylko nadzieja ożenku jedyne go syna ze siostrą Heinricha, Inge, powstrzymywała staruszka przed zostawieniem Wolfganga bez grosza przy duszy. A jednak ojciec miał swoje zalety: może być nudnym, upartym, starym skąpcem, ale był nieuleczalnym snobem.

Był to jedyny powód, dla którego wysłał Wolfganga na uniwersytet, był to jedyny powód, dla którego dawał mu dość pieniędzy, by żył niczym imperialny dworzanin. Pragnął wżenić Lammelów w szlachectwo i rodzinę Heinricha, która choć zdegenerowana i biedna, była z pewnością wyższego stanu. Tak, ojciec marzył, że pewnego dnia jego wnuk znajdzie posłuch u Imperatora. Pomyśleć tylko, jak poprawiłoby to interesy, co często podkreślał.

Błędny korzeń wywoływał mrowienie na języku Wolfganga. Zastanawiał się, czy Kryptmann dodał więcej spaczenia, tak jak nakazał. To dodawało narkotykowi ekstra smaku. Nawet teraz wyobrażał sobie bladą, nerwową twarz alchemika, ostrzegającego go przed niebezpieczeństwem kontaktu ze spaczeniem. Mimo to, pewni informatorzy w Nuln dostarczyli mu szczególnie interesujących informacji, które dotyczyły alchemika i dopóki zna mały sekret Kryptmanna, ten musi robić wszystko cokolwiek mu każe. Dziwił go strach i nienawiść zmagające się na twarzy starego człowieka. Być może czas pomęczyć go o tę truciznę. Papa stawał się ostatnio coraz bardziej denerwujący.

Zegar wybił dwunastą i Wolfgang zadrżał. Błędny korzeń sprawił, że dźwięk rozległ się niczym bicie świątynnego dzwonu w Altdorfie. Spojrzał na zegar. Przypominał kształtem Dom Sigmara. Zbudowano go, by wyglądał jak wysoka, zakończona wieżycami świątynia. Błędny korzeń rozmywał kontury i nadawał dziwne zwierzęce cechy małym figurkom krasnoludów, które wysuwały się z mechanizmu maszyny, aby uderzać w gong pod cyferblatem.

Wolfgang zdał sobie sprawę, że dziewczyna się spóźnia. Może dało się to wybaczyć. Niewielu ludzi posiadało dostęp do równie precyzyjnych zegarów. Było to dzieło sztuki, skrupulatnie wykonane przez krasnoludzkiego rzemieślnika z Karaku Kadrin. Mimo to, flądra się spóźniła! Zmusi ją później do zapłaty za opieszałość. Kredens zawierał jedne z najlepszych biczów ze skóry orków, oraz parę bardziej wymyślnych narzędzi rozkoszy.

Przesunął się do ognia. Wino i błędny korzeń czyniły go opieszałym. Po raz ostatni sprawdził, czy dywan z niedźwiedziej skóry leży w idealnym porządku. Nie wiedział czemu zadaje sobie tyle trudu dla wieśniaczki. Ale wiedział, że to nie dla niej tak czynił, lecz dla siebie samego i swojego boga. Im więcej zadał sobie rozkoszy, tym bardziej zadowolony był Pan Hedonizmu.

Podszedł do okna, podciągnął brokatowe zasłony i wyrzwał przez grube, wklęsłe szklane panele.

Ani śladu dziewczyny. Zaraz - co to jest? Wyglądało na zbliżającą się ulicą dziewczkę. Coś zaniepokoiło zamroczony błędnym korzeniem mózg. Czyż nie powinna posługiwać gościom na dole? Co robi na zewnątrz o tej porze nocy? Mgła była gęsta, może to nie ona.

Tak czy inaczej, jakie to ma znaczenie, skoro już przyszła? Wolfgang słyszał schody skrzypiące pod lekkimi stąpnięciami. Cieszył się, że zamęczył Papę, by pozwolił mu zająć komnaty nad Śpiącym Smokiem. To tak bardzo upraszczało życie. Wiedział, że ojciec przychylił się do jego usilnych prób, ponieważ pomimo protestów, Papa tak naprawdę nie interesował się poczynaniami swego dziedzica.

Wolfgang zbliżył się chwiejnie do drzwi. Był podniecony mimo napoju i narkotyków. Błędny korzeń sprawiał, że czuł mrowienie na całym ciele. Musiał przyznać, iż dziewczka miała pewną wieśniaczą urodę, którą w przyćmionym świetle można by opisać jako znośną. Wkrótce przedstawi jej tajemnice Slaanesh'a we właściwy i chwalebny sposób.

Nastąpiło słabe, trwożliwe pukanie do drzwi. Wolfgang rozwarł je na oścież. Do środka wpełzały palce mgły. Greta stała opatulona w swój tani płaszcz.

- Witam - wybełkotał Wolfgang, pozwalając opaść szacie z ramion i obnażyć swoje nagie ciało. - Zobacz, co dla ciebie mam.

Czuł zaspokojenie, gdy rozszerzyły się jej oczy. Był mniej zachwycony, kiedy otworzyła usta i zaczęła wrzeszczeć.

Felix obudził się otoczony zapachem gotującej się kapusty i smrodem niemytych ciał. Jego kości przenikał chłód zimnych kamieni podłogi. Czuł się staro. Kiedy usiadł prosto, odkrył że powrócił ból wczorajszego lania. Powstrzymywał łzy i gmerał w poszukiwaniu niosących ulgę pastylek, które dał mu alchemik.

Światło przesączało się przez sklepienie, odkrywając ciała stłoczone w świątynnym westybulu. Biedni nieszczęśnicy z całego miasta przyszli tu, by schronić się przed zimną nocą i wszyscy zostali zamknięci. Wielkie podwójne odrzwia zasunięto, chociaż ludzie nie mieli tu nic do kradzieży. Felix dziwił się tej ostrożności. Drzwi po drugiej stronie komnaty przed którymi kapłanki ustawiały prosty stół, także zostały zablokowane. Poprzedniej nocy słyszał ciężkie belki wsuwane na miejsce po zamknięciu głównych wrót. Zastanawiał się, czy rzeczywiście byli ludzie zdolni okraść najuboższych z ubogich. To co do tej pory zobaczył w Fredericksburgu wskazywało, że owszem, byli i tacy.

Ikony świętych męczenników melancholijnie spoglądały drewnianymi oczyma w dół na odarty tłum. Chociaż tanie i zgrubnie namalowane, zostały powieszzone tak wysoko, by nikt w westybulu nie mógł do nich sięgnąć bez drabiny. Jakże mało zaufania w tym świecie, pomyślał. To takie smutne, że służący Shallya'i musieli ochraniać się przed tymi, którym nieśli pomoc. Rozglądając się po otaczających go ludziach, uznał że istotnie było to smutne - ale mądre. Ci ludzie wyglądali ordynarnie.

Stary człowiek leżał płacząc na podłodze. W nocy jego drewniana noga została oderwana z kikuta nad kolanem. Ktoś ją ukradł lub schował. Nieszczęśnik czołgał się rozpaczliwie, pytając ludzi czy jej nie widzieli. Starsza kobieta o twarzy zrujnowanej przez ospę, siadła kaszląc w zaplamioną krwią chusteczkę. Dwoje dzieci ledwo zaczynających nastoletnie lata leżało na podłodze obejmując się z zimna. Gdzie się podzieli ich rodzice? Czy dzieci były uciekinierami, czy sierotami? Jedno z nich usiadło, ziewnęło i uśmiechnęło się. Dziewczynka miała jasne potargane włosy i pełna była nadziei młodości. Felix ciekaw był, ile czasu upłynie zanim życie wykopie z niej tę naiwność.

Stary szaleniec, który spędził zeszłą noc wyjąc, że zbliża się koniec świata usnął nareszcie. Jego paplanie o raku toczącym granice świata, oraz szczurach podgryzających podstawy gór znalazło drogę do snów Felixa i sprowadziło na niego koszmary o rzeczach, jakie widział pod Karakiem Osiem Szczytów. Felix ciaśniej owinął się płaszczem i starał się zignorować klujący ból w

łopatkach.

Wokół niego żebracy podnosili się ze słomianych sienników, drapiąc się po ukąszeniach pcheł i sunąc w kierunku prowizorycznego stołu na dalekim końcu świątynnego westybulu. Odziane w biel kapłanki bogini nalewały do drewnianych misek kapuśniak, czerpiąc z wielkiej mosiężnej wazy.

- Lepiej siem pospieszta, jeśli chceta śniadanie - powiedział brudny stary wojownik o kalafiorowatych uszach. Smród nędznego alkoholu w jego oddechu zwał z nóg. - Któren pierwej przyjdzie, pierwej zje. Hojność łaskawej bogini nie jest bezgraniczna.

Felix położył się na plecach i przyglądał popękanemu otynkowaniu sufitu. Fresk bogini uzdrawiającej pięć setek chorych nad rzeką w Nuln z wolna łuszczył się w wilgoci. Gołębice usadowione na jej ramieniu były niemal bezkształtnymi plamami. Ten widok sprowadził wspomnienia z jego dzieciństwa.

Pamiętał długą chorobę matki, gdy szła modlić się do świątyni. Miał wówczas dziewięć lat i on oraz jego bracia nie mogli zrozumieć czemu matka tak często kaszle i spędza tak wiele czasu w świątyni. Przebywanie tam nudziło ich - chcieli bawić się na zewnątrz w słońcu, a nie tkwić w środku ze spokojnymi ubranymi w biel starowinkami z ich niekończącymi się śpiewami. Patrząc wstecz, rozumiał teraz blady wygląd matki i jej cichą recytację Litanii Skruszonych. Zaskoczyła go siła i ból wspomnień, chociaż minęło prawie trzysta lat. Zmusił się, by usiąść prosto, wiedząc że musi opuścić to miejsce.

Gotrek leżał na słomianym łóżku obok niego, głośno chrapiąc. Podczas snu jego twarz była osobliwie niewinna. Surowe rysy wyryte w szorstkim obliczu znikły, nadając mu niemal młody wygląd. Po raz pierwszy Felix zastanowił się nad wiekiem Zabójcy. Jak wszystkie krasnoludy otaczała go aura pewności siebie, która sugerowała wielkie doświadczenie. Z pewnością wszystko, co dotyczyło Zabójcy wskazywało na to, że wycierpiał dość na całe ludzkie życie.

Felix rozmyślał o długości życia krasnoludów. Wiedział, że nie są prawie nieśmiertelne, jak powiada się o elfach, ale żyły długo. Jak stary był Zabójca? Potrząsnął głową. To była kolejna tajemnica. Zaskakujące, jak niewiele wiedział o swoim towarzyszu, pomimo całego czasu wspólnej wędrówki. Z pewnością, w obecnym stanie Gotrek nie będzie potrafił udzielić mu żadnych odpowiedzi.

Pchnął Zabójcę końcem buta, zauważając jak zdarta jest niegdyś znakomita skóra. Rzucił okiem na grupę włóczęgów i żebraków ustawiających się w kolejce przed kapłankami i wypełniających powietrze dźwiękami chrząknięć, kaszlu i splunięć. Dostrzegł zniszczenie swojego ubrania i rynsztunku, z trwogą zdając sobie sprawę, że pasuje do otoczenia. Kapłanki nawet nie spojrzały na niego dwa razy. On i Zabójca wyglądali pośród żebraków jak w domu.

Pomyślał o pragnieniu Gotreka, aby zostać zapamiętanym jako epicki bohater. Czy chciał, aby o tym wspomnieć w poemacie, zastanawiał się Felix? Czy Sigmar i inni wielcy bohaterowie cierpieli takie poniżenie?

Z pewnością pieśniarze ballad nigdy o tym nie wspominali. W ich opowieściach wszystko zawsze zdawało się czyste i proste. Sigmar odwiedził dom nędzarzy tylko raz i to w przebraniu, realizując jakiś swój przebiegły plan. Cóż, pomyślał, być może gdy opiszę ten epizod w opowieści, właśnie tak to przedstawię. Uśmiechnął się ironicznie na myśl o wszystkich historiach o wędrownych bohaterach, które czytał za młodu. Może inni gawędziarze podjęli podobną decyzję. Może zawsze się tak działo.

Stara kobieta kasłała głośno i długo. Zdawało się, że trwa to wieczność. W jej piersi grzechotało, jakby rozsypały się kości. Była chuda, blada i najwyraźniej umierała. Patrząc na nią, przez moment Felix zobaczył twarz swojej matki - chociaż Renata Jaeger odziewała się wytwornie i była żoną

mającego kupca.

Spojrzał raz jeszcze na fresk bogini nad głową i ofiarował jej cichą modlitwę o uzdrowienie Zabójcy i za duszę matki. Jeśli Shallya usłyszała, nie dała żadnego znaku. Felix ponownie szturchnął Gotreka.

- Chodź bohaterze. Czas się zbierać. Musimy stąd iść. Mamy wdrapać się na górę i długą drogę do przebycia.

Tawerna była niemal pusta, nie licząc oberżysty i nadal śpiącego w kącie pijaka zwiniętego w pobliżu popiołów ogniska. Stara kobieta na czworakach zmywała drewnianą podłogę. Jej twarz zakrywał welon opadających szarych włosów. Potężny topór Gotreka nadal oparty był obok paleniska, tam gdzie go zostawił krasnolud.

W świetle dnia, przesączonego przez małe szklane szybki, wewnątrz wyglądało całkowicie inaczej niż noc wcześniej. Tuzin stołów, które początkowo wyglądały tak zachęcająco teraz były opuszczone. Okrutne słońce pokazywało każdą rysę i zadrapanie na blacie baru, oraz odkrywało kurz na glinianych butelkach grogu za ladą. Felixowi wydawało się, że dostrzega martwe insekty unoszące się na powierzchni beczki ale. Stwierdził, że mogły to być ćmy.

Opuszczona przez ludzi tawerna wyglądała na większą i przypominała jaskinię. Powietrze wypełniał silny zapach łożowych świec i przypalonego pieczonego mięsiwa. Izba śmierdziała nieświeżą tabaką i kwaśnym winem. Brak bełkoczących głosów, sprawiał że głos mówiącego odbijał się echem od pustych ścian.

- Wy dwaj, czego chcecie? - zimno spytał właściciel. Był wielkim dość otyłym mężczyzną, z włosami zaczesanymi na czubku głowy, aby ukryć łysinę. Miał czerstwą twarz, a jego nos i policzki pokrywały drobne pęknięte żyłki. Felix zgadywał, że gospodarz musiał wypróbować zbyt wiele własnych towarów. Ignorując zarówno karczmarza, jak i ból swoich mięśni, Felix podszedł i podniósł topór. Gotrek stał gdzie zostawił go Felix, gapiąc się tępo wokół siebie.

Waga broni zaskoczyła go. Ledwo mógł ją poruszyć jedną ręką. Złapał wyżej, by chwycić rękojeść oburącz i podniósł topór wyobrażając sobie jak nim wymachuje. Nie potrafił. Rozpęd masywnej głowicy pozbawiłby go równowagi. Pamiętając Gotreka używającego topora w krótkich rąbiących uderzeniach i nagłe zmiany kierunków zamachu, Felix znacznie nabrał szacunku dla siły krasnoluda.

Ostrożnie obracając oboma rękami przyglądał się ostrzu. Wykonane zostało z gwiezdne metalu, nie przypominającego żadnej stali na tej ziemi. Szary materiał pokrywały niesamowite błękitne runy. Broń była ostra jak brzytwa, chociaż Felix nigdy nie pamiętał by ją Gotrek ostrzył. Zaspokoiwszy swoją ciekawość, oddał topór Zabójcy. Gotrek ujął go z łatwością jedną ręką i obrócił w dłoni jakby badając do czego służy. Zdawał się całkiem zapomnieć jak się tego używa. To nie był dobry znak.

- Pytałem, czego chcecie? - gospodarz gapił się na nich. Felix wiedział, że pod pozorem surowości, karczmarz był zdenerwowany. Jego twarz była czerwona, a na górnej wardze widać było cienki wąż potu. W jego głosie wyczuwało się słabiutkie drzenie. - Nie chcemy tu takich. Przychodzą i przeszkadzają naszym stałym gościom.

Felix podszedł i oparł się ugiętymi łokciami o bar.

- Nie prosiłem się o kłopoty - rzekł miękko. W jego głosie była groźba. - Ale teraz o tym myślę.

Mężczyzna przełknął ślinę. Jego oczy uniosły się tak, że spoglądał ponad głowę Felixa, ale głos nabrał nieco pewności.

- Hrmph... włóczęgi bez grosza, przyłóżą z dziczy, zawsze czyniąc zamieszanie.

- Dlaczego tak bardzo boisz się młodego Wolfganga? - zapytał nagle Felix. Czuł w sobie gniew. Nie zrobił niczego złego. Oczywiście było, że Wolfgang miał jakieś wpływy w tym mieście i że

karczmarz stawał po jego stronie przez dbałość o swój interes. Felix wcześniej widział takie rzeczy w Altdorfie. Tam także mu się nie podobały. - Czemu kłamiesz?

Oberżysta odłożył polerowane szkło i spojrzał na Felixa.

- Nie przychodź do mojej własnej tawerny i nie nazywaj mnie kłamcą. Każę cię wyrzucić.

Felix czuł nerwowe drganie w żołądku, jakie odczuwał zawsze gdy zbliżała się przemoc i on to przewidywał. Położył dłoń na rękojeści swojego miecza. Tak naprawdę nie bał się karczmarza, ale osłabiony w obecnym stanie nie był pewien, czy podoła wielkiemu mężczyźnie. Ale duma nadal cierpiała od wczorajszego łomotu i pragnął komuś za to odpłacić.

- Więc czemu tego po prostu nie zrobisz?

Poczuł pociągnięcie za ramię. To był Gotrek.

- Chodź Felix. Nie chcemy żadnych kłopotów. Musimy ruszyć w góry.

- Tak, czemu nie posłuchasz swojego małego przyjaciela i nie odejdziesz, zanim nie dam ci lekcji dobrych manier.

Poczuł jak jego stopy zaczęły się ślizgać nie znajdując oparcia, gdy Gotrek ciągnął go niezachwianie ku drzwiom.

- Dlaczego każdy kogo tutaj spotykam, chce mnie uczyć dobrego wychowania? - zapytał wyciągany na zewnątrz Felix.

Greta czekała na nich na rogu ulicy w pobliżu bramy. Stała obok stoiska z pasiastego płótna, które rozkładał ciastkarz oczekujący dzisiejszych klientów. Jej oczy były opuchnięte i nabrzmiałe jakby płakała. Felix zauważył siniak na jej szyi, gdzie ktoś bardzo mocno ją schwycił. Widać było także ślady po paznokciach. Miała włosy w nieładzie i podarte ubranie, jakby ktoś w pośpiechu próbował je ściągnąć.

- Co się stało? - spytał Felix. Nadal był wściekły na karczmarza i pytanie zabrzmiało zbyt gwałtownie. Spojrzała na niego jakby chciała płakać, ale jej twarz stała się harda i nieruchoma.

- Nic - powiedziała. Ulice zaczęły się wypełniać wolnymi farmerami przybyłymi, by sprzedać jaja i plony. Poranni przechodnie gapili się na nich: pobity młodzieniec i sponiewierana dziewczyna z karczmy. Obok przetoczył się wózek zbieracza nocnych fekaliów. Felix osłonił usta przed smrodem. Gotrek po prostu gapił się zafascynowany na koła przejeżdżającego wozu.

- Czy ktoś cię zaatakował? - zapytał, starając się zabrzmieć bardziej łagodnie, teraz gdy zobaczył jak bardzo jest wstrząśnięta.

- Nie. Nikt mnie nie zaatakował. - Jej głos pozbawiony był emocji. Widział podobny wyraz na twarzach ocalałych z masakry Fortu von Diehl. Może była w szoku.

- Co się stało zeszłego wieczora?

- Nic!

Tłący się w nim gniew zaczął się skupiać na niej. Rozmyślna niechęć do rozmowy czyniła z niej cel ledwo wstrzymywanej furii. Zrozumiał jak bardzo rozgniewało go bicie, które otrzymał. Był zły nie tylko z powodu bólu, ale także ze względu na własne poczucie bezsilności. Zmagał się, by nie wyładować tego gniewu na niej.

- Czego zatem chcesz ode mnie, Greto? - Jego głos był na krawędzi gniewu. Chciał się zająć swoimi sprawami i nie mieszać do problemów innych ludzi. Ból, zmęczenie i gniew przemogły jego zdolność do współczucia.

- Wychodźcie z miasta, prawda? Zabierzcie mnie ze sobą. - To było niemal błaganie, najbliższe jakiegokolwiek emocji od czasu rozpoczęcia rozmowy.

- Idę w góry, aby zdobyć słoneczne kwiecie dla Kryptmanna. To będzie niebezpieczne. Ostatnim razem gdy tam byłem, spotkaliśmy hordę mutantów. Teraz nie mogę cię zabrać. Ale wrócę gdy

Gotrek się wyleczy. Później ruszymy na północ. Będiesz wtedy mogła z nami pójść, jeśli zechcesz.

Niezbyt podobała mu się myśl zabierania ze sobą dziewczyny w długą, niebezpieczną drogę do Nuln. Nie podobał mu się także ryzykowny pomysł opiekowania się nią po drodze, ale czuł że jest jej coś winien, że przynajmniej to może zaproponować. Nawet jeśli okaże się dla nich ciężarem.

- Chcę iść z wami teraz - powiedziała. Była bliska płaczu. - Nie wytrzymam tu dłużej.

Felix ponownie poczuł wolno rozpalający się gniew i zaskoczyła go własna gruboskórność.

- Nie. Poczekaj tutaj. Idziemy tylko w góry. Nie będzie nas jeden dzień. Wrócimy po ciebie.

Czuwanie nad Gotrekiem będzie wystarczająco ciężkie. Naprawdę teraz nie mogę cię z nami zabrać. To zbyt niebezpieczne.

- Nie możecie mnie tu zostawić, nie z Wolfgangiem - rzekła nagle. - To potwór.

- Idź do Kryptmanna. To twój przyjaciel. Zaopiekuje się tobą zanim wrócimy.

Wyglądało, że chce powiedzieć coś więcej, ale dostrzegła nieustępliwy wyraz jego twarzy, odwróciła się i uciekła. Widok dziewczyny znikającej na końcu ulicy sprawił, że Felix poczuł się winny. Chciał zawołać, powiedzieć by wracała, ale zanim zdążył podjąć decyzję, dziewczyna była daleko.

Felix wzruszył ramionami i skierował się ku bramie.

Felix cieszył się zostawiając za sobą miasto. Gdy byli już na falistych wzgórzach, z Gotrekiem szurającym stopami obok niego, wciągnął czyste powietrze i poczuł się wolny od zepsucia i ubóstwa Fredericksburga. Patrząc na chłopów uprawiających długie pasy ziemi, radował się że nie żyje jak oni, przykuty do ziemi w codziennym wyczerpującym znoju.

Na długich, kręconych polach uprawnych pracowały całe rodziny. Widział zgarbione kobiety z dziećmi w torbach na swoich ramionach, schylone by zbierać zboże. Patrząc, dostrzegł mężczyznę prostującego się, by pomasować plecy, jego cały kręgosłup zdawał się wygięty, jakby długie lata pracy na polach na stałe wpłynęły na jego posturę. Świniarczyk popędzał drogą swoje szczeciniaste świny w kierunku odległej wioski. Z leżących odłogiem pól dobiegał odór ekskrementów, nawozu z nocnych fekalii miasta.

Felix podniósł wzrok z pól ku dalekiemu horyzontowi. Poza polami uprawnymi zauważał las ciągnący się do gór. W świetle dnia szczyty przypominały piękne, potężne wieże wznoszące się dumnie nad niziną i przebijające obłoki. Stworzyły barierę wzdłuż horyzontu, niczym mur który wzniesli bogowie, aby oddzielić ludzi od boskiego królestwa i zatrzymać ich na bardziej dla nich odpowiedniej ziemi.

Szczyty obiecywały ciszę, chłód i ucieczkę - spokój. Nad głową wznosił się jastrząb, wlatując na prądach powietrznych - jasna plamka wolna od trosk śmiertelników. Szybował pod chmurami i Felix uznał go za posłańca gór, część ich ducha, żałował, że nie może być z nim, wysoko nad światem ludzi, odosobniony i wolny.

Ale gdy patrzył, jastrząb zaczął spadać. Pikował z nieba zmuszany głodem, albo być może zwykłą żądzą zabijania. Spod ziemi wyskoczył królik i popędził rozpaczliwie ku człowiekowi. Jastrząb uderzył w zwierzątko. Felix usłyszał trzask łamanego karku zwierzęcia. Siedząc na zdobyczy, jastrząb rozejrzał się wokoło jasnymi dzikimi oczami, po czym zaczął wydzierać kęsy mięsa ze ścierywa.

Zauważył jeźdźców, niepomnych szkody jakie ich konie czyniły kopytami rozgrzebującymi ziemię, pędząc przez puste pola do miejsca, gdzie wylądował jastrząb. Pomylił się. Jastrząb nie był posłańcem gór, lecz częścią otaczającego go zepsucia, dzikim stworzeniem trenowanym, by zabijać dla sportu.

Felix zauważył ze wzdrygnięciem, że pośród jeźdźców znajdował się Wolfgang, a pozostałymi byli jego poplecznicy z ubiegłej nocy.

Trzęsący się chód konia był nie do zniesienia. Wolfganga mdliło i to nie tylko na skutek efektów zbyt wielkiej ilości wina i przedawkowania błędnego korzenia. Był prawie chory ze strachu. Co zobaczyła dziewczyna gdy zdjął swoją szatę? Czy dostrzegła znamię Slaanasha? Na wszystkich bogów, jeśli zobaczyła i komuś powiedziała, konsekwencje będą po prostu przerażające.

Chciał pamiętać więcej. Żałował, że pozwolił sobie na tak silną mieszankę alkoholu i narkotyków. Jego głowa była niczym jajo, z którego próbuje się przebić dziobem jakieś demoniczne kurczę. Niech to Slaanesh porwie, pragnął by Otto i Werner wkrótce powrócili z wieściami o dziewczynie. Chciał zapomnieć o okropnej chwili gdy obudził się z pijackiej drzemki i zdał sobie sprawę, że jej nie ma.

Gdzie poszła, gdy wyrwała się z jego niezdarnego chwytu i zostawiła go rozwalonego na łożu? Jego pachwina ciągle bolała od dobrze wymierzonego kopnięcia kolanem, a podskoki konia niezbyt poprawiały sytuację. Zapłaci po tysiącuroc za te zniewagi.

Gdzie się mogła schować? Z pewnością nie było jej w głównej sali tawerny, ani w pokoikach dzielonych przez trzy karczmareczki. Czy poszła do świątyn szukać kapłana i wydała go? Ta myśl wywołała u niego drżenie.

Weź się w garść, mówił sobie. Myśl.

Przeklęty Heinrich! Kiedy ten tłusty głupiec skończy swoje piekielne szczebiotanie? Czy zamyka swoje usta tylko gdy przeżuwa jedzenie? Wyjazd na polowanie z jastrzębiem tego ranka był okropną pomyłką. Nie odciągnął go od jego trosk, jak miał nadzieję. Polowanie zmuszało jedynie do wytrzymywania tortury towarzystwa Heinricha.

Heinrich pojawił się o świcie ze swoją propozycją sportu. Naprawdę miał nadzieję zwąchać się z wieśniaczką, ale oczywiście jej tam nie było. Teraz jest przekonany, że Wolfgang gdzieś ją ukrył i chce zatrzymać dla siebie. Przez cały ranek Wolfgang był zmuszony tolerować jego próżne insynuacje i chłopięce żarciki. Duma powstrzymywała go przed poproszeniem towarzysza o pomoc w odszukaniu Grety. Wolfgang nie zdzierzyłby utraty twarzy wobec tak wstrętnego ropucha co Heinrich.

- Popatrz, Wolfgang, oto ci dwaj włóczędzy, których wyrzuciłeś z tawerny. Czyż krasnolud nie wyglądał głupio, kiedy Otto i Werner wrzucili go do beczki ale? Chodź, zażyjemy jeszcze więcej zabawy.

Heinrich poprowadził procesję konnych ku dwóm nieznajomym. Jastrzębica Tarna przez przypadek wylądowała w ich pobliżu i siedziała wydzierając mięso ze swojego łupu. Typowe, obżeranie się ptaków grubego Heinie, pomyślał Wolfgang. Cała przeklęta rodzina miała problemy z powstrzymaniem apetytu, więc czemu nie miało do dotyczyć także ich ptactwa?

Zatrzymał swojego rumaka możliwie blisko jasnowłosego młodzieńca. Z lekką satysfakcją zauważył jak nieznajomy powstrzymał się od cofnięcia przed zwałistym zwierzęciem. Krasnolud dał krok w tył, najwyraźniej onieśmielony masą konia.

- Dzień dobry - rzekł Wolfgang tak wesoło jak tylko mógł ze wzburzonym żołądkiem. - Już w formie, jak widzę. Musieliśmy mieć równie ciężką noc. Wierzę, iż dzisiejszego ranka nie masz chęci na towarzystwo - Wolfgang zerknął w prawo i lewo na ochroniarzy Heinricha, upewniając się, że padalce wiedzą kto tu rządzi.

Na twarzy młodego mężczyzny gniew walczył o lepsze ze zdrowym rozsądkiem.

- Czuję się dobrze - odparł wreszcie Felix.

Wolfgang usłyszał w głosie mężczyzny wysiłek, by zachować nad sobą kontrolę. Młody go nie lubił, to było pewne.

- Nie ma też powodu, by przejmować się twoją przyjaciółką. Wolfgang się nią opiekuje. Na Slaanasha! Heinrich psuje mu całą zabawę, pomyślał Wolfgang. Następnie do mózgu

Wolganga przesaczyły się jego słowa. Tak, Greta opuściła tawernę tuż po wyrzuceniu obcego. A on nie zobaczył jej zanim nie pojawiła się u jego drzwi. Może Heinrich nie był wcale taki głupi.

- Jaką przyjaciółką? - Jasnowłosa mężczyzna wyglądał na naprawdę zdezorientowanego. Potarł starą ranę pojedynkową na swoim prawym policzku. Zmarszczył swoją gładką brew.

- Śliczną Gretą - zapiał Heinrich. - Pewnie pomyślałeś, że czuje do ciebie miętę, kiedy wyszła za tobą na ulicę. Może wyobrażałeś sobie jej miękkie wieśniacze serce rozpalone przez twoją niedolę. Cóż, spędziła ostatnią noc grzejąc łożo Wolganga.

Wolfgang skrzywił się. Gdybyż to była prawda.

Dłoń włóczyci powędrowała do rękojeści miecza. I pozostała tam, pomimo faktu, że ludzie Heinricha dobyli swojej broni. Człowiek zerknął na krasnoluda, jakby z nawyku. Krasnolud zatrzymał się przyglądając się jastrzębiowi. Spojrzał pustym wzrokiem na jeźdźca. Topór luźno tkwił w jego dłoni, jakby nie całkiem wiedział co z nim zrobić.

- Nie chcemy żadnych kłopotów - powiedział mężczyzna. Odsunął dłoń od swojego miecza.

Ochroniarze prychnęli śmiechem. Wolfgang pragnął, by głowa nie bolała go tak bardzo, by mógł spokojnie pomyśleć. Strasznie chciał zapytać młodego, czy nie widział dziewczyny, ale duma powstrzymywała go przed wypytywaniem w obecności swoich towarzyszy. Chciał znaleźć jakieś wyjście ze swojego dylematu, ale rozwiązanie niestety nie nadchodziło. Życie bywa czasami ciężkie, pomyślał.

Pomyślał, że dziewczyna nie mogła uciec zbyt daleko. Jeśli nadal pozostawała w mieście, Werner i Otto w końcu ją znajdą. A jeśli zdecydowała się zaryzykować gniew jej pana i uciekła z powrotem do chłopskiej społeczności, będzie musiała przejść przez te pola. Zatem przeczesanie okolicy otaczającej miasto wkrótce wskaże jej kryjówkę. A to polowanie stanowi szczególnie dobry pretekst dla realizacji owego planu.

Poza tym, rozumował, nikt nie przyszedł go szukać, zatem jeszcze nic nikomu nie powiedziała. Nawet jeśli to zrobiła, czy ktokolwiek da jej wiarę: wiejski flejtuch oskarżający syna najbardziej wpływowego kupca w mieście? Pozwolił sobie na uśmiech. Dobrze było wiedzieć, że nadal może być błyskotliwy, mimo koszmarnego kaca.

- Chodź, Heinrich - powiedział z dostojeństwem. - Zostawmy tych dwóch klaunów. Niech wracają do swego cyrku. Zbyt piękny to poranek, aby marnować czas na konwersację z prostytutkami.

Delikatnie uderzył ostrogami boki swego wierzchowca i zwalczył opanowujące go fale nudności gdy zwierzę ruszyło. Teraz wszystko wydawało się być niemal w porządku. Obiecał sobie, że kiedy dziewczyna zostanie znaleziona, zapłaci za poddanie go tak straszliwym, a co gorsza nudnym uderkom.

Wzgórza wznosiły się ku szczytom, a ich krzywizny przypominały Felixowi fale. Ponad nimi wyrastały góry, pasmo nad masywnym pasmem, blokując horyzont jakby wystającymi zębami swojej potęgi.

Felix obawiał się pewnych problemów z odnalezieniem drogi prowadzącej do Góry Czarnej Ognia, ale ścieżka była w oczywisty sposób widoczna. Stanowiła po prostu odnogę dróżki, którą Gotrek i on przebyli schodząc poprzedniego dnia ze wzgórz.

Ból ud i łydek wskazywał, że droga zaczęła się wznosić. Okrążała zbocze góry łukiem długości niezliczonych stóp. Felix zastanawiał się, czy alchemik kiedykolwiek szedł tą drogą, czy też stanowiła ona pozostałość tras mniej ludzkich wędrowców. Niektóre ze znaków wrytych na skałach miały zgrubną formę oka, lecz nie potrafił stwierdzić czy były to ostrzeżenia przed obecnością goblinów, czy też oznaczenia terytorium pozostawione przez samych zielonoskórych.

Gotrek wyglądał, jakby marsz sprawiał mu przyjemność. Mruczał do siebie nieskładną melodię i

wspinał się w górę stoku bez widocznego wysiłku. Wybierał swoją drogę po śliskiej ścieżce, znajdując oparcie dla stóp, którego Felix nie był w stanie dostrzec. Wkrótce człowiek uznał, że łatwiej będzie podążać śladami krasnoluda. Gotrek znajdował się w środowisku, do którego był zaadaptowany i najrozsądniejszym postępowaniem wydawało się pozwolić mu prowadzić.

Po plecach Felixa ściekał pot, a jego oddech stał się ciężki. Myślał, że nabrał krzepy po długiej podróży z Karaku Osiem Szczytów, ale wysiłek wspinaczki po tych wzniesieniach był straszny. Lanie jakie otrzymał oraz kuracja alchemika pozbawiły go sił. Obawiał się czy wytrzyma ciężką wspinaczkę. Będzie jeszcze gorzej jeśli spadnie deszcz z nadciągających groźnie chmur.

Surowość otoczenia, same sterczące głązy i wymieciony wiatrem grunt, pasowała do jego nastroju. Felix gotował się z nienawiści do Wolfganga Lammela. Oburzała go niedbała brutalność majątnego syna kupca i jego zepsuta arogancja. Za swoich dni w Altdorfie Felix widział tuziny takich jak on, ale nigdy nie stał się przedmiotem ich okrucieństwa. Chroniło go przed tym bogactwo ojca i jego status społeczny. W bardziej uczciwych chwilach, zmuszony był przyznać że być może on także raz zachował się nieco jak Wolfgang. Teraz doświadczał niesprawiedliwości jako ofiara i to mu się nie podobało.

Zrozumiał wreszcie, dlaczego Greta była taka poruszona. Starał się nie wyobrażać sobie co wydarzyło się między nią a Wolfgangiem, lecz myśl o Lammelu znęcającym się nad dziewczyną powracała do jego głowy i czyniła go na pół szalonym ze wściekłości. Przysięgł, że uleczy Gotreka i odpłaci za wszystko podlecowi. Przeklinając pod nosem brnął naprzód. Zwalczał ochotę krzyknienia na Zabójcę, by przerwał swoje piekielne mrużando.

Gotrek zniknął za brzegiem grzbietu wzniesienia. Felix przeklął gdy jego stopa poślizgnęła się na piasku ścieżki i upadł rozcinając sobie dłoń na małych kamyczkach. Ukąsił go ból. Uniósł głowę nad krawędź wzniesienia i zobaczył, że leży na miękkiej darni.

Felix zastanawiał się, dlaczego słoneczne kwiecie musiało rosnąć na najwyższych stokach tuż pod linią śniegu, czemu nie mogło rosnąć tutaj, na wzgórzach wśród reszty kwiatów. Po chwili wzruszył ramionami. W swoim życiu zrozumiał, że niewiele rzeczy przychodziło z łatwością. Może alchemicy używali tych składników tylko dlatego, że były trudne do znalezienia, aby zwiększyć mistycyzm swej sztuki. Nie zdziwiłby się w najmniejszym stopniu, gdyby okazało się to prawdą.

Usiadł i wziął następną pigułkę, by uśmierzyć ból pulsujący w głowie. Zanosił się na długi dzień.

Potężne wiecznie zielone drzewa porastały strome zbocza wąskiej doliny, niczym źdźbła na odwróconej ku niebu twarzy olbrzyma. Wysoko na prawo, wodospad opadał kilkoma seriami spektakularnych urwisk wysokich na ponad sto stóp, aby na koniec wpaść do małego jeziora w centrum dolinki. Dolinę okalały góry i Felix musiał unieść swą głowę, by dostrzec ich szczyty. Patrząc w dół spoglądało się jakby przez szczerbinkę celownika kuszy, ze wzrokiem skupionym przez linię szarych turni wznoszących się w dali.

Drażniący nos aromat dzikich róż mieszał się z zapachem kapryfolium. Splątane krzewy walczyły ze sobą o przestrzeń, unosząc kwiaty niczym kolorowe hełmy czujnych armii. Ciekaw był, czy wśród nich dałoby się znaleźć odrobinę słonecznego kwiecia, po czym przypomniał sobie co Kryptmann powiedział mu na temat miejsca zbierania magicznego składnika.

Jego wzrok przyciągnęło nagle poruszenie. Łeb wielkiego łosia dorównującego w kłębie wzrostowi mężczyzny pokazał się wśród krzaków naprzeciwko występu skalnego pięćdziesiąt jardów przed nim. Zwierzę ostrożnie spoglądało na dół jakby oceniało, czy bezpiecznie może zejść do wody. Felix obserwował z respektem ruch potężnego poroża.

Chmury rozstały się i dolinę oświetliły strumienie słonecznego światła. Do uszu człowieka

dobiegł szczebiot ptasich śpiewów i mieszał się z przytłumionym pomrukiem spadającej wody. Schylił się by podnieść sosnową szyszkę, ciesząc palce dotykiem jej ząbkowanych łusek.

Przez chwilę tkwił oczarowany pięknem tej sceny. Zniknęły nawet myśli o rewanzu na synu kupca. Czul się zrelaksowany i pełen spokoju, a ból obtłuczeń chwilowo ustał. Cieszył się, że mógł zobaczyć to miejsce, że sprowadziły go tutaj wszystkie kroki jego długiej wędrówki. Wiedział, że będzie jednym z niewielu ludzi, jacy kiedykolwiek zobaczyli tę dolinkę. Ta myśl była przyjemna.

Obecność łośia we właściwy sposób uzupełniała scenerię. Sprawiała, że wyglądało to na doskonale skomponowany pejzaż na obrazie. Potem uderzyło go, że być może dość dziwne jak na łośia jest podnoszenie rogu do ust masywną, podejrzanie ludzką ręką. Następnie doliną wstrząsnęło echo sygnału i zanim wygasło, do mózgu Felixa dotarło, że nie zobaczył łba łośia. Była to głowa splugawionego Chaosem.

Rzucił szyszka w kierunku jeziora i naciągając na siebie płaszcz chroniący przed nasilającym się chłodem, ruszył naprzód w górę za Gotrekiem. Rozejrzał się za oznakami pościgu, ale żadnych nie dostrzegł. Nigdzie nie widać było nawet mutanta o głowie łośia.

Teraz Felix wiedział z pewnością, że byli śledzeni. Patrząc wstecz na wijącą się ścieżkę zauważał bandę prześladowców. Gromadzili się za nimi przez całe długie popołudnie, gdy wspinał się z Gotrekiem po zboczu góry. Droga powrotna do Fredericksburga została odcięta.

Zatrzymał się i pozwolił uspokoić się oddechowi oraz sercu. Próbował policzyć śledzących, ale było to trudne. Półmrok wczesnego wieczora sprawiał, że stwory stapiały się z szarością powierzchni skał. Felix uczynił na piersi znak młota i polecił swoją duszę Sigmarowi.

Zawsze wiedział, że zginie w jakimś zapomnianym przez ludzi miejscu. Jego udział w misji krasnoluda czynił to nieuniknionym. Nie wyobrażał sobie jednak, że stanie się to tak szybko. Gotrek nawet nie doczeka swojej heroicznej śmierci. Zabójca był zbyt zajęty bezmyślnym gapieniem się w przestrzeń, niepomny niebezpieczeństwa.

Początkowo łatwo było udawać, że nic się nie dzieje, że dmąca w róg bestia była tylko samotnym stworem zbyt lękającym się zadzierania z dwoma dobrze uzbrojonymi podróżnymi. Ale z upływem dnia, wszystko zaczęło wskazywać, że jest inaczej.

Kiedy Felix zauważył w błocie otaczającym bród ślady kopyt mieszające się ze szponiastymi odciskami ludzkich stóp zignorował je jako stare pozostałości czegoś niewartego uwagi. Ale nawet wówczas poluzował swój miecz w pochwie.

Nieco później, gdy Felix wyszukiwał drogę brnąc w górę za plecami niedbałego Gotreka, dostrzegł dotrzymujące im kroku bezkształtne postacie. Przemykały się od drzewa do drzewa po obu stronach ścieżki. Starał się im przyjrzeć uważniej, ale cień pod sosnami zakrywał wszystko nawet przed jego bystrzymi oczami. Jedyne co pozostało to wrażenie mackowatych kształtów chowających się ostrożnie przed wzrokiem.

Poczuł napięcie nerwów. Miał ochotę ruszyć pod baldachim drzew i szukać swych wrogów. Ale co jeśli zgubi ścieżkę? Albo jeśli okaże się, że jest ich więcej niż dwa stwory? Niejasne podejrzenia uniemożliwiały działanie. Odsunął od siebie obawy i wspinał się dalej.

Nie mógł znieść hałasu wydobywanego z trąbiącego w pobliżu rogu i odpowiedzi podobnego po drugiej stronie ścieżki. Wiedział, że przekłęci zbliżali się, że zbierali się na ucztę. Czul pokusę zatrzymania ich, skończenia z tym - ale jakiś impuls zmuszał go do nieprzerwanej wspinaczki ku linii zalegania śniegu.

Powiedział sobie, że popycha go pragnienie wędrówki, nie poddawania się w obliczu pewnej zagłady, ale był dość uczciwy wobec siebie, by wiedzieć że jest to tylko strach. Nie chciał spotkać mutantów, pragnął odłożyć nieuchronny koniec na tak długo jak to możliwe.

Stał na górkim grzbiecie tuż pod granicą śniegu i spoglądając na dół wiedział, że zbliża się koniec. Zakończy życie tutaj, w tym zimnym, wietrznym, jałowym miejscu, równo z końcem dnia. Nie będzie zemsty na Wolfgangu, nie będzie powrotu do domu w Altdorfie, nie będzie poematu dla Gotreka.

Spojrzał na stojącego obok Zabójcę, niezdarnie trzymającego topór i przyglądającego się nadchodzącym mutantom. Felix doliczył się ich około dziesięciu. Na przedzie znajdował się znajomy otłuszczony olbrzym. Serce zmartwiało mu jeszcze bardziej. Rozważał nawet błaganie o łaskę, lub ofertę okupu, wszystko co może przedłużyć mu życie. Z pewnością jednak otyły olbrzym pragnie zemsty za wczorajszą rzeź.

Chwileczkę - cóż to rośnie u jego stóp? Małe żółte kwiatki wyrastały w kępkach z płytkiej ziemi pod osłoną grzbietu góry. W świetle zachodzącego słońca zrozumiał, że odnalazł to po co został wysłany. Zdawało się, że szanse są niewielkie, ale...

Szybko zerwał kilka kwiatów i rzucił je Gotrekowi.

- Zjadaj je - rozkazał. Zabójca Trolli spojrzał na niego jak na szaleńca. Powoli jego oblicze zmarszczyło się z namysłu.

- Nie chceć jeść kwiatki - powiedział zadziwiony.

- Po prostu zjadaj je! - ryknął Felix. Niczym speszzone dziecko, Zabójca wepchnął rośliny do ust i zaczął żuć.

Felix przyglądał mu się uważnie, mając nadzieję, że zauważy u krasnoluda oznaki jakiejś zmiany, nagłego, cudownego powrotu do jego starej dzikości wywołanego przez podobno magiczne działanie kwiatków. Nie widział żadnych zmian.

Cóż, i tak nadzieja była niewielka, mówił sobie.

Mutanci byli już blisko. Felix widział, że z pewnością są to ocalali z bandy, która ich poprzednio zaatakowała. Gotrek splunął przezutymi żółtymi płatkami i przysunął się do Felixa.

No cóż, uznał Felix, lepiej spotkać śmierć z mieczem w dłoni. Przynajmniej zabierze ze sobą do Piekła kilku spaczonych. Gdy wyciągnął swoją gładką broń, blednące słońce odbiło się od ostrza i sprawiło, że runy zaślniły. Felix przyjrzał im się po raz pierwszy. Zbliżająca się śmierć wyostrzała mu zmysły. Jak nigdy wcześniej podziwiał rzemiosło owych starych krasnoludzkich mistrzów. Zastanawiał się, co oznaczają runy, co określa ich zagmatwana symbolika. Nigdy nie dowie się tak wielu rzeczy, a tak wiele chciał poznać.

Mutanci zatrzymali się pięćdziesiąt kroków dalej, a ich olbrzymi przywódca spoglądał przymkniętymi oczami na Felixa. Po chwili szturchnął jeleniogłowego mutantą w ucho i ruszył.

Felix rozważał czy powinien zaatakować splugawionego z nadzieją, że uda mu się zabić. Być może to złamałoby morale jego sprzymierzeńców. Miecz przeciw wielkiej kamiennej pałce. Z pewnością mógł wygrać jeżeli nie wtrąca się pozostali. Wraz z tą myślą powróciło coś na podobieństwo odwagi. Istniała pewna nadzieja. Skrzywił się w feralnym grymasie, strach go opuścił, a sytuacja prawie zaczęła go bawić.

Przywódca zatrzymał się kilka kroków przed Felixem, jak wielka trzęsąca się góra tłuszczu, opasana utwardzoną skórą i wieloma broniami. Zwały cielska opadały z jego lica kaskadą niczym lój topiący się na świecy. Wielka bezwłosa głowa była niczym balon mięsa z maleńkimi dziurkami na oczy, nos i usta. Ku zdumieniu człowieka, stwór wydawał się dość zdenerwowany.

- Nie uda ci się mnie oszukać - powiedział wreszcie mutant. Jego głos brzmiał jak dudnienie wielkiego dzwonu. Dobywało się z szerokiej piersi stwora. Felix był tak blisko, że słyszał flegmatyczny, charczący oddech.

- Co? - rzekł zaskoczony Felix. Czy to był podstęp?

- Przejrzałem twój plan. Próbujesz nas wciągnąć w zasięg topora twojego przyjaciela, żeby nas posiekał.

Niesłuszność tego podejrzenia zmroziła Felixa. Oto stał tu oczekując mężnie śmierci, a jego obrzydliwy przeciwnik uważa, że jest inaczej.

- Musisz nas brać za kompletnych idiotów. Cóż, spaczeń nie zniszczył naszych mózgów jak to zrobił z ciałami. Jak bardzo głupi jesteśmy według ciebie? Twój przyjaciel udaje, że jest przestraszony, ale my go poznajemy. To ten który zabił Hansa, Petera i Gretchen. I wszystkich pozostałych. Znamy go i znamy jego topór i nie zwabisz nas w zasięg jego cięcia.

Felix czuł się oszukany, teraz gdy zebrał swą odwagę, by mężnie spojrzeć śmierci w oczy. Chciał żądać, by ruszyli z atakiem.

- Rzekłem Gormowi Łosiołowemu, że zdaje mi się iż was znam, ale on odparł „Nie”. Cóż, miałem rację, a on się mylił, a nie zebrałem klanu tylko po to, byście ty i twój straszny przyjaciel mogli zebrać łup w postaci głów mutantów.

Felixowi powoli świtało co się dzieje. Wyrok śmierci został zawieszony. Zmusił się do zamknięcia ust, zanim go zdradzą.

- Nie! Możesz myśleć, że jesteś sprytny, ale jesteś nie dość sprytny. Oto pułapka, w którą nie wpadniemy. Jesteśmy zbyt chytry dla ciebie. Chciałem tylko, żebyś to wiedział.

Powiedziawszy to, przywódca mutantów odwrócił się wolno i ostrożnie odszedł. Felix obserwował wstrętą bandę stapiającą się z ciemnościami i dopiero wówczas wypuścił powietrze z płuc. Przez chwilę stał znieruchomiały. Zmrok na pobliskich szczytach był najpiękniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek widział. Cieszył go nawet chłód i ból rozdzierający mu dłoń. Był to znak, że nadal żyje.

- Dzięki ci Sigmarze, dzięki ci! - krzyknął, niezdolny powstrzymać radość.

- Co tak krzyczysz? - spytał zaciekawiony Gotrek.

Felix powstrzymał nagle pragnienie przebicia go mieczem. Zamiast tego klepnął krasnoluda w plecy. Po chwili doszło do niego, że utknęli w górach aż do ranka. Nawet ta myśl wydawała się znośna.

- Szybko, musimy zebrać kwiaty - rzucił Felix. - Słońce jeszcze nie zaszło!

- Kto tam? - ostrożnie spytał ze środka Lothar Kryptmann, gdy Felix zabębnił do jego drzwi. - Czego chcesz?

Był dopiero wczesny ranek i Felixa zaskoczyła nieufność z jaką witał ich alchemik.

- To ja. Felix Jaeger. Wróciłem. Otwieraj! - Czy to tylko jego wyobraźnia, czy głos Kryptmanna brzmiał bardziej nerwowo niż zwykle, zastanawiał się Felix? Odwrócił się i spojrział na ulicę. Światła przeświecały przez szczeliny w zasłoniętych oknach. W oddali słyszał tętent końskich kopyt na kamieniach bruku i zgrzyt metalowych kół powozu zmierzającego ku tawernie na rynku miasta. Jakiś bogacz szuka zabawy, pomyślał.

- Zaraz! Zaraz! Idę.

Felix przestał pukać. Zakasłał. Ze swoim szczęściem musiał się przeziębici na tym nagim górskim szczycie. Otarł pot gorączki z czoła i ciaśniej owinał się płaszczem przeciw zimnej mgłę. Spojrział na Gotreka, który stał głupowato na schodach prowadzących do sutereny, trzymając zebrane kwiaty. Jak zwykle Zabójca nie okazywał żadnych oznak choroby.

Bolce przesunęły się w drzwiach. Łańcuchy opadły. Drzwi otworzyły się odrobinę. Przez szczelinę wylało się światło razem z drażniącym zapachem chemikaliów. Felix rozwarł drzwi mimo oporu alchemika i wtargnął do środka. Z zaskoczeniem zauważył Gretę stojącą w innych drzwiach komnaty. Najwyraźniej chowała się w dalszych pokojach.

- Proszę wejść, Herr Jaeger - powiedział rozdrażniony alchemik. Przesunął się na bok, by

wpuścić Gotreka.

- Wolfgang cię poszukuje - rzucił Felix do dziewczyny. Wyglądała na zbyt zastraszoną, by mówić.

- Czemu?

- Zostaw ją w spokoju, Herr Jaeger - rzekł Kryptmann. - Nie widzisz, że jest przerażona?

Przeżyła ciężki szok w łapach twojego przyjaciela, Lammela.

Kryptmann krótko opisał co zobaczyła Greta, gdy weszła poprzedniego wieczoru do kwater syna kupca. Kryptmann dyskretnie przemilczał cel jej wizyty, ale wspomniał o zauważonym przez nią stymencie Chaosu.

- Tego się obawiałem. Powinienem się domyśleć, gdy kazał mi dodać spaczeń do swojego błędnego korzenia. Z pewnością to wówczas zaczęło się rozwijać znamię demona.

- Dodawałeś spaczeń do błędnego korzenia? Spaczeń?

- Nie trzeba być tak zaskoczonym, mój młody przyjacielu. Jego stosowanie nie jest takie wyjątkowe w pewnych działaniach alchemicznych. Wielu szacownych praktykantów mej sztuki używa go w niewielkich dawkach. Jak zwykł powiadać mój stary nauczyciel na Uniwersytecie w Middenheim, sam wielki Litzenreich...

- Słyszałem, że Litzenreich został wyrzucony z uniwersytetu za swoje eksperymenty, oraz że Gildia Alchemików cofnęła mu licencję. To był spory skandal. Po prawdzie, ostatnio słyszałem, że został wygnany z Imperium.

- Pośród uczonych zawsze zdarzają się niesnaski. Litzenreich był po prostu człowiekiem wyprzedzającym swoje czasy. Spójrz na przykład ile czasu zabrało powszechne uznanie teorii Eisensterna, że słońce obraca się wokół ziemi. Za to twierdzenie spalono go na stosie.

- Bez względu na filozoficzne zalety twojej argumentacji, Herr Kryptmann, spaczeń jest wysoce nielegalną i niebezpieczną substancją. Jeśli dowiedziałby się o tym łowca czarownic...

Kryptmann jakby skurczył się w sobie.

- Dokładnie to samo powiedział mi Wolfgang Lammel - chociaż w jaki sposób wywiedział się o moich eksperymentach, nie mam pojęcia. Nabyłem spaczeń... substancję w bardzo małym, bardzo dyskretnym sklepiku w Nuln. U Van Niek'sa. Powiedziałem mu, że nie chcę z tym robić nic nielegalnego. Chciałem jedynie dowiedzieć się w jaki sposób transmutować ołów w złoto - a spaczeń jest samą esencją transmutacji.

- Zatem Wolfgang zobaczy jak się sprawy potoczą - mimo wysiłków Felix nie potrafił zdusić w swoim głosie nuty okrutnej satysfakcji. Doskonale. Zdemaskuje dekadencją świnię jako mutanta przed całym miastem. W ten sposób zapłaci za pobicie i oczywiście za to co uczynił Grecie.

- Nie wydasz mnie władzom, prawda, mój młody przyjacielu? Ostatecznie, pielęgnowałem twoje rany. Obiecuję, że jeśli mnie nie wydasz, nigdy więcej nie będę miał do czynienia ze spaczeniem.

Felix spojrzał na przestraszonego alchemika, nie miał nic przeciw niemu, a Kryptmann mógł dobrze zapamiętać swoją lekcję zajmowania się nielegalnymi substancjami. Ale nadal pozostawał problem poradzenia sobie z ochroniarzami niegodziwca. Musiał znaleźć rozwiązanie tego kłopotu.

- Herr Kryptmann, jeśli potrafi pan uleczyć mojego towarzysza zapewniam, że zapomnę o wszystkim co pan uczynił.

Felix bawił się bezmyślnie tłuczkiem i moździerzem, podczas gdy Kryptmann kontynuował swoją pracę. Ostre wyziewy wypełniły laboratorium, unosząc się z garnca, w którym alchemik zredukował kwiaty do żółtej mazi.

Zimny kamień tłuczka był dziwnie uspokajający. Ostry zapach słonecznego kwiecica przebijał się nawet przez zatkany nos. Wziął kolejne dwie lecznicze pigułki Kryptmanna i poczuł się lekko oddalony od tego wszystkiego. Chciał mieć wolną głowę, pragnął żeby zniknęły wszystkie bóle i

dolegliwości.

- Felix? - powiedział miękki głos, przywracając go rzeczywistości.

- Co takiego, Greto? - Nadal był zły. Kontakt z człowiekiem zamknął dystans między nim a światem, przerwał bariery stworzone wokół niego przez przeciwbólne lekarstwo Kryptmanna. Zapanował nad swoim gniewem.

- Co zrobią ludzie Wolfganga jeśli mnie tutaj znajdą?

- Nie przejmuj się tym. Wkrótce Herr Wolfgang będzie miał dosyć własnych problemów.

- Mam taką nadzieję. Dobrze, że Lothar mnie przed nim ukrył. To straszne ryzyko także dla niego samego. Wiesz jacy potrafią być ochroniarze Wolfganga.

Prywatnie, Felix uważał, że alchemik ukrył dziewczynę po prostu na przekór Wolfgangowi. Nie miał powodów do sympatii wobec kupieckiego syna. Albo może było to skutkiem wyrzutów sumienia za dostarczanie Wolfgangowi spaczenia, który go odmienił. Czy zawsze był sadystycznym potworem, zastanawiał się Felix, czy też ta transformacja nastąpiła niedawno, wraz z pojawieniem się znamienia Chaosu?

Po jego otępiłym umyśle błąkały się inne pytania. Po pierwsze, dlaczego jego wróg odczuwał potrzebę używania spaczenia? A co ze złowieszczymi plotkami jakie podobno słyszała o nim Greta. Pewnie nigdy nie dostanie odpowiedzi. Mimo wszystko jedna rzecz była jasna: pozbywając się niegodziwca uczyni wszystkim w mieście ogromną przysługę.

- Nie! Odłóż to. To kwas! - Kryptmann krzyknął nagle na Gotreka.

Zabójca przerwał gmeranie pośród różnych słoików i naczyń na ławie Kryptmanna. Wyglądał, jakby zamierzał napić się z dużej srebrnej flaszki. Gotrek zaszurał nogami i odłożył pojemnik na miejsce.

Felix rozejrzał się po laboratorium. Nigdy wcześniej nie był w podobnym miejscu. Wszystko wyglądało bardzo tajemniczo i niezrozumiale. Ławy pokryte były zawiłymi strukturami rur i retort. Sprzęt do destylacji pokrywał niemal połowę jednego stołu. Pod ścianą stało kilka stojaków zakorkowanych szklanych tub. Każda zawierała płyny w kolorze błękitnego kobaltu, cytrynowej zieleni, albo czerwieni krwi. Niektóre wypełnione były wieloma warstwami wielokolorowych osadów. Na jednej ze ścian wisiał dyplom w ramkach. Nawet z tej odległości Felix rozpoznawał godło Uniwersytetu w Middenheim, słynącego w Imperium ze swych szkół magii i alchemii.

Węglowe palniki podgrzewały flaszki i garnki pełne różnych substancji. Kryptmann przemieszczał się żywo od jednego do drugiego, mieszając, regulując temperaturę, a od czasu do czasu próbując z długiej szklanej łyżki. Otworzył wielką komodę i wyciągnął dużą wyściełaną na biało rękawicę ze śladami przypalenia. Naciągnął ją na prawą rękę.

- Już niedługo - powiedział, podnosząc podgrzewaną flaszę i przelewając ją do centralnego kociołka. Mikstura zabulgotała i zasyczała. Włożył korek do drugiej flaszki i wstrząsnął nią, po czym odkorkował i dolał do mieszaniny. Po izbie przetoczył się wielki obłok gryzącego zielonego dymu. Felix zakasłał i usłyszał, że Greta robi to samo.

Gdy dym opadł, zobaczył Kryptmanna ostrożnie opróżniającego do mikstury zawartość trzeciego alembika. Z każdą kroplą wznosił się kłęb kolorowego dymu. Pierwszy był czerwony, drugi niebieski, a trzeci żółty. Każdy wzrastał niczym mały rozszerzający się obłok pary w kształcie grzyba sięgającego do sufitu.

Alchemik odłożył alembik i poprawił ogień pod kotłem. Podniósł małą klepsydrę i odwrócił ją.

- Dwie minuty - rzekł.

Felixa przepełniło uczucie triumfu. Wkrótce Gotrek będzie zdrowy i odwiedzą Śpiącego Smoka. Odpłaci za wszystkie udreki, jakie ucierpiał przez Wolfganga Lammela.

Kryptmann zdjął kociołek z płomieni nie wcześniej niż przesypało się ostatnie ziarno piasku w klepsydrze.

- Gotowe!

Machnął na Gotreka by podszedł, po czym zaczerpnął łyżką mieszaninę do małej porcelanowej miseczki. Felix zauważył, że jej zewnętrzny brzeg pokryty był czerwonymi kręgami i znakami astrologicznymi. Podejrzewał, że reprezentują one różne poziomy dozowania. Poczul się upewniony, gdy alchemik napełnił miskę do samej krawędzi i wręczył ją Gotrekowi.

- Teraz wypij to wszystko.

Zabójca przełknął wywar.

- Ugh! - powiedział.

Stali i czekali. I czekali. I czekali.

- Kiedy to powinno zadziałać? - spytał wreszcie Felix.

- Eee, już niedługo!

- Powiedziałeś to godzinę temu, Kryptmann. Jak długo jeszcze? - Knykcie Felixa pobiełały gdy zacisnął palce na ciężkim tłuczku.

- Powiedziałem ci, że proces jest, cóż, niepewny. Jest pewne ryzyko. Może słoneczne kwiecie nie było w najlepszym stanie. Czy jesteś pewien, że zebrałeś je dokładnie podczas końca dnia?

- Ile. Ile jeszcze? - Felix wypowiedział wszystkie słowa wyraźnie i powoli, pozwalając irytacji objawić się w jego głosie.

- Cóż, właściwie to powinno zadziałać niemal natychmiast, łącząc sploty pamięciowe i układając zwoje mózgowe w ich starej konfiguracji.

Felix przyjrzał się Zabójcy. Gotrek wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, gdy weszli do laboratorium Kryptmanna.

- Jak się czujesz? Gotowy do szukania swojej zagłady? - zapytał bardzo miękko Felix.

- A jakiejże to zagłady? - odpowiedział Gotrek.

- Mo-może powinniśmy spróbować kolejnej dawki, Herr Jaeger?

Felix wydał z siebie nieartykułowane wycie wściekłości. To było nie do zniesienia. Ścierpiał dotkliwe pobicie przez ludzi Wolfganga. Wspiął się na tą górę niewysłowienie trudnymi szlakami. Ledwo uniknął śmierci z rąk hordy złaknionych krwi mutantów. Był zmęczony, obolały, potłuczony i głodny. Co gorsza męczył go ciekący katar. Miał porwane ubranie. Strasznie potrzebował kąpieli. A to wszystko była wina alchemika.

- Proszę się uspokoić, Herr Jaeger. Nie ma potrzeby tak warczeć.

- Och, nie ma potrzeby, prawda? - burknął Felix. Kryptmann posłał go po kwiaty. Kryptmann obiecał, że uleczy Gotreka. Kryptmann zrujnował plany chwalebnej zemsty Felixa. Przeszedł przez piekło na próżno, stosując się do głupich instrukcji głupiego starca, który nawet nie zna się na swojej głupiej robocie!

- Może przygotuję panu miły nasenny wywar, dla uspokojenia nerwów. Wszystko będzie wyglądało znacznie lepiej po dobrze przespanej nocy.

- Mogłem zginąć szukając tych kwiatów.

- Słuchaj, jesteś zdenerwowany. To zupełnie zrozumiałe - ale Przemoc niczego nie rozwiąże.

- Sprawí, że poczuje się znacznie lepiej. A ty poczujesz się znacznie gorzej - Felix rzucił w alchemika tłuczkiem. Kryptmann uskoczył na bok. Narzędzie z wielkim chrupnięciem walnęło w głowę Gotreka. Zabójca upadł.

- Szybko, Greta! Poślij po strażę! - paplał alchemik. - Herr Jaeger oszalał! Pomocy! Pomocy!

Felix rzucił się za Kryptmannem wokół stołu roboczego, ścinając go z nóg rzuconym sprzętem.

Zaciskając palce na gardle alchemika czuł wielką satysfakcję. Zacieśniał chwyt, cały czas się uśmiechając. Greta próbowała oderwać go od Kryptmanna. Jej palce wczepiły mu się we włosy. Spróbował ją zrzucić. Twarz alchemika zaczęła przybierać interesujący odcień purpury.

- Nie żebym miał coś przeciw bezsensownej przemocy, człeczyno, ale właściwie czemu dusisz tego starego człowieka?

Twardy jak granit głos był surowy, trzeszczący i niósł nutę lodowatej groźby. Felixowi zabrało sekundę uświadomienie sobie kto właśnie przemówił. Puścił gardło Kryptmanna.

- A to kto? I gdzie jesteśmy? I czemu na Grimmara boli mnie głowa?

- Uderzenie tłuczka musiało przywrócić mu zmysły - powiedziała Greta.

- Wolę, ach, uważać to za opóźniony efekt mojego wywaru - sapnął Kryptmann. - Mówiłem, że zadziała.

- Jakie zmysły? Jakiego wywaru? O czym gadasz, ty stary lunatyku?

Felix podniósł się i otrzepał z kurzu. Pomógł Kryptmannowi stanąć na nogi, podniósł okulary alchemika i oddał je właścicielowi. Odwrócił się do Gotreka.

- Jaka jest ostatnia rzecz, którą pamiętasz?

- Oczywiście atak mutantów, człeczyno. Jakiś pomiot snotlingów trafił mnie w głowę z procy. A więc, jak ja się tutaj dostałem? Co to za magia? - Gotrek rozejrzał się groźnym wzrokiem.

- Muszę ci wyjaśnić mnóstwo rzeczy - powiedział jego towarzysz. - A zatem najpierw napijmy się nieco piwa. Znam przyjemną małą tawernę tuż za rogiem.

Felix Jaeger złośliwie uśmiechnął się do siebie i obaj ruszyli do Śpiącego Smoka.

Ciemność i krew

Po zdemaskowaniu kultystów Slaanesh'a we Fredericksburgu i unieszkodliwieniu kilku ich popleczników, powróciliśmy na drogę do Nuln, pozostawiając naszych ciemniejszych na niezbyt pewną łaskę współmieszkańców. Nie mam pojęcia dlaczego obraliśmy to miasto jako cel naszych podróży. Jedyнным powodem był być może fakt, że moja rodzina prowadzi tam interesy.

Podczas jednego z postojów w przydrożnej tawernie, zdecydowaliśmy z Gotrekiem, zapewne głupio - biorąc pod uwagę nasze wcześniejsze przypadki, iż powinniśmy unikać głównej drogi. W nieunikniony i dający się przewidzieć sposób, nasza pijacka decyzja podjęcia okrężnej wędrówki przez las doprowadziła do nieszczęścia.

Pragnąc unikać wszelkich możliwych spotkań z wysłannikami prawa, wędrowaliśmy z dala od normalnych siedzib ludzkich i skończyliśmy w głębokim lesie, na obszarze od dawna uznawanym za miejsce położenia Czarnego Ołtarza Chaosu. Wyruszając nie podejrzewaliśmy, iż wkrótce napotkamy przerażający dowód istnienia owej niesamowitej świątyni, oraz że niedługo później stoczymy bitwę z najpotężniejszymi wyznawcami Chaosu, z jakimi mieliśmy do tej pory do czynienia...

- Fragment z *Moich Podróży z Gotrekiem*,

Tom II, spisanych przez Herr Felixa Jaegera

(Wydawnictwo Altdorf, rok 2505)

Słyszając zbliżające się kroki, Kat skoncentrowała się na zwinięciu w jak najmniejszą kulkę. Wcisnęła się jeszcze bardziej w niewielką przestrzeń między kamiennymi blokami zawalonego budynku, mając nadzieję, że bestie nie powrócą. Wiedziała, że jeśli wrócą i ją znajdą, tym razem z pewnością zostanie zabita.

Skurczyła się najlepiej jak potrafiła w ocienionej wnęce, aż jej plecy dotknęły ściany. Kamień nadal był ciepły od ognia, który spalił gospodę. Poczowała się odrobinę bezpieczniej. Żaden dorosły nie wciśnie się w tak małą kryjówkę, a na pewno nie coś równie dużego jak potwory. Ale zawsze mogą

dosięgnąć ją włóczniami albo mieczami. Wzdrygnęła się na wspomnienie istoty z mackami zamiast rąk, wyobrażając sobie długie pokryte przyssawkami kończyny poszukujące jej w ciemności niczym wielkie węże.

Ścisnęła amulet w kształcie młota, który dał jej stary Ojciec Tempelman i pomodliła się do Sigmara, by wybawił ją od wszystkich węzorękich rzeczy. Starła się nie dopuścić do siebie ostatniego wspomnienia - widoku kapłana uciekającego ulicą z małą Lotte Bernhoff na rękach. Rogaty olbrzym nadział go na włócznię. Broń przebiła zarówno Tempelmana jak i pięciolatkę, unosząc ich w powietrze jakby nic nie ważyli.

- Tu się stało coś strasznego, człeczyno - powiedział głos. Był głęboki, burkliwy i gardłowy, ale nie brzmiał jak okropne warczenie bestii. Akcent był obcy, jakby Reikspiel nie stanowił naturalnego języka przemawiającego. Przypominał Kat nieznanym, którym niegdyś usługiwała w gospodzie.

Krasnoludy - tak nazywał ich Stary Ingmar, który uważał się za podróżnika, ponieważ raz pojechał do Nuln. Byli niscy, niewiele niżsi niż ona sama, ale znacznie grubszy i cięższy niż jakikolwiek dorosły człowiek. Nosili szare płaszcze i choć nazywali siebie kupcami, mieli topory i tarcze. Smutnie rozmawiali niskimi, melodyjnymi głosami, a gdy się upili, przyłączali się do śpiewu z wioskowymi. Jeden pokazał jej mechanicznego ptaka, cudownie trzepoczącego metalowymi skrzydłami i śpiewającego metalicznym głosem. Błagała łysiejącego Karla, gospodarza tawerny, by jej to kupił, ale chociaż kochał ją jakby była jego własną córką, po prostu potrząsnął głową i dalej polerował szkła mówiąc, że w żaden sposób nie może sobie pozwolić na takie cacko.

Poczuła dreszcz, gdy pomyślała co stało się z Karlem, grubą Heide i innymi w gospodzie, których uważała za swoją rodzinę. Słyszała krzyki, gdy potworna horda niszczyła wioskę pod wodzą dziwnego wojownika w czarnej zbroi. Widziała szeregi mieszkańców wioski popędzanych do marszu w kierunku wielkiego ogniska na placu.

- Może powinniśmy wyjść, Gotrek. Sądząc po wyglądzie, niezdrowo jest zostawać tu dłużej - powiedział z bliska inny głos. Kat uznała, że ten zdecydowanie należy do człowieka. Był delikatny i miękki, z kulturalnym akcentem podobnym do głosu Doktora Gebhardta. W umyśle Kat błysnęła krótką iskra nadziei. Z całą pewnością potwór nie może mieć tak brzmiącego głosu.

A może jednak? Podobnie jak pozostali wioskowi, dorastający w głębiach dzikich lasów, Kat słyszała różne opowieści. O wilkach wyglądających jak ludzie, zanim zostaną wpuszczeni przez nie podejrzewających wieśniaków. O dzieciach, które wyglądały normalnie, aż wyrosły w ohydne zmutowane monstra zabijające swoje własne rodziny. O drwalach, którzy słyszeli płacz dziecka w głębokiej puszczy o zmroku i którzy wyruszyli to zbadać, ale nigdy nie wrócili. Słudzy Mrocznych Mocy byli diabelscy i przebiegli, oraz znali wiele sposobów zwabienia niebaczących ku śmierci.

- Nie, dopóki nie dowiemy się co tutaj się stało. Na Grungni, to jest rzeźnia! - odezwał się ponownie pierwszy głos, nienaturalnie głośny wśród ciszy.

- Jakakolwiek siła potrafi zrobić coś takiego otoczonej murem osadzie, z pewnością zgniecie nas jak robactwo. Spójrz na wyrwy w ścianach twierdzy! Odejźmy stąd. - Kulturalny głos podszyty był strachem, który odbijał się przerażeniem we własnej piersi Kat.

Raz jeszcze pojawiły się przed nią obrazy ubiegłej nocy. Zaczęło się od wielkiego grzmotu, chociaż niebo było czyste. Przypominała sobie dzwon bijący na alarm, oraz pękającą bramę. Pamiętała pęd ku drzwiom gospody i widok zwierzołudzi zalewających ulice, podpalających wioskę i atakujących wszystkich mieczami.

Wielka postać podniosła z łatwością młynarza Johana nad swoją koźlą głowę i cisnęła nim w płonąca chatę. Mały Gustav, syn Johana, został przebit widłami przez pierś, a potem poszarpany na kawałki przez dwie zdeformowane kreatury w ubraniach żebraków. Ich twarze pokrywały splecione

grzywy włosów i jaszczurcza skóra. Chciała zapomnieć, jak wyrwały ze zwłok strzępy ciała i wpychały je sobie łapczywie w usta z kłami.

Pamiętała, jak zastanawiała się dlaczego Hrabia Klein i jego żołnierze nie przychodzą, aby ich bronić, ale kiedy spojrzała na zamek otrzymała odpowiedź. Wieże stały w ogniu. Na tle płomieni widoczne były sylwetki powieszonych na szubienicach. Domyślała się że to byli ludzie Kleina.

Karl wepchnął ją do środka i zasunął drzwi, a potem przed wejściem ułożył stos ze stołów. Karl i pomocnik Ulf, a nawet Heide, żona Karla, trzymali noże i inne narzędzia kuchenne, żalosna obrona przeciw dzikiemu motłochowi, który na ulicach za drzwiami ryczał z uciechy i szaleństwa.

Stali w kole, z bladymi obliczami, pocąc się w migoczącym świetle pochodni, gdy na zewnątrz nie ustawały hałasy zabijania i niszczenia. Zdawało się, jakby ich wszystkie najmroczniejsze koszmary spełniły się, jakby potworne, mityczne siły czające się w sercu lasu wreszcie ruszyły by zagarnąć swoje.

Przez chwilę wydawało się, że gospoda zostanie nietknięta, ale wówczas potężne uderzenie wyrwało drzwi z zawiasów i kilka ogromnych zwierzoludzi zepchnęło na bok spiętrzone meble. Kat dokładnie pamiętała zadymione powietrze, jakie wdarło się z otwarciem drzwi.

Ulf z piskliwym okrzykiem natarł na wiodącego potwora. Stwór uderzył go w głowę wielką pałką, rozbijając mu czaszkę i rozchlapując mózg po izbie. Kar wrzasnęła, gdy galaretowata substancja uderzyła ją w twarz i ześlizgnęła się po policzku.

Kiedy otworzyła swoje oczy spojrzała w oblicze śmierci. Nachylał się nad nią ogromny stwór. Miał ludzkie kształty, ale głowę koźła z rogami skrzyconymi na kształt runicznego znaku X. Jego potężne ciało pokrywało rudawe futro. Masywna pałka poplamiona była mózgiem Ulfa.

Zwierzoczek spojrzał na nią i dostrzegła, że potwór nie ma oczu, tylko puste płyty skóry w miejscu oczodołów. Mimo to przeczuwała, że stwór widzi ją równie dobrze, jak każdą inną rzecz. Może wzrok dawał mu zwisający na szyi wieniec wysuszonych gałek ocznych. Istota przyjrzała się jej z zakłopotaniem, po czym sięgnęła i dotknęła czarnych włosów dziewczynki, przesuwając palcem po białym pasemku, który przebiegał od czoła do końca karku. Stwór potrząsnął głową i oddalił się niemal ze strachem.

Karl wykrwawiał się obok na śmierć, kwiląc żałośnie gdy nie udało mu się zatamować krwi buchającej z kikuta w miejscu lewej dłoni. Kat nie widziała co się działo za przewróconym stołem, gdzie dwie bestie przyparły do ściany Heide, ale słyszała wrzaski starej kobieciny. Uciekła w noc.

A tam spotkała piękną białolicą kobietę, która była panią potworów. Dosiadała wielkiego rumaka o czerwonych ślepiach, którego ciało było równie czarne co zdobna zbroja jeźdźca. Kobieta patrzyła na zniszczenie, a jej uśmiech odsłaniał przednie zęby wyrastające w kły nad rubinowymi wargami. Miała długie i czarne włosy z przebiegającym pośrodku białym pasmem. Kat zastanawiała się, czy jest to znamię Chaosu - i czy to był powód, dla którego została oszczędzona przez zwierzoczkę.

Kobieta w jednej ręce trzymała czarny miecz, wzdłuż którego lśniły kolorem krwi runy. Po raz drugi tej nocy, dziewczynka myślała, że zaraz zginie. Kobieta uniosła swoje ostrze jakby chciała ją uderzyć. Zdrętwiała ze strachu Kat po prostu stała patrząc na nią. Jej wzrok spotkał się ze spojrzeniem wojowniczką.

Gdy ich oczy spotkały się, kobieta wstrzymała cios. Kat wydawało się, że w jej oczach dostrzeża słaby blask współczucia. Kobieta wymówiła słowo "Nie" i ponagliła swego wierzchowca dotykiem ostróg. Nie oglądając się za siebie odjechała w dół ulicy. Kat dostrzegła ognisko i pobitych wieśniaków popychanych w jego kierunku. Zaszyła się w kryjówce.

Wkrótce ponad wioską rozległy się dźwięki potwornych pieśni. Powietrze wypełniał smród

piekącego się mięsa palonych ciał, drażniący i przyprawiający o mdłości. Noc rozbrzmiała okropnymi wrzaskami konających mieszkańców wioski.

Kat ukrywała się aż do ranka, modląc się za dusze swoich przyjaciół, modląc się, by nie została odnaleziona. Gdy wzeszło słońce, bestie odeszły, jakby ich nigdy tutaj nie było. Ale dymiące zgliszcza wioski, stosy osmalonych czaszek i połamane kości w żarzących się nadal węglach ogniska wskazywały, że to nie był koszmarny sen.

Nagle Kat nie mogła już tego znieść. Zaczęła płakać dławiąc się szlochem. Łzy ciekły po twarzy poczerwiałej od sadzy.

- Co to było, człeczyno? - powiedział dobiegający z bliska głęboki głos.

Gdy zbliżyły się ciche kroki, Kat zdusiła w sobie szloch. Coś zasłaniało światło słońca u wejścia do jej kryjówki. Patrzyła w okoloną długimi złotymi włosami twarz mężczyzny. Spoglądające na nią oczy były przestraszone, znużone i zmęczone życiem. Policzek stojącego znaczyła długa blizna.

Pojawił się przed nią ostry koniec długiego miecza. Na ostrzu wytrawione były niewyraźne znaki.

- Wychodź powoli - rzekł. Jego miękki, kulturalny głos był teraz zimny i bezlitosny. Kat wolno wypęzła w światło dnia. Była pewna, że jest bliska śmierci. Mężczyzna był zdesperowany ze strachu przed nieznanym.

Stała. Mężczyzna był znacznie wyższy od niej i ubrany jak bandyta. Wytarty płaszcz z wyblakłej czerwonej wełny przerzucony był przez prawe ramię, umożliwiając władanie mieczem. Jego odzież była poplamiona, połatana i bardzo podniszczona przez podróże. Wysokie skórzane buty były popękane i zdarte. Spoglądał wkoło z napiętą ostrożnością, która wydawała się nawykiem.

- To tylko mała dziewczynka - krzyknął przez ramię. - Może ocalała pogrom.

Postać jaka pojawiła się na tle zrujnowanych szczątków piekarni Frau Hof, była na swój sposób równie przerażająca co widok bestii. Był to krasnolud - ale ten nie bardzo przypominał podróżnych kupców, jakich znała Kat.

Był niewiele wyższy do Kat, lecz niższy od bandyty, ale był ciężki, może tak bardzo jak kowal Jan i z pewnością bardziej od niego muskularny. Całe ciało pokrywała plątanina zawitych tatuaży. Nad jego wygoloną czaszką wyrastał wielki grzebień farbowanych na czerwono włosów. Zgrubna skórzana opaska przesłaniała jego lewe oko, a złoty łańcuch biegł od nosa do lewego ucha. W pięści wielkości półcia szynki dzierżył największy topór, jaki Kat kiedykolwiek widziała.

Krasnolud spoglądał na nią wojowniczo. Czuło się w nim ledwo powstrzymany gniew, co było niesamowicie przerażające. W odróżnieniu od swojego towarzysza nie okazywał cienia strachu.

- Co tu się wydarzyło, dziecino? - zapytał szorstko głosem przypominającym ścierane kamienie.

Spoglądając w jedno szalone, nieludzkie oko, Kat nie potrafiła zdobyć się na odpowiedź. Mężczyzna delikatnie dotknął jej ramienia.

- Powiedz nam, jak masz na imię - powiedział miękko.

- Kat. Katerina. To były potwory. Przyszły z lasu, wszystkich zabiły. Schowałam się. Zostawiły mnie w spokoju.

Ku zdumieniu dwóch wędrowców Kat wypaplała całą historię swojego spotkania ze zwierzoludźmi i kobietą w czarnej zbroi. Gdy skończyła, krasnolud spojrział na nią zmęczonym wzrokiem. Jego dzikie oblicze odrobinę złagodniało.

- Nie obawiaj się dziecino. Teraz jesteś bezpieczna.

- Nienawidzę drzew. Są jak elfy, człeczyno - rzekł Gotrek. - Sprawiają, że mam ochotę rąbać je moim toporem.

Felix Jaeger wpatrywał się nerwowo w cienisty las. Wszędzie wokół wyrastały wielkie złowieszcze drzewa. Splątane gałęzie spotykały się nad ścieżką, przeplatając niczym palce

modlącego się olbrzyma, zasłaniając słońce. Drogę przed nimi oświetlało tylko kilka pojedynczych promieni światła. Gałęzie pokrywał mech, a łuskowata kora pniaków przypominała wysuszone skóry martwych węzów. Otaczał ich bezruch równie stary, co rozległy pradawny las. Przerzywały go jedynie sporadyczne poruszenia wśród poszycia. Dźwięk niósł się przez ciszę niknąc tajemniczo jak zmarszczki na powierzchni sadzawki. Żaden ptak nie ośmielał się śpiewać tu, w prastarym, groźnym sercu puszczy.

Felix musiał się zgodzić z Gotrekiem. Nigdy tak naprawdę nie lubił lasów, nawet jako dziecko. Nigdy nie dzielił pasji swojego brata do polowania. Zawsze wolał pozostawać w domu ze swoimi książkami. Lasy były dla niego strasznymi miejscami, siedzibą zwierzolidzi, Trolli i koszmarnych stworów z najmroczniejszych legend. Były to miejsca, dokąd wyganiano tych, którzy okazywali stygmaty Chaosu. Zawsze wyobrażał sobie w ich głębiach wilkołaki, wiedźmy i dzikie potyczki między mutantami, a innymi wygnanymi wyznawcami Niszczycielskich Mocy.

Przed nim Gotrek przeskoczył kłodę, która upadła w poprzek ścieżki, po czym odwrócił się i pomógł Kat wdrapać się na pień, z łatwością podnosząc dziecko jedną ręką. Felix zatrzymał się przed przeszkodą, zauważając że pniak był zbutwiały i pokryty jakimś dziwnym grzybem. Duże insekty drążyły korę, ślepo wkręcając się w cuchnącą pleśń. Felix wzdrygnął się czując pod swoją dłonią wilgotne drewno, gdy oparł się, by przeskoczyć kłodę. Jego buty ześlizgły się na mokrym mchu po drugiej stronie. Aby złapać równowagę musiał rozłożyć swoje ramiona. Gdy to zrobił, palce dotknęły pajęczyny rozciągniętej na niższych gałęziach. Gwałtownie cofnął rękę i starał się strząsnąć lepka substancję.

Nie, Felix nigdy nie lubił lasu. Nienawidził letnich wypraw do leśnego dworku jego ojca. Nie cierpiał sosnowego domu otoczonego przez wyrębiska, dostarczające surowego materiału dla browaru i magazynów kupieckich Gustava Jaegera. Za dnia nie było tak źle, jeśli nie oddalał się zbyt daleko od budynków, ale nocą jego nadaktywny umysł zaludniał leśne ostępy zastępem potwornych mieszkańców. Gobliny i demony z jego wyobraźni znajdowały dom pod kołyszającymi się drzewami.

Niegdyś zazdrościł im i żałował jednocześnie odzianych w futra drwali, którzy pracowali w lasach jego ojca. Zazdrościł ich odwagi, postrzegając ich niemal jak bohaterów stojących twarzą w twarz z grozą nieujarzmionej ziemi. Żałował ich, ponieważ musieli żyć, stale mając się na baczności. Zawsze mu się wydawało, że każdy kto mieszka w lesie, żyje w najbardziej niebezpiecznym otoczeniu, jakie można sobie wyobrazić.

Pamiętał, gdy stawał pod swoim oknem i wpatrywał się w zieleń, wyobrażając sobie, że las rozciąga się do wszystkich krańców świata, sięgając do pustkowi po których wędrowali wstrętni słudzy Chaosu. Dziwne hałasy i chmury fruujących owadów zwabionych przez światła budynku nie sprzyjały rozwiewaniu jego niepokoju. Był dzieckiem miasta, wychowankiem Altdorfu. Zgubienie się w lesie było koszmarem, który często powracał podczas tych długich nocy lata.

Oczywiście było to śmiechu warte: posiadłość Jaegera oddalona była od Altdorfu o dziesięć mil i znajdowała się na najlepiej oczyszczonym obszarze Imperium. Las został przerzedzony przez nieprzerwany wyręb. Była to ujarzmiona, uprawna ziemia, w żaden sposób nie przypominająca gęstego, splątanego Drakwaldu, w którym się teraz znajdował.

Nagle Gotrek zatrzymał się i powąchał powietrze. Obrócił się i spojrzał na Felixa. Felix badawczo przechylił głowę na bok. Gotrek gestem nakazał ciszę, marszcząc brwi jakby koncentrował się na jakimś odległym dźwięku. Felix wiedział, że słuch i zmysł węchu krasnoluda były daleko lepsze niż jego własne. Czekał niecierpliwie. Gotrek potrząsnął głową i ruszył dalej. Czyżby złowieszczą obecność lasu wpływała nawet na żelazne nerwy Zabójcy?

To co zobaczył tego ranka stanowiło usprawiedliwienie wszelkich obaw. Te lasy rzeczywiście

skrywały siły nieprzyjazne ludzkości, potwierdzała to opowieść Kat. Spojrzał na swoje dłonie i zauważył, że się trzęsą. Felix Jaeger uważał się za twardego mężczyznę, ale widok zrujnowanej wioski wywołałby dreszcz nawet u największego twardziela.

Coś spustoszyło Kleinsdorf niczym zirytowany olbrzym depczący kopiec mrówek. Mała wioska została zrównana z ziemią z przerażającą wściekłością i dokładnością. Napastnicy nie zostawili ani jednego budynku i nie przetrwał żaden mieszkaniec za wyjątkiem Kat. Zdumiewała go całkowicie bezsensowna brutalność.

Wiedział, że rzeczy jakie zobaczył ujrzy ponownie w sennych koszmarach. Ognisko na wioskowym placu płonące wysokim stosem czaszek. Stopione żebra sterczące z tłącego się żaru niczym niedopalone drewno. Niektóre pochodziły ze szkieletów dzieci. Nozdrza wypełniał mu obrzydliwy smród spalonego mięsa i starał się powstrzymać przed zwilżaniem językiem suchych warg, z obawy przed tym, co może zawierać przenoszony wiatrem popiół.

Stał oszołomiony wśród ciszy i zniszczenia zrujnowanej wioski. Wszystko wokół niego było popielatoszare, albo czarne od sadzy, poza kilkoma ogniami, które nadal migotały tu i ówdzie. Cofnął się gwałtownie gdy nad zdewastowanym ratuszem zapadł się dach. To było jak zły omen. Czuł się niczym drobina życia na nieskończonej jałowej pustyni. Powoli, fragment po fragmencie, wspomnienie tej chwili wyryło się w jego mózgu.

Wysoko na wzgórzu stał spalony zamek warowny - kamienny pajak wczepiony w szczyt osmalonymi kamiennymi nogami. Przed ziejącą paszczą zdruzgotanej bramy kiwali się na szubienicach wisielcy - muchy złapane w pojedyncze nici pajęczyny. Wioska poniżej stała się placem zabaw demonicznych dzieci, zidiociałych olbrzymów, które znudziły się zabawą wioską i rozniosły ją na strzępy.

Niewiele rzeczy wypełniało ulicę. Złamane widły z zębami pokrytymi skorupą zakrzepłej krwi. Na wpół stopiony dzwon świątynny leżący w zgliszczach zawalonego kościoła. Drewniana dziecięca grzechotka i rozbita kołyska. Unoszące się na wietrze drukowane stronicie Nieukończonej Księgi, testamentu Sigmara. Ślady ciągniętych ciał na brudnej ulicy, wszystkie prowadzące do centralnego ognia. Piękna barwiona suknia, nigdy nie noszona, leżąca bezsensownie nietknięta na ulicy. Zmiażdżona do szpiku ludzka kość udowa.

Felix widział wcześniej przemoc, ale nigdy na taką skalę i nigdy równie beznamiętnie okrutną. Nawet rzeź w Forcie von Diehl była bitwą, prowadzoną przez dwie przeciwne siły dążące do swoich własnych celów. Tutaj dokonano masakry. Słyszał o takich rzeczach, ale konfrontacja z namacalnym, niewątpliwym dowodem była czymś zupełnie innym. Przerażała go świadomość, że takie potworności mogą się wydarzać, wydarzają się i zawsze się wydarzały. Jakże Sigmar, jakże dowolny z Bogów, może pozwolić na takie rzeczy?

Niepokoił go także fakt, że Kat przetrwała. Patrząc na małą dziewczynkę, maszerującą przed nim ze zwieszonymi ramionami, brudnymi włosami i poplamionym sadzą ubraniem, zastanawiał się dlaczego pozwolono jej przeżyć. To także nie miało sensu - czemu została oszczędzona właśnie ona, jedyna ze wszystkich mieszkańców tej sennej społeczności?

Czy mogła być odmieńcem, sługą Ciemności, wabiącą ich ku śmierci? Czy wraz z Zabójcą eskortują coś złego, zmierzającego ku nowym ofiarom. Normalnie odrzuciłby takie rozważania jako całkowicie niedorzeczne, oczywiście była tylko przestraszonym dzieckiem, które miało szczęście przeżyć tam, gdzie zginęli inni. Jednak w mroku głębokiego lasu takie podejrzenia przychodziły z łatwością. Bezruch i cisza otoczenia działały na nerwy i wzmacniały czujność oraz nieufność wobec nieznanym.

Tylko Zabójca wydawał się nie przejmować ich nieprzyjemnym położeniem. Kroczył śmiało

naprzód, unikając splątanych korzeni drzew, na których mógłby się potknąć. Lekkim krokiem pochłaniał całe mile drogi. Krasnolud poruszał się niesamowicie cicho jak na kogoś równie przysadzistego i ciężkiego. Otoczony cieniami lasu był jakby w domu, stał wyprostowany i wyglądał zwawiej. Jego zwykle przygarbienie zniknęło, być może dlatego, że ów mieszkający pod górami lud był przystosowany do ciemności i wrażenia zamknięcia. Nie zatrzymywał się jak to czynił Felix, by zbadać poszycie za każdym razem gdy usłyszał szelest. Wydawał się całkiem pewny swojej zdolności wyczuwania wszelkiego prawdziwego zagrożenia.

Młody mężczyzna westchnął, przypominając sobie argumenty, jakich użył by powstrzymać krasnoluda przed dalszym badaniem wioski. Dziewczynka stanowiła przynajmniej użyteczną wymówkę, by ruszyć dalej i szukać bezpiecznego miejsca, gdzie znajdą dla niej schronienie. To przekonało Zabójcę, by ruszyli drogą do Flensburga. Drugim powodem było przypuszczenie, że stwory zmierzają do następnej wioski.

Felix zatrzymał się pod nakazem jakiegoś ukrytego instynktu. Stał w bezruchu i usiłował usłyszeć coś niezwykłego. Może to była tylko wyobraźnia, ale zdawało mu się, że las niesie ze sobą jakąś groźbę. Dawał do zrozumienia istnienie starego zła, wyczekującego na swoje ofiary. W tych długich cieniach mogło czaić się cokolwiek. Teraz już wiedział, że coś tam było.

Robiło się coraz zimniej. Nieznaczne pogłębienie mroku wskazywało, że nad całunem liści zapada noc. Felix zerknął przez ramię, lękając się ciszy, ale jeszcze bardziej obawiając się pościgu. Gdy odwrócił się ponownie, Kat i Gotrek zniknęli już za zakrętem ścieżki. Gdzieś w oddali zawył wilki. Felix pospieszył, by ich dogonić.

Felix patrzył ponad ogniskiem na Zabójcę. Gotrek siadł oparty o przewrócony pień drzewa, gapiąc się w ogień i obserwując migoczące płomienie, jakby w ich głębiach potrafił odczytać jakieś tajemnicze prawdy. Jego dłonie bawiły się bezwiednie krzemieniami do rozpalania ognia. Podświetlone od spodu, wyraziste rysy jego twarzy wyglądały jak zgrubnie wyrąbane na płaszczyźnie granitowego urwiska. Migotanie ognia sprawiało, że cienie ścigały się nawzajem na policzkach. Tatuaze stały się cienistymi plamami, niczym objawy ostatniego stadium jakiejś śmiertelnej choroby. Światło odbiło się od źrenicy jedyne zdrowego oka. Zaśniło nieludzko w oczodole, niczym gwiazda odbita w głębiach kałuży mroku. Obok niego leżała nieruchomo Kat. Oddychała regularnie, najwyraźniej śpiąc. Gotrek wyczuł, że Felix mu się przygląda i podniósł głowę.

- Co cię trapi, człeczyno?

Felix oderwał wzrok od ognia. Jasny powidok płomieni nie pozwalał odróżnić szczegółów w ciemności. Mimo to, przepatrywał cienie pod drzewami, szukając śladów ukrytych obserwatorów. Do jego umysłu wtargnęły nieproszone obrazy wieśniaków z Kleindorfu idących spać, nieświadomych skradających się do nich sił Chaosu. Próbując wymyślić odpowiedź zdecydował się powiedzieć prawdę.

- Właściwie to... to trochę się boję, Gotrek. Z jakiegoś dziwnego powodu przeraziły mnie rzeczy, które zobaczyliśmy w wiosce. Bogowie wiedzą, czemu.

- Strach jest dobry dla elfów i dzieci, człeczyno.

- Chyba sam w to nie wierzysz, prawda?

Gotrek uśmiechnął się. Jego kilka pozostałych zębów w świetle ognia przybrało jeszcze bardziej żółty odcień.

- Wierzę.

- Nie spodziewasz się chyba, żebym uwierzył iż krasnoludy nigdy się nie boją, prawda? Albo może to Zabójcy nie znają lęku?

- Uwierzysz w co zechcesz, człeczyno. Jednak nie to powiedziałem. Tylko głupiec albo maniak

nigdy się nie boi. Tylko dziecko lub tchórz pozwala strachowi zapanować nad sobą. Oznaką wojownika jest to, że potrafi opanować swoje lęki.

- Czyż zniszczenie wioski cię nie przeraziło? Nie boisz się teraz? Coś tam jest, Gotrek. Coś złego.

Zabójca zaśmiał się.

- Nie. Ja jestem *Zabójcą*, człeczyno. Urodzonym, by zginąć w bitwie. W moim życiu nie ma miejsca na strach.

Felix potrząsnął głową, niepewny czy Gotrek nie kpi sobie z niego. Przywykł do zmiennych nastrojów krasnoluda i zaczął podejrzewać, iż istnieją chwile gdy Zabójca okazywał coś bliskiego do poczucia humoru. Gotrek odłożył krzemienie do torby i chwycił rękojęść swojego topora.

- Spij spokojnie, człeczyno. Nie możesz nic uczynić dla zmarłych, a jeśli przeznaczeniem tego czegoś, co ich zabiło jest nas odnaleźć, także nic nie możesz zrobić.

- Czy to miało mnie uspokoić?

Nagle przyjazna atmosfera zniknęła tak szybko jak się pojawiła. W głosie krasnoluda płonął gniew.

- Nie, człeczyno, nie miało. Ale wierzaj mi: jeśli znajdę morderców, nastąpi sąd krwi. Zło, jakiego byliśmy dzisiaj świadkami nie pozostanie bezkarne.

W głosie Gotreka nie było już żadnych śladów ludzkich uczuć. Patrząc w obce oko krasnoluda, Felix dostrzegał tam szaleństwo, nieludzką czystą gwałtowność czekającą na wybuch. Przez jedną chwilę uwierzył w krasnoluda, podzielił jego szaleńcze przekonanie, że może stanąć przeciw mrocznym mocom, które zniszczyły wioskę. Potem przypomniał sobie całą skalę zadanego spustoszenia i ta chwila minęła. Żaden wojownik, nawet tak potężny jak Gotrek, nie może jej powstrzymać. Wzruszył ramionami i ciaśniej owinął się w płaszcz.

Pochylił się naprzód by ukryć swoje zdenerwowanie i dorzucił do ognia więcej drewna. Małe gałązki wysychały i zajmowały się ogniem. Iskierki leniwie dryfowały w górę. Gryzący dym szczypał jego oczy, gdy zatliły się pokryte liszajem gałęzie. Otarł wyciśnięte przez dym łzy i odezwał się, by wypełnić ciszę.

- Co wiesz o ludziach-bestiach? Czy wierzysz opowieści dziewczynki, że napadli wioskę?

- Czemu nie? Bestie zamieszkiwały te lasy od czasu gdy mój lud wyparł elfy nie dalej jak trzy tysiące lat temu. Wiele razy w historii, ogromne hordy potworów maszerowały naprzód, by atakować miasta krasnoludów i ludzi.

Felix czuł pewien zachwyt nad sposobem, w jaki krasnolud tak swobodnie napomynał o wydarzeniach sprzed trzech tysięcy lat. Wojna, o której wspominał, poprzedzała o wiele stuleci założenie Imperium i zapisaną historię człowieka. Czemu ludzie uczeni kompletując swoje zapiski nie przykładali większej uwagi do opowieści krasnoludów? Część Felixa, która była studentem uważała krasnoluda za pierwszorzędną skarbnicę nieznannej wiedzy. Słuchał uważnie, starając się zapamiętać wszystko co powiedział Gotrek.

- Myślałem, że bestie to po prostu mutanci, ludzie wygnańcy wyrosli na potwory, przemienieni mocą spaczenia. Tak twierdzą niektórzy z naszych uczonych profesorów.

Gotrek potrząsnął głową jakby rozpaczał nad głupotą ludzkości.

- Takie mutanty ciągną za hordami jako lokaje albo ciury obozowe, lecz właściwi zwierzoludzie to osobna rasa, wywodząca się z Ery Cierpienia. Datują się od czasu pierwszych najazdów Chaosu na ten świat, gdy Mroczne Moce po raz pierwszy przekroczyły Polarne Wrota, aby dręczyć tę żalną planetę. Można ich równie dobrze nazywać pierwotnymi dziećmi Chaosu.

- Słyszałem opowieści o nich, jak wspomagali ludzkich czempionów Chaosu. Powiada się, że

stanowili trzon armii, która zaatakowała Praag dwa wieki temu. Część wielkich zastępów odpartych przez Magnusa Pobożnego - Felix pamiętał, by uczynić znak Młota, wspominając imię Uświęconego.

- To nic zaskakującego, człeczyno. Zwierzoludzie czczą siłę, niemal tak samo jak oddają cześć Chaosowi. Wśród największych wojowników wędrujących po tej ziemi znajdują się czempioni Niszczycielskich Mocy, niech ich Grimmir przeklnie! Mam nadzieję, że opowieść dziewczynki jest prawdziwa i wkrótce staniemy przed tą diabolicą w czarnej zbroi. To byłaby chwalebna próba sił, a jeśli tak jest pisane, także chwalebna śmierć.

- Taką by była.

Felix gorąco pragnął, by do tego nie doszło. Mógł sobie wyobrazić, że jeśli Gotrek miał zginąć z rąk Wojownika Chaosu, z pewnością niedługo później on sam podzieli jego los.

- A co z dziewczynką? - wyszeptał. - Czy myślisz, że jest tym, za kogo się podaje? Może jest w znowie z przeklętymi?

- To tylko dziecko, człeczyno. Nie wydziela wokół siebie smrodu Ciemności. Jeśli by tak było, już bym ją zabił.

Ku swojemu przerażeniu, Felix zauważył, że oczy Kat były szeroko otwarte i mała przygląda im się strachliwie. Ich spojrzenia spotkały się. Felix ze wstydem patrzył na tak wielki strach w oczach, które tyle już wycierpiały. Wstał i przeszedł wokół ognia. Przykrył ją swoim znoszonym płaszczem i opatulił go wokół dziewczynki.

- Śpij - rzekł. - Jesteś bezpieczna.

Pragnął, by sam mógł w to uwierzyć. Zauważał, że oko Gotreka było zamknięte, ale krasnolud mocno ścisnął w dłoni swój topór. Felix położył się na stercie liści zebranych na legowisko i przed dłuższą chwilę gapił się w górę na gwiazdy zimno migoczące między gałęziami. Spał niespokojnie i nawiedzały go stare koszmary.

- Zawiodłaś, ukochana - powiedział spokojnie Demoniczny Książę Kazakital. Spoglądał na nią skradzionymi oczami i Justine poczuła wstrząs przenikający do wnętrza jej istoty.

Cofnęła się, dobrze znając kary jakie potrafi nałożyć niezadowolony patron. Palce instynktownie zamknęły się na rubinowej gałce czarnego oręża. Potrząsnęła głową. Zakołysała się wielka grzywa jej czarnych włosów z białym pasmem. Czuła się bezsilna. Nawet posiadając w zasięgu ręki małą armię zwierzoludzi wiedziała, że nie mogą pomóc. W obecności jej władcy nikt jej nie mógł pomóc, nikt. Cieszyła się, że szaman zwierzoludzi Grind i jego akolici oddalili się od czarnego ołtarza po dokonaniu obrzędu wezwania. Nie chciała żadnych świadków swojej klęski.

- Wszyscy w wiosce są martwi. Tak jak oboje pragnęliśmy - skłamała, nawet w tym momencie wiedząc, że na próżno. Jej zdobiona zbroja już zacisnęła się wokół niej niczym imadło. Słabe zaczątki bólu podrażniły końcówki nerwów. Wiedziała, że jeśli demon sobie zażyczy, za chwilę będzie pływała w oceanie męczarni.

- Dziecko żyje. - Piękny głos demona pozostawał bezbarwny, obojętny, pozbawiony emocji.

Justine starała się unikać spoglądania na niego, wiedząc jaki efekt wywiera na nią ten widok. Wiedziała, że demon wkrótce zacznie przemieniać ciało złożonej ofiary w coś bardziej przypominającego jego prawdziwą formę.

Spojrzała wokół siebie. Ponad głową, dwa księżycy świeciły w złowieszczej koniunkcji. Morrslieb, księżyc Chaosu błyszczał w pełni. Mannslieb był ledwo widoczny. W ciągu tego wieczora i dwóch następnych nocy, moc Chaosu w tej okolicy będzie silna. Dość silna by przyzwać jej demonicznego patrona z jego piekielnego domostwa w królestwach poza rzeczywistością. Wystarczająco silna, by w tych głębokich lasach mógł osiąść ciało człowieka ofiarowanego na ołtarzu.

Poprzez gęsty czerwony obłok otaczający ołtarz dostrzegła obozowe ogniska swoich podwładnych. Płomienie były rozmyte przez delikatną czerwoną mgłę, która plamiła noc. Stanowiły drobne gwiazdki w porównaniu do jasnego słońca aury demona. Usłyszała jak się podnosi, rozpoznała skrzypienie skórzastych skrzydeł wyrastających z pleców zwłok. Skupiła swoją uwagę na głowach tkwiących na palach po obu stronach ołtarza. Spoglądały na nią blade oblicza Hrabiego Kleina i jego syna, Hugo. Wywołali wspomnienia ubiegłej nocy.

Stary hrabia był wojownikiem. Wszedł naprzeciw niej na podwórzec niosąc kolczastą maczugę, na wpół ubrany w pospiesznie narzuconą kolczugę. Przeklinał ją, nazywając przekłętą przez piekło suką ciemności. Widziała strach na jego twarzy, gdy dostrzegł za jej plecami potworną hordeę gorów i ungorów, wlewającą się przez strzaskane wrota do jego zamku. Prawie żałowała starego wąsatego głupca. Zawsze go lubiła. Wart był śmierci wojownika i zadała mu ją szybko.

Za swoim ojcem stał młodzieniec o twarzy bladej z przerażenia. Odwrócił się i uciekł przez splamiony krwią podwórzec, na którym jej wojownicy wyrzynali na wpół rozbudzonych zbrojnych. Podążyła za nim z łatwością, biegnąc bez zmęczenia, bowiem czarna zbroja stopiona z jej ciałem dawała nie tylko dodatkową siłę, ale także wytrzymałość i ochronę.

Pędziła przez pogrążony w mroku zamek i zatrzymała się w sypialni Hugo, gdzie spodziewała się dokonać swojego odwetu. Było to przecież miejsce gdzie wszystko się zaczęło. Zaryglował się w środku i wył do bogów, by go uratowali. Rozbiła drzwi jednym kopniakiem opancerzonej nogi i wkroczyła do komnaty niczym demon zemsty.

Wnętrze wyglądało podobnie jak je zapamiętała. Dominowało w nim to samo wielkie łóżce. Podłogę pokrywały te same bretońskie kobierce. Te same łby jeleni i łowieckie trofea wypełniały ściany, obok tych samych wisiorów i broni.

Tylko Hugo się zmienił. Żywy młodzieniec o pociągłej twarzy wyrósł na otyłego mężczyznę. Po wydatnych policzkach spływał pot. Jego twarz wyglądała jak dziecięca, nawet gdy przerażony zerkał na boki. Tak, zmienił się. Ktoś inny mógłby go nie rozpoznać po tak długim czasie, lecz Justine poznawała. Nigdy nie zapomni tych oczu, owych szklistych oczu, które śledziły ją od pierwszego dnia, kiedy przybyła do zamku, ponad siedem lat temu.

W pękatej łapie trzymał niezgrabnie długi miecz. Uniósł go niepewnie, a ona bez trudu odbiła go na bok, wysyłając wirujące ostrze w kąt komnaty. Przyłożyła koniec miecza do jego piersi i lekko pchnęła. Musiał się cofać, aż potknął się o nogę łóżca i padł jak długi na prześcieradła. Powietrze przeniknęło smród ekskrementów.

Nadęty różowy prosiak zwilżył wargi językiem.

- Zaraz umrzesz - powiedziała.

- Czemu? - udało mu się wystękać. Zdjęła zatem swój hełm. Jęknął głośno rozpoznając - nareszcie - jej twarz i długie charakterystyczne włosy.

- Ponieważ obiecałam ci to siedem lat temu. Pamiętasz? Wówczas się śmiałeś. Dlaczego teraz się nie śmiesz? - Pchnęła ostrze nieco mocniej. Krew zakwitła na białym jedwabiu jego koszuli. Wyciągnął ręce w błagalnym geście.

Po raz pierwszy od lat w jej oczach pojawiły się łzy pasji. Ponownie odczuła gorącą falę wściekłości i nienawiści. Przebiegała przez żyły i zmieniła jej twarz w maskę. Pchnęła miecz w dół, delektując się wstrząsem uderzenia i czystym cięciem piekielnego metalu przez ciało. Pochyliła się naprzód przygważdżając go do łóżca, gdzie on napastował ją siedem lat wcześniej. Krew raz jeszcze splamiła prześcieradła.

Zaskoczyła samą siebie. Po długich latach planowania tak licznych powolnych, przemysłnych i wybornych tortur zgładziła go jednym ciosem. Zemsta wydawała się jakby mniej istotna. Odwróciła

się, opuściła komnatę i poszła nadzorować plądrowanie osady. Zignorowała błagania dwóch mężczyzn wieszanych na szubienicach przez bestie cieszące się ze swego niezrozumiałego makabrycznego żartu. Dziecko spotkała na dole, w wiosce.

Usiłowała zapomnieć o dziecku.

- Nie powinnaś oszczędzić dziewczynki, ukochana. - Demon pozwolił, by w jego głosie zabrzmiał zwiastun gniewu. Każde jego słowo podkreślała zapowiedź wiecznego bólu.

- Nie oszczędziłam dziecka. Zostawiłam je dla bestii. Nie jestem odpowiedzialna za zabijanie każdego przeklętego ulicznika w osadzie.

Ukąsił ją bicz słów demona.

- Nie kłam, ukochana. Oszczędziłaś je, ponieważ jesteś zbyt miękka. Przez chwilę pozwoliłaś na swojej drodze stanąć czej ludzkiej słabości. Przez nią porzuciłaś swoją wybraną ścieżkę. Na to nie mogę pozwolić. Ty również nie możesz, bowiem jeśli zmienisz teraz drogę, stracisz wszystko.

Wierzaj mi, jeżeli pozwolisz dziewczynce żyć, będziesz miała powody, by tego żałować.

Spojrzała na niego i jak zwykle, uderzyło ją nieludzkie piękno istoty. Ujrzała jej opancerzoną w czerń formę, brutalnie piękną twarz spoglądającą spod pokrytego runami hełmu. Spotkała lśniące czerwono oczy demona i dostrzegła ich siłę. Nie znały żadnej słabości, żadnego miłosierdzia. Były bez skazy. Pewnego dnia ona też się taka stanie. Wyrzuciła tę myśl ze swojego umysłu i uśmiechnęła się z wyraźną rozkoszą.

- Zrozum, ukochana. Znasz naturę naszego układu. Ścieżka Wojownika Chaosu stanowi próbę. Idź tą drogą do końca, a odnajdziesz moc i nieśmiertelność. Zejdź z niej, a znajdziesz jedynie wieczne potępienie. Wielki Khorne nagradza silnych, lecz gardzi słabymi. Bitwy jakie prowadzimy, wojny jakie wiemy są tylko próbami, tyglami w których wypalamy słabość i umacniamy się w naszej sile. Musisz być silna, ukochana.

Skinęła głową, zahipnotyzowana pięknem płynącego głosu, uwiedziona obietnicą zapomnienia o bólu czy słabości. Stanie się bez skazy, doskonała. Nie pozwoli na żadną szczelinę w swym pancerzu, przez który mogłoby wpełznąć okropieństwo świata. Demon wyciągnął szponiastą dłoń, a ona jej dotknęła.

- Zbliża się era krwi i ciemności, era przerażenia i wściekłości, wkrótce armie czterech Wielkich Potęg ruszą z polarnych pustkowi i los tego świata zostanie rozstrzygnięty przez stal i mroczną magię. Zwycięska strona posiadzie ten świat, ukochana. Do zwycięzców przynależć będzie wieczna władza. Ta planeta zostanie oczyszczona z plugawej ludzkości. Przemienimy wszystko według naszego własnego obrazu. Możesz znaleźć się po zwycięskiej stronie, ukochana, stać się jednym z jej uprzywilejowanych czempionów. Wszystko co musisz uczynić, to być silną i użyć swojej siły naszemu władcy. Czy pragniesz tego?

W tej chwili, patrząc w płonące oczy stwora, słysząc aksamitną perswazję jego głosu, nie miała wątpliwości.

- Czy pragniesz do nas dołączyć ukochana?

- O tak - westchnęła. - Tak.

- Zatem dziecko musi umrzeć.

Justine maszerowała wśród tłumów poddanych, aby zająć swoje miejsce na rzeźbionym drewnianym tronie. Zasiadając przed najpotężniejszymi z jej popleczników - gorami, położyła na swoich kolanach obnażony miecz. Broń miała im przypominać kto tutaj rządzi. Był nagim symbolem jej władzy. Cieszyła się łaską ich demonicznego boga i wyraz tej łaski stanowił o jej potędze. Zwierzoludziom mogło się to nie podobać, ale musieli to tolerować dopóki jeden z nich nie pokona jej w pojedynku, zgodnie z prymitywnym obyczajem. A nikt z nich nie wyzwie jej do walki, jeśli posiada nieco rozsądku: wszyscy znali proroctwo Kazakitala, wypowiedziane gdy podniesiono ją do rangi Wojowniczkę Chaosu. Wszyscy wiedzieli co powiedział demon - iż żaden wojownik nigdy nie pokona jej w walce. Wszyscy byli świadkami, że jest to prawda. Jednak byli zwierzoludźmi i wyzywanie przywódcy do walki leżało w ich instynkcie.

Tej nocy miała niemal nadzieję, że jeden z nich spróbuje, czuła silną żądzę krwi, jak zawsze po widzeniu się ze swoim patronem. Przyjrzała się, na czym spoczywali zwierzoludzie: był to wielki gobelin, który, jak pamiętała, pokrywał niegdyś całą ścianę. Przedstawiał sceny bitew i polowań z przeszłości rodziny Klein. Teraz umazany był błotem i liśćmi z podłoża leśnej polany, oraz brudem odchodów zwierzoludzi. Nakaze spalić tkaninę. Nie chciała by pozostało cokolwiek, co mogłoby komuś przypominać o rodzinie Klein

Widok wielkich zwierzęcogłowych postaci podwładnych rozwalonych na ulubionym gobelinie Lorda Klein'a, uświadamiał jej jak bardzo zmienił się dla niej świat od czasu tego fatalnego ranka, gdy uciekła w głąbię lasu z komnaty Hugo.

Scena, którą obserwowała przed sobą przypominała koszmarne ryciny szalonego artysty, Teugena. Wielkie rogate zwierzęta odziane w zbroje, wędrujące wśród pokręconych drzew ogarniętego mrokiem lasu. Wyglądali niczym parodia rycerskiego ideału, odwrócenie naturalnego porządku rzeczy, jakby bydłeta z lasu powstały, by usunąć ludzkich parweniuszy. Co pewnego dnia nastąpi. Słudzy Chaosu zetrą w piach wszystkie królestwa człowieka. Uczyniła tu mały początek. Będzie narastał. Coraz więcej i więcej sług Chaosu zacznie napływać pod jej sztandary, w miarę rozchodzenia się wieści o zwycięstwach. Wkrótce zyska wielką armię i zadrzą wszyscy możni w Imperium. Ta perspektywa jakoś nie ekscytowała ją tak jak dawniej. Niezadowolona, odsunęła od siebie tę myśl.

Patrzyła na kapitanów swojej przyszłej armii i zastanawiała się, jakie powinna im wydać

rozkazy. Przesunęła po nich badawczym wzrokiem, ciekawa kiedy i od kogo nadejdzie wyzwanie do walki o przywództwo. To mógłby być każdy z nich. Wszyscy byli gorami, największym i najpotężniejszym rodzajem zwierzoluździ, a także najbardziej zajadle ambitnym.

Zobaczyła wielkiego Hagala z kozłimi rogami, które pokrywało złoto, a jego wspaniałe jasne futro lśniło w świetle ognia. Ze wszystkich posłusznych jej bestii, jego uważała za najbliższego rzucenia wyzwania, wszczęcia Zderzenia Rogów. Szpiedzy donieśli jej, że to on najgłośniej szemrał przy ogniskach obozu, wyrzekając, że nienaturalne jest by przewodziła im samica. Był najbardziej gburowaty, zawsze kwestionował jej rozkazy, ale nigdy do punktu, w którym musiałaby zainicjować pojedynek. W tej chwili jednak, pomyślała, być może przeczekuje aż jej wpływy osłabną. Wiedziała, że jeśli dojdzie teraz do walki z pewnością zwycięży potwora.

Jeśli chodzi o Lurgara nie byłaby równie pewna zwycięstwa, gdyby nie prorocтво, wielki stwór o głowie byka i czerwonym futrze był najdzikszy z jej wojowników w bitwie, pijącym krew berserkerem, którego apetyt na rzeź przewyższał jedynie głód ludzkiego mięsa. Gdy ogarniało go szaleństwo bitewne, stawał się śmiertcionośnym wojownikiem. Niemal lękała się wyzwania z jego strony, ale uznała je za mało prawdopodobne, chyba, że ktoś go do tego popchnie. Minotaur był zbyt głupi na takie ambicje i zadowalał się każdym przywódcą, który zapewniał mu wrogów do zabicia i żarcie do jedzenia. Samemu nie będąc przywódcą, stanowił doskonałe narzędzie manipulacji przez kogoś sprawującego władzę z ukrycia.

Za nim siedział ktoś, kto z pewnością myślał podobnie: stary szaman, Grind. Jak na zwierzoczęka, Grind był sprytny, obdarzony nikczemną chytryością i miał wiele tego, co uchodziło wśród spaczonych za wiedzę. Potrafił wróżyć z kości i odczytywać omeny, rozmawiać z duchami i wspierać się Niszczycielskimi Mocami. Zanim Justine doszła do władzy, to on składał ofiary Demonicznemu Księciu, Kazakitalowi. Ale gruby byk o białej grzywie był teraz zbyt stary, by spłodzić wielu synów podczas Wielkiej Rui, a zatem nie mógł stać się liderem wojennego zastępu. Justine wiedziała, że to nie przeszkodziło mu podważać nadaną jej pozycję duchowego autorytetu plemienia, oraz nie powstrzymywało czystej nienawiści za to, że jest samicą. Justine nie mogła sobie pozwolić by go nie doceniać, to wiedziała na pewno. Szaman pełny był jadu i złośliwości, a jego słowa wpływały na liczne szeregowie bestie w jej armii.

Tryell Bezoki nie stanowił prawdziwego zagrożenia, wielki wojownik o posturze herosa był dotknięty znamieniem spaczenia. Nie posiadał oczu, a jednak widział równie dobrze jak wszyscy. Jako naznaczony przez Chaos czuł wielki lęk przed Justine, którą postrzegał jako szczególnie obdarzaną łaskami przez mroczne siły. Żył wyłącznie aby zabijać i dodawać nowe oczy do swojej kolekcji.

Dalej był Malor Szarogrzywy, którego ojca zabiła przejmując władzę nad tą hordą. Jeżeli wyrostek czuł jakąś urazę, dobrze to ukrywał. Wypełniał jej instrukcje co do litery, walczył dobrze i wyrażał mądre sądy. Często jego plany były lepsze niż pomysły dwakroć starszych od niego dowódców. Już stał się wielkim wojownikiem, chociaż jeszcze nie osiągnął pełnej siły swojego rodzica. Niech sobie pozostali gderają, że jest członkiem rady tylko ze względu na przyjaźń z Justine. Wiedziała, że niektórzy szeptali ohydne kłamstwo, iż był on jej sekretnym kochankiem. Wiedziała, że zapracował na to miejsce swoimi zasługami, a jego dzielność usprawiedliwiała tą pozycję.

Czuła, że ze wszystkich pozostających kiedykolwiek pod jej dowództwem, może obdarzyć pewnym zaufaniem tylko odzianych w czarne zbroje Wojowników Chaosu, których rekrutowała na Pustkowiach, na długo zanim tu powróciła. Przysięgli jej wierność. W pewien sposób pragnęła, by znaleźli się tutaj i zapewnili jej odrobinę wsparcia, lecz teraz ich nie było. Tego wieczora wyruszyli w głąb lasu, aby dopełnić własnych rytuałów, zjednując sobie demoniczną maszynę, którą wypełnili

krwią i duszami podczas przygotowań do nadciągających ciężkich bitew.

Zwierzoludzie patrzyli na nią wyczekująco, pół okręgu zwierzęcych pysków, których oczy okazywały zarówno ludzką inteligencję co nieludzkie żądze. Nagle poczuła się zadowolona, że jej oręż pozostaje w zasięgu. Była tu odizolowana i nie na swoim miejscu. Jak zawsze zanim zaczynała naradę czuła wrażenie oczekiwania. Co się teraz wydarzy? Skąd nadejdzie wyzwanie?

Justine zastanawiała się, jakie powinna im wydać rozkazy. Nigdy nie posuwała się myślami dalej niż do tego miejsca. Ze zdwojoną siłą powróciły wątpliwości, jakie odczuwała wcześniej. Żyła pragnieniem zemsty. Teraz gdy ją osiągnęła, czuła się pusta. Gdy rozmawiała z Kazakitałem łatwo było być pewną celu, czuć oddanie sprawie. Demoniczny Książę wywierał na nią niemal hipnotyczny wpływ. Ale kiedy go nie było, pojawiała się zwątpienie. Rozważała czy pragnie tego, czego on pragnie. Osiągnęła swój główny cel wraz ze śmiercią Hugo.

Po prostu szuka wypełnienia w miejsce długo utrzymywanej żądz, którą zrealizowała. Tak sobie wmawiała. Przez siedem lat napędzana była pragnieniem zemsty. Teraz to uczucie zniknęło, zgasło wraz z życiem jej ciemności. Po tak wielu latach miało prawo pozostawić pustkę. Zmusiła się do koncentracji, wzbudzenia pożądania dla władzy i nieśmiertelności, które nadchodziło z taką łatwością w obecności jej demonicznego patrona. Zdołała wywołać w sobie tylko słaby ślad tego pragnienia. To wystarczyło.

- Zniszczyliśmy nasze pierwsze ofiary - powiedziała silnym głosem. - Ale jedna ocalała. Nakazano mi, by dziewczynka umarła, pomaga się tego nasz władca.

- Lepiej znaleźć inne gromady ludzi. Zabijać więcej - rzekł Hagal, rozglądając się wokół złotymi oczami. - Po co przejmować się jedną ocalałą?

Grind stuknął o bruk swoją laską z rzeźbionej ludzkiej kości udowej.

- Niechaj żyje. Opowiada innym. Z opowieścią nadchodzi strach. Strach jest naszym przyjacielem.

Zawsze to stałe mocowanie się, pomyślała. Zawsze ciągłe krążenie wokół siebie i szukanie słabości. Nawet zwykłe sprawy stają się utarczkami, gdy bestie usiłują polepszyć swój status kosztem innych. Ich społeczność opierała się na hierarchii siły, okazywanie słabości, wszelkiej słabości, zmniejszało prestiż.

- Ponieważ wymaga tego nasz pan. Ponieważ czerwony Kazakital, Wybraniec Khorne'a, powiedział, że musimy to uczynić.

Malor zwrócił swoje szare spojrzenie na Grinda i Hagala.

- Oraz ponieważ żąda tego nasz przywódca, Justine!

- Kimże jesteś, by podważać rozkazy naszego przywódcy? - Tryell spytał bezpośrednio Hagala. A zatem plotki o niesnaskach między nimi były prawdziwe. Dobrze. To wzmacniało jej pozycję.

- Nie podważam słów naszego przywódcy. Kwestionuję potrzebę szukania jednego człowieka, gdy możemy znaleźć tuziny więcej. Czy jesteś tak ochoczy do szukania dziewczyny, bo oszczędziłeś ją zeszłej nocy?

- Kto tak powiedział? - zbyt szybko rzucił Tryell. - Pragniesz pojedynku?

Justine wyczuła, że Tryell próbuje odwrócić uwagę, zresztą nie dbała o to. Ona także oszczędziła dziewczynkę. A może to do tego zmierzał Hagal? Czy była to subtelna krytyka jej samej? Nie życzyła sobie rozwoju tej utarczki. Jeśli Tryell zabije Hagala, to w porządku. Lecz jeśli będzie na odwrót, będzie miała pośród dowódców bestii o jednego naprawdę zaufanego sprzymierzeńca mniej, a wątpiła czy uda jej się znaleźć zastępcę.

- Nie będzie żadnego pojedynku - powiedziała miękko, ale wystarczająco głośno, by usłyszeli ją wszyscy obecni. - Chyba, że ze mną!

Zgromadzenie ucichło, czekając by przekonać się czy ktokolwiek wyzwie ją na zderzenie rogów. Zobaczyła Grinda oblizującego w oczekiwaniu wargi. Spotkała wzrok Hagala. Przez chwilę czuł pokusę, tego była pewna. Przez chwilę, podczas której spotkały się ich spojrzenia, w jego ślepiach pojawiła się żądza zabijania. Sięgnął dłonią do rękojeści swojej broni. Uśmiechnęła się licząc że sprowokuje go do wyzwania, ale w końcu przemyślał to lepiej i opuścił swoją głowę.

- Dobrze - powiedziała rozstrzygająco. - Tryell, weź swoich wojowników i znajdź dla mnie dziewczynkę o włosach podobnych do moich. Sama złożę ją w ofierze Kazakitalowi. Reszta z was niech zbierze swoje oddziały. Ruszamy do następnej ludzkiej osady i zyskamy chwałę zarzynając więcej ludzi.

Skinęli głowami na zgodę i z aprobatą, oraz wstali, by odejść. Justine pozostała w chłodnej sali sama ze swoimi myślami, zastanawiając się, co powinna uczynić, gdy przyprowadzą do niej dziewczynkę.

- Obudź się, człeczyno! Coś się zbliża!

Felix zbudził się ze snu. Fragmenty dziwnych snów nadal okrywały jego umysł. Potrząsnął głową, by się ich pozbyć i poczuł ból w karku i plecach od leżenia na zimnym leśnym podłożu. Chłód przeniknął poprzez warstwę liści i wyssał siły z jego ciała. Podniósł się wolno na nogi i starł senność z klejących się oczu. Dobył z pochwy miecz tak cicho jak potrafił i rozejrzał się wkoło.

Obok stał Gotrek. Krępa, masywna postać zamarła w przyćmionym świetle blednącego ognia. Czerwony blask żarzącego się popiołu odbijał się od jego topora. Zdawało się, jakby krasnolud trzymał broń skapaną we krwi.

Felix spojrzał na niego. Księżycze zaszły. Dobrze. Świt nie był daleko.

- Co to jest? - zapytał. Jego słowa uwięzły w gardle i dobiły się charkotliwym szeptem. Nie potrzebował widoku czujnej postawy krasnoluda, by domyśleć się, że coś nie jest w porządku. Powietrze wśród drzew niosło cichą groźbę, którą nawet on był w stanie wyczuć.

- Słuchaj!

Felix nasłuchiwał. Wysilał słuch, by pochwycić wszelkie niezwykle dźwięki. W pierwszej chwili usłyszał tylko bicie swojego serca. Nie słyszał niczego nadzwyczajnego, jedynie bzyczenie nocnych insektów i cichy szelest liści. Wówczas, gdzieś bardzo daleko, tak cicho, że mógł sobie to tylko wyobrazić, usłyszał niski szmer głosów. Spojrzał na Zabójcę. Gotrek skinął głową.

Felix rozejrzał się, by zobaczyć co dzieje się z Kat. Ona także nie spała i siedziała skurczona przy ognisku. Jej oczy w świetle ognia były wielkie i przestraszone. Felix modlił się, by słońce weszło szybciej. Odwrócił się od ognia i wpatrzył w cienie, postanawiając nie patrzeć w tył i nie psuć wzroku przywykłego do ciemności.

- Kat, dorzuć więcej drzewa do ognia - powiedział cicho. Czuł pokusę prawie nie do opanowania, by odwrócić się i sprawdzić czy dziewczynka jest posłuszna. Zwalczył to i z ulgą usłyszał za sobą poruszenie, oraz trzask drewna łapiącego płomień. Cienie uciekły od ognia i wyspa światła, na której stali rozszerzyła się pochłaniając pobliski las. Drzewa w przyćmionym oświetleniu wyglądały niczym monochromatyczne olbrzymy.

Felix stał absolutnie bez ruchu. Pomimo chłodu, po plecach ściekał mu pot zwilżający ubranie. Jego dłonie stały się śliskie. Czuł jakby siły odpływały z jego kończyn. Ogarniało go pragnienie ucieczki od tego co się zbliżało.

Zdecydowanie było coraz bliżej. Nie próbowało się skradać. Słyszał w oddali ciężkie kroki, a raz krótkie skamłające szczeknięcie, jakby z bólu. Czuł napięcie mięśni na brzuchu i nieprzyjemne uczucie zdenerwowania w żołądku. Niedbałe zbliżanie się wrogów wskazywało na ich niezwykłą pewność siebie. Czy był bliski spotkania niszczycieli Kleindorfu?

Zaczął odczuwać dziwną ochotę ruszenia w kierunku hałasu, aby go zbadać, a nie stać tu nad ogniem jak owca czekająca na rzeź. Wykonał dla uspokojenia kilka próbnych machnięć swoim mieczem. Broń zasyczała przecinając powietrze. Runy na ostrzu pojaśniały, jakby w oczekiwaniu na zbliżającą się walkę. Rozluźnienie mięśni i gotowość zakłętego oręża o smoczjej rękojeści odrobinę uspokoiło Felixa. Na jego ustach pojawił się uśmiech. Jeśli ma tu zginąć, nie tylko on umrze.

Pewność siebie Felixa zniknęła, gdy wśród lasu rozbrzmiało echo chóru porykiwań dobywających się triumfalnie z niemal tuzina zwierzęcych gardzieli. W mroku przed świtem brzmiały jak odbicie jego koszmarów. One tam były - istoty, przed którymi nie chciał stawać. Felix pragnął rzucić swój miecz i uciec. Siły uciekły z niego niczym wino wylewające się z przewróconego kielicha. Kat zapiszczała za nim i usłyszał dźwięk cichego ruchu, gdy skradała się szukając kryjówki.

- Spokojnie, człeczyno. Robią to, by przestraszyć swoich przeciwników. Osłabić ich i zabić. Nie pozwól, by zapanował nad tobą twój strach.

Opanowany dudniący głos Gotreka działał uspokajająco, ale Felix nie mógł powstrzymać się od myślenia, że cokolwiek się wydarzy, będzie to rzecz oczekiwana przez Zabójcę. Zniszczy swoich wrogów, albo, co bardziej prawdopodobne, znajdzie swoją heroiczną śmierć. Felix zastanawiał się, czy przypadkiem nie należało wskazać, że jeśli on sam nie przetrwa, wówczas nikt nie pozostanie by opisać zagładę krasnoluda. Zaśmiał się cicho nad ponurym humorem tej myśli. Usłyszał, że Zabójca przysunął się nieco.

Prześladowcy byli prawie nad nimi. Felix słyszał zgrzyt piasku na ścieżce pod ich stąpanieniami. Nie mogli być dalej niż sto kroków. Rozejrzał się szukając osłony. Pod największym z drzew wyrastało nieco krzaków. Rozmyślał nad roztropnością pomysłu, by schować się wśród nich, a potem wyskoczyć z zasadki. Albo może w ogóle nie wyskakiwać, tylko mieć po prostu nadzieję, że pomiot Chaosu go nie znajdzie. Zdał sobie sprawę, że w jego przypadku taka nadzieja była nikła.

Wskazał końcem miecza pasmo krzewów i wyszeptał:

- Kat, schowaj się tam. Jeśli cokolwiek zdarzy się mnie lub Gotrekowi, nie wychodź z ukrycia!

Z zadowoleniem zobaczył jak mała osóbka rusza naprzód, kładzie się płasko na brzuchu i zaszywa w poszyciu. Jeśli obaj zginą, może mieć nadal jakieś szanse.

Ciekaw był, jak ich znaleźli? Czy to był po prostu pech - czy wpadli tylko przypadkiem na oddział zwiadowców? A może działała jakaś nieczna magia? Nigdy nie można było być pewnym gdy chodziło o Chaos. Przez chwilę pozwolił sobie na fantazjowanie, że to wszystko jest pomyłką - że słyszą grupę kupców, którzy dadzą im schronienie. Ale wiedział, że po nocnej drodze z Kleindorfu mogą wędrować tylko martwi, albo ich Zabójcy. Ta myśl wywołała u niego dreszcz.

Dźwięk kroków był teraz tak blisko, że wkrótce prześladowcy muszą znaleźć się w zasięgu wzroku. Felix pragnął, by zachodzące księżycy wyrwały się z otaczających chmur i udzieliły mu nieco światła. Pojawiła się mała przerwa w osłonie chmur, zupełnie jakby Sigmar wysłuchał jego modlitwy. Za chwilę tego pożałował.

Dziwaczne srebrne światło Mannsleiba mieszało się z krwawym lśnieniem przeklętego księżyca, Morrslieba. Spłynęło w dół poprzez szczeliny w osłonie drzew i padło na twarze ścigających. Widok przekraczał najdziksze wymysły sennych koszmarów.

Na przedzie znajdował się mutant na smyczy. Kuczał tuż nad ziemią, węsząc po ścieżce. To on wydawał sapiące dźwięki, które słyszał Felix. Miał bezwłosy pysk psa i wielki nos. Kolczasta obroża wokół jego karku przypięta była do ciężkiego stalowego łańcucha, którego drugi koniec trzymała potężna, koziogłowa bestia. Była niesamowicie umięśniona, a przez ramię miała przewieszony skórzany płaszcz. Na szyi widniał naszyjnik z czegoś co wydawało się być zasuszonymi gałkami ocznymi. Potwór nie posiadał własnych oczu, jedynie błonę naciągniętą w

miejsce oczodołów. Jednak poruszał się tak, jakby doskonale widział. Felix zastanawiał się jaka sztuczka magii Chaosu pozwala na coś takiego. Stwór trzymał w jednej ręce ogromną najeżoną kolcami maczugę. Wokół jej końca widoczne były zaschnięte plamy substancji, których natury Felix wolał nie dociekać.

Za nim podążały sługi potwora: mniejsze bestie ukształtowane według tego samego potwornego wzoru, przygarbione, muskularne olbrzymy trzymające włócznie i pordezwiąte miecze. Czerwone w świetle ognia zwierzęce ślepia gapiły się ze łbów kóz i jeleni. Po za ich przywódcą, nikt nie niósł widomych stygmatów dalszych mutacji. Na ten widok Felix poczuł mrowienie w całym ciele. Myśl o tym co uczynili w wiosce poprzedniej nocy przepelniła go zarówno strachem jak i wściekłością.

Bezoki przywódca zatrzymał się i dał znak reszcie ogromną sękatą dłonią. Przedostali się na polankę i utworzyli duży półokrąg stojąc twarzami ku człowiekowi i krasnoludowi. Felix ustawił się w pozycji do walki, próbując rozluźnić swoje mięśnie, tak jak nakazywali jego mistrzowie szermierki. Starał się oczyścić swój umysł zachować spokój, ale w obliczu owych masywnych potworów było to niemożliwe.

Przez długą chwilę człowiek i bestia patrzyli na siebie poprzez mroczną polanę. Felix zmusił się do wytrzymania spojrzenia najbliższego koziogłowego. Zabiję cię, pomyślał, mając nadzieję, że zastraszy kreaturę. Jej zwierzęce usta otworzyły się i stworzenie wywiesiło swój ózór. Na wargach pojawiła się piana. Wyglądało, jakby kpiło sobie z niego. No cóż, może zatem cię nie zabiję, pomyślał Felix i uśmiechnął się.

Chciał spojrzeć na Gotreka, aby zobaczyć co zamierza zrobić Zabójca, ale nie ośmielił się odwrócić oczu od przeciwników. Obawiał się, że jeśli się obejrzy zaatakują z nadnaturalną szybkością. To było najgorsze w mierzeniu się z nieznanym wrogiem. Któż wie do czego mogą być zdolni?

Bestie utrzymywały swoje pozycje, jakby niepewne co robić wobec dwóch nieustraszonych przeciwników. Spoglądały na siebie nawzajem, zdziwione albo niepewne. Może decydowały kto pierwszy wybierze kęsy z ich ciał, myślał Felix. Uderzyło go, że istoty o tak potwornej reputacji pożeraczy ludzkiego mięsa posiadają głowy zwierząt roślinożernych. Może był to żart Niszczycielskich Mocy.

- Gotów, człeczyno? - głos Gotreka brzmiał niezwykle czysto jak na berserkera przed bitwą, pomyślał Felix. Jego głęboki głos był spokojny, równy i nie niósł oznak żadnych emocji.

- Jak nigdy - Felix ścisnął mocniej rękojeść swojego miecza, aż prawie poczuł ból. Muskły jego przedramienia stały się twarde niczym stalowe wręgi. Gdy usłyszał dziki śmiech Zabójcy, on również ruszył by stanąć twarzą w twarz z przeciwnikiem.

Kat wierciła się pod krzakami. Nie chciała tego robić, ale fascynujące przerażenie zmuszało ją by ponownie wyrzeć. Wiedziała, że bestie się zbliżają. Czuli to. W powietrzu znajdowała się ta sama obecność, co poprzedniej nocy. Popatrzyła na swoich dwóch dobroczyńców i żałowała ich. Wkrótce zginą. Może byli groźni, ale starali się jej pomóc i nie zasłużyli na śmierć, jaką zgotują im bestie.

Spojrzała na Felixa. Jego przystojna twarz wyrażała coś pomiędzy beznadziejnym strachem, a dziką radością. Rozumiała, że to było możliwe. Często czuła się podobnie, kiedy Karl jechał zbyt szybko wyboistą drogą swoim powozem. Był to rodzaj napiętego uczucia podniecenia, strachu i szczęścia - wszystkiego naraz. Felix nie wyglądał jednak na zbyt szczęśliwego i to była cała różnica.

Natomiast krasnolud był szczęśliwy. Jego brutalne rysy twarzy skrzycone były w okrutnym uśmiechu, który pokazywał szczerbate zęby. Kat była pewna, że zauważył jak na niego patrzy, ponieważ odwrócił się i mrugnął okiem w jej kierunku. Albo się nie bał, albo był bardzo dobrym aktorem, uznała.

Obaj wyglądali śmiało, każdy na swój sposób. A patrząc na ich dobrze wyglądający oręż, wiedziała że obaj muszą być wielkimi wojownikami. Runy na mieczu Felixa lśniły wewnętrznym ogniem, niczym jakieś zakłete ostrze z opowieści. Topór Gotreka wyglądał jakby mógł nim ściąć drzewo jednym zamachem. Ale wiedziała, że w końcu to nie ma znaczenia. Byli zgubieni. Bestie nie darują im życia.

Na przekór samej sobie sapnęła, kiedy potwory weszły na polankę. Przywódca, ten który trzymał na łańcuchu wężącego mutanta, był tym samym, który oszczędził ją w gospodzie poprzedniego wieczora. Widziała, że przyszli po nią, tylko po nią, aby naprawić swój błąd. Wśród jego popleczników byli ci sami, których widziała plądrujących wioskę. Wszyscy byli masywni, wyżsi od Felixa, ciężsi od Gotreka. Widząc dwóch wojowników stojących przy ogniu, zdała sobie sprawę jak bardzo nierówna jest to walka. Człowiek przeciw potworowi, mniej liczebni i słabsi nie mieli żadnej szansy.

Przez chwilę stali w bezruchu mierząc się nawzajem wzrokiem. Porwana dramatyzmem sytuacji Kat zapomniała o swoich własnych lękach. Wstrzymała oddech. Gotrek przykucał niby wielki gargulec z toporem trzymanym lekko w jednej dłoni. Felix stał w klasycznej pozie szermierza. Widziała podobną u szlachcica Hugo podczas jego ćwiczeń. Przeciw sobie mieli masę bezkształtnych bestii, pochylonych z pewnością siebie i gotową bronią.

Usłyszała jak Gotrek zahuczał "Gotów, człeczyno?", a Felix odpowiedział "Jak nigdy". Zobaczyła Zabójcę przesuwającego swój kciuk wzdłuż ostrza topora, aż na jego końcu zaśniła kropla krwi. Usłyszała jego szalony śmiech i ujrzała jak atakuje. Felix ruszył w jego ślady. Nie mogąc patrzeć jak zostaną zabici, zamknęła oczy.

Usłyszała straszne chrupnięcie i skowyt bólu. Była pewna, że to był krasnolud. Zginął jako pierwszy. Słyszała dzwonienie stali o stal, oraz chrapliwe stęknięcia wysiłku, po których nastąpiły kolejne krzyki bólu. Felix także zginął. Ale dźwięki walki trwały nadal, dłużej niż można by przypuszczać. Hałasy bitwy przycichły wreszcie, jak się tego spodziewała. Pożerana przez strach otworzyła oczy, by spojrzeć w twarz swemu przeznaczeniu.

Felix natarł. Przed sobą zobaczył Zabójcę uskakującego na bok przed rzuconą włócznią. Gotrek złapał trzonek lewą ręką i ruszył naprzód, przesuwając swój uchwyt wzdłuż całej długości włóczni i unieruchomił ją zamykając dłoń. Znalazłszy się w zasięgu uderzenia, wyskoczył naprzód z toporem, rozbijając czaszkę zaskoczonych zwierozczłka niczym melon. Nastąpiło chrupnięcie i zduszony skowyt bólu. Dobrze, pomyślał Felix, jednego mniej.

Zaangażował wymianę ciosów z potworem uzbrojonym w szablę. Jego miecz dzwonił o nią, wyszczerbiając pordzewiałą stal broni przeciwnika. Istota była silna, ale niewprawna. Zakłete ostrze Felixa żyjąc swoim własnym życiem znalazło drogę przez zasłonę kreatury. W ciągu kilku sekund potwór zaczął krwawić z kilku małych ran. Wydał z siebie gniewny pomruk i zamachnął się uderzeniem, które mogłoby przeciąć Felixa na pół. Człowiek uskoczył w tył, dziko parując ciosy. Spotykające się ostrza sypały iskrami. Jego ramię zdrętwiało od wstrząsów.

Spojrzał w twarz zwierozczłka. Piana ściekała z jego ust, a szaleństwo tańczyło mu w ślepiach. Potwór skoczył ponownie. Jego ostrze opisało rozmyty łuk. Felix instynktownie uchylił się pod nim i ruszył naprzód pchając w górę swoje ostrze. Wnętrznosci bestii wylały mu się na ręce. Stwór zachwiał się do tyłu i zakwiczał jak nadziewana na ruszt świnia, usiłując jedną dłonią przytrzymać własne jelita. Inny zwierozczłek ocknął się z zaskoczenia nagłym atakiem i rzucił się do walki.

Natarł z opuszczonym łbem, celując włócznią w punkt sześć cali poniżej pleców Felixa. Zwierozczłek poślizgnął się na flakach towarzysza i upadł pod nogi Felixa. Młody wojownik złożył modlitwę dziękczynną Sigmarowi i jednym łatwym cięciem obciął głowę potwora. Obrócił się z

zamachem miecza i pozbył się kolejnego rogatego kłopotu.

Gotrek usunął swoich dwóch mniejszych przeciwników i wdał się w pojedynek z przywódcą zwierzoludzi. Nigdzie nie było widać zmutowanego zwiadowcy. Uciekł. Patrząc na scenę rzezi, Felix domyślił się, co musiało się wydarzyć. Nagły atak Zabójcy, dwa potężne cięcia, z których pierwsze rozbiło czaszkę, a drugie zmiądzżyło zebra potworów. Bezoka bestia zbudowana była z twardszej gliny.

Topór i maczuga błyskały z prędkościami rozmywającymi ich obraz. Iskry ulatywały gdy gwiazdny metal uderzał w stalowe ćwieki okrywające głowicę pałki. Bestia była większa, lecz wolniejsza. Uderzenie topora Zabójcy cofało ją po każdym ciosie. Felix rozważał czy nie pomóc Gotrekowi, ale uznał że nie robi tego. Gotrek nie podziękuje mu, a możliwość przypadkowego dostania się w zasięg uderzenia topora była zbyt przerażająca, by brać ją pod uwagę.

Bestia wykonała potężny rozpaczliwy zamach na głowę Zabójcy. Gotrek uskoczył z toru uderzenia i dosięgnął głowicy maczugi krzywizną ostrza swojego topora. Szybkim obrotem wyszarpnął broń z ręki zwierzoczłka, rozbijając go.

Oblicze krasnoluda wyrażało zimną furję, jakiej Felix nigdy wcześniej nie widział. Nie było tam zmiłowania, jedynie gniew i sroga determinacja. Gotrek uderzył potwora w nogę, obalając go na ziemię. Krew płynęła z rozciętego ścięgna. Stwór wydał ostry skrzek bólu i przetoczył się. Gdy to robił, starożytny topór opadł niczym ostrze kata. Głowa bezokiego zwierzoczłka oddzieliła się od jego ramion i istota legła bez ruchu na ziemi.

Zabójca splunął na zwłoki, po czym potrząsnął swoją głową jakby z odrazą.

- Zbyt łatwo - rzekł. - Mam nadzieję, że Wojowniczką Chaosu jest twardsza.

Osobiście Felix miał nadzieję, że nigdy się o tym nie przekonają.

Felix maszerował naprzód z radością w każdym kroku. Nie był zmęczony, pomimo braku snu poprzedniego wieczora, a ciężki teren przez który przechodzili nie zniechęcał go. Oddychał głęboko ciesząc się nawet zastałym powietrzem i stęchłymi leśnymi zapachami. Przynajmniej ciągle był w stanie oddychać.

Nadal był żywy! Słońce przesączało się w dół poprzez liście, łapiąc wirujące kłębki kurzu, sprawiając że tańczyły niczym czarodziejskie światełka. Chciał sięgnąć do nich ręką i zebrać garść, jakby były jakimś rodzajem magicznego pyłu. Przez chwilę las był odmieniony. Poruszali się wzdłuż zaklętego gaju, gdzie wysokie na stopę grzyby wyrastały w cieniu wielkich drzew. Ale teraz nie wyglądały złowieszczo. Niosły obietnicę dalszego życia.

Nadal żył. Powtarzał to sobie jak mantrę. Przeszedł przez piekło i wyszedł po drugiej stronie. Wszyscy jego wrogowie, potwory które chciały go zabić, były martwe. A on był ciągle tutaj, mogąc czuć światło słoneczne, spijać powietrze i obserwować jak Gotrek i Kat schodzą ze wzgórza wyszukując drogi od skały do skały pośród błota stromej i śliskiej ścieżki.

Jego zmysły były ostrzejsze i czuł się bardziej ożywiony, bardziej przepelniony energią niż był kiedykolwiek wcześniej. Przebywanie tutaj było po prostu radością.

Pajęczce sieci lśniły od rosy wczesnego poranka. Ptaki śpiewały. Wszędzie wokół las pełen był rozwijającego się życia. Małe zwierzątka poruszały się w poszyciu. Felix zatrzymał się, by przepuścić węża pełznącego przez ścieżkę i nie próbował go zabić. Tego ranka poczuł jak drogocenne, choć kruche jest życie.

Walka z bestiami uświadomiła mu ponownie jak usilnie trzymał się życia, jak łatwo można przeciąć nić jego istnienia. Mógł leżeć zimny w bezimiennej mogile, albo raczej wypełniając żołądek zwierzoczłka. Nie stało się tak dzięki odrobinie szczęścia, zdolności i właściwemu użyciu miecza. Jakże inaczej wszystko mogło się skończyć. Jeden błąd i nie znajdowałby się tutaj ciesząc się tym

wspaniałym porankiem. Mógł wędrować w mglisto szarych królestwach Morra, albo rozpaść się w zapomnieniu, które według niektórych uczonych było jedyną rzeczą po śmierci.

Wiedział, że ta myśl powinna go przerażać - ale nie przerażała. Tu i teraz był zbyt szczęśliwy. W swoim umyśle odgrywał każdy cios zadany podczas walki, rozpamiętywał każdy ruch niemal z umiłowaniem. Czuł się podniecony. Zmierzył się z potężnymi przeciwnikami i wyszedł z tego zwycięsko. Las nie był w stanie go dzisiaj przerazić.

Wiedział, że to uczucie było sztuczne. Odczuwał coś podobnego wiele razy po zakończonej walce. Zdawał sobie sprawę, że wrażenie minie i zostanie zastąpione przez trwogę i poczucie winy wobec tego co uczynił, ale w tym momencie potrafił się od tego powstrzymać. Zmuszony był przyznać, że w dziwny sposób radowała go bitwa. Przemoc poruszała w nim coś mrocznego, coś co zazwyczaj ukrywał nawet przed sobą samym. Przez chwilę czuł, że może prawie zrozumieć tych, którzy czcili Boga Krwi, Khorne'a, uzależnionych od rozlewu krwi, walki i podniecenia. Nie może istnieć większa podnieta niż rzucanie na szalę losu własnego życia. Żadna stawka nie była wyższa, za wyjątkiem może własnej duszy.

Ta myśl powstrzymała go. Dostrzegął, że myśli kierują go na drogę grzechu. Być może tak zaczęli ci, którzy zaprzędali się Niszczycielskim Mocom, odczuwając radość swojej mrocznej strony duszy. Widział, do czego prowadzi taka droga, zatem zmienił tok rozumowania.

Gotrek na przedzie zatrzymał się, by zbadać jakieś ślady w błocie. Może on także jest uzależniony od walki, rozmyślał Felix. Być może to dlatego realizował swoje osobliwe powołanie - może czynił to bardziej dla własnego zaspokojenia, niż dla odpokutowania popełnionych grzechów. Jakże inaczej ktokolwiek mógłby iść tak dziwną drogą, która prowadziła przez mrok? Możliwe, że motywacje Zabójcy były mniej szlachetne i tragiczne, niż te, o których sam mówił.

Felix westchnął. Nigdy się nie dowie. Krasnolud był mu obcy. Stanowił wytwór innego społeczeństwa, z odmiennym kodeksem etycznym, może nawet odmiennym obrazem świata oglądanego przez obce zmysły. Wątpił, by kiedykolwiek mógł zrozumieć Gotreka. Za każdym razem, gdy się do tego zbliżał, zrozumienie oddalało się od niego. Krasnolud był inny - dziwny na sposób, jakiego Felix wolał uniknąć, odważny poza zdrowy rozsądek, najwyraźniej niewrażliwy na ból i zmęczenie.

Czy dlatego Felix podążał za nim? Z powodu podziwu i pragnienia, by stać się podobny do niego? Aby posiadać jego pewność siebie i siłę? Z pewnością życie byłoby zupełnie inne, gdyby nie złożył podczas pijackiej nocy w Altdorfie swojej przysięgi towarzyszenia krasnoludowi. Może byłby szczęśliwszy. Z drugiej strony, nie zobaczyłby połowy tego co widział, czy było to dobre, czy złe. Były chwile, gdy Zabójca wydawał mu się jego osobistym demonem zesłanym, by uprzykrzać życie i wieść ku ciemności.

Ostrożnie wybierał drogę w dół zbocza, bacząc gdzie stawia stopy, czując twarde kamienie pod cienkimi skórzanymi podeszwami butów. Gdy dotarł do stóp wzgórza, zobaczył na co spoglądali Gotrek i Kat. Ścieżka rozdzielała się na kształt wideł. Przy prawej odnodze ścieżki stał znak milowy - nie zwykły kamień oznaczający drogi Imperium, ale prosty blok wycięty z pnia drzewa. Felix odczytał go.

- A zatem będziemy we Flensburgu za parę godzin - rzekł.

- Jeśli jeszcze stoi, człeczyno - powiedział Gotrek i splunął.

- Chciałabym być tak odważna jak ty, Felix - odezwała się Kat.

Felix zbadał wzrokiem otwartą polanę. Las był tutaj rzadszy i widać było ślady wyrębu drzewa. Pniaki ścieliły leśne podłoże. Wokół nich rosła płatanina roślinności. Tu i tam kiełkowały młode drzewka. Wydawało mu się, że w oddali słyszy huk rzeki. Niebo nad głową, przedzierające się przez

gałęzie, było jasne, czyste i błękitne. Jednakże wszyscy widzieli wielkie chmury burzowe zbierające się na zachodzie. Czarne obłoki łączyły się jeden z drugim, wielkie, nierzeczywiste góry dryfujące coraz bliżej siebie. Kolejny zły znak. Spojrzał w dół na dziewczynkę. Jej umorusana sadzą twarzyczka była poważna.

- Co powiedziałaś?

- Powiedziałam, że chciałabym być tak odważna jak ty.

Zaśmiał się z tego. Poruszyła go jej otwartość i wyraźne pragnienia bycia lubianą.

- Nie jestem odważny.

- Właśnie, że jesteś. Walka z tymi bestiami była odważna - to było coś, co mógłby zrobić bohater w opowieści.

Próbował wyobrazić sobie siebie jako bohatera jednej z sag, które tak bardzo lubił jako młodzieniec, Sigmara albo Oswalda. Jakoś nie potrafił tego dokonać. Zbyt dobrze się znał. Ci ludzie byli podobni bogom, pozbawieni wszelkiej skazy. Sigmar faktycznie stał się bogiem, bóstwem opiekuńczym Imperium, które założył. Tacy ludzie nigdy nie znali strachu, nie miewali wątpliwości i byli nieprzekupni.

- Bałem się. Staralem się tylko zachować życie. Nie jestem odważny - Gotrek jest.

Potrząsnęła stanowczo głową.

- Tak, on jest odważny - ale ty też jesteś. Bałeś się, lecz dalej walczyłeś. Myślę, że to właśnie dlatego jesteś odważny.

Była całkowicie poważna. Felix był zaskoczony i mile połechtany.

- Nikt mnie wcześniej o to nie posądzał.

Odwróciła się i wyduła wargi, myśląc że sobie z niej żartuje.

- No cóż, i tak myślę że jesteś. Nie ważne co mówił ten nikt.

Wyprostował się nieco i zawinął ciaśniej w swój obdarty płaszcz.

Dziwne - przyzwyczaił się do postrzegania Gotreka jako bohatera epickiej opowieści, którego śmierć miał opisać. Nigdy natomiast nie wyobrażał sobie siebie jako części tej historii. Zawsze miał się za niewidocznego obserwatora, kronikarza heroiczych czynów krasnoluda, nie wspomnianego w tekście. Może dzieciak ma rację. Może powinien przeznaczyć nieco miejsca także na swoje własne przygody.

Saga o Gotreku i Felixie. Nie - Moje Podróże z Gotrekiem. Spisane przez Herr Felixa Jaegera. Wyobrażał sobie oprawioną w skórę księgę, wydrukowaną nieskazitelną gotycką kursywą na jednej z pras drukarskich ojca. Będzie oczywiście napisana w Reikspielu, jako dzieło popularne. Klasyczny był zbyt nadęty. Stanowił język uczonych, adwokatów i księży. Może książka będzie czytana w całym Znanym Świecie? Może stać się równie sławny co Detlef Sierck albo sam wielki Tarradasch.

Opisze ich wszystkie przeróżne przygody. Zniszczenie sabatu podczas Geheimnisnacht, potyczki z wilczymi jeźdźcami na ziemiach Księstw Granicznych. Wszelkie wydarzenia prowadzące do zniszczenia Fortu von Diehl. Ich wyprawę w mrok pod światem. Bitwy z Rogatym i podróż przez siedliska zarazy pod Altdorfem.

Próbował wyobrazić sobie jak sportretuje siebie w tej historii - oczywiście będzie śmiały, lojalny, skromny. Niemal natychmiast rzeczywistość zaczęła wdzierać się w jego marzenia. Śmiały? Może. Wyszedł z paru groźnych sytuacji zachowując honor. Lojalny? Jeśli wytrzyma z Zabójcą do końca, z pewnością to będzie prawda. Skromny? Niezbyt uczciwe, bowiem jak skromne jest umieszczanie siebie samego w sadze o przygodach kogoś innego? Może to nie był wcale dobry pomysł. Poczekaj po prostu i zobaczy.

- Jeśli nie jesteś bohaterem, a Gotrek jest, to czemu z nim podróżujesz?

- Dlaczego zadajesz takie trudne pytania, malutka? - zapytał Felix, mając nadzieję, że Zabójca nie usłyszy. Gotrek szedł przez polanę daleko przed nimi, pochłonięty przez własne ponure myśli.

To było trudne pytanie, stwierdził Felix. Dlaczego podążał za Zabójcą? Prosta odpowiedź brzmiała: dlatego, że mu to przyrzekł. Złożył przysięgę owej pijackiej nocy po tym, jak Zabójca wyciągnął go spod kopyt imperialnej kawalerii. Dotrzymanie obietnicy było jego honorowym obowiązkiem. Miał wobec krasnoluda dług za uratowanie życia.

Na początku myślał, że to dlatego trzyma się z Gotrekiem, ale teraz posiadał nową teorię. Krasnolud stanowił dla niego doskonałą okazję podróży, zobaczenia dalekich miejsc i mrocznych rzeczy.

Rzeczy, które go interesowały i ekscytowały. Mógł zostać w domu i stać się nudnym kupcem jak jego starszy brat, Otto. Nigdy tego nie chciał, zawsze się przeciwko temu buntował. Misja Zabójcy dostarczyła mu powodu, by opuścić Altdorf. Powodu, który stanowił uzasadnienie jego pragnienia, by wyruszyć tak czy inaczej. Od tego czasu zaznał nadzwyczajnych przeżyć, niezbyt odległych od tych, jakie są udziałem bohatera sagi. Nie wiedział już, co uczyni gdy nie będzie podróżował dalej z Gotrekiem. Nie potrafił wyobrazić sobie powrotu do swojego starego życia.

- Niech mnie diabli, jeśli wiem czemu - powiedział wreszcie Felix.

Strzała uderzyła w pień drzewa za Gotrekiem i pozostała tam drgając. Zabójca rozejrzał się wokoło, powąchał powietrze i wpatrzył w długą trawę. Czy bestie znowu ich dopadły? Dlaczego zatem po prostu ich nie zastrzela?

Felix przyjrzał się czarnym lotkom przymocowanym do drewna strzały. To nie mogli być zwierzoludzie, uznał. To nie wyglądało na typową dla nich broń. Kat nie wspominała, by któryś z nich był uzbrojony w łuk. Jego skóra mrowiła przeczuwając niebezpieczeństwo. Wysilał swoje zmysły, by usłyszeć jakikolwiek dźwięk. Wszystko co słyszał, to wiatr w gałęziach, śpiew ptaków, oraz hałas odległej rzeki.

- To był strzał ostrzegawczy - rozległ się szorstki i nieokrzesany głos. - Nie zbliżajcie się bardziej.

Pod wiatr, pomyślał Felix, łucznik ustawił się pod wiatr. Bardzo profesjonalne. Ta sama myśl bez wątpienia uderzyła Gotreka, gdy patrzył w kierunku, skąd dobiegały słowa.

- Ja wam dam strzał ostrzegawczy. Wychodźcie i zmierzcie się z moim toporem - rzekł. - Jesteście wojownikami czy słabeuszami?

- To nie brzmi jak zwierzoczek - powiedział inny głos, z lewej. Brzmiał serdecznie. Czuło się w nim ślad wesołości tak wielkiej, że nie można jej ukryć, bez względu na to jak poważna jest sytuacja.

- Któż to może wiedzieć - to dziwne czasy. Z pewnością nie wygląda na człowieka. - To pochodziło od kobiety gdzieś za nimi. Felix odwrócił się, ale niczego nie zauważył. Czuł mrowienie między łopatkami. Spodziewał się w każdej chwili, że znajdzie tam strzałę. Głos Gotreka pełny był gniewu.

- Sugerujecie, że nie dorastam do waszej słabej rasy? Zmuszę cię do zjedzenia tych słów, człowiecze. Jestem przeklętym krasnoludem!

- Może powinienes się powstrzymać zanim dojrzymy kto przygotował zasadzkę - wyszeptał Felix, a potem krzyknął:

- Wybaczcie mojemu przyjacielowi. Jest on wielkim nieprzyjacielem Niszczycielskich Mocy i niełatwo przyjmuje obelgi. Nie jesteśmy zwierzoludźmi ani mutantami, jak bez wątpienia widzicie. Jesteśmy zwykłymi najemnikami, na drodze do Nuln w poszukiwaniu pracy. Nie chcemy waszej krzywdy, kimkolwiek jesteście.

- Gładko mówi, to rzecz pewna - powiedział pierwszy męski głos. - Wstrzymajta ogień, chłopaki.

Czekajta na mój znak.

- Możliwe, że to czarownik - powiadają, że to edukowani ludzie - odezwał się kobiecy głos. - Może dziecko to jego familiar.

- Nie, to Kat z Gospody w Kleindorfie. Usługiwała mi dość często. Wszędzie rozpoznam te włosy. - Jowialny głos brzmiał przez chwilę namysłem. - Może ją porwali. Słyszałem, że w Nulu istnieje dobry rynek na dziewicze ofiary.

Felix pomyślał, że sprawy łatwo mogą przybrać nieprzyjemny obrót. Ci ludzie zdawali się przestraszeni i podejrzliwi i niewiele trzeba, by uznali za słuszne nafaszerować go strzałami i przepytąć dziecko później. Wysilał rozum, poszukując wyjścia z sytuacji. Miał nadzieję, że Gotrek powstrzyma swoje naturalne skłonności rzucając się głową naprzód w kłopoty, albo obaj będą skończeni.

- Czy to pan, Herr Messner? - Spytała nagle Kat.

Niech cię Sigmar błogosławi dziecko, pomyślał Felix. Zagaduj ich. Każde wypowiedziane słowo zwiększa ludzki kontakt, sprawia że trudniej im będzie uważać nas za bezimiennych wrogów.

- Nie zabijajcie ich. Ochronili mnie przed bestiami. Oni nie są czarnoksiężnikami, ani wielbicielami Chaosu. - Spojrzała jasnymi oczami na Felixa. - To Herr Messner, jeden z leśników starego Księcia. Śpiewał dla mnie piosenki i opowiadał dowcipy, gdy przychodził do gospody. To miły człowiek.

Ten miły człowiek prawdopodobnie jest o kilka sekund od wpakowania strzały między moje oczy, pomyślał Felix.

- Kat ma rację. Zabiliśmy bestie. Możemy zabić wiele więcej. Zniszczyli Kleindorf - mogą w tej chwili maszerować dalej. Dowodzi nimi wojownik Khorne'a.

Za drzew po prawej stronie Felixa wychylił się duży, brzuchaty mężczyzna. Ubrany był w skóry oraz pstrokaty zielono-brązowy płaszcz. Felix był zaskoczony. Musiał kilkakrotnie spoglądać na człowieka, ale nie domyślił się, że tam się ukrywa. W jednej wielkiej dłoni trzymał łuk, ale nie celował w Gotreka ani w Felixa. Poruszał się niezwykle cicho jak na tak dużego człowieka.

Zatrzymał się dziesięć kroków od ścieżki i spoglądał na nich, jakby ich oceniał. Jego twarz była poobijana, a szare włosy przerzedzone. Nos wyglądał na złamany i spłaszczony. Miał kalafiorowate uszy niczym starzejący się gladiator. Jego oczy były szare i zimne jak stal.

- Nie - nie wyglądacie na pomiot piekła, to rzecz pewna. Ale z pewnością nie wybraliście sobie najlepszego czasu na wędrówki po lasach - teraz gdy wałęsa się każda spaczona dusza stąd do Kisleva.

- Wobec tego, dlaczego wy tutaj jesteście? - zapytał Gotrek. Jego twarz była ciemna, ledwo skrywała powstrzymywany gniew.

- Nie muszę odpowiadać na twoje pytania, ale odpowiem, że to moja praca. Ja i chłopaki trzymiem oko na wszystkim w tych lasach dla starego Księcia. I powiadam wam, że teraz nie podoba mi się cośma zobaczyli.

Potał nos kłykciami i stał patrząc się na nich. Felix próbował przejrzeć mężczyznę. Mówił jak wieśniak, ale w jego oczach była bystrość, a styl w jakim powoli cedził słowa sugerował, że jest to przebiegły człowiek sprytnie się maskujący. Zdawało się, że trudno go rozzłościć, ale Felix zgadywał, że jeśli do tego dochodzi, nieznajomy staje się strasznym przeciwnikiem. Na swój spokojny sposób budził obawy. Stał swobodnie przed Zabójcą, co wskazywało, że jest pewny swojego autorytetu. Felix widział wcześniej takich jak on - zaufane sługi, obdarzeni pewnością siebie ich pana i często natychmiast sprawiający zadość sprawiedliwości na podległych im terenach.

- Nie jesteśmy waszymi wrogami - rzekł Felix. - Zeszliśmy tylko z drogi Imperatora. Nie chcemy

żadnych kłopotów.

Mężczyzna zaśmiał się, jakby Felix powiedział coś zabawnego.

- W takim razie jesteś w złym miejscu, chłopcze. Coś poruszyło starych zwierzoludzi jak nie widziałem od lat. Wiodą szlak zniszczenia z lasów do gór, a z tego co powiadasz, także do Kleindorfu. Szkoda - zawsze lubiłem to miejsce. A co z Kleinem i jego żołnierzami? Z pewnością coś musieli uczynić.

- Pournierali - powiedział Gotrek i zaśmiał się jadownicie. Leśnik spojrzał na niego. W jego oczach czaił się gniew.

- Nie - tam był zamek. Stał tam od sześciuset lat. Bestie nigdy nie atakują fortyfikacji. Nie mają takiej strategii. Oto co trzyma nas przy życiu na tych przeklętych ziemiach.

- To prawda. To co mówi Gotrek to prawda - rzekła Kat. Mówiła, jakby miała się za chwilę rozpłakać.

- Na waszym miejscu pilnowałbym następnej wioski - rzucił Gotrek, po czym dodał sardonicznie - to rzecz pewna.

Messner odwrócił się i krzyknął w las:

- Rolf - ruszaj na zachód i zobacz co tam widać. Freda - zbierz resztę chłopaków. Spotkamy się we Flensburgu. Ja zabiorę naszych nowych przyjaciół. Wygląda na to, że sprawy będą się miały paskudnie.

Inni nie odpowiedzieli. Felix nie usłyszał nawet szmeru krzaków, ale wyczuł, że obserwatorzy poszli. Wzdrygnął się. Stał tak blisko śmierci i nawet nie zobaczył jej szafarzy. Czuł jak powraca jego niechęć do lasu, wolał miejsca, gdzie człowiek widzi zbliżające się niebezpieczeństwo.

Messner machnął na niego, by za nim poszedł.

- Chodź. Po drodze opowiecie mi czego się dowiedzieliście. Do czasu gdy dojdziemy do Flensburga chcę dokładnie wiedzieć, co się stało.

Stary człowiek siedział ze skrzyżowanymi nogami na pleciance obok drzwi chaty, paląc długą zakrzywioną fajkę. Grał z chłopcem w warcaby małymi kamykami na planszy narysowanej na ziemi. Spojrzał w górę odrywając się od gry i zmierzył wzrokiem Felixa z przenikliwością człowieka lasu badającego nieznanego. Wypuścił w powietrze kilka kółek dymu. Messner pomachał do niego jakby w rodzaju krótkiego salutu, a stary mężczyzna odpowiedział zagmatwanym gestem lewej dłoni. Felix zastanawiał się czy miało to znaczyć odstraszenie złych uroków, czy też komunikację w jakimś języku znaków?

Z zainteresowaniem przyglądał się miasteczku, szczególną uwagę zwracając na wielkich mężczyzn noszących ogromne obusieczne topory. Ich twarze pokrywały wielokolorowe tatuaże i blizny. Mieli wąskie czujne oczy. Kroczyli przez błotniste ulice butami ozdobionymi futrem i całą arogancką pewnością siebie Templariuszy Middenheimu. Czasami zatrzymywali się, by wymienić plotki z odzianymi w kozuchy kupcami, albo zerkać na ładne dziewczyny o orzechowych włosach, niosące wiadra z rzeki do beczek pitnej wody.

Gruby mężczyzna zawołał Messnera, by spojrzał na stos futer rozłożonych przed nim na plecionych matach. Z pewnością były to wyniki pracy jakiegoś trapera. Messner przyjaźnie potrząsnął głową i szedł dalej. Zatrzymał się jedynie, by przepuścić przed sobą roześmiane bosonogie dzieci ganiające świnie.

Minęli wędzarnię, przed którą wisały wielkie szynki i pół tuszy dzika. Dymny zapach mięsa zmusił Felixa do przełknięcia śliny. Kurczaki zwisały powieszzone za szyje na rzemieniach przywiązanych do okapów. Felixowi przypominał się nieprzyjemnie widok ludzi wiszących na szubienicach w Kleindorfie i odwrócił głowę.

Messner podszedł do chatki skryby i po krótkiej rozmowie wziął atrament i pędzelek, po czym zapisał coś na niewielkim skrawku papieru. Następnie przeszli do gołębnika na zewnątrz jednej z chat. W środku siedziało sześć grubych szarych gołębi. Messner zwinął papier i wcisnął go do stalowego pierścienia. Potem sięgnął do gołębnika i wyciągnął jednego z ptaków. Nałożył na jego łapkę pierścień, wypuścił gołębia i obserwował z satysfakcją ptaka wznoszącego się ku niebu.

- No cóż, obowiązek wykonany i stary Książę ostrzeżony - rzekł. - Może Flensburg będzie już bezpieczny.

Felix pomyślał, że są na to szanse, z pewnością miasto było dobrze chronione i musiało tam być prawie siedmiuset ludzi. Flensburg leżał w pobliżu zakrętu rzeki i przypominał bardziej wielki obóz drwali niż wioskę lub miasto. Z obu stron otoczony był rowem i drewnianą palisadą. Krzywizna rzeki chroniła pozostałe dwie strony. Do strumienia opuszczano wielkie stopy materiału drzewnego z przystani i tratw, aby dryfował do bóg wie jakiego miejsca zbytu - zapewne Nuln, jak pomyślał Felix.

Zbliżając się, widzieli tuziny kwadratowych drewnianych chat otoczonych grubymi palisadami z drewna. Wszystkie domy ze swoimi solidnymi ścianami z bali i płaskimi dachami pokrytymi darnią przypominały miniaturowe forty. Miejsce przemawiało funkcjonalnością, niektóre z budynków uznano za magazyny i faktorie kupieckie. Jeden posiadał zatknięty na dachu zgrubny znak młota zbudowany z dwóch bali. Była to świątynia Sigmara.

Gdy przeszli przez ciężko ufortyfikowaną bramę, przekonali się że mieszkańcy Flensburga byli tacy jak ich miasto: surowi, oszczędni i praktyczni. Większość mężczyzn odziana była w futra, mieli ponure, harde twarze i twarde spojrzenia. Ostrożnie przyglądali się nieznajomym. Ich czujność wydawała się wrodzona. Większość niosła ciężkie topory drwali. Niektórzy, ubrani w funkcjonalne stroje leśników, trzymali łuki. Kobiety ubierały się w weselsze kolory, grube wielowarstwowe spódnice i podbite kaftany, włosy miały zawinięte w czerwone nakrapiane chusty. Matrony maszerowały błotnistymi ulicami niosąc kosze różnych dóbr, a za nimi ciągnęły procesje dzieci, podążając za matką niczym kacząta.

Tutejsi ludzie w pobliżu południowych granic lasów byli niżsi od obywatele miast Imperium. Ich włosy miały najczęściej piaskowo brązowy kolor, a cera była ciemniejsza i bardziej opalona. Felix wiedział, że posiadali reputację ciemnego, bogobojnego ludu, przesadnego, biednego i niedouczonego. Patrząc na nich mógł w to uwierzyć, ale widział też, że miejskie uprzedzenia mówiły tylko połowę prawdy.

Nie był przygotowany na ich dumę i odwagę. Spodziewał się raczej czegoś w rodzaju zacofanych wieśniaków na majątku szlachcica. Znalazł ludzi, którzy spoglądali na niego bez lęku. Stali wyprostowani i silni w przerażających cieniach wielkiej puszczy. Myślał, że Messner jest wyjątkowy, ale dostrzegł, iż był typowym przedstawicielem swojego ludu. Felix przygotował się na chłopów pańszczyźnianych, a zastał wolnych ludzi i to z jakiegoś powodu cieszyło go.

Gotrek popatrzył na palisadę oraz chaty i odwrócił się do Messnera.

- Lepiej zwołaj swoich ludzi i powiedz im czego mają się spodziewać. To nie będzie przyjemne.

Felix wypatrywał z wieży strażniczej ponad czystym obszarem otaczającym osadę, w kierunku rozciągającego się poza nią lasu. Teraz, gdy wydostał się z jego cienia, drzewa znowu zaczęły być przerażające: ogromne, obce, żywe. Ich mrok dawał schronienie czemuś złowrogiemu. Obserwował ostatnich dziennych maruderów wciskających się przez bramę. Za nim stał Messner czujnie patrząc zimno szarymi oczami.

- Sprawy mają się źle i to rzecz pewna - powiedział.

- Można by pomyśleć, że mieszkając w tych lasach często musieliście mieć do czynienia z

bestiami.

- Wystarczająco często walczyliśmy z nimi, bandytami i innymi rzeczami. Ale to zawsze były potyczki. Ukradli dziecko, zabilimy paru. Zrobili najazd na świnie, dorwalimy złodziei. Czasami kiedy najazdy stawały się zbyt zajadłe, musieliśmy posyłać do starego Księcia po żołnierzy i montować wyprawę. Nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego. Coś ich strasznie popędziło, to rzecz pewna.

- Czy to mogła być ta kobieta, ta czempionka?

- Najpewniej. Słyszy się o nich w starych gądkach - Mroczni, czempioni Chaosu - ale nigdy człek się nie spodziewa, iż się na onych natknie.

- Bywały czasy, kiedy doświadczałem, że te stare opowieści zawierają wiele prawdy - rzekł Felix. - Widziałem podczas moich podróży nieco dziwnych rzeczy. Nie jestem obecnie tak skory do powątpiewania.

- To sama prawda, Herr Jaeger. Rad jestem słyszeć edukowanego człeka, któren to przyznaje. Sam widziałem parę dziwnych rzeczy w tych lasach. I takż zasłyszałem wiele starych opowieści, w które także nie wątpię. Powiadają, że gdzieś w tej puszczy jest Czarny Ołtarz. To miejsce oddane Mrocznym, gdzie składa się na ofiary ludzi. Gadają, że tam odprawiają obrzędy zwierzoludzie i inne... rzeczy.

Zapadli w niespokojne milczenie. Felix czuł jak ogarnia go smutek. Wszystkie te historie o Mrocznych zaniepokoiły go i wzbudziły wiele obaw. Wpatrzył się ponownie na polanę.

Kobiety i dzieci przestały pracować na polach i wracały do bezpieczeństwa za palisadą, niosąc kosze pełne ziemniaków i rzepy. Felix wiedział, że zaniosą je do magazynów. Wioska przygotowywała się do oblężenia. Inne kobiety, które zbierały orzechy i zioła w lesie, powróciły godzinę temu po wezwaniu wielkiego ostrzegawczego rogu.

Felix zastanawiał się co będzie dla niego rozsądniejsze: zostać czy prześlizgnąć się do lasu. Może mógłby zabrać tratwę i podryfować w dal rzeką. Nie wiedział co było gorsze - myśl o pozostaniu samotnie w lesie, czy być uwięzionym tutaj, gdy zbliżają cię siły Chaosu. Starł się odsunąć od siebie te myśli jako niegodne, usiłował przypomnieć sobie słowa Gotreka o zapanowaniu nad strachem, lecz przerażenie zamknięcia w labiryncie drzew stale dręczyła dno jego umysłu.

Wyglądając z góry, zobaczył spieszącą przez pola grupę leśnych, Felix dostrzegał, że nieśli kogoś rannego. Jeden z nich ciągle oglądał się za siebie przez ramię, jakby spodziewał się pościgu. Dwie pozostałe na zewnątrz kobiety pospieszyły, by im pomóc.

- To Mikal i Dani - powiedział Messner. - Wygląda na to, że mieli kłopoty. Lepiej zejść i dowiem się, co się stało. Zostań tutaj i miej oczy otwarte. Jeśli coś się wydarzy, zadmij w róg.

Rzucił wielki instrument w ręce Felixa i zanim ten mógł zaprotestować Messner rzucił się przez drzwi zapadowe i był w połowie schodów. Felix wzruszył ramionami i dotknął palcami gładkiego metalu rogu. Zimna masa przedmiotu była uspokajająca, nawet jeśli nie był pewien swoich zdolności wydobywania z niego dźwięku. Spojrzał w dół na czubek głowy łowcy, po raz pierwszy zauważając łysą plamę na szczycie jego czaszki. Skierował swoją uwagę z powrotem na pola.

Mężczyźni zatoczyli się w przód, unosząc swojego towarzysza. Szczęknięty otwierane wrota i mieszkańcy wioski na czele z Messnerem ruszyli by im pomóc. Felix zauważył jak wszyscy skoczyli posłuszni rozkazom człowieka księcia. To, że Messner jest kimś w rodzaju przewodnika społeczności stało się jasne tego popołudnia podczas wielkiego publicznego spotkania na placu osady. Gburowaci drwale i starcy, tęgie gospodynie i smukłe dziewczęta, wszyscy razem słuchali jego miękkiego jowialnego głosu, którym opisywał zbliżające się niebezpieczeństwo.

Nikt z nim się nie sprzeczał, ani nie podawał w wątpliwość jego słów. Dzięki gwarancji

Messnera, nikt nie podważał relacji Gotreka i Felixa. Słuchali z respektem nawet Kat, chociaż była tylko dzieckiem. Pamiętał wszystko, co powiedzieli i zrobili nawet, gdy skończyli przemawiać. Zapadła cisza. Oblicza ludzi stężały w przerażeniu. Ciepłe popołudniowe słońce spływało światłem na kark Felixa. Pamiętał jak kobiety z dziećmi odwróciły się i zabrały je do centralnego domu, Świątyni Sigmara. Tłum rozsunął się bez słowa, by je przepuścić.

Podobnie bez słowa, mężczyźni podzielili się na oddziały łuczników i toporników. Jasne było, że Felix obserwował ludzi doskonale przygotowanych na taką okazję. Messner wydawał rozkazy swoim zwykłym spokojnym głosem. Nie było żadnego pokrzykiwania, ani takiej potrzeby. Mieszkańcy osady wykazywali dyscyplinę ludzi, dla których dyscyplina oznacza jedyny warunek przetrwania w tej nieprzyjaznej krainie.

W pewien sposób Felix zazdrościł im poczucia należenia do społeczności, całkowicie polegali na sobie nawzajem. O ile był w stanie stwierdzić, nikt nie wątpił w umiejętności czy lojalność wszystkich pozostałych. Zdał sobie sprawę, że to musiał być efekt życia w odizolowanym społeczeństwie. Każdy znał tutaj każdego przez większość życia. Więzy zaufania muszą być twarde i silne.

Przez chwilę Felixowi zdawało się, że tylko on nie jest na swoim miejscu, a potem zauważył Kat. Ona także stała na uboczu, odznaczając się wśród obecnych dzieci zarówno dziwnymi włosami, jak i brudną odzieżą. Współczuł jej bardzo i zastanawiał się, co z niej wyrośnie. Z rozmowy dziecka i Messnera podczas drogi wynikało, że jest sierotą. Własna matka Felixa umarła, gdy był jeszcze dzieckiem i to wzmocniło współczucie dla dziewczynki.

Ciekawiło go, czy była ważna dla Mrocznej Wojowniczkki? Czy zwierzoludzie, których zwalczył byli tylko zwiadowcami, czy też szukali Kat? Nie po raz pierwszy w swoim życiu stwierdził, iż pragnie dowiedzieć się więcej o drogach Ciemności. Wiedząc, że jest to myśl grzeszna, odsunął ją od siebie.

Usłyszał poniżej jęczącego rannego mężczyznę, którego wnoszono przez bramę.

Kat zaszła się u podnóża wieży strażniczej, czując potrzebę odizolowania. Zmęczyło ją siedzenie wokół wielkiego centralnego ognia. Nie uspokajała ją nawet obecność Gotreka. Czuła się bardzo samotna pośród tych wszystkich zajętych dorosłych. Z nikim tak naprawdę nie mogła porozmawiać i po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że nikogo na tym świecie nie zna i nie ma na nim dla niej miejsca. Płomienie za bardzo przypominały jej palący się Kleindorf. Drabina zatrzeszczała cicho pod jej bosymi stopami. Wdrapała się zwinnie jak małpka na górę wieży.

Felix siedział sam, wpatrując się w ciemności. Słońce zaszło dawno temu, niczym krwawa smuga na horyzoncie. Po niebie dryfował większy z księżyców. Srebrne światło spłynęło na dół. Słaby powiew musnął chłodem policzki Kat i wywołał złowieszcze szepty i szmery w lesie. Felix patrzył jak zahipnotyzowany, zagubiony w swoich mrocznych myślach. Przeszła szybko przez drzwi w podłodze i siadła obok niego ze skrzyżowanymi nogami.

- Felix, boję się - powiedziała.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- Ja też, malutka.

- Przestań tak robić!

- Co takiego?

- Nazywać mnie "malutka". Tak samo jak robi Gotrek. Nigdy nikogo nie nazywa właściwym imieniem, prawda? Mam na imię Kat. Powinieneś mnie tak nazywać.

Felix uśmiechnął się do niej.

- W porządku, Kat. Czy możesz coś dla mnie zrobić? To może być ważne dla nas wszystkich.

- Jeśli tylko potrafię.
- Opowiedz mi o swoich rodzicach.
- Nie mam rodziców.
- Każdy ma matkę i ojca, Kat.
- Nie ja. Zostałam znaleziona przez Heide, żonę Karla, w koszyku do którego zawsze zbierała jagody.

Felix zaśmiał się.

- Znaleźli cię pod krzakiem jagód?
- To nie jest śmieszne, Felix. Powiedzieli, że w pobliżu była potworzyca. Wioskowi ją zabili.

Chcieli mnie także zabić, ale Heide im nie pozwoliła.

Felix starał się zapanować nad swoją twarzą. Jego rozbawienie zniknęło, gdy zobaczył jak poważne było oblicze dziewczynki.

- Nie, masz rację. To nie było śmieszne.
- Zabrali mnie i opiekowali się mną. Teraz nie żyją.
- Czy Karl i Heide mieli jakieś pojęcie kim byli twoi rodzice? Jakiegokolwiek podejrzenie?
- Dlaczego o to pytasz, Felix? Czy to naprawdę ważne?
- Możliwe, że tak.

Kat wróciła myślami do owej nocy, kiedy Karl się upił. On i Heide myśleli, że dziewczynka śpi. Ześlizgnęła się do kuchni, aby napić się wody i usłyszała ich rozmowę. Kiedy zdała sobie sprawę, że mówią o niej, zamarła w miejscu po drugiej stronie drzwi. Pamięć o tym wieczorze powracała. Chciała zapytać ich o więcej, spytać co mieli na myśli, ale zbyt się tego bała. Teraz zrozumiała, że nie będzie już miała okazji.

- Kiedyś słyszałam jak rozmawiali o młodej dziewczynie na zamku, która miała takie włosy jak moje - powiedziała cicho, usiłując wszystko sobie przypomnieć. - Miała na imię Justine. Była daleką kuzynką Lorda Kleina czy coś takiego, biedną krewną która przybyła mieszkać z rodziną. Zniknęła rok przed moim urodzeniem. Nikt nigdy nie dowiedział się, co jej się stało.

- Myślę, że wiem - rzekł miękko Felix.

Do podnóża wieży zbliżyły się kroki. Drabina zakołysała się i w otworze podłogowym pojawiła się głowa Messnera.

- Tu pan jest, Herr Jaeger. Przyszedłem pana zmienić. Niechże pan idzie na dół i weźmie coś do jedzenia. Ty też, dziecko. Żadnych śladów Rolfa? Nadal go me ma.

- Niczego nie zauważyłem - odpowiedział Felix. - Ciekawym, co mogło się mu zdarzyć.

* * *

- Jak cię zwą? - zapytała Justine. Brodaty mężczyzna, którego pochwycili jej zwiadowcy splunął na nią. Skinęła głową do Malora. Zwierzoczek podniósł swoją pięść. Nastąpił trzask łamanych zeber. Człowiek zachwiał się. Upadłby, gdyby nie był podtrzymywany przez dwie bestie.

- Jak cię zwą?

Mężczyzna otworzył usta. Krew ściekała po jego policzku na skórzany kaftan. Justine sięgnęła i nabrała jej nieco na koniec palca. Gdy posmakowała krwi, poczuła słone ciepło i przepływającą przez nią siłę.

- Rolf - odpowiedział wreszcie. Justine wiedziała, że teraz powie jej wszystko o co zapyta. Wiedziała, że to nie leśnicy zabili bandę Tryella. Tropiciel, który przeżył atak na obozowisko opowiedział o strażnikach dziewczynki.

- Z małą dziewczyną podróżuje krasnolud i jasnowłosa mężczyzna. Opowiedz mi o nich.
- Idź do diabła, który cię splodził.

- Pójdę tam... kiedyś - rzekła Justine. - Ale ty tam będziesz, aby mnie powitać.

Wrzasnął kiedy jeden ze zwierzoludzi skrzył mu ramię. Jego całe ciało zeszywniało z bólu. Mięśnie na karku wyglądały jak napięte liny. Wreszcie z jego zmiędzonych ust dobiegła się opowieść o spotkaniu w lesie krasnoluda, człowieka i dziewczynki. W końcu mężczyzna przestał mówić i stał przed nią, wykończony własnym zeznaniem.

- Zabrać go na ołtarz! - rozkazała Justine.

Mężczyzna szamotał się, gdy zanosili go w stronę kamiennego kopca Kazakitala. Jego próby ucieczki były daremne. Bestie były zbyt silne i liczne. Człowieka bardziej przeraził widok wielkiego kopca i czarnego ołtarza na jego szczycie, niż moment porwania przez bestie. Justine uznała, że musiał wiedzieć co go czeka. Najbardziej przestraszył go chyba widok głów Lorda Klein i Hugo.

- Nie! Tylko nie to! - wrzeszczał.

Sama schyliła się do jego więzów i z łatwością zaniósła go na ołtarz. Armia zebrała się w oczekiwaniu na zbliżające się wydarzenie. Gdy księżyc przebił się przez chmury dała bębniarzom znak, by zaczynali. Wkrótce wielki bęben grzmiał rytmicznie niczym puls serca.

Zatrzymała się na szczycie kopca i wyczuła wolno gromadzące się potęgi. Rozejrzała się i dostrzegła morze zwierzęcych pysków, Wzniesione były ku górze ze ślepiami rozjaśnionymi oczekiwaniem, pobyła swój miecz i wyciągnęła go ponad głowę.

- Krew dla Boga Krwi! - krzyknęła.

- Czaszki dla tronu czaszek! - Wydarł się z setek gardeł zew odpowiedzi.

- Krew dla Boga Krwi!

- Czaszki dla tronu czaszek! - Tym razem odpowiedź była jeszcze głośniejsza. Zabrzmiała niczym grzmot w lesie.

- Krew dla Boga Krwi!

- Czaszki dla tronu czaszek!

Ostrze opadło i rozszczepiło żebra Rolfa. Sięgnęła naprzód i wbiła dłoń w rękawicy w lepka masę wnętrza człowieka. Nastąpił ohydny dźwięk zassania, gdy wydarła serce i podniosła je nad swoją głowę.

Gdzieś, w przestrzeni poza przestrzenią, w czasie poza czasem, coś poruszyło się i przybyło w odpowiedzi na jej wezwanie. Spłynęło opadając spiralą spoza tego świata. Nad ołtarzem zebrała się czerwona pulsująca ciemność. Wpłynęła do serca, które trzymała nad sobą i serce zaczęło ponownie bić. Opuściła rękę i włożyła je z powrotem do piersi ofiary.

Przez chwilę nic się nie działo i trwała cisza, po czym z gardła istoty, która niegdyś była Rolfem dobiegł się głośny krzyk. Ciało na piersi zwłok zamknęło się i zaczęło dymić. Trup usiadł prosto na ołtarzu. Jego oczy otworzyły się i Justine dostrzegła za nimi inteligencję. Ciało tymczasowo zostało opanowane przez umysł jej demonicznego patrona, Kazakitala.

Dym uniósł się ze zwłok, gdy ciało pod skórą zaczęło się poruszać. Jej nozdrza wypełnił smród zgnilizny i płonącego mięsa. Umysł i moc zawarte w nieśmiertelnej istocie przybierały nowy kształt przypominający nieludzko piękną formę Demonicznego Księcia. Justine wiedziała, że ciało zostanie wypalone w ciągu minut, nie będąc w stanie powstrzymać pulsującej w nim mocy, ale to nie miało znaczenia. Potrzebowała tylko kilku chwil, by porozumieć się ze swoim panem i zasięgnąć jego rady. Szybko streściła to co powiedział jej Rolf.

- Pójdę do tego miejsca i zabiję tam wszystkich.

- Zrób to, ukochana - cudowny głos Demonicznego Księcia zabrzmiał niczym dzwon dobiegający z rozpadającej się formy. Ponownie poczuła wrażenie pewności i czci, jakie zawsze odczuwała w jego obecności.

- Zabiję dziewczynkę. Oddam ci serca krasnoluda i człowieka, jeśli spróbują ochronić małą.

- Lepiej zabij ich szybko. To niebezpieczna para, bezwzględna i Zabójcza. Krasnolud posiada broń wykutą w starożytnych dniach aby nieść śmierć bogom. Obaj są Zabójcami nie znającymi litości.

- Obaj są już w zasadzie martwi. Stanę zbrojna w moje prorocstwo. Żaden wojownik nigdy nie pokona mnie w walce. Jeśli to co powiedziałeś jest prawdą.

- Popatrz w swoje serce, ukochana. Wiesz, że nigdy nie powiedziałem ci niczego poza prawdą. Wiedz także to - jeśli to uczynisz, nieśmiertelność i miejsce pośród Wybranych niechybnie należeć będzie do ciebie.

- Takóż się stanie.

- Idź zatem z moim błogosławieństwem. Nieś chaos i przerażenie. Nie pozostaw wśród żywych nikogo z wybranych przez ciebie ofiar.

Uczucie obecności skończyło się. Zwłoki upadły głową w piach, już zaczynając rozpadać się w pył. Justine obróciła się do swoich oddziałów i dała im sygnał wymarszu.

Felix spojrzał na zdobiony złoty młot. Promienie słońca padały na niego przez otwarte drzwi świątyni sprawiając że lśnił w świetle wczesnego poranka. Runy pokrywające głowicę młota przypominały Felixowi te, które podziwiał na swoim własnym mieczu. Nie był zbyt zaskoczony. Jego broń stanowiła cenny dobytek Zakonu Płonącego Serca, grupy Sigmaryckich Templariuszy. Zdawało się naturalne, że ostrze powinno posiadać święte znaki.

Obecnych było tylko parę innych osób. Kilka starych modlących się kobiet siedzących ze skrzyżowanymi nogami na podłodze. Dzieci i ich matki zażywały na zewnątrz świeżego powietrza, dopóki jeszcze mogły. Felix podejrzewał, że po zamknięciu drzwi zrobi się tutaj bardzo duszno.

Świątynia była prostą kapliczką. Ołtarz był pusty za wyjątkiem młota używanego do uświęcania zaślubin i kontraktów. Sigmar nie był tutaj zbyt popularnym bóstwem. Większość leśnych oddawała cześć Taalowi, Władcy Lasów, szukając u niego ochrony, ale wyobrażał sobie że Kult Młota znajduje tu pewne łaski. Niewielu pragnie obrażać bogów. Kaplica zapewniała także więzy z odległą stolicą. Był to znak, że tutaj jest Imperium, z prawami i tymi, którzy ich strzegą. Kult państwowy stanowił łącze, które spajało razem rozdzielonych ludzi rozległego Imperium.

Ścian nie pokrywały żadne fryzy ani gobliny, tak popularne na bogatszych obszarach. Sam ołtarz wyrzeźbiony był z drewnianego kłoca, a nie z kamienia. Felix czuł pokusę, by dotknąć młota, sprawdzić czy jest złocony czy tylko pomalowany. Rzeźby na ołtarzu były jednakże niepospolitej jakości. Podziwiał wijące się wokół krawędzi ornamenty i portret Pierwszego Imperatora, który mógłby znaleźć swoje miejsce pośród ikon w katedrze Altdorfu. Ciekaw był, kto wykonał to dzieło w drewnie. Rozmyślał, czy zostanie spalone, gdy nadejdą bestie.

Felix skłonił głowę, uczynił Znak Młota i pomodlił się. Prosił, by miasto zostało ocalone, a życie jego i przyjaciół oszczędzone. Dotknął dłonią młota, a potem przytknął ją do czoła na szczęście, po czym wstał do wyjścia. Wyprostował się czując trząśnienie w stawach. Spędził ostatnią noc w chacie Fritza Messnera i jego rodziny. Podłoga była ledwo lepsza od zimnego stosu liści. Musiał przyznać, że zdarzało mu się tęsknić za swoim miękkim łóżem w Altdorfie. Myślał wtedy, że bycie synem bogatego kupca nie jest wcale takie złe. Teraz na przykład, odsypiałby kaca w swojej komnacie zamiast oczekiwać na atak Chaosu w jakiejś wiosce, o której nikt nigdy nie słyszał.

- Felix... - To była dziewczynka, blada i poważna. - Herr Messner powiedział mi, że cię tu znajdę.

- Miał rację, Kat. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Miałam zeszłej nocy okropny sen, Felix. Śniłam, że coś wyjdzie po mnie z lasu i zabierze mnie

daleko. Śniło mi się, że zgubiłam się w ciemności i gonią mnie rzeczy...

Felix dobrze ją rozumiał. Wiele razy cierpiał podobne koszmary.

- Pst, malutka. One nie są prawdziwe. Sny nie mogą cię skrzywdzić.

- Myślę, że to nieprawda, Felix. Miałam ten sam sen w nocy zanim bestie zaatakowały mój dom.

Felix nagle poczuł mróz w kościach. Oczami duszy dostrzegał zbliżające się siły Chaosu, sprowadzające na nich nieuniknioną zagładę.

Justine siedziała wysoko na siodle swojego ogromnego, czarnego jak środek nocy rumaka. Ponad nią zbierały się chmury burzowe wielkie mroczne obłoki, które zdawały się odbijać nastrój gwałtownej wściekłości, jaka się w niej gotowała. Ta ścieżka, część Imperialnego Gościńca, była czysta. Budowano ją przez lata, aby umożliwić szybkie przemieszczanie się kurierów Imperatora.

Pomyślała o ironii faktu, że podobne drogi przyspieszą nieuniknione zniszczenie Imperium przez Chaos. Najeźdźcy z pustkowi wykorzystają je do szybkiego marszu na zachód. Porównywała ten proces do sposobu, w jaki choroba rozprzestrzenia się po organizmie korzystając z jego własnego układu krwionośnego. Tak, pomyślała, Imperium umierało, a Chaos jest chorobą, która je zabije. Tajne kabały kultystów siejących zepsucie w miastach. Bandy zwierzoluździ i mutantów siejących postrach w lasach. Czempioni Niszczycielskich Mocy przekraczający granice Kislewa i nadchodzący z pustkowi poza nim. Wiedziała, że to nie były przypadkowe zbiegi okoliczności, ale symptomy tego samego upadku. Jego pierwszą ofiarą będzie Imperium, a potem wszystkie królestwa człowieka. Nie - nie powinna myśleć o tym jako o zarazie, powiedziała sobie. To była kruczata, by ukarać ziemię.

Spojrzała na maszerującą za nią małą armię. Najpierw oddziały zwierzoluździ: wielkie, zdeformowane i potężne, każdy dowodzony przez swojego czempiona. Za nimi toczyła się wielka czarna masa ich tajnej broni, Grzmotomiotu, długiego demonicznego działa, które zniszczyło bramę Zamku Klein i umożliwi jej przejście innych ufortyfikowanych miast. Ciągnęły je drużyny pochwyconych niewolników popędzanych przez opancerzonych na czarno rzemieślników, którzy będą obsługiwać broń. Tył stanowili zbieracze, niezorganizowany motłoch, niczym szakale żerujący na resztkach uczy lwów. Mutanci, zniekształceni i szaleni, wygnani z odrazą ich normalnych bliźnich ze swych wiosek i domów. Pchała ich nienawiść i pragnienie wywarcia zemsty na ludzkości.

Znajdowały się tu wszystkie elementy jej własnego życia, stwierdziła Justine. Ta droga, ścieżka do śmierci i zniszczenia, była po prostu przedłużeniem drogi, którą kroczyła przez całe swoje życie. Ta myśl zasmuciła ją. Dziś poczuła się bardziej niż kiedykolwiek wewnątrz rozdartą. Jakby dwie dusze zamieszkiwały to samo ciało. Jedna była mroczna, zdesperowana, żywiąca się mordem i spustoszeniem, skąpana w chwale swej siły i gardząca słabością innych. Wiedziała, że tę stronę Kazakital uprawiał pieczołowicie niczym ogrodnicy Parravonu karmiący swoje piekielne kwiaty. Niosła ziarna demoniczności i nieśmiertelności. To była istota czystej nienawiści, determinacji, przekonania, siły.

Druga dusza była słaba i Justine nienawidziła jej. Ta dusza cierpiała od nieustającej przemocy życia i chciała tylko, by to się skończyło. To była strona, która odczuwała ból, oraz pragnienie poddania się mu, ale nie pozwalała, by ból spadł na innych. Została głęboko zakopana i ukryta wśród wszelkich wydarzeń jej życia. Aż do śmierci Hugo, Justine nie pozwalała sobie na przyjęcie do wiadomości, że ta część duszy nadal istnieje. Ta myśl była zbyt straszliwa, żądza zemsty zbyt silna i gwałtowna. Zawarła pakt z demonem siedem długich lat temu i musiała go dotrzymać, aby móc zrealizować swoją zemstę. Teraz osiągnęła swój cel i raz jeszcze poczuła zwątpienie.

Wątpliwości koncentrowały się wokół dziecka. Pamiętała, jak je w sobie nosiła. Przypominała sobie jak rosło i kopało. Urodziła podczas długiego, chorego okresu włóczenia się po dziczy, gdy szukała korzeni i larw, piła ze strumieni i spała w jamach pod drzewami. Dziecko było jej jedynym

towarzyszem dzikich dni, gdy uciekała w strachu i odrazie. Czuła w sobie jej rosnącą obecność, gdy głód, niedola i przerażenie z wolna odbierało jej zmysły.

Wątpiła, czy mogłyby przetrwać gdyby nie spotkanie ze zwierzoludźmi w puszczy. Gdyby nie zabrali jej, strzegli i karmili. Pamiętała tych zwierzoludzi jako dziwnie nieśmiałych i delikatnych w porównaniu z gorami i ungorami. Działy według instrukcji ich demonicznego patrona, teraz to było jasne, ale to nie umniejszało jej wdzięczności za wszystko. W dzień urodzin zabrały od niej dziecko i nie widziała go od tego dnia, aż do teraz. W tej chwili zrozumiała, po długich latach prób i bitew miała prawo zobaczyć, że to wszystko stanowiło część planu jej patrona, demonicznej strategii, której celem miało być odrzucenie przez nią zwykłego człowieczeństwa i wstąpienie w szeregi Wybranych. Wiedziała, że dziewczynka stanowi ostatnie łącze z kruchym człowieczeństwem i gardziła nią - a jednocześnie zdumiewała się nią.

Przypomniła sobie, jak to się wszystko zaczęło. Bestie zaciągnęły ją przed wielki czarny ołtarz w lesie. Zmusiły do ukłonu przed czarnym kamieniem zapisanym strasznymi runami. Położyły ją na skale i Grind podciął jej gardło i nadgarstki ostrym jak brzytwa obsydianowym nożem, podczas gdy jego akolici wychwalali śpiewem Boga Krwi.

Spodziewała się wówczas śmierci i chciała ją powitać jako koniec cierpienia. Zamiast tego zyskała najmroczniejsze nowe życie. Jej krew buchnęła i spłynęła do wgłębienia na powierzchni ołtarza. Udało jej się jakoś powstać, podtrzymywana na nogach przez wściekłość, wyzwanie i dziwnie przejrzystą nienawiść, która w niej zakwitła. To właśnie wówczas poczuła obecność. To wtedy ujrziała oblicze zła.

W kałuży własnej krwi zobaczyła kształtującą się formę demona. Szkarłatne usta pojawiły się w czerwonej cieczy i wypowiedziały pytania, odpowiedzi i obietnice. Zapytały, czy pragnie zemsty na tych, którzy ją do tego doprowadzili. Powiedziały jej, że świat jest zepsuty i zły, tak jak myślała. Obiecywały moc i wieczne życie. Wymówiły swoje proroctwo. Przeszła jakoś przez próbę stojąc chwiejnie przepelniona bólem. Po wszystkim pamiętała jak jej krew, czarna i dymiąca, dziwnym sposobem spłynęła z ołtarza i wróciła do żył. Zamykane rany mlasnęły, a ciało rozpałała trucizna i moc.

Przez całe dni leżała w płonących snach, podczas gdy ciało zmieniało się, dotknięte demoniczną esencją, unoszoną przez jej własną spaczoną krew. Ciemność otoczyła ją i uczyniła silną. W ustach wyrosły kły. Oczy zmieniły się, tak że widziała w mroku. Mięśnie urosły znacznie silniejsze niż u śmiertelnego mężczyzny. Powstała z transu, wiedząc, że to nie przypadek przywiódł ją do tego ukrytego ołtarza w głębi lasu. To było mroczne przeznaczenie i złowroga zachcianka woli demona.

Zwierzoludzie wyciągnęli skądś czarny pancerz, pokryty runami. Podczas następnej pełni Morrslieba powtórzyli rytuał. Ponownie jej nadgarstki zostały podcięte, jeszcze raz pojawiła się demoniczna obecność. Tym razem zbroja została dopasowana do jej ciała. Krew spływała i zastygała między płytami pancerza, formując sieć mięśni, żył i cielesnych płatów, które uczyniły zbroję drugą metalową skórą. Ten proces pozbawił ją sił. Znowu śniła, a w snach widziała, co musi uczynić.

Zostawiła bestie na długie lata wędrówki. Jej włóczęga kierowała ją na daleką północ, poprzez Kislev, przez Krainę Trolli, do Pustkowi Chaosu i długiej wiecznej wojny prowadzonej między wyznawcami. Walczyła ku chwale swoich mrocznych bogów, a w każdej bitwie proroctwo Kazakitala potwierdzało swoją prawdziwość. Pokonała Helmara Żelaznorękiego, czempiona Khorne'a z rogami byka. Złożyła ofiarę z Marlane Marassa, kapłanki Tzeentcha o płonącym sercu, na jej własnym ołtarzu. Odzierała kończynę po kończynie perfumowanego Zakariaha Kaena, niezwykle otyłego czempiona Slaanesh'a. Brała udział w drobnych potyczkach i wielkich oblężeniach.

Wyszukiwała swoje humanoidalne ofiary w zrujnowanych kopalniach pod zaginioną cytadelą krasnoludów Karag Dum. Tam rekrutowała sługi dla Grzmotomiota.

Każde starcie przynosiło jej nowe dary i moce. Zdobyła swojego wierzchowca, Cień, wyzywając jego właściciela Sethrama Schreibera na pojedynek. Wydarła jego serce jako podarunek dla Khorne'a. Zabrała swoje piekielne ostrze z poszarpanych zwłok Leandera Kjana, przywódcy Kompanii Dziewięciu, po wielkiej walce pod Ustami Piekieł. Pokonywała zmutowane bestie i potwory i wzrastała w umiejętności oraz moc, aż patron powiedział jej, że nadszedł czas, by wrócić i dokonała swojej zemsty. Podczas całego tego czasu, gdy czuła dreszcz triumfu oraz ekstazę zwycięstwa i zwykłą radość bitwy śpiewające w jej spaczonyj krwi, czasami zastanawiała się, co stało się z dzieckiem i czy zostało oszczędzone przez bestie.

Wiedziała, że to już jej nie dotyczy. Nie było związku. To tylko kolejny kawałek mięsa pozostawiony, by żyć i beznadziejnie umrzeć pośród ochłapów tego okropnego świata. Był to jej ostatni pionek do poświęcenia w grze, w której wygra swoją nieśmiertelność. To wszystko.

Tak sobie wmawiała. Ale wiedziała, że Kazakital nie robi niczego bez powodu, oraz że dziecko zostało oszczędzone nie przypadkowo. Być może była to próba ostateczna. Może demon miał nadzieję dla swoich własnych perwersyjnych powodów odkryć w niej jakąś ostateczną skazę. W takim razie czeka go rozczerowanie. W końcu dowiedzie, że jest twardsza niż gład. I niechaj Mroczni Bogowie porwą każdego, kto stanie na jej drodze.

Felix obserwował chmury nad głową. Pędziły przez niebo, przetaczając się falującą masą popychaną przez dziki wiatr. Zabarwienie lasu zmieniło się z jasno zielonego na ciemniejszy, bardziej złowieszczy odcień. Zdawało się, że drzewa czekają tak jak wszystko inne.

Stał na platformie na szczycie drewnianej barykady. Wpatrywał się ponad polami usiłując dostrzec jakiegokolwiek poruszenie w poszyciu. Zgadywał, że było późne popołudnie. Obok niego stał Gotrek, bez zainteresowania badający swój topór. Co każde dziesięć kroków wzdłuż ściany stał łucznik - jeden z leśnych, ludzi którzy potrafili trafić w środek tarczy z dwustu kroków. Obok każdego leżały trzy kołczany pełne strzał. Mierząc odległość do brzegu drzew Felix zdał sobie sprawę, że ta przestrzeń pozostawała pod Zabójczym ostrzałem. Jacykolwiek napastnicy będą musieli zwolnić na zaoranych polach i staną się łatwym łupem dla łuczników.

Pragnął, by ta myśl go uspokoiła, ale nie udawało się. Noc w lesie nie przypominała nocy na dobrze oświetlonych ulicach Altdorfu. Gdy ciemność nadchodziła, była absolutna. Człowiek stojący sześć kroków dalej stawał się rozmytym konturem. Po zmroku, tylko księżycy zapewniały im nieco światła, ale zasłaniały je chmury.

Wcześniej tego dnia leśnicy ustawili wzdłuż krawędzi lasu linię pułapek: wygięte i przywiązane zaostrome gałęzie, mogące schwycić każdego, kto ruszy linkę przy ziemi. Jamy mogące skręcić kostkę niegroźnym, niektóre wypełnione naostrzonymi tykami i przykryte skrawkami darni. Sidła na niedźwiedzie i na ludzi, zamykane sprężyną stalowe szczęki, gotowe ugryźć intruzów. Jeśli mieszkańcy wioski przetrwają atak, będą musieli poświęcić wiele czasu na zdemontowanie własnych pułapek. Może sumienność z jaką nasycili nimi las była odbiciem przekonania, że nie przetrwają, pomyślał.

Felix zabębnił palcami o szczyt ściany czując pod nimi chropowaty dotyk pokrytego liszajem drewna. Gotrek nucił coś do siebie bez zauważalnej melodii, ignorując zirytowane spojrzenia leśnych. Oczekiwanie zawsze było najgorsze. Żadna walka, w której brał udział nie była tak niepokojąca jak wyczekiwanie przed tą. Kiedy wszystko się zacznie, stanie się znacznie lepiej. Będzie przestraszony, ale jego umysł zajmie zwykła troska o zachowanie życia. Teraz nie miał nic do roboty, tylko stać i czekać, wypatrywać widm, jakie przyzywała jego imaginacja.

Wyobrażał sobie jak leży ranny, a nad nim stoi wielki zwierzoczek. Wyobraził sobie, jak staje przed kobietą w czerni i wzdrygnął się. Przypomniawszy sobie masakrę w Kleindorfie i swoją grozę walczącą z usiłowaniami zachowania nad sobą kontroli. Aby się poczuć lepiej, starał przypomnieć sobie, jak się czuł po przetrwaniu walki ze zwierzoludźmi, wspomnienie było blade. Próbował w wyobraźni narysować scenę po bitwie, gdy on i Zabójca będą bohaterami, którzy pobili i przepędzili bestie. To było jednak nieprzekonywujące.

- Już wkrótce tu będą, człeczyno - rzekł Gotrek. Jego głos brzmiał niemal szczęśliwie.

- Tego się obawiałem.

Koszmarne kształty przysunęły się do brzegu lasu. Felixowi wydawało się, że w bladym świetle dostrzega pośród drzew wielką rogatą postać. Strzały pomknęły z palisady i upadły niedaleko. Tak, byli tam. Widać było coraz więcej zwierzęcych sylwetek. Coś poruszało poszycie. Szeleściło i drgało niczym woda wzburzona przez wielkie potwory pod powierzchnią. Chmury rozstały się i na dół spłynęło światło księżyców. Ich blask rozjaśnił piekielną scenę.

- Na kości Grungniego! - przeklął Gotrek. - Patrzaj na to!

- Co?

- Tam, człeczyno! Patrz! Mają maszynę obłęzniczą. Nic dziwnego, że Kleindorf upadł.

Felix dostrzegł postacie w czarnych pancerzach. Otaczały wielką maszynę o długim ryju, przypominającą obłęznicze działo z wieloma lufami. Poganiały biczami tłum warczących mutantów. Zauważył jak ich pokręcony dowódca spiął się na siedzisko z tyłu maszyny. Pozostali mroczni wojownicy rozbiegli się wokół podstawy maszyny, wyciągając metalowe nogi, aby zabezpieczyć rzecz na miejscu. Gdy przywódca poruszył wielką korbą, broń obróciła się kierując na wioskę. Jej lufa odlana została w kształt przypominający smoczy łeb. Nawet z tej odległości, Felix mógł usłyszeć skrzypienie łożysk. Wystrzeliło więcej strzał, ale znowu upadły za blisko. Drwiące okrzyki rozbrzmiały od lasu.

- Co to jest Gotrek? Co to robi?

- Niech ich - to jakieś działo! Teraz wiemy *co* rozwalilo fortyfikacje Kleindorfu.

- Co możemy uczynić?

- Nic! Po zapadnięciu pełnych ciemności przebiją ścianę, a potem nas zaatakują. Bestie widzą w ciemności. Mieszkańcy wioski nie.

- To brzmi zbyt wyrafinowanie jak na bestie.

- Nie tylko z bestiami walczymy, człeczyno. Naszym przeciwnikiem jest Czempionka Chaosu i jej cała świta. Nie brakuje im inteligencji. Wierzaj mi, walczyłem z podobnymi wcześniej.

Felix próbował oszacować liczebność zwierzoludzi w lesie, ale nie potrafił. Trzymali się zbyt daleko poza zasięgiem wzroku, wiedząc że brak wiedzy o ich liczbie zatruwoży obrońców jeszcze bardziej. Strach przed nieznanym był jeszcze jedną bronią w ich arsenale. Felix poczuł jak jego serce zamiera.

- Może powinniśmy zrobić wypad naprzód i zagwoździć działo - zaproponował Felix.

- Tylko na to czekają. Pole pod obstrzałem tam na dole przysłuży im się równie dobrze co nam.

- Ale oni nie mają łuków, prawda? - są bestiami.

- Nie ma znaczenia. Tam jest zbyt wiele pułapek. Ktoś mógłby na nie zbłądzić.

- Myślałem, że szukasz bohaterskiej śmierci?

- Człeczyno, jeśli tu stanę i poczekam, ona sama do mnie przyjdzie. Patrz!

Felix spojrzał w kierunku wskazywanym przez wyciągnięty grupy paluch krasnoluda. Zobaczył odzianą w czarną zbroję Wojowniczkę Chaosu, która podjechała w pobliże wielkiego działka. Widział teraz hordę zwierzęcych pysków wyglądających zza krawędzi drzew. Na jego oczach

prawdziwa fala rogatych postaci wypłynęła z osłony lasu i zaczęła formować się w oddziały, tuż poza zasięgiem strzału z łuku. Gdzieś głęboko w lesie rozległo się dudnienie wielkiego bębna. Odpowiedział mu ryk rogu i dźwięk innego bębna gdzieś na południu. Chór głosów i porykiwań wypełnił noc. Dziwnym sposobem wraz z rytmicznym śpiewem obcych słów, Felix zaczynał wychwytywać ich znaczenie. To było jakby jego przodkowie w starożytnych czasach posiadali wrodzone zrozumienie i właśnie w tej chwili przebudziło się w nim samym. Krew dla Boga Krwi. Czaszki dla tronu czaszek. Potrząsnął głową, aby pozbyć się halucynacji, ale to nie pomogło. Cokolwiek robił, zdawało się że nic zrozumienia powróci.

Hałas osiągnął crescendo, przez chwilę zamilkł i wzniósł się ponownie. To irytowało Felixa i wywoływało skurcze w jego żołądku. Wyglądając na zewnątrz Felix zrozumiał, że śpiew służył dwóm celom. Podkopywał morale wrogów zwierzoludzi i pomagał wyznawcom Chaosu wprowadzić się w stan furii. Widział jak tłukli bronią o swoje tarcze, zagryzali ostrza swoich mieczy, tnąc się do krwi. Tańczyli opętańczo, podnosząc nogi, a potem tupiąc w ziemię jakby miażdżyli pod kopytami czaszki nieprzyjaciół.

- Chciałbym, żeby ruszyli i było już po tym wszystkim - mruknął Felix.

- Twoje życzenie wkrótce się spełni - rzekł Gotrek.

Wojowniczką Chaosu podniosła swój miecz. Horda nagle zamilkła. Kobieta odwróciła się i przemówiła do nich zwierzęcym językiem, a oni odpowiedzieli okrzykami i porykiwaniami. Skierowała się do opancerzonych postaci na szczycie maszyny oblężniczej i dała znak bronią. Jeden z nich zapłasał przez chwilę, po czym zapalił lont. Po pięciu długich, cichych uderzeniach serca, potężna machina wojenna przemówiła głosem grzmotu. Nastąpił głośny świszczący dźwięk, a potem eksplodował fragment ściany w pobliżu Felixa, posyłając w powietrze kawałki drewna, ulewę piachu i strzępy ciała. Zwierzoludzie krzyknęli i zawyli niczym hordy z piekła uwolnione od męki.

Felix cofnął się gdy lufa działa zaczęła przemieszczać się na swoich łożyskach. Widział, że te ściany w żaden sposób nie mogą wytrzymać czarnoksięskiej mocy tej strasznej broni. Nie zostały po prostu zbudowane, by wytrzymywać takie uderzenia. Może najlepszą rzeczą, jaką można zrobić to po prostu zeskoczyć z palisady i znaleźć osłonę głębiej w osadzie.

Gotrek wyczuwał chyba jego myśli.

- Stój na miejscu, człeczyno. Następnym razem trafią w wieżę strażniczą.

- Skąd możesz być tak pewny?

- W swoim czasie pracowałem z działami, a to nie różni się tak bardzo od wszelkich innych.

Potrafię przewidzieć trajektorię strzału.

Felix zmusił się, by pozostać tam gdzie stał, pomimo dreszczy przebiegających wzdłuż pleców. Był pewien, że spogląda w samą lufę broni. Machina odezwała się ponownie. Lufa zionęła płomieniem i dymem. Jeszcze raz zabrzmiał świszczący dźwięk. Jedna z nóg wielkiej drewnianej wieży strażniczej została zmieciona gdy strzał wyrwał dziurę w palisadzie przed nią. Wieża zachwiała się do tyłu i przewróciła się. Jeden z wartowników wypadł ze swojego posterunku machając rękami i rąbnął o ziemię na dole. Jego długi zawodzący krzyk słyszalny nawet ponad hałasem bestii, urwał się po nagłym zderzeniu z gruntem.

Felix czuł dym i usłyszał za sobą trzaskanie pożaru. Rzucił okiem przez ramię i zobaczył, że jeden z budynków oraz szczątki wieży zaczęły się palić. Nie potrafił stwierdzić, czy był to rezultat strzału, czy też nie. Gdzieś w oddali ktoś krzyknął do innych, by przynieśli wodę. Popatrzył wzdłuż ściany gdzie żałośnie mało obrońców oczekiwało z zaciśniętymi w dłoniach łukami. Wymienił spojrzenie z najbliższym, chłopakiem nie starszym niż szesnaście lat i twarzą białą z przerażenia.

Felix wpatrywał się desperacko w mrok, zastanawiając się jak długo to jeszcze może potrwać,

zanim załame się morale obrońców, albo miasto zostanie zredukowane do zrównanych z ziemią ruin.

Justine patrzyła jak wielkie działo wybija trzecią wyrwę w ścianie miasta. Uznała, że to wystarczy. Musieli zachować proch na następne fortece, do których przybędą. Wyłomy były dość duże, by przedostały się przez nie jej oddziały. Obrońcy byli zmęczeni i wstrząśnięci. Nadszedł czas. Dała znak trębaczowi. Zadał sygnał do natarcia. Zwierzoludzie ruszyli naprzód maszerując w rytm bębnow obciążniętych ludzkimi skórami.

Justine czuła narastającą żądzę krwi, a razem z nią pragnienie złożenia Krwawemu Bogowi ofiary. Dzisiaj zaoferuje mu wielkie dary.

Felix patrzył jak fala zwierzoludzi zbliża się przez otwartą przestrzeń. Łucznicy zaczęli strzelać ze ścian. Spokojnie, metodycznie i efektywnie wybierali swoje cele i wypuszczali strzały. Pociski błyskały w ciemności i lądowały w zwierzęcych korpusach, gardłach albo ślepiach. Opętani krwią wyznawcy Chaosu nadchodzili nieubłaganie ze swym piekielnym bębnieniem. Śpiewali w takt muzyki wezwanie do swojego plugawego boga. Raz jeszcze Felixowi wydawało się, że rozróżnia słowa: Krew dla Boga Krwi. Czaszki dla tronu czaszek!

Czuł gładki metal ściskanej rękojeści miecza. Felix czuł się niepotrzebny, skurczony za palisadą, podczas gdy inni walczą i zabijają zbliżających się wrogów. Jego serce biło szybciej w piersiach. Oddychał krótkimi sapnięciami, jakby już przebiegł milę. Zwalczał ogarniającą go panikę. Wiedział, że już wkrótce nastąpi czas, by przyłączyć się do walki. Na razie obserwował starcie z góry. W oddali widział pospieszającą oddziały diabolicę w czarnym pancerzu. Wyglądała jak demoniczna boginka, która przybyła z zarania czasu, aby zebrać swój haracz w krwi i duszach.

Zobaczył upadającego zwierzoczęka o koźlej głowie, którego nogi złapały stalowe szczęki sidaeł na niedźwiedzie. Jego towarzysze nawet nie zwolnili. Maszerowali dalej, miażdżąc go na krwawą miazgę pod okutymi żelazem kopytami. Straty śmiertelne nie miały najwyraźniej dla nich znaczenia. Nie okazywali oznak strachu. Może to była prawda. Byli bezdusznymi demonami niewrażliwymi na wszystkie normalne emocje. Albo może, powiadał do siebie, po prostu wiedzieli, że wkrótce nadejdzie ich szansa do zemsty.

Bestie były już niemal przy nich. Felix dostrzegał blask ognia odbijający się w ich ślepiach. Zauważał krwawą pianę na pyskach, w miejscach gdzie zagryźli w szale własne policzki i języki. Czuł emitowany przez nich spleśniały smród futra. Prawie potrafił odczytać zgrubne runy wyryte na pojedynczych sztukach broni.

Wszędzie wokół łucznicy wypuszczali ostatnie strzały i sięgali po swoje miecze lub topory. Niektórzy już ruszyli do drabin i biegli, by przyłączyć się do oddziałów toporników na ziemi między budynkami. Niektórzy opuszczali się z platform, na których stali, zwieszając się na rękach przed skokiem na ziemię.

- Chodź, człęczyno - rzekł Gotrek. - Czas upuścić nieco krwi.

Felix zmusił swoje zastane kończyny do ruchu. Nieco czasu zabrało mu sprawienie, by posłusznie zareagowały.

Justine uśmiechała się, gdy zwierzoludzie przyspieszyli kroku i falą przelewali się przez wyłomy, które wybiło w ścianie wielkie działo. Słyszała dźwięk broni uderzanej o broń, stal o stal, gdy oddziały spotkały się z obrońcami w środku. Dotknęła kolanami boków swojego wierzchowca. Odpowiedział natychmiast ze swoją inteligencją przewyższającą zwierzęcą i poniósł ją do walki.

Felix zablokował zamach topora zwierzoczęka. Uderzenie jakie poczuł omal nie wyrwało mu ramienia. Opadł na jedno kolano i pchnął naprzód zaskoczzonego zwierzoczęka, przebijając się pod jego żebrami antycznym ostrzem Templariusza, aż dotarł do serca ofiary. Wyrwał broń i uskoczył do tyłu w samą porę unikając przewrócenia przez leśnika i zwierzoczęka splecionych w śmiertelnych

zapasach. Obaj upadli na ziemię przed nim, stękając z wysiłku.

Felix nie miał wątpliwości, że z czasem przeważą nadludzka siła zwierzoczęka. Przez chwilę patrzył z przerażeniem niepewny co ma robić. Nie chciał po prostu rąbać w walczących mieczem. Zamiast tego podjął natychmiastową decyzję. Wyciągnął lewą ręką sztylet z pochwy przypadł do ziemi i wbił go w szerokie plecy zwierzoczęka. Potwór oderwał się od walki, wstał rycząc w agonii i w tym momencie Felix rozciął go swoim mieczem od głowy do ramion.

Niedoszła ofiara podniosła się na nogi, kiwając w podziękowaniu Felixowi głową. To był bladolicy chłopak, którego Felix widział na palisadzie. Zdażył tylko wzruszyć ramionami zanim pognąła ku nim następna fala zwierzoludzi. Wydawało mu się, że gdzieś w oddali usłyszał dźwięk grzmotu kopyt.

Justine szarżowała ku masie ciał stłoczonych wokół głównego wejścia, młóćąc wokół siebie piekielnym ostrzem, za każdym ciosem zabijając człowieka. Jej koń miażdżył rannych pod swoimi kopytami i rżał radośnie gdy zapach krwi wypełnił jego nozdrza. Wojowniczką trzymała się bez trudu w siodle, wiedząc że nic nie może stanąć jej na przeszkodzie.

- Do mnie! - krzyknęła i bestie popędziły w jej stronę, sformowały klin i wyparły ludzkich przeciwników na ulice ich własnego miasta. Za nią wlewały się posiłki i zaczęły zalewać aleje i uliczki. Triumfowała. Wiele krzyczących dusz zostanie tego wieczora ofiarowanych Władcy Bitew.

Uczucie triumfu zmniejszyło się nieco, gdy jej koń wydał z siebie zwierzęcy ryk. Spojrzała w dół, by zauważyć strzałę wystającą z jego oka. Zwierzę nawet umierając z niesamowitą dyscypliną nie wierzgało i nie starało się jej zrzucić, zamiast tego usiadło na zadzie dając jej czas, by wyskoczyła z siodła.

Ogarnęła ją płonąca furia. Cień przeniósł ją przez całą drogę z pustkowi Chaosu i odnalezienie nowego wierzchowca nie będzie łatwe. Przysięgła, że ktokolwiek go zabił, przyplaci to życiem, nawet jeśli będzie musiała zabić wszystko co żywe w tej żalostnej kupie gnoju. Potem uśmiechnęła się, odkrywając długie potwornie ostre zęby. Szaleńczy śmiech zbulgotał w jej gardle. Właśnie przysięgła zrobić to, na co i tak się już zdecydowała, na długo przed bitwą.

Felix zatrzymał się w cieniu budynku i desperacko rozglądał się wkoło. Oddychał urywanymi sapnięciami. Jego ubranie przesiąknięte było krwią i potem. Czuł odrętwienie w ramieniu trzymającym miecz. Gdzie jest Gotrek? Zostali wcześniej rozdzieleni podczas bitwy, zanim zdążył się zorientować, kiedy furia walki przeszkodziła mu zauważyć cokolwiek poza ciosami najbliższego wroga.

Teraz mógł odetchnąć, a Zabójcy nigdzie nie było widać. Felix wiedział że odnalezienie krasnoluda jest ważne, że jego szanse przeżycia znacznie wzrosną w obecności potężnego topora Zabójcy. A jeśli wszystko inne zawiedzie, czuł że powinien być obecny przy śmierci krasnoluda, tak jak to obiecał, nawet jeśli sam zginie wkrótce potem.

Wszędzie wokół płonęły budynki, a płomienie oświetlały scenę piekielnymi kolorami. Bitwa toczyła się wśród falujących kłębow dymu. Felix widział niewyraźnie kształty zwierzoludzi walczących z widmami ludzkich wojowników we mgle. Słyszał ryki potworów, wrzaski umierających i uderzenia broni o broń. W zamęcie bitwy zniknęły wszelkie formacje oddziałów. To było brutalne zmaganie na śmierć i życie, zabij albo zostaniesz zabity.

Wydawało mu się, że gdzieś w oddali usłyszał okrzyk bojowy Zabójcy. Zebrał swoje siły i odwagę zmuszając nogi do ruchu w tym kierunku. Ofiarował Sigmarowi krótką pozbawioną nadziei modlitwę, prosząc Pana Młota o opiekę nad nim samym, Zabójcą, Kat i wszystkimi pozostałymi. Przez chwilę zastanawiał się, gdzie podziała się dziewczynka.

Zagubiona w ryczącym szaleństwie bitwy Kat nie widziała ucieczki. Nie chciała pozostać w

Świątyni, wiedząc że jest spisana na zagładę. Potrzebowała miejsca, by ukryć się przed bestiami. Nadal go nie mogła odnaleźć.

Uskoczyła na bok i wpełzła za beczkę z deszczówką. W pobliżu dwaj młodzi ludzie mocowali się z bestią. Jeden trzymał ją za nogi, a drugi próbował wybić potworowi mózg ze łba waląc wielkim kamulcem. Kat nigdy czegoś takiego nie widziała. Czysta bezmyślna dzikość była przerażająca. Wszyscy uczestnicy walki zdawali się być opętani jakimś szaleństwem, które doprowadzało ich do aktów okropnego okrucieństwa i lunatycznej brawury.

Nikt nie okazywał łaski. Nikt o łaskę nie prosił.

Wielka fala wojowników przetoczyła się po głównej ulicy, unoszona własną furią i żądzą krwi. Powietrze wypełniły wrzaski konających ludzi i bestii. Uderzenia stali o stal dzwoniły wśród płonącej nocy. Błotnista ziemia, ubita stopami i kopytami tłumu, stała się śliska od krwi.

Bestia zawyla triumfalnie nabijając na włócznię człowieka. Jej wycie zamieniło się w ryk wściekłości i grozy, gdy przyjaciel mężczyzny porąbał ją na kawałki. Koło ludzi otaczało bykogłowego olbrzyma. Gdy ruszał na jednego z nich, inny wyskakiwał ze ślepej strony otoczonego i dźgał go. Wkrótce potwór krwawił z tuzina małych ran, z dzikim rykiem zaszarżował na najbliższego wojownika i samą masą ściał go z nóg wrywając się z koła i znikając w tłumie.

Kat niemal wrzasnęła gdy przez tłum ruszyła kobieta w czarnej zbroi. Bała się, że Czempionka Chaosu przyjdzie po nią. Wówczas z cienia wystąpił Gotrek wyzywając wojowniczkę na pojedynek. Kobieta warknęła, odsłaniając skrwawione kły i rzuciła się na Zabójcę. Uderzenie rozmyło się w powietrzu, zbyt szybkie, by wychwycić je oko. Nie wiedziała w jaki sposób Zabójca zablokował cios swoim toporem, ale właśnie tak zrobił. Czarna stal zderzyła się z błękitnym gwiazdnym metalem. Czerwone iskry uniosły się ponad dymem.

Zabójca odpowiedział na cios kobiety zadając własny. Topór pomknął ku niej z niepowstrzymaną siłą błyskawicy. Kobieta uchyliła się przed cięciem i pchnęła naprzód. Topór Zabójcy jakoś znalazł się na miejscu, blokując pchnięcie. Stali mocując się ze sobą, ostrze oparte o ostrze, nieludzka siła mierząca się z demoniczną mocą. Żadne się nie poddawało. Wielkie powrozy mięśni nabrzmiały na ramionach i rękach Gotreka. Pot ściekał mu po twarzy. Wielkie żyły napinały się na jego karku i czole. Kobieta stała bez ruchu niczym hebanowa statua. Jej zbroja wydawała się zastygła. Błede oblicze stanowiło białą jak kość maskę, zamarły wizerunek żądzy krwi. Białka jej oczu zniknęły, oczodoły lśniły czerwonym ogniem.

Sekundy pędziły, a oboje stali zamknięci w tytanicznych zmaganiach, żadne niezdolne poruszyć przeciwnika. Kątem oka Kat zauważyła zbliżający się zastęp zwierzoludzi. Ruszyli w kierunku walki, najwyraźniej z zamiarem zaszlachtowania Zabójcy. Niewiele myśląc Kat krzyknęła ostrzeżenie. Gotrek spojrział w bok gdy dosięgli go zwierzoludzie. W ostatniej chwili dał krok w tył i odparował cios, który mógłby go przeciąć na dwoje. Kat obawiała się, że kobieta wykorzysta okazję by pchnąć krasnoluda, ale niepotrzebnie się bała. Fala bitwy wdarła się między nich i Czempionka Khorne'a oraz Zabójca zostali rozdzieleni przez walczących. Kat westchnęła z ulgą.

Potem zauważyła, że kobieta patrzy na nią. Spotkała czerwone spojrzenie i niemal zatrzymało się jej serce. Chciała krzyknąć, ale kiedy otworzyła usta nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Obleczona w czerń wojowniczka zbliżyła się.

Pragnienie zabijania szalało w mózgu Justine. Ciemność zakorzeniona w jej duszy groziła, że zapanuje nad nią kompletnie. Szaleństwo bulgotało w jej żyłach. Żądza krwi wypełniała ją niczym narkotyk, odczuwała ekstatyczną przyjemność zabijania. Chciała odnaleźć krasnoluda i zabić go. Ze wszystkich przeciwników, z jakimi się kiedykolwiek mierzyła, ten był najpotężniejszy. Zaiste cenna ofiara dla Boga Krwi. W ostatniej sekundzie gdy zamierzała odepchnąć jego topór i zamordować go,

wtrąciło się przeznaczenie w postaci jej własnych idiotycznych podwładnych i rozdzieliło ich od siebie. Chciała znaleźć go ponownie i zakończyć potyczkę.

Wówczas zobaczyła dziewczynkę. Jakby wbrew swojej woli, dostrzegła małą przestraszoną twarzyczkę wyglądającą ze swojej kryjówki. Wiedziała, co musi uczynić. Nadszedł czas, by zakończyć wszystko raz na zawsze, by postawić swoją stopę na ścieżce, która prowadzi do wiecznego życia, aby wykorzystać szansę chwalebego przeistoczenia się w oczach Khorne'a. Mroczna istota rosnąca wewnątrz niej zawyła triumfalnie, wiedząc, że nadszedł nareszcie długo oczekiwany moment.

Zapominając całkowicie o krasnoludzie, ruszyła by wypełnić swoje przeznaczenie.

Felix wybiegł z za rogu. Natychmiast został ponownie porwany przez wir walki. Grzało go ciepło płonących budynków. Jego nozdrza wypełnił żrący zapach dymu. Brzęk bitwy dzwonił w jego uszach. Słyszał okrzyki Gotreka rąbiącego wrogów, ale jego oczy przejęte były instynktownym niewyobrażalnym przerażeniem na widok Wojowniczkę Chaosu - oraz dziecka, które chowało się przed nią w ciemności.

Ich podobieństwo było jasne jak słońce. Wychodziło poza białe pasmo na włosach. Miały podobne rysy twarzy: te same szerokie oczy, taką samą wąską szczękę. Widząc wojowniczkę unoszącą ostrze do ciosu pobiegł naprzód krzycząc, wiedząc, że nie zdąży.

Justine obserwowała swój cień padający na dziecko przed nią. Dostrzegła strach w jej oczach. Bładość twarzy. Zauważała podobieństwo do siebie i zastanawiała się, czemu po wszystkich tych latach naprawdę niczego nie czuje.

- Jak masz na imię, dziewczynko? - spytała cicho.

- Kat. Katerina.

Justine skinęła głową zaskoczona, że ta informacja nie wzbudziła w niej żadnej emocji.

W przebłysku intuicji, zrozumiała wreszcie zamysły demonów. Zobaczyła, że wszystkie próby, wszystkie rytuały, wszystkie ofiary były przygotowaniem do tej jedynej rozstrzygającej chwili. Widziała teraz, że całe to zabijanie i upust krwi miały to właśnie na celu. Był to proces, który zmienił ją w coś innego niż człowiek, którym kiedyś była. Została ukształtowana podczas procesu, który przypominał ostrzenie miecza przez mistrza kowalstwa. Zrozumiała nareszcie, po wszystkich masakrach i całej przemocy, że istota ludzka może przystosować się do wszystkiego, nawet do przeznaczenia, które tworzy z niej Wojownika Chaosu. Wiedziała że w tym momencie może odwrócić się od dziecka, że to nie sprawi żadnej różnicy, ponieważ ostatecznie i prawdziwie upewniła się, że znajduje się na drodze do potępienia. Zabicie dziewczynki niczego już nie zmieni. Mogła to uczynić gdyby chciała, ale to nie miało znaczenia - czysta formalność, nic więcej. Przekroczyła punkt, poza którym nie ma powrotu, kiedy kilka chwil temu zdecydowała się zabić dziecko. Mimo to uważała, że trzeba zakończyć wszystko właściwie. Bez większej emocji uniosła wysoko swoje ostrze jakby miała porąbać kłodę drewna. I wtedy nastąpił błysk bólu w jej boku, gdy coś się z nią zderzyło.

Felix skoczył, przemierzając jednym susem dystans między nim, a Wojowniczką Chaosu. Uderzył w kobietę tuż po tym, jak uniosła swoje ostrze, pozbawiając ją równowagi i posyłając oboje na ziemię. Wiedząc, że nigdy nie będzie miał drugiej szansy pchnął mieczem przebijając bok kobiety. Nie okazała żadnej oznaki bólu poza małym chrząknięciem.

Gdy toczyli się po udeptanej ziemi, połączeni w śmiertelnym zmaganiu, Felix od razu wiedział, że ulegnie jej sile. Kobieta sięgnęła opancerzonymi dłońmi i złapała go za gardło. Wyciągnął ręce próbując się wyswobodzić, wdzięczny przynajmniej za to, że upuściła swoje ostrze i od razu zrozumiał, że popełnił błąd. Wojowniczkę Chaosu była o wiele silniejsza od niego, posiadając

nadnaturalną siłę, która sprawiała, że wydawał się przy niej słaby jak dziecko. Walczył, by poluzować uchwyt, ale to było niczym próba rozwarcia palców trolla.

Była teraz nad nim i waga jej pancerza wyciskała powietrze z jego płuc. Przetoczył się, próbując podnieść z ziemi swoje ramiona, aby ją zrzucić, ale to było na nic. Zdawała się z łatwością przewidywać każdy jego ruch. W tym momencie, wiedział że zaraz umrze. Zmierzył się z przeciwnikiem, który był dla niego po prostu za silny, a nie było tutaj Gotreka, by mógł uratować przyjaciela.

Ogarnęła go ciemność, przed oczami migotały mu iskry. Gdzieś w oddali usłyszał bojowy okrzyk Gotreka i jego część, niezwykle daleka i niezwykle spokojna pomyślała, jak ironiczne jest to, że to Zabójca będzie świadkiem jego śmierci, a nie na odwrót.

- Teraz umrzesz śmiertelniku - powiedziała kobieta spokojnie, a jej ręce zaczęły skręcać mu kark.

Felix szarpnął się tak silnie jak mógł, gdy poczuł straszliwy nacisk, wiedząc że jeśli się podda jego kark złamie się jak gałązka, przynosząc natychmiastową śmierć. Czuł napinające się żyły, a mięśnie zaczęły się rozdzierać, gdy próbował stawiać opór, wiedząc że to daremne i za chwilę będzie po wszystkim. Ciemność pogłębiała się. Ujrzał wszystko jako cień. Było cicho poza grzmotem jego oddechu w piersi i odległym łomotem bijącego serca. Wiedział, że został pokonany, że nie może tego znieść dłużej i jego mięśnie poddały się i zaczęły rozluźniać.

Kat patrzyła na straszliwą bitwę. Wiedziała, że Wojowniczką Chaosu chciała ją zabić. Wiedziała, że Felix próbował ją ocalić. Wiedziała, że kobieta w czarnej zbroi zaraz go zabije. Wiedziała, że musi coś uczynić.

Coś błyszczało w pobliżu na ziemi. Zobaczyła, że był to czarny miecz, który upuściła Wojowniczką Chaosu. Jego ostrze lśniło jasno w świetle ognia. Może było coś, co mogła zrobić. Sięgnęła i spróbowała podnieść miecz, ale okazał się zbyt ciężki. Może gdyby użyła obu rąk. Broń zaczęła się powoli wznosić. Obróciła się w jej dłoniach. Runy na ostrzu rozbłysły jasno czerwono i wyczuła w nim okrutną moc.

Teraz jeśli tylko zdoła...

Felix poczuł nagle, że potworny nacisk słabnie. Wojowniczką Chaosu spojrzała na niego, a potem niżej na swoją pierś. Felix podążył za jej płonącym wzrokiem i zobaczył wystające tam ostrze czarnego metalu. Czerwone runy lśniły. Tłąca się krew kapała z rany i rozpuszczała w trujący dym po zetknięciu się z ziemią. Wojowniczką Chaosu stanęła chwiejąc się na nogach i obróciła się w kierunku, z którego nadszedł cios.

Felix rozpaczliwie zmusił się do ruchu. Jego ołowiane kończyny nareszcie odpowiedziały. Rozejrzał się w poszukiwaniu swojego miecza i sięgnął po niego. Jego palce otoczyły rękojeść i spróbowały unieść broń. Czuł się jakby usiłował dźwignąć masę tego wielkiego działa za bramą, ale zmusił się, by to wykonać. Podniósł się i zobaczył, że wkoło nie było nikogo, jedynie on sam, Wojowniczką Chaosu i Kat. Oczy kobiety zatrzymały się na dziewczynce, twarz wykrzywiła się w okropnym ironicznym uśmiechu. Dziki śmiech dobył się z jej ust. Postąpiła krok naprzód, z ostrzem nadal wystającym z jej piersi, a Kat cofnęła się z oczami rozszerzonymi przerażeniem i zgrozą.

Powoli do mózgu Felixa przesączała się świadomość tego, co musiało się stać. Kat podniosła ciężkie ostrze i przebiła nim plecy walczącej wojowniczką. Ocaliła mu życie. Teraz do niego należało ocalenie jej życia. Powoli zmusił swoje obite ciało do ruchu. Ruszył za Wojowniczką Chaosu.

Kobieta zachwiała się stawiając krok. Powoli zaczęła padać przed siebie.

Justine śmiała się w środku nawet, gdy ból pożerał jej świadomość. To był ostateczny straszliwy żart. Została zabita przez tą, którą przyszła zabić. Małej dziewczynce udało się to, w czym zawiedli

potężni wojownicy.

To była prawda, jak zawsze gdy mówił demon. Nie zabił jej wojownik. Zrobiło to w zamian jej własne dziecko. Potknęła się i runęła w oczekującą ciemność.

Felix patrzył na upadającą podłg Wojowniczkę Chaosu. Ciało topniało, rozkładając się z ohydng prędkością, by zostawić tylko dymiący szkielet w czarnej zbroi. Felix wiedział jakoś sam z siebie, że spogląda na ciało kogoś, kto umarł dawno temu. Ten widok sprawił, że zebrało mu się na wymioty.

Coś zmoczyło jego twarz. Burza nareszcie się zerwała i zaczął padać deszcz. Skwierczące dźwięki w pobliżu powiedziały mu, że krople deszczu wojowały z ogniem. Dobrze, może miasto mimo wszystko nie spłonie do szczętu.

Nagle pojawiła się Kat i usiadła koło niego.

- Czy już po wszystkim? - spytała.

Felix wsłuchał się w dźwięki otaczającej go rzezi i skinął głową.

- Już niedługo - powiedział miękko. - Tak czy inaczej.

Felix oparł się o pniak drzewa i spojrział za siebie na miasteczko. W pobliżu siedzieli Messner i Kat, przyglądając mu się z wyrzutem. Oboje uważali, że nie powinien jeszcze wstawać i chodzić. Jego gardło było ciągle spuchnięte i z trudnością przychodziło mu mówienie oraz jedzenie, ale wyglądało na to, że wyjdzie z tego. Był po prostu wdzięczny za to, że nadal żył.

Podobnie jak około dwustu mieszkańców wioski, którzy przeżyli wielką bitwę i jej rozstrzygnięcie. Ciągłe słyszał jak w Świątyni Sigmara wyśpiewują dziękczynne modlitwy za wybawienie.

Obok przejechał rycerz, jeden z potężnego oddziału wysłanego przez Księcia w odpowiedzi na wiadomość Messnera. Na lancy unosił nabity łeb zwierzoczęłka. Felix i Messner spojrzeli za nim i Felix był pewien, że leśnik myśli to samo co on. Na twarzy mężczyzny widoczny był słaby grymas pogardy. To bardzo ładnie, że rycerze pozują teraz ze swoimi trofeami - ale gdzie oni byli gdy toczyła się prawdziwa walka? Zwycięscy bohaterowie przybyli rankiem po bitwie.

- A zatem znaleźliście działo? - zapytał Felix. Jego głos wydobył się grzechotliwym szeptem.

- Tak - odpowiedział Messner. - To dziwna rzecz. Powiadają, że w dotyku jest ciepłe jak ciało. Czarna magia, to pewne. Posłaliśmy po księdza, by to egzorcyzmował. Jeśli to nie podziała, stary książe wyśle czarodzieja.

- Ale wszystkie bestie są martwe.

- Tak, dorwaliśmy każdą z nich. Gotrek właśnie wrócił o świcie. Powiada, że to już ostatni.

Obaj rozmawiali tylko po to, by uspokoić Kat i obaj o tym wiedzieli. Żaden nie chciał, by doszła do głosu. A jednak, te wieści ucieszyły Felixa. Zdawało się, że bestie straciły serce i uciekły, gdy rozeszła się wiadomość o śmierci ich ohydnej przywódczyni. Rozproszenie zamieniło się w masakrę, gdy leśni zaczęli ścigać potwory. Teraz wyglądało na to, że Kat swoim czynem ocaliła całą osadę. Była bohaterką i wszyscy jej to mówili. W tej chwili nie brzmiała jak bohaterka.

- Nadal chcę z wami iść - powiedziała dziewczynka. Nie poddała się nawet po dwóch dniach przekonywania.

- Nie możesz, Kat. Gotrek i ja zmierzamy do niebezpiecznych miejsc. Nie możemy zabrać cię z nami. Zostań z Messnerem.

Nie chciał powiedzieć, że za głowy jego i Gotreka wyznaczona jest nagroda. Nie w obecności leśnika.

- Zrób to, dziewczyno - dodał Messner. - Jest dla ciebie miejsce ze mną, Magdą i dzieciakami. I znajdziesz przyjaciół wśród innych maluchów, to pewne.

Kat spojrziała błagalnie na Felixa. Ten potrząsnął głową i zmusił twarz, by pozostała surowa i

spokojna. Nie był pewien jak długo wytrzyma, kiedy usłyszał ciężkie kroki Zabójcy. Z jego spojrzenia Felix wnosił, że krasnolud powiększył jeszcze swój ogromny rachunek śmierci, jaką zadał podczas bitwy.

- Czas ucieka, człeczyno. Lepiej ruszajmy.

Felix wstał powoli. Messner podszedł i uściśnął mu dłonie. Kat objęła najpierw Felixa, a potem Zabójcę. Messner musiał ją w końcu odciągnąć.

- Do widzenia - powiedziała przez łzy. - Zawsze będę o was pamiętać.

- Zrób to, malutka - powiedział miękko Gotrek.

Odwrócili się i wyszli z Flensburga. Ścieżka była stroma, a droga kamienista. Przed nimi leżało Nuln i niepewna przyszłość. Na szczycie pochyłości Felix odwrócił się i spojrzał w tył. Pod nimi Messner i Kat stanowili dwie małe figurki, machające na pożegnanie.

Władcy mutantów

Czytelnikowi tych stron musi czasami wydawać się, że ja i mój towarzysz obłożeni jesteśmy jakąś klątwą. Bez żadnego wysiłku z naszej strony i bez żadnego pragnienia z mojej, udało nam się dziwnym trafem spotkać wszelkie rodzaje wyznawców Chaosu. Osobiście często podejrzewałem, iż zostaliśmy skazani na przeciwstawianie się ich planom, nie całkiem świadomi czemu tak się dzieje. Tego rodzaju rozważania nigdy nie trapiły Zabójcy. Przyjmował wszelkie podobne wydarzenia z chrząknięciem i fatalistycznym wzruszeniem ramion oraz odrzucał wszelkie spekulacje na ten temat jako próżne i bezużyteczne filozofowanie. Lecz moje rozmyślenia w tej materii były długie i wnikliwe, toteż wydaje mi się, że jeśli istnieje na tym świecie moc przeciwna sługom Chaosu, wówczas może czasami prowadziła nasze kroki, a nawet nas ochraniała. Z pewnością często krzyżowaliśmy najbardziej oburzające i nikczemne intrygi najbardziej nieprawdopodobnych złoczyńców...

- Fragment z *Moich Podróży z Gotrekiem*,

Tom II, spisanych przez Herr Felixa Jaegera

(Wydawnictwo Altdorf, rok 2505)

Felix Jaeger usłyszał trzask pękającej gałązki i zatrzymał się w miejscu. Jego dłonie instynktownie namacały rękojeść miecza, podczas gdy bystre oczy rozglądały się po otoczeniu - ale niczego nie zauważył. Felix wiedział, że to na nic - światło blednącego słońca ledwo przedzierało się przez grubą okrywą liści nad głową, a w gęstym poszyciu lasu mogła skradać się ukryta mała armia. Zmarszczył czoło i przesunął nerwowo palcami po swoich długich jasnych włosach. Przypomniał sobie nagle wszystkie ostrzeżenia wędrownego kupca.

Stary człowiek twierdził, że na drodze przed nimi czyhają mutanci, cała gromada polująca na wszystko co przebywa trasę między Nuln, a Fredericksburgiem. Felix nie zwracał wówczas na niego uwagi, ponieważ kupczyna usiłował sprzedać mu lichy amulet, który podobno został pobłogosławiony przez samego Wielkiego Teogonistę. Handlarz utrzymywał, że jest to pewne zabezpieczenie dla pielgrzymów i wędrowców. Felix zakupił już u niego mały sztylet do rzucania ukryty w pochwie na nadgarstku i nie miał zamiaru rozstawać się z większą ilością pieniędzy. Przesunął dłonią po przedramieniu gdzie było schowane ostrze, upewniając się, że nóż jest na swoim miejscu.

Felix żałował w tej chwili, że nie ma amuletu. Być może był tylko imitacją, ale w takich momentach każdy strudzony wędrowiec na ciemnych drogach Imperium szuka każdej dodatkowej ochrony.

- Ruszaj się, człeczyno - powiedział Gotrek Gurnisson. - W Blutdorfie czeka karczma, a moje gardło jest suche jak pustynie Arabii.

Felix przyjrzał się swojemu towarzyszowi. Bez względu na to jak wiele razy patrzył na krasnoluda, zawsze zadziwiała go niesamowita szpetota Zabójcy Trolli. Felix uznał, że nie ma jednego elementu, który decydował o tym, że Gotrek jest tak niezwykle odpychający. To nie były ubytki zębów, brakujące oko, czy długa broda pełna resztek jedzenia. To nie były kalafiorowate uszy ani sieć starych blizn. To nie był nawet smród. Nie, sprawiała to dopiero kombinacja wszystkich tych składników.

Mimo wszystko nie dało się zaprzeczyć, że Zabójca Trolli prezentował się przerażająco. Chociaż Gotrek sięgał Felixowi tylko do piersi i to głównie dzięki wielkiemu czerwonemu grzebieniowi włosów na szczycie ogolonej i wytatuowanej czaszki, w ramionach był szerszy niż kowal. W jednej masywnej łapie trzymał pokryty runami topór, który większość ludzi z najwyższym trudem uniosłaby oburącz. Kiedy podnosił swoją wielką głowę, dzwonił złoty łańcuch biegnący od nosa do ucha.

- Zdawało mi się, że coś usłyszałem - rzekł Felix.

- Te lasy pełne są hałasów, człeczyno. Ptaki ćwierkają. Drzewa trzeszczą, a zwierzęta biegają dookoła. - Gotrek obficie splunął na ziemię zieloną flegmą. - Nienawidzę drzew. Zawsze ich nienawidziłem. Przypominają mi o elfach.

- Zdawało mi się, że słyszałem mutantów. Dokładnie tak, jak mówił nam sprzedawca.

- No i co? - Gotrek pokazał swoje poczerńiałe zęby w czymś, co mogło być grymasem warknięcia albo uśmiechu, a potem wyciągnął rękę i podrapał się pod opaskę na oko, pocierając kciukiem oczodół swojego wybitego lewego oka. To był bardzo nieprzyjemny widok. Felix odwrócił wzrok.

- Nic - odparł cicho.

Gotrek obrócił się ku drzewom.

- Są tam jacyś mutanci? - ryknął. - Wyłaźcie i zmierzcie się z moim toporem.

Felix skulił się. Zabójca Trolli swoim zwyczajem kusił los. Przysiągł szukać śmierci w walce ze śmiertelnie niebezpiecznymi potworami, aby zmazać jakieś nieznaną krasnoludzki grzech i nie marnował żadnej okazji, by wypełnić swoje powołanie. Felix przeklinał pijacką noc, kiedy przyrzekł wędrować z Zabójcą Trolli i opisać jego śmierć w epickim poemacie.

Niejako w odpowiedzi na okrzyk Gotreka nastąpiło kolejne poruszenie poszycia, jakby silny powiew wiatru zakołysał zaroślami - tylko, że powietrze było nieruchome. Felix zaciskał dłoń na rękojeści miecza. Z pewnością coś tam było i zbliżało się coraz szybciej.

- Myślę, że możesz mieć rację, człeczyno - Gotrek uśmiechnął się szkaradnie. Felixowi przyszło na myśl, że krasnolud cały czas wiedział, że coś się kryje wśród drzew.

Nagle zza krzaków wyskoczyła horda mutantów wykrzykujących przekleństwa, złorzeczenia i najpodlejsze obelgi. Straszliwa ohyda ich wyglądu niemalże pozbawiła Felixa zmysłów. Zobaczył podskakujące jak ropucha stworzenie o odpychającej pokrytej śluzem skórze. Coś ledwo przypominającego kobietę pełzło na ośmiu pajęczych odnóżach. Stwór z głową kruka i szarych piórami wrzeszczał wyzwanie do walki. Niektórzy mutanci posiadali przezroczystą skórę, pod którą widoczne były pulsujące organy wewnętrzne. Trzymali włócznie, sztylety i coś co wyglądało jak zardzewiałe przybory kuchenne. Jeden z nich rzucił się na Felixa, wymachując powyginanym tasakiem o tęym ostrzu.

Felix dosięgnął i złapał przegub kreatury powstrzymując ostrze na chwilę, zanim mogło się wbić w jego czaszkę. Wbił kolano w pachwinę potwora. Gdy przeciwnik zgiął się w pół, Felix kopnął go w głowę. Stwór upadł na ziemię, a jego zielonkawe wymiociny oblały całe buty Felixa i spłynęły na ziemię.

Felix bezzwłocznie wyszarpnął swój miecz z pochwy, gotowy odeprzeć każdy atak. Nie musiał

się przejmować.

Potężny topór Gotreka już wyrąbał krwawy szlak w ciałach napastników. Na każdy cios odpowiadał swoimi trzema. Kości pękały pod uderzeniami. Ciało ustępowało pod ostrym jak brzytwa toporem. Oręż Zabójcy Trolli błysnął ponownie. Dwie połówki rozerwanego korpusu upadły na ziemię i pełzały w przeciwnych kierunkach nieświadome jeszcze, że są już martwe. Topór Gotreka zakończył cios odcinając głowę innego mutantu.

Mutanci uciekli zaskoczeni nagłą rzezią. Niektórzy z nich minęli Felixa spiesząc do lasu po drugiej stronie, inni odwrócili się i popędzili między ciemne zarośla, z których przybyli.

Felix spojrzał wyczekująco na Zabójcę Trolli ciekaw co ten uczyni. Ostatnią rzeczą jaką chciał, było rozdzielenie się i ściganie stworów w gęstym lesie. Zwycięstwo przyszło im za łatwo. To wszystko śmierdziało pułapką.

- Nasłali na nas same pokurczone śmiecie - zauważył Gotrek, spluwając na zwłoki mutantu. Felix spojrzał w dół i przyznał rację Zabójcy Trolli. Bardzo niewielu martwych dosięgało wzrostem piersi Gotreka, a żaden nie wyglądał na wyższego od krasnoluda.

- Wyośmy się stąd - odparł Felix. - Okropnie tu śmierdzi.

- Nie byli warci zabijania - znowu narzekał Gotrek. Był najwyraźniej głęboko rozczarowany.

Wisielec był jedną z najbardziej zniechęcających gospód, jakie Felix kiedykolwiek odwiedził. W palenisku pełgał słaby, smutny ogień. Izba śmierdziała wilgocią. Parszywe psy ogryzały kości, które wyglądały jakby od pokoleń leżały zaginione pośród dywanu brudnej słomy. Wyglądający na łajdaka karczmarz miał twarz pokrytą starymi bliznami, a z kikuta jego lewej dłoni wystawał potężny hak. Pomocnikiem był zezowaty garbus o paskudnym zwyczaju ślinienia się do nalewanego piwa. Miejscowi wyglądali równie żałośnie. Każdy patrzył na Felixa, jakby chciał wepchnąć nóż w plecy młodzieńca, ale byli zbyt przygnębieni, by wykrzesać z siebie tyle energii.

Felix musiał przyznać, że karczma była godna wioski, w której się znajdowała. Blutdorf stanowił najbardziej ponure miejsce, jakie kiedykolwiek widział. Gliniane chaty wyglądały na zanedbane i chyliły się ku upadkowi. Ulice były dziwnie opustoszałe i złowrogie. Kiedy wreszcie przekonali pijanego strażnika, by wpuścił ich za bramę, zza każdych drzwi obserwowały ich zapłakane staruchy. Zdawało się jakby całe to miejsce opanowane zostało przez smutek i zniechęcenie.

Nawet zamek wznoszący się na stromej skale ponad wioską, wydawał się zanedbany i opuszczony. Jego ściany rozpadały się w oczach. Wyglądał jakby mogła go zdobyć armia snotlingów uzbrojonych w zastrzone patyki. Było to niezwykle jak na osadę najwyraźniej otoczoną przez bandę groźnych mutantów. Z drugiej strony, pomyślał Felix, sądząc po ataku, jaki wcześniej odparli, nawet tutejsze mutanty wydawały się szczególnie mało przerażające.

Pociągnął następny łyk ale. To było najgorsze piwo jakiego kiedykolwiek próbował, najbardziej obrzydliwy wywar jaki przeszedł przez jego usta. Gotrek odrzucił do tyłu głowę i wlał do gardła całą zawartość kufła. Piwo zniknęło niczym sakiewka złota rozsypana na ulicy pełnej żebraków.

- Jeszcze jeden kufel Żygowin Starego Psa! - zawołał Gotrek. Odwrócił się i rozejrzał po twarzach miejscowych. - Nie próbujcie ogłuszyć mnie swoim śmiechem - ryknął.

Goście unikali jego wzroku. Gapili się w swoje piwo, jakby wierzyli, że odkryją tam sekret przemiany ołowiu w złoto, jeśli będą się wpatrywać wystarczająco pilnie.

- Skąd tyle szczęśliwych twarzy? - z sarkazmem zapytał Gotrek. Karczmarz postawił przed nim następny kufel. Gotrek łyknął ponownie. Felix z zadowoleniem zauważył skrzywioną twarz Zabójcy Trolli, gdy ten opróżnił naczynie. Był do rzadki hołd dla szczególnie wstrętnego *ale*. Felix nigdy wcześniej nie widział, żeby krasnolud okazywał najmniejszy niesmak lub wahanie przy picu czegokolwiek.

- To przez czarnoksiężnika - odezwał się nagle karczmarz. - To podła sprawa. Nic już nie było po staremu od kiedy przejął stary zamek. Od tego czasu mamy tylko zmartwienia z tymi mutantami na drodze i wszystkim innym. Handel zamarł. Nikt już tutaj nie przyjeżdża. Nikt nie śpi spokojnie nocą w swoim łóżku.

Gotrek natychmiast się ożywił. Paskudny grymas odsłonił poczerwiałe pieńki jego zębów. Felix wiedział, że krasnolud lubi takie sprawy.

- Czarnoksiężnik, powiadasz?

- Aye, sir, właśnie tak - podły czarownik.

Felix zauważył, że wszyscy goście gapili się dziwnie na gospodarza, jakby mówił coś bez sensu, albo powiedział coś, czego nie spodziewali się usłyszeć z jego ust. Może byli po prostu przestraszeni. Któż by nie był w sytuacji, gdy sługa Mrocznych Mocy Chaosu mieszka nad wioską?

- Jest nikczemny jak smok z bolącym zębem, prawda Helmut?

Wieśniak do którego skierował pytanie oberżysta, zamarł na miejscu, niczym szczur sparaliżowany wzrokiem węża.

- Prawda, Helmut? - Powtórzył pytanie karczmarz.

- Nie jest taki zły - powiedział wieśniak. - Bywają gorsi czarnoksiężnicy.

- Dlaczego po prostu nie przypuścicie szturm na zamek? - zapytał Gotrek. Felix pomyślał, że jeśli krasnolud nie potrafi domyśleć się odpowiedzi z wyglądu tych ludzi przypominających zbite psy, to jest głupszy niż na jakiego wygląda.

- Tam jest potwór, sir - powiedział wieśniak, szurając nogami i gapiąc się ponownie w podłogę.

- Potwór? - zapytał Gotrek. W jego oku zabłysło coś więcej niż ślad zawodowego zainteresowania. - Wielki potwór, jak podejrzewam?

- Ogromny. Dwakroć wyższy od człowieka i cały pokryty tymi obrzydliwymi mut... mut... mut...

- Mutacjami? - pomocnie zasugerował Felix.

- Aye, sir, właśnie tymi rzeczami.

- Dlaczego nie pošlecie po pomoc do Nuln? - dociekał Felix.

- Templariusze Białego Wilka byliby zainteresowani zajęciem się takim wyznawcą Chaosu.

Wieśniacy spojrzeli na niego pustym wzrokiem.

- Nie wiemy gdzie jest Nuln, sir. Nikt z nas nie oddalił się więcej niż o pół mili od Blutdorfu. Któż zaopiekuje się naszymi żonami, jeśli opuścimy wioskę?

- No i tam są mutanty - wtrącił się inny wieśniak. - Lasy są ich pełne, a w dodatku potwory służą magikowi.

- Nawet mutanci? - Głos Gotreka brzmiał niemal radością. - Myślę, że odwiedzimy ten zamek, człeczyno.

- Tego się obawiałem - westchnął Felix.

- Chyba nie chcecie zaatakować czarnoksiężnika i jego potwora - powiedział któryś z wieśniaków.

- Dzięki waszej pomocy, wkrótce oczyścimy Blutdorf z tego utrapienia - powiedział drżącym głosem Felix, ignorując groźne spojrzenie jakie rzucił mu Gotrek. Zabójca Trolli nie chciał żadnej pomocy w swojej misji poszukiwania chwalebnej śmierci.

- Nie, sir, nie możemy pomóc.

- Czemu nie? Jesteście zniewieściałymi tchórzami? - To było głupie pytanie, ale Felix czuł, że musi je zadać. Nie dziwił się mieszkańcom. W normalnych okolicznościach nie byłby bardziej skory niż oni do stanięcia przeciw czarnoksiężnikowi Chaosu i jego ulubionemu potworowi.

- Nie, sir. Tylko, że on tam ukrywa nasze dzieci - trzyma je jako zakładników!

- Wasze dzieci?

- Aye, sir, co do jednego. Przyszedł tu ze swoim potworem i wyłapał je wszystkie. Nie stawialiśmy żadnego oporu. Kiedy Duży Norri spróbował ich zatrzymać, stwór wyrwał jego ręce i zmusił go by je zjadł. To było okropne.

Felixowi nie podobał się błysk, który pojawił się w oku Zabójcy Trolli. Entuzjazm Gotreka, by ruszyć do zamku i zabić potwora promieniował w izbie niczym żar bijący od wielkiego ogniska. Felix nie był taki pewny siebie. Stwierdził, że podziela brak chęci wieśniaków do bezpośredniego natarcia.

- Z pewnością pragniecie uwolnić wasze dzieci? - spytał Felix.

- Aye, ale nie chcemy, by zostały zabite. Czarodziej nakarmi nimi swojego potwora, jeśli tylko damy mu ku temu jakiś powód.

Felix spojrzał na Gotreka. Zabójca Trolli znacząco wskazywał kciukiem w kierunku zamku. Felix wiedział, że nie powstrzyma go bez względu na to, czy są tam zakładnicy, czy nie. Z ciężkim sercem zdał sobie sprawę, że nie ma z tego wyjścia. Wcześniej czy później, on i krasnolud ruszą z wizytą do Twierdzy Blutdorf.

Rozpaczliwie szukał sposobu na uniknięcie nieuniknionego.

- To wymaga planu - powiedział. - Gospodarzu, więcej twojego znakomitego *ale*.

Karczmarz uśmiechnął się i zakrzętał przy barze, nalewając więcej piwa. Felix zauważył, że Gotrek zerka na niego podejrzliwie. Zdał sobie sprawę, że człowiek nie okazuje właściwego entuzjazmu wobec ich zadania. Gospodarz powrócił i postawił z radosnym uśmiechem dwa nowe kufle.

- Jeden na drogę - rzekł Felix, wznosząc swoje naczynie.

Przełknął piwo, które smakowało jeszcze wstrętniej niż przedtem. Nie był zupełnie pewien, ale zdawało mu się, że wyczuwa w napoju chemiczny posmak. Cokolwiek to było, kilka następnych łyków sprawiło, że zakręciło mu się w głowie i poczuł mdłości. Zauważył, że Gotrek skończył swoje *ale* i zawołał o następne. Karczmarz posłusznie ponownie napełnił naczynie i krasnolud opróżnił je jednym haustem. Jego oczy rozszerzyły się, złapał się za gardło, a potem padł na ziemię jak podcięty.

Felixowi zabrakło chwili zrozumienia co się stało i nachylił się by zbadać przyjaciela. Czuł stopy jak z ołowiu. Wirowało mu w głowie.

Ogarnęły go jeszcze silniejsze mdłości. Wiedział, że stało się coś złego, ale nie bardzo mógł się domyśleć, co takiego. To miało jakiś związek z piwem. Nigdy wcześniej nie widział, by Zabójca Trolli przewracał się choćby nie wiem jak pijany. Sam nigdy nie czuł się tak źle, zwłaszcza po tak niewielu piwach. Obrócił się i spojrzał na karczmarza. Kontury mężczyzny zafalowały, jakby Felix patrzył na niego poprzez gęstą mgłę. Wyciągnął oskarżycielsko palec.

- Zapiłeś... znaczy truleś... nie, to jest zapiłeś nasze trucie - powiedział Felix i opadł na kolana.

- Dzięki za to Tzeentchowi - rzekł gospodarz. - Myślałem, że nigdy nie padną. Dałem krasnoludowi tyle skaveńskiego korzenia, że powaliłoby konia.

Felix próbował namacać miecz, ale czuł odrętwienie w palcach i stoczył się w ciemność.

- Zapłaciłem koronę za szczyptę - mruknął karczmarz. Jego irytujący głos był ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał Felix przed utratą przytomności. - Mimo to, Herr Kruger zapłaci mi dobrze za takie dwa wspaniałe okazy.

- Zbudź się, człeczyno! - Głęboki głos huczał gdzieś w pobliżu ucha Felixa. Starał się go zignorować, mając nadzieję, że odejdzie i pozwoli mu powrócić do drzemki.

- Zbudź się, człeczyno, albo przysięgam, że pójde do ciebie i uduszę cię tymi łańcuchami. - Groźna nuta w głosie przekonała Felixa, by zwrócił na niego baczniejszą uwagę. Otworzył swoje

oczy - i natychmiast tego pożałował.

Cela była zbyt jasna nawet w przyciemnionym świetle pojedynczej migoczącej pochodni. Jej słaby blask ranił wzrok Felixa. W pewien sposób miało to sens, ponieważ uzupełniało ból całego ciała. Puls serca łupał w jego skroniach niczym gong uderzany młotem. Czuł się jakby ktoś kopał jego głowę zamiast piłki do gry. Usta były suche jak pustynia, a język zdawał się być przetarty papierem ściernym.

- Najgorszy kac, jakiego miałem w życiu. Zostaliśmy otru...

- Otruci narkotykami. Wiem.

Felix zdał sobie sprawę, że stoi. Jego ręce były wyciągnięte nad głową, a do kostek przypięto jakieś ciężary. Spróbował pochylić się do przodu, żeby zobaczyć co to było, ale nie mógł się poruszyć. Spojrzał w górę, by stwierdzić, że wisi na kajdanach. Łańcuchy połączone były z wielką obręczą z żelaza, przykutą do ściany powyżej. Stwierdził to patrząc na drugą stronę celi i zauważając Gotreka w podobnej pozycji.

Zabójca Trolli zwisał na łańcuchach niczym poćiec wołowiny w sklepie rzeźnika. Jego nogi nie były jednak spięte łańcuchem. Był zbyt niski by dosięgnąć do podłogi. Felix dostrzegał żelazne obręcze wbite w ścianę na wysokości kostek, ale nogi krasnoluda nie sięgały tak daleko.

Felix rozejrzał się. Znajdowali się w dużej celi wyłożonej ciężkimi kamieniami. Na ścianach tkwił tuzin zestawów łańcuchów i kajdan. Dziwnie poskręcany szkielet wisiał na najdalszym łańcuchu. Pod ścianą daleko po lewej tkwiła wielka ława zawalona alembikami, palnikami węglowymi i innymi przyborami pracy alchemika. Na środku pokoju został wyrysowany kredą wielki pentagram otoczony osobliwymi hieroglifami. Przy każdym z wierzchołków pięciokąta stała czaszka zwierzęcia podtrzymująca zgaszoną świecę z czarnego wosku.

Daleko po prawej stronie kamienne stopnie schodów wznosiły się do ciężkich drzwi. W górze znajdowało się okratowane okno, przez które dostawało się kilka promieni światła rozpraszających ciemności. W pobliżu podstawy schodów Felix dostrzegał swój miecz i topór Gotreka. Poczul przyływ nadziei. Ktoś, kto zabrał ich broń nie był zbyt zapobiegliwy. Felix nadal czuł ciężar sztyletu do rzucania, ukrytego w pochwie na jego przedramieniu. Oczywiście, w żaden sposób nie mógł go użyć z rękami skutymi w kajdanach, ale świadomość, że jest na swoim miejscu była dość pocieszająca.

Powietrze było gęste i cuchnące. Felixowi zdawało się, że słyszy w oddali krzyki, śpiewy i zwierzęce porykiwania. To było jak wsłuchiwanie się w kombinację dźwięków przytułku dla obłąkanych i ogrodu zoologicznego. Nic z tego nie było zbyt pocieszające.

- Dlaczego gospodarz nas otruł? - dziwił się Felix.

- Najwyraźniej był w zмовie z tym czarnoksiężnikiem.

- Albo się go bał - Felix gdyby mógł, wzruszyłby ramionami. - Tak czy inaczej, zastanawiam się dlaczego nadal żyjemy?

W odpowiedzi usłyszał piskliwy chichot. Zaskrzeczały otwierane ciężkie drzwi i dwie postacie zasłoniły światło. Nastąpił krótki rozbłysk krzesanego ognia, po czym zapłonęła latarnia i Felix zobaczył skąd pochodził kpiący śmiech.

- Dobre pytanie, Jaeger i z największą chęcią na nie odpowiem.

Felix pomyślał, że w tym głosie było coś bardzo znajomego. Był piskliwy, nosowy i bardzo nieprzyjemny. Słyszał go już wcześniej.

Felix zezował przez celę i dostrzegł mówiącego. Był równie paskudny co jego głos. Wysoki, wychudły mężczyzna ubrany był w wyblakłą i obdartą szarą szatę połataną na rękawach i łokciach. Wokół jego chudej szyi wisiał żelazny łańcuch z wprawionym wielkim amuletem. Długie cienkie

palce zdobiły pierścienie pokryte runami, a zakończone były długimi poczerńniętymi paznokciami. Błada spocona twarz otoczona była wielkim podniesionym kołnierzem. Nieznajomy nosił posrebrzany hełm w kształcie czaszki.

Za mężczyzną stało ogromne stworzenie. Było wielkie, o połowę wyższe od człowieka i pewnie ze cztery razy cięższe. Być może kiedyś było człowiekiem, ale teraz miało rozmiary ogra. Stwór porośnięty był kępami włosów, a potężne krosty sterczały na jego całym ciele. Oblicze było poskręcane i obrzydliwe. Miał zębiska niczym kamienie milowe. Jego łapy były nawet bardziej muskularne niż ręce Gotreka, grubsze niż uda Felixa. Dłonie miały rozmiary talerzy. Stwardniałe palce przypominające kielbaski wyglądały, jakby były w stanie zmiażdżyć kamień. Potwór patrzył na Felixa oczami pełnymi szalonej nienawiści. Felix nie mógł znieść wzroku stwora i ponownie zwrócił swoją uwagę na człowieka.

Jego twarz była pociągła i pokryta zmarszczkami. Miał bardzo blade niebieskie oczy rozjaśnione szaleństwem. Ledwo kryły się za szklanymi binoklami w stalowych ramkach. Nos był długi i cienki, a na końcu tkwiła ogromna brodawka. Z nosa ściekał glut. Mężczyzna zachichotał ponownie wciągając do nosa smarki, a potem wytarł go o ramię. Następnie, powracając do godnej pozy odrzucił w tył swoją głowę i ruszył dostojnie w dół schodów. Efekt godnego kroku czarnoksiężnika został zniweczony, kiedy potknął się o skraj swojej szaty i prawie nie runął ze schodów.

To był ostatni element, który przywrócił pamięć Felixa. Wiedział już z kim ma do czynienia.

- Albericht? - zapytał. - Albericht Kruger?

- Nie nazywaj mnie tak! - Głos odzianego w szatę mężczyzny podniósł się do krzyku. - Zwracaj się do mnie "Władco"!

- Znasz tego idiotę, człeczyno? - spytał Gotrek.

Felix skinął głową. Albericht Kruger pojawił się na kilku wykładach z filozofii na Uniwersytecie w Altdorfie, zanim Felix został z niego wydalony za pojedynkowanie się. Był cichym młodzieńcem bardzo pilnym i zawsze można go było znaleźć w bibliotekach. Felix podczas całych dwóch lat wspólnego studiowania prawdopodobnie nie zamienił z nim więcej niż kilku słów. Pamiętał także, że Kruger zniknął. Związany był z tym mały skandal - to miało coś wspólnego z zaginięciem paru książek z biblioteki. Felix przypominał sobie, że zainteresowanie okazało kilku łowców czarownic ze Świątyni Sigmara.

- Byliśmy studentami w Altdorfie.

- Wystarczy tego! - Zaskrzeczał Kruger swoim cienkim i denerwującym głosem. - Jesteście moimi więźniami i będziecie wykonywać moje rozkazy przez resztę waszego nędznego życia.

- Będziemy wykonywać twoje rozkazy przez resztę naszego nędznego życia? - Felix spojrzał zadziwiony na Krugera. - Naczytałeś się zbyt wielu melodramatów Detlefa Siercka, Albericht. W prawdziwym życiu nikt tak nie mówi.

- Zamknij się, Jaeger! Dość tego. Zawsze próbowałeś być zbyt cwany. Teraz zobaczymy kto jest sprytniejszy - o tak!

- Daj spokój, Albericht, to tylko żart. Wypuść nas stąd. Szybko, zanim przyjdzie twój pan.

- Mój pan? - Kruger był zdziwiony.

- Czarnoksiężnik, do którego należy ta wieża.

- Jaeger, ty idioto! To ja jestem czarnoksiężnikiem.

Felix patrzył z niedowierzaniem.

- Ty?

- Tak, ja! Zgłębiłem tajemnice Mrocznych Bogów i poznałem źródło wszelkiej magicznej mocy. Przeniknąłem sekrety Życia i śmierci. Władam potężnymi energiami Chaosu i wkrótce osiągnę

całkowitą władzę nad ziemią Imperium.

- Trochę ciężko mi w to uwierzyć - szczerze stwierdził Felix. Kruger znany był kiedyś jako całkowite zero towarzyskie ignorowane przez wszystkich pozostałych studentów. Kto mógłby przypuszczać, jakie głębie megalomanii czaiły się w tej głowie.

- Myśl sobie co chcesz, panie sprytny Jaeger ze swoim afektowanym akcentem i manierami "mój ojciec jest bogatym kupcem, więc jestem dla ciebie za dobry". Zyskałem kontrolę nad alchemicznymi sekretami spaczenia i zrozumiałem najgłębsze tajemnice Sztuki Transmutacji!

Kątem oka Felix dostrzegł jak wielkie mięśnie Gotreka zaczynają się nadymać, gdy krasnolud usiłował zerwać trzymające go łańcuchy. Jego twarz była czerwona, a broda zjeżyła się. Wygiął ciało w łuk, starając się zaprzeć stopami o ścianę. Felix nie miał pojęcia co stara się osiągnąć jego przyjaciel. Oczywiście było, że te wielkie łańcuchy są zbyt wytrzymałe, by mógł je zerwać człowiek albo krasnolud.

- Używałeś spaczenia? - To wiele wyjaśniało, pomyślał Felix. Nie wiedział zbyt wiele o spaczeniu, ale to i tak było bardzo niepokojące. Była to czysta esencja Chaosu, ostateczne i najsilniejsze źródło wszystkich mutacji. Wystarczyła tylko szczypta spaczenia, by pozbawić zmysłów normalnego człowieka. Sądząc po jego głosie, Kruger zjadł co najmniej beczkę substancji.

- Jesteś szalony!

- To samo powiedzieli mi w Altdorfie, na uniwersytecie! - Ślina kapłała z ust Krugera. Felix widział jak jego oczy lśniły dziwną zielenią, jakby za źrenicami tkwiły małe błędne ogniki z bagien. Wampirze kły wysunęły się z jego dziąseł.

- Ale ja im pokazałem. Odnalazłem ich zakazane księgi, wszystkie zgromadzone w piwnicy. Powiadają, że nie są przeznaczone dla oczu śmiertelników, ale ja je przeczytałem i nie wyrządziły mi żadnej krzywdy!

- Tak, właśnie to widzę - mruknął ironicznie Felix.

- Uważasz się za takiego spryciarza, Jaeger? Jesteś taki sam jak cała reszta tych wszystkich, którzy śmiali się ze mnie kiedy mówiłem, że stanę się największym czarodziejem od czasów Teclisa. Cóż udowodnię, że się mylisz. Zobaczmy jaki będziesz sprytny gdy cię przemienię w ten sam sposób w jaki przemieniłem Olega!

Z ojcowską dumą klepnął potwora po ramieniu. Stwór wyszczerzył zęby niczym pies drapany po brzuchu przez pana. Ten widok bardzo zaniepokoił Felixa. Za nimi, Gotrek praktycznie stał na ścianie. Jego ręce wyciągnięte były na całą długość, oparte na napiętych łańcuchach, tak że praktycznie wisiał równolegle do podłogi. Twarz Zabójcy Trolli była sina z wysiłku. Oblicze wykrzywił grymas wściekłości i furii. Felix czuł, że któreś z nich musi zaraz się poddać. Albo pękną łańcuchy, albo Zabójca Trolli pęknie zalewając się krwią. Felix pomyślał, że to może okazać się łaskawym rozwiązaniem. Nie wyobrażał sobie jak Gotrek mógłby pokonać bestię bez swojego topora. Zabójca był silny, ale przy tym stworzeniu wyglądał jak drobne dziecko.

Kruger uniósł swoje ramię, wymachując laską. Na jej końcu Felix dostrzegł kulę zielonkawego spaczenia wprawionego w ołowiane szpony. Felix nie mógł przeoczyć, że dłoń trzymająca laskę pokryta była łuskami, a jej paznokcie przypominały raczej pazury dzikiej bestii.

- Całe lata zabrało mi opanowanie Zaklęcia Przemiany, całe długie lata - zasyczał Kruger. - Nie masz pojęcia ile wykonałem eksperymentów. Setki! Pracowałem jak opętany, ale nareszcie posiadam sekret. Wkrótce ty go także poznasz. - Czarnoksiężnik zachichotał.

- Niestety nie zda ci się to na wiele, bowiem nie będziesz dość inteligentny by mówić. Mimo to, zapewnisz doskonałe towarzystwo dla Olega.

Lśniący koniec trzymanej przez mężczyznę laski zbliżył się do twarzy Felixa. W głębi kamienia

widać było dziwne światła. Jego powierzchnia zdawała się migotać i wirować niczym kropla oleju upuszczona do wody. Felix wyczuwał wydostającą się straszliwą mutagenną moc. Promieniowała ze spaczenia, jak ciepło z płonącego węgla.

- Podejrzewam, że błaganie o łaskę niewiele pomoże? - zapytał wesoło Felix. Dumny był z siebie, że nadal potrafił zapanować nad drzeniem głosu.

Kruger potrząsnął głową.

- Już na to za późno. Wkrótce staniesz się jeszcze bardziej durnym cymbałem niż jesteś teraz.

- W takim razie, muszę ci coś powiedzieć.

Muskuły Gotreka napięły się, gdy wykonał ostatni nadludzki wysiłek, szarpiąc się naprzód niczym pływak skaczący z urwiska.

- Co takiego, Jaeger? - Kruger nachylił się do ust Felixa.

- Ja też cię nigdy nie lubiłem, ty szaleńcze!

Kruger wyglądał, jakby miał zamiar uderzyć Felixa łaską, ale zamiast tego uśmiechnął się, obnażając zęby w koszmarnym stanie.

- Wkrótce Jaeger poznasz prawdziwe oblicze szaleństwa. Będzie na ciebie spoglądało z każdego lustra.

Kruger zaczął śpiewać w dziwnym, płynnym języku. To nie był elficki, ale coś jeszcze starszego i brzmiało zdecydowanie bardziej złowroźnie. Felix słyszał to wcześniej, przy innych okazjach, kiedy wraz z Gotrekiem przerywali rytuały prowadzone przez wyznawców Chaosu. Cóż, wyglądało na to, że tym razem to siły Chaosu będą się śmiały ostatnie. Zabójca Trolli i on wkrótce podzielą swój los, chociaż wbrew swej woli.

Z każdym wyśpiewanym słowem Krugera, spaczeń stawał się jeszcze jaśniejszy. Jego zielonkawa poświata zdominowała półmrok celi i skąpała wszystko w swoim dziwnym świetle. Ze spaczenia wysunęły się ektoplazmatyczne macki. Najpierw przypominały lśniąca mgłę, potem zakrzepły w coś bardziej stałego. Czuło się w nich zapowiedź czegoś wstrętnego i chorego. Gdy Kruger machał swoją łaską, jej ektoplazmatyczne emisje zostawiały za sobą ślad podobny do ogona komety. Potrząsał ją zamaszystymi gestami, jakby z każdym machnięciem diabelski przedmiot gromadził moc.

Jego śpiew przypominał teraz obłąkane skrzeczenie. Czoło czarnoksiężnika Chaosu pokryło się kropelkami potu, które spływały po jego okularach. Oleg, zmutowany potwór, wył unisono wraz ze śpiewem swojego władcy. Jego basowe buczenie stanowiło dziwne podkreślenie brzmienia zaklęcia. Włosy Felixa zjeżyły się kiedy śpiew zamilkł i loch okryła dziwaczna cisza.

Przez chwilę, nic się nie działo. Felix był tak oślepiiony przez światło łaski Chaosu, że ledwie cokolwiek widział. Słyszał swoje własne bicie serca i gwałtowny oddech Krugera, który łapał powietrze po ukończeniu swojej inwokacji. Nastąpiło dziwne metaliczne skrzypnięcie, oraz szuranie metalu o kamień. Felix otworzył oczy by zobaczyć jak jeden z łańcuchów trzymających Gotreka wyrywa się ze ściany, po czym Zabójca Trolli upadł naprzód z przekleństwem i skończył dyndając nad kamieniami podłogi.

Kruger odwrócił się słysząc ten dźwięk. Potwór otworzył pysk i wydał z siebie potężny ryk.

Felix jęknął. Miał nadzieję, że Zabójcy uda się dobiec do topora. Felix wiedział, że ze swoją bronią w garści Zabójcy Trolli jest w stanie powstrzymać dowolnego potwora. Jednakże, Gotrek nadal wisiał na jednym z łańcuchów. Mógł tylko wisieć, gdy monstrum będzie mu wyrywało kończyny, jedna po drugiej.

Kruger zauważył to w tym samym momencie co Felix.

- Bierz go! - krzyknął do swojego potwora.

Oleg ruszył naprzód, a Gotrek uderzył swoim łańcuchem. Ciężkie metalowe ogniwa siekły po

oczach wielkiego mutanta. Oleg zawył z bólu, gdy łańcuch rozciął mu twarz, po czym cofnął się wpadając na Krugera. Nastąpił zgrzyt, gdy Gotrek wykorzystał ten moment zwłoki, by wyrwać ze ściany drugi łańcuch. Twarz Krugera pobladła. Skoczył na nogi i popędził w górę schodów. Felix zobaczył tylko jego znikające plecy.

- Teraz się policzymy! - oświadczył Gotrek swoim kamiennym głosem przepełnionym szalem.

Potwór rzucił się naprzód w stronę Zabójcy Trolli, sięgając ku niemu wielką dłonią o rozmiarach półcia szynki. Gotrek smagnął łańcuchem, wbijając metal w łapy stworzenia. Stwór wycofał się raz jeszcze. Dobre oko Gotreka zezowało na boki, jakby oceniając odległość do topora. Felix potrafił niemalże czytać mu w myślach. Dystans był zbyt duży. Jeśli obróci się i pobiegnie po broń, potwór dopadnie go dzięki dłuższym nogom.

Może krasnoludowi udałoby się przysunąć się do oręża cofając z twarzą skierowaną do potwora. Jak zawsze, Felix nie docenił siły krasnoludzkiej żądy walki. Zamiast cofać się, rzucił się naprzód, wymachując łańcuchem tak, że jego obraz rozmywał się w oczach. Łańcuch trafił w pierś potwora, a chwilę później Gotrek drugim łańcuchem smagnął twarz Olega.

Tym razem Oleg spodziewał się bólu. Zamiast cofać się, ruszył ku Zabójcy Trolli, łapiąc go w niedźwiedzim uścisku. Felix skrzywił się widząc jak mutant zaciska olbrzymie łapy. Napięte bicepsy Olega przypominały beczki *ale*. Felix obawiał się, że żebra Zabójcy Trolli pękną jak zbutwiała gałązka.

Gotrek machnął naprzód głową, rąbiąc Olega w pysk. Nastąpił okropny trzask łamanego nosa potwora. Czerwona krew zalała Gotreka. Oleg zawył z bólu i jednym wymachem potężnego ramienia rzucił krasnoludem przez komnatę. Gotrek walnął w ścianę i opadł na podłogę ze stukotem łańcuchów. Po kilku sekundach Zabójca Trolli niepewnie podniósł się na nogi.

- Łap swój topór! - krzyknął Felix.

Oszołomiony krasnolud nie był w stanie posłuchać tej rady. Poza tym, Gotrek pragnął krwi. Natarł na Olega. Olbrzym stał wyjąc i łapiąc się za nos. Następnie, słysząc zbliżające się kroki krasnoluda podniósł łeb i wydał z siebie potężny skowyt wściekłości i bólu. Ruszył pochylony naprzód z rozpostartymi ramionami, zamierzając ponownie schwytać Zabójcę Trolli w swym śmiertelnym uścisku. Gotrek stał na chwiejących się nogach oczekując potwora pędzącego ku niemu niepowstrzymanie niczym rozpedzony wóz. Felix nie chciał patrzeć - mutant był dość duży, by zgnieść Zabójcę pod swoją słoniową nogą. Przerazenie nie pozwoliło mu jednak odwrócić wzroku.

Oleg sięgał do Gotreka zamykając swoje ogromne łapska, ale w ostatniej chwili Zabójca uchylił się i zanurkował między jego nogami, odwrócił się i smagnął łańcuchem. Żelazo owinęło się wokół kostki potwora. Gotrek pociągnął je do siebie. Oleg stracił oparcie i upadł, a łańcuch rozwinął się niczym wąż.

Gotrek owinął łańcuch wokół gardła mutanta. Oleg podniósł się na nogi, pociągając za sobą Gotreka. Waga Zabójcy Trolli zacieśniła pętlę łańcucha wokół szyi stwora. Podciągając się na nim, Gotrek znalazł się za plecami Olega i nadal zaciskał pętlę. Ciało wokół tchawicy mutanta zbieleło gdy zaczęły się w nie wbijać metalowe ogniwa. Felix zrozumiał, że Gotrek zamierza udusić potwora.

Powoli ta myśl przedostała się także do ciemnego umysłu mutanta, który wyciągnął obie ręce starając się poluzować duszącą go metalową pętlę. Schwycił łańcuch i próbował uchwycić palcami ogniwa, ale ześlizgnęły się, a pętla była zaciśnięta zbyt mocno. Następnie spróbował schwycić Gotreka za głowę. Zabójca Trolli uchylił się i podciągnął na pętli. Przesuwał teraz łańcuchem w jedną i drugą stronę używając go niczym piły. Felix widział krople krwi pojawiające się w miejscu zetknięcia się ciała z łańcuchem.

Oleg schwycił ręką grzebień włosów Gotreka. Przez chwilę udawało mu się je ciągnąć, ale palce

ześlizgnęły się na niedźwiedzim łoju, który sklejał włosy. Felix dostrzegł lęk i frustrację pojawiające się w ślepiach potwora. Widział, że mutant słabnie. Oleg zaczął panikować, rzucając się plecami o ścianę i ze straszliwą siłą uderzając Gotrekiem w mur. Nic nie było w stanie osłabić uchwytu Zabójcy. Felix wątpił czy nawet śmierć przeszkodziłaby krasnoludowi w zaciskaniu uchwytu. Widział szkliste spojrzenie pojawiające się w oczach krasnoluda i jego półotwarte usta wydobywające przerażający warkot.

Oleg powoli tracił siły. Upadł na ręce i kolana. Z jego gardzieli dobył się upiorny charkot i potwór osunął się znieruchomiały na ziemię. Gotrek po raz ostatni zacisnął pętlę, by upewnić się, że jego ofiara nie żyje, a potem wstał dysząc i sapiąc.

- Łatwizna - mruknął. - Ledwie wart zabijania.

- Zdejmij mnie stąd - nalegał Felix.

Gotrek chwycił swoją broń. Uwolnił Felixa czterema uderzeniami swojego topora. Ten pobiegł i podniósł swój miecz. Nad nimi usłyszał dźwięk obracanego kołowrotu, unoszących się wielkich metalowych wrót oraz wycia spragnionej krwi hordy. Felix i Gotrek mieli tylko tyle czasu by stanąć z gotową bronią, kiedy drzwi do laboratorium otworzyły się i na schody ruszyła fala oszalałych mutantów. Felixowi wydawało się, że rozpoznaje kilka stworów biorących udział we wcześniejszej walce. Znajdowali się w miejscu skąd pochodziły mutanty.

Jeden z nich skoczył ze schodów. Jego oczy lśniły żądzą krwi. Felix zastawił się mieczem, przebijając pierś stwora, a potem opuścił rękę, tak że ciało opadło z ostrza swoim ciężarem. Fala mutantów ruszyła niepowstrzymanie naprzód, popychana łaknieniem krwi i masą napierających z tyłu. Felix znalazł się w centrum ryczącego wiru przemocy, gdzie ramię w ramię z Zabójcą Trolli walczyli z pomiotem Chaosu.

Gotrek z pianą na ustach rysował wielkie ósemki swoim splamionym krwią toporem. Nic nie mogło stanąć na jego drodze. Wycinał czerwony szlak wśród ryczącego tłumu, nadal obciążony łańcuchami u nadgarstków. Felix ruszył w jego kierunku dobijając upadających jednym uderzeniem i przebijając kilka mutantów, którym udało się uniknąć młócającego topora.

Na szczycie schodów Felix dojrzał Krugera. Czarnoksiężnik znowu trzymał swoją laskę. Wokół jego twarzy tańczyła zielonkawa poświata, która podświetlała całą scenę piekielnym światłem. Kruger wyśpiewał zaklęcie i nagle wystrzeliła błyskawica. Opadła łukiem i ledwo minęła Felixa.

Mutant stojący przed Felixem nie miał tyle szczęścia. Jego futro zapaliło się, a oczy wytrzeszczyły. Przez chwilę tańczył na szczydach czystej czarnoksięskiej magii, po czym upadł na ziemię jako pokręcone, szerniałe zwłoki. Felix uskoczył na bok, nie chcąc stać się celem następnego strzału. Gotrek ruszył naprzód, rozłupując na dwoje mutantą i zaczął wyrąbywać sobie drogę do podstawy schodów.

Wystrzeliła błyskawica, tym razem celując w Gotreka. Nie miał szczęścia Felixa i zielony piorun trafił go w głowę. Felix był pewny, że Zabójca Trolli spotkał wreszcie swoją długo oczekiwaną śmierć. Włosy Gotreka najeżyły się jeszcze bardziej. Runy na jego toporze zaśniły szkarłatem. Zawył coś co mogło być ostatnim przekleństwem do jego bogów, a potem stało się coś dziwnego. Zielona poświata przeszła przez jego ciało oraz wzdłuż całej długości żelaznego łańcucha nadal wiszącego u nadgarstka. Uderzyła w ziemię w fontannie zielonych iskier i zniknęła nie czyniąc krasnoludowi najmniejszej krzywdy.

Felix chciał się głośno roześmiać. Słyszał już o takich rzeczach na wykładach filozofii natury. To się nazywało uziemienie: Gotreka uratowała ta sama zasada, dzięki której metalowy pręt odprowadza bezpiecznie do ziemi uderzenie pioruna. Przez chwilę zastanawiał się nad tym, a potem wysunął z pochwy swój ukryty sztylet i rzucił nim w Krugera.

To był dobry rzut. Sztylet leciał prosto i pewnie, aż zagłębił się w piersi podłego czarnoksiężnika. Tkwił tam drgając przez chwilę, a Kruger przerwał swoje zaklęcia, by spojrzeć na ostrze. Upuścił swoją laskę i chwycił się za ranę. Zielona krew trysnęła spomiędzy palców czarnoksiężnika plamiąc jego dłonie. Spojrzał z nienawiścią w dół na Felixa - potem odwrócił się i uciekł.

Felix ponownie zwrócił swoją uwagę na walkę, ale było już po wszystkim. Małe mutanty raz jeszcze okazały się nie stanowić żadnego wyzwania dla topora Zabójcy. Gotrek stał triumfalnie, a jego mięśnie pokrywała krew i posoka. Słaba poświata na jego toporze bladła. Niedźwiedzi tłuszcz na włosach krasnoluda skwierczał i trzaskał.

Felix minął go i pobiegł schodami, a potem przez korytarz. Ślad zielonej krwi wskazywał drogę. Mijał mnóstwo otwartych, pustych klatek. Felix zgadywał, że stąd nadbiegły uwolnione mutanty. Były wynikiem nikczemnych eksperymentów Krugera.

- Uwolnijmy dzieci i zmywajmy się stąd. - rzucił Felix.

- Zrobię sobie kufel z czaszki czarnoksiężnika.

Felix skrzywił się.

- Chyba nie chcesz naprawdę tego zrobić.

- To tylko takie wyrażenie, człeczyno.

Wnioskując z wyrazu twarzy Gotreka, Felix nie był tego taki pewien.

Ruszyli korytarzem ku swojemu celowi. Myśl o ocaleniu dzieci sprawiała Felixowi przyjemność. Wreszcie on i Zabójca uczynią tu coś dobrego oraz zwrócą dzieciaki ich rodzicom. Nareszcie zrobią czynunek godny prawdziwych bohaterów. Felix już wyobrażał sobie zapłakane oblicza uradowanych wieśniaków, gdy znowu zobaczą swoje potomstwo.

Grzechotanie łańcucha na nadgarstku Gotreka zaczęło działać Felixowi na nerwy. Minęli róg i znaleźli się przed drzwiami. Gotrek jednym machnięciem topora zredukował je do stosu drewna nadającego się na opał. Weszli do komnaty, która niewątpliwie była kiedyś pracownią Krugera.

Masywny srebrny księżyc lśnił za jedynym wielkim oknem. Zepsuty przez Chaos czarnoksiężnik leżał oparty o biurko, a jego zielona posoka plamiła otwarte strony ciężkiej księgi w skórzanej oprawie. Poruszał słabo rękami jakby próbował rzucić zaklęcie, które może go ocalić.

Felix schwycił od tyłu za włosy Krugera i podniósł go. Spojrzał w oczy, w których gasł zielonkawy blask. Felix czuł napływ triumfu.

- Gdzie są zakładnicy?

- Jacy zakładnicy?

- Dzieci z wioski! - Felix splunął.

- Masz na myśli moje króliki doświadczalne?

Zimne przerażenie ogarnęło Felixa. Zrozumiał do czego to prowadzi. Jego usta niemal odmawiały sformułowania następnego pytania.

- Eksperymentowałeś na dzieciach?

Kruger posłał Felixowi nikczemny uśmiech.

- Owszem, łatwiej niż dorośli poddają się transmutacji i szybciej dorosną do pełnych rozmiarów. Miały być moją armią dla przyszłych podbojów - ale zabiliście je wszystkie.

- Zabiliśmy... je wszystkie.

Felix stał oszołomiony. Jego wizja powitania przez szczęśliwych mieszkańców wioski wyparowała. Spojrzał w dół na krew, która plamiła jego ręce i ubranie.

Nagle opanowała go ślepa furia, gorąca jak ogień piekła. Ten maniak przemienił dzieci z wioski w mutantów, a on, Felix Jaeger, przyłożył swoją rękę do ich rzezi. To czyniło go w pewnym stopniu

równie winnym co Kruger. Rozwagał to przez moment, po czym zaciągnął Krugera do okna. Wyglądało na śpiącą wioskę, rozciągającą się kilkaset stóp poniżej.

Dał Krugerowi chwilę na zrozumienie co się zaraz stanie i pchnął go solidnym kopniakiem. Szło rozprysło się i czarnoksiężnik wypadł w chłodne nocne powietrze. Jego ramiona machały rozpaczliwie. Wrzask spadającego rozbrzmiewał w ciemności i zamilkł po dłuższej chwili.

Zabójca Trolli spojrział na Felixa. W jego zdrowym oku płonął złowrogi błysk.

- To było dobrze zrobione, człeczyno. Teraz musimy zamienić kilka słów z karczmarzem. Muszę wyrównać z nim rachunki.

- Najpierw podpalmy zamek - ponuro powiedział Felix. Ruszył dostojnym krokiem, by zamienić przekłete miejsce w ogromny stos pogrzebowy.

Dzieci Ulrica

Pomimo wszystkich naszych wysiłków, co było jednak do przewidzenia, nie udało nam się dotrzeć do Nuln przed nastaniem zimy. Co gorsza, pozbawieni busoli, czy wszelkich innych sposobów odnajdywania drogi w głębokim lesie, wkrótce zgubiliśmy się ponownie. Potrafię wyobrazić sobie jedynie kilka okoliczności bardziej przerażających lub bardziej niebezpiecznych dla podróżnika, niż zgubić się w puszczy zasypanej śniegami zimy. Niestety, z jakiegoś nakazu mrocznego przeznaczenia, które kierowało naszymi krokami, zdawało się, że czekało nas właśnie spotkanie z jedną z owych „kilku okoliczności”...

- Fragment z *Moich Podróży z Gotrekiem*,

Tom II, spisanych przez Herr Felixa Jaegera

(Wydawnictwo Altdorf, rok 2505)

Wycie wilków odbijało się echem po lesie niczym zawołanie przekłetej duszy na mękach. Felix Jaeger ciaśniej owinał się w swój wytarty czerwony płaszcz z wełny Sudenlandu i brnął przez śnieg.

W ciągu ostatnich dwóch dni, dwukrotnie widział prześladowców, dostrzegając ich w cieniach pod nie kończącą się ścianą sosen. To były długie smukłe kształty z wywieszonymi jęzorami i ślepiami płonącymi żarłocznym głodem. Dwukrotnie wilki zbliżyły się niemal w zasięg ciosu i dwukrotnie wycofały się, jakby na zawołanie jakiegoś oddalonego przywódcy, stworzenia tak przerażającego, że nie sposób nie być mu posłusznym.

Felix wzdrygnął się na myśl o tym przeciągłym zewie. Była w nim nuta przerażającej inteligencji, która wywoływała wspomnienie starych opowieści o mrocznych lasach, którymi straszyla go niania gdy był dzieckiem. Starał się o tym zapomnieć.

Wmawiał sobie, że usłyszał tylko przywódcę stada, stworzenie większe i groźniejsze od pozostałych.

Na Sigmara, wycie wilków był wystarczająco ponurym dźwiękiem, bez potrzeby zaludniania puszczy wyimaginowanymi potworami.

Śnieg skrzypiał pod jego stopami. Chłodna wilgoć przesączała się przez popękane buty i grube wełniane skarpety, które miał na stopach. To był kolejny zły znak. Słyszał o leśnikach, których stopy przymarzły do butów i którzy musieli odciąć swoje palce u nóg nożem, aby uniknąć gangreny.

Niezbyt go zaskoczyło, że znalazł się w sercu Reikwaldu właśnie wtedy gdy nadeszła zima. Nie po raz pierwszy Felix przeklinał dzień, w którym spotkał krasnoluda Gotreka Gurnissona i przysiągł mu towarzyszyć, oraz opisać jego śmierć w epickim poemacie.

Szli zostawionymi na śniegu śladami wielkiego potwora. Gotrek zapewniał, że to musi być troll. Podczas śnieżycy zgubili tropy i byli teraz kompletnie zagubieni.

Felix opanował falę paniki. Było całkiem prawdopodobne, że będą się błąkać wkoło, aż do śmierci z wyczerpania albo głodu. To zdarzało się innym podróżnikom zagubionym w lesie podczas

zimny.

Albo zaatakują ich wilki, przypomniał sobie.

Krasnolud wyglądał równie żałośnie co Felix. Brnął naprzód używając trzonka swojego wielkiego topora niczym laski wędrowca, sprawdzając głębokość śniegu przed sobą. Wielki grzebień farbowanych na czerwono włosów, który zazwyczaj sterczał nad jego ogoloną i wytatuowaną głową, był spłaszczony niczym gniazdo jakiegoś nieporządnego ptaka. Ponure szaleństwo lśniące w jego jedynym zdrowym oku zdawało się podkreślać ich niewesołe położenia. Ze złamanego nosa krasnoluda zwisał wielki zamrożony glut.

- Drzewa! - mruknął Gotrek. - Bardziej od drzew nienawidzę tylko elfów.

Kolejny przeszywający zew wyrwał Felixa z zamyślenia. Był jak poprzednie zawodzenia, pełen złowróznej inteligencji i głodu. Wypełnił Felixa ślepą pierwotną trwogą. Instynktownie zarzucił płaszcz na ramię, aby uwolnić rękę sięgającą do rękojeści miecza.

- To niepotrzebne, człeczyno.

W twardym głosie krasnoluda wyczuwało się złośliwe rozbawienie.

- Cokolwiek to jest - wzywa naszych małych futrzastych przyjaciół, by się od nas oddalili. Zdaje się, że znaleźli inny łup.

- Dzieci Ulrica... - powiedział strachliwie Felix, przypominając sobie opowieści jego niani.

- Co ma do tego wilczy bóg Middenheimu, człeczyno?

- Powiadają, że kiedy świat był młody, Ulric wędrował pośród ludzi i płodził dzieci ze śmiertelnymi kobietami. Dzięki jego krwi te dzieci potrafiły zmieniać swoje kształty między formą wilczą, a człowieczą. Dawno temu wyruszyły po całym świecie. Niektórzy mówią, że ich krew została spaczona, gdy nadszedł Chaos i teraz pożywiają się ludzką krwią.

- Cóż, jeśli któryś z nich zbliży się do mojego topora, to rozleję nieco tej spaczonyj krwi.

Nagle Gotrek uniósł dłoń, gestem nakazującym ciszę. Po chwili skinął głową i splunął na ziemię. Felix czekał pełen lęku, obserwując i słuchając. Nigdzie nie dostrzegając żadnych śladów pogoni. Wilki zniknęły. Przez chwilę słyszał tylko bicie własnego serca, oraz dźwięk dyszącego oddechu. Wtedy usłyszał to co nakazało zatrzymać się Zabójcy Trolli, unoszące się z wiatrem dźwięki potyczki, okrzyki bojowe i odległe wycie wilków.

- Zdaje się, że słyhać jakąś walkę - rzekł.

- Chodźmy pozabijać parę wilków - powiedział Gotrek. - Może ten kogo zaatakowały, zna powrotną drogę z tego piekielnego, pełnego drzew miejsca.

Felix zbliżył się do polany sapiąc zmęczony biegiem przez grube śnieżne zasy. Jego twarz bolała od uderzeń gałęzi i zadrapań cierniami. Wokół niego zafurkotał tuzin pocisków wystrzelonych z kusz. Powietrze wypełniał smród ozonu. Wszędzie walały się zwłoki ludzi i wilków.

Felix powoli podniósł wysoko swoje ręce. Jego ciężki oddech w powietrzu przed nim zamieniał się w parę. Pot ściekał mu po twarzy pomimo zimna. Musi sobie zapamiętać, że bieganie po zaśnieżonym lesie w ciężkim ubraniu nie jest dobrym pomysłem. To jest, jeśli nadal będzie żyć, by móc to pamiętać. Dobrze uzbrojeni nieznajomi zdecydowanie nie wyglądali przyjaźnie.

Było ich co najmniej dwudziestu. Kilku odzianych w bogate kozuchy szlachciców. Trzymali miecze i wydawali pozostałym rozkazy. Podwładni byli czujnymi, hardo wyglądającymi żołnierzami. Mimo całej oczywistej gotowości bojowej, wokół mężczyzn wyczuwało się głęboki niepokój. W ich oczach był strach. Felix wiedział, że są o krok od nafaszerowania go bełtami kusz.

- Nie strzelajcie! - rzucił. - Jestem tu by wam pomóc.

Zastanawiał się gdzie jest Gotrek. Wyprzedził go w biegu o znaczną odległość. Powodowany emocją chwili pozwolił, by jego napięcie i dłuższe nogi odsadziły krasnoluda. Teraz mogło to się

okazać fatalnym błędem, chociaż nie był pewien co może zrobić nawet Zabójca Trolli stojąc przed ludźmi celującymi.

- Ach tak, chcesz nam pomóc? - powiedział z sarkazmem głos. - Wyszedłeś sobie na spacer po lesie? Usłyszałeś hałas bijatyki i przybiegłeś, by zbadać to małe zakłócenie spokoju, czyż nie tak?

Przemawiający był szlachcicem. Felix nigdy nie dbał specjalnie o warstwę wysoko urodzonych w Imperium, a ten mężczyzna wydawał się pierwszorzędnym egzemplarzem najgorszego rodzaju tej ospowatej klasy społecznej. Przystrzyżona czarna bródka okalała jego pociągłą twarz. Groźne ciemne oczy spoglądały z bladego oblicza. Wielki nos w kształcie orlego dzioba przydawał mu wygląd drapieżcy.

- Mój przyjaciel i ja zgubiliśmy się w lesie. Usłyszeliśmy wilki i dźwięki bitwy. Przybyliśmy by pomóc w miarę naszych możliwości.

- Twój przyjaciel? - ironicznie zapytał szlachcic.

Wyciągnął kciuk w kierunku wysokiej, pięknej młodej kobiety, która stała obok spętana łańcuchami.

- Masz na myśli tę wiedźmę?

- Nie mam pojęcia o czym pan mówi, sir - odpowiedział Felix. - Nigdy w życiu nie widziałem tej młodej damy.

Rozejrzał się. Nigdzie nie było widać krasnoluda. Felix uznał, że może to i lepiej. Zabójca Trolli nie słychał ze swojego taktu. Bez wątpienia w tej chwili powiedziała by coś, za co obaj zostali by zabici.

- Podróżowałem z towarzyszem... - Felixowi zaświtało, że może nie jest dobrym pomysłem wspomnianie w tym momencie o Gotreku. Zabójca Trolli był postacią charakterystyczną i wyglądającą na banitę, a może ci ludzie zechcą zebrać wyznaczoną za niego nagrodę, jeśli go rozpoznają.

- Zdaje się, że gdzieś zaginął - Felix dokończył słabo.

- Odłóż swój miecz - nakazał szlachcic. Felix zastosował się do polecenia. - Sven! Heinrich! Zwiążcie mu ręce!

Dwaj zbrojni ruszyli, by wykonać rozkaz. Felix został przewrócony na ziemię. Leżał twarzą w śniegu i czuł jak zimna wilgoć zaczyna przesączać się do jego ubrania.

Otworzył oczy i stwierdził, że leży przed martwym ciałem wilka. Gdy wpatrywał się w okryte śmiertelnym całunem ślepią zwierzęcia, żołnierze szybko i sprawnie związali jego ręce na plecach. Felix poczuł wbijający się w nadgarstki metal i z zaskoczeniem zdał sobie sprawę, że do związania go użyli czegoś więcej niż zwykłego sznura.

Potem ktoś pociągnął go za kaptur płaszcza i podniósł za włosy głowę. Nozdrza Felixa zaatakował obrzydliwy oddech. Zimne szalone oczy wpatrywały się prosto w jego własne. Patrzył na szczupłą twarz otoczoną szarawą brodą. Sękata dłoń wykonała gest przed jego nosem. Przesuwające się palce zostawiały za sobą w powietrzu ślad błyszczących iskier. Z pewnością ten stary człowiek był czarodziejem.

- Nie wydaje się dotknięty znamieniem Ciemności - rzekł czarodziej zaskakująco wesołym i kulturalnym głosem. - Może powiada prawdę. Dowiem się więcej kiedy go zabierzemy do strażnicy.

Puszczony Felix znowu upadł w śnieg. Rozpoznał głos mówiącego szlachcica.

- Tak czy inaczej, uważaj na niego, Voorman. Jeśli jest szpiegiem naszych wrogów, chcę jego śmierci.

- Dowiem się prawdy, gdy będę miał swoje instrumenty. Jeśli jest szpiegiem pracującym dla nieprzyjaciół Zakonu, będziemy o tym wiedzieli!

Szlachcic wzruszył ramionami i odszedł, najwyraźniej porzucając sprawy, które go nie dotyczyły. Ponownie w żebra Felixa wbił się but wyrywając powietrze z płuc.

- Wstawaj i wsiadaj na sanie - odezwał się gburowaty sierżant. - Jeśli spadniesz, to cię zabiję.

Felix podciągnął pod siebie nogi i przetoczył się na stopy. Popatrzył na sierżanta, starając się zapisać w pamięci każdą rysę twarzy mężczyzny. Jeśli wyjdzie z tego żywy, musi się na nim zemścić. Widząc to spojrzenie, żołnierz uniósł kuszę jakby chcąc przestrzelić mózg Felixa. Magik lekko potrząsnął głową.

- Nic z tego. Chcę, by dojechał cały.

Felix zadrżał. W spokojnym stwierdzeniu czarownika było coś bardziej przerażającego niż bezmyślna brutalność żołnierza. Wspiął się na tył sań.

O ile Felix potrafił stwierdzić, grupa składała się ze szlachciców, kilku ich pochlebców, zbrojnych i maga. Szlachta jechała na saniach ciągniętych przez konie. Żołnierze uczepili się płóz, albo powozili.

Obok niego siedziała młoda kobieta. Miała włosy w kolorze czystego srebra, a jej oczy były złote. Miała gładką drapieżną urodę i naturalnie hardy wyraz twarzy, którego nie potrafiły zakryć obroża i łańcuch spinające ją z oparciem sań, ani dziwne pokryte runami kajdany które spinały jej obie ręce za plecami.

- Felix Jaeger - mruknął przedstawiając się. Nic nie powiedziała, ledwie uśmiechnęła się zimno, a potem jakby się w sobie zamknęła. Nie zwracała na niego więcej uwagi.

- Milczeć - powiedział siedzący naprzeciw magik, a w jego głosie było więcej groźby niż we wszystkich zebranych razem gniewnych spojrzeniach strażników.

Felix uznał, że niczego nie wskóra przeciwstawiając się starcowi. Rzucił następne spojrzenie ku puszczy, mając nadzieję zobaczyć jakieś ślady Gotreka, ale nigdzie nie było widać Zabójcy Trolli. Felix zapadł w przynębione milczenie. Wątpił, czy krasnolud może ich teraz dogonić, ale przynajmniej zdoła iść za śladami płóz - o ile nie będzie zbyt silnie śnieżyć.

A potem co? Felix nie wiedział. Znał doskonale niesamowity talent Gotreka do urządzania rzezi i zniszczenia, ale wątpił by nawet Zabójca Trolli był w stanie pokonać tą małą armię.

Od czasu do czasu spoglądał na siedzącą obok kobietę, zauważając że ona także rzuca niespokojne spojrzenia w stronę drzew. Nie wiedział, czy ma nadzieję, że przyjdą na pomoc jej przyjaciele, czy po prostu oceniała odległość szykując się do skoku po wolność.

W oddali zawył wilk. Dziwny nieludzki uśmiech wykrzywił usta kobiety. Felix wzdrygnął się i odwrócił wzrok.

Felix niemal się ucieszył, kiedy wśród zbliżającej się burzy zobaczył leśny dwór. Niska, masywna sylwetka strażnicy była częściowo zasłonięta przez wirujące płatki śniegu. Felix dostrzegł, że budynek wzniesiono z kamienia i drewnianych bali w tak zwanym stylu reglowym.

Poczuł się nieprawdopodobnie zmęczony. Głód, zimno i długi mozolny marsz przez śnieg niemal do cna wyczerpał jego siły. Zdawał sobie sprawę, że dotarli do celu podróży i stanie się tam ofiarą nikczemnego planu czarownika, ale po prostu nie potrafił w sobie wykrzesać energii, by się tym przejmować. Wszystko czego chciał, to położyć się gdzieś w ciepłe i usnąć.

Ktoś zadał w róg i otworzono wrota. Sanie i towarzyszący im żołnierze minęli bramę i weszli na dziedziniec, a potem zamknięto za nimi drzwi.

Felix miał okazję rozejrzeć się po podwórku. Otoczony był z czterech stron ścianami ufortyfikowanego dworzyszca. Zmienił swoją poprzednią opinię. To była nie tyle leśna strażnica, co raczej forteca, zbudowana by wytrzymać oblężenie, jeśli zajdzie taka konieczność. Przeklął: jego szanse ucieczki znacznie zmalały.

Wszędzie wokół drużyna schodziła z sań. Szlachcice wołali o grzane wino z korzeniami. Ktoś rozkazał woźnicom zadbać o konie odstawiane do stajni. Wszędzie panował nieporządek. Oddechy ludzi i zwierząt wydobywały się z ust niczym kłęby dymu.

Strażnicy wepchnęli Felixa do budynku. Wewnątrz było zimno i wilgotno. Pachniało ziemią, sosną i stałym dymem palonego drewna. Środek przedsionka wypełniało masywne kamienne palenisko. Wojownicy i szlachetnie urodzeni gromadzili się w środku wymachując ramionami i uderzając rękami, aby przegonić zimno. Służba ruszyła naprzód przynosząc kielichy gorącego przyprawionego wina. Jego zapach sprawił, że ślina napłynęła Felixowi do ust.

Jeden z wojowników pospiesznie podłożył do paleniska drewno na rozpałkę, po czym próbował je zapalić krzesząc iskry z krzemienia. Wilgotne drewno nie chciało zająć się ogniem.

Czarodziej obserwował to z rosnącą niecierpliwością, wreszcie wzruszył ramionami, wykonał gest i wypowiedział słowo w starożytnym języku. Mały język ognia przeskoczył na drewno w palenisku z końca jego wyciągniętego palca wskazującego. Drzewo zasyczało, a potem ryknęło. Smród ozonu wypełnił powietrze. Wokół drzew zamigotały niebieskie płomienie, po czym wszystkie drwa naraz buchnęły ogniem. Cienie zatańczyły i uciekły od kominka.

Szlachta i czarownik przeszli przez drzwi do innej komnaty, pozostawiając wojowników i więźniów samych sobie. Przez chwilę zapadło napięte milczenie, a potem wszyscy mężczyźni zaczęli mówić jednocześnie. Z ust dobyły się wszystkie słowa, które musieli wstrzymywać podczas długiej podróży do strażnicy.

- Na młot Sigmara, cóż to była za walka. Myślałem, że te wilki wyprują nasze flaki!

- Nigdy nie byłem tak przerażony, jak wtedy gdy te włochate bestie wyskoczyły zza drzew. Te kły wyglądały na strasznie ostre.

- Taa, ale umierają dość szybko kiedy przesyjesz ich ślepią bełtem kuszy, albo wbijesz między ich parszywą skórę dwanaście cali dobrej Imperialnej stali!

- To jednak nie było normalne. Nigdy nie słyszałem, by wilki atakowały tak dużą grupę ludzi! Nigdy też nie widziałem wilków tak zajadle i wytrwale walczących.

- Myślę, że to sprawka tej wiedźmy!

Dziewczyna niewzruszenie patrzyła im w oczy, tak że żaden z nich nie mógł wytrzymać jej spojrzenia. Felix zauważył, że jej oczy były dziwne. W zapadającym mroku, odbijały światło ognia, zupełnie jak ślepią psa.

- Taa, całe szczęście, że jest z nami czarodziej. Stary Voorman bezbłędnie pokazał im jak wygląda prawdziwa magia.

- Ciekaw jestem do czego hrabia jej potrzebuje?

Uśmiech przemknął po obliczu dziewczyny. Jej zęby były drobne, białe i bardzo, bardzo ostre. Kiedy przemówiła, jej głos był niski, wzbudzający dreszcze i dziwnie melodyjny.

- Wasz Hrabia Hrothgar jest głupcem, jeśli myśli, że może mnie tu przetrzymywać, albo zabić mnie bez zemsty za moją śmierć. Wy jesteście głupcami, jeśli myślicie, że wyjdziecie z tego miejsca żywi.

Sierżant wyciągnął rękę i uderzył ją swoją dłonią w rękawicy. Zarys jego palców zaznaczył się wyraźnie różową plamą na jej policzku. W oczach dziewczyny zapalił się gniew tak gorący, piekielny i dziki, że sierżant skulił się w sobie, jakby to on został uderzony. Dziewczyna odezwała się ponownie, a jej słowa były zimne i wyważone.

- Słuchajcie mnie! Mam dar Widzenia. Zasłony przyszłości nie oślepiają mojego wzroku. Każdy z was, każdy żaloszny posługacz Hrabiego Hrothgara, umrze. Nie wyjdziecie stąd żywi!

W jej głosie była taka przejmująca pewność siebie, że wszyscy mężczyźni zamarli. Twarze

pobiegały im ze strachu. Patrzyli na siebie nawzajem przerażeni. Felix nie wątpił w jej słowa.

Pierwszy wstał tęgi sierżant. Przysunął miecz do jej oczu.

- A zatem, ty pierwsza zemrzesz, więdźmo - powiedział. Dziewczyna spojrzała na niego bez strachu. Zamachnął się ostrzem do uderzenia. Felix rzucił się naprzód opanowany przez nagły gniew. Uderzając mężczyznę ściał go z nóg swoim impetem wspomaganym przez wagę łańcuchów. Usłyszał niski charkot przewróconego i poczuł napływ dzikiego uniesienia radości dokonując tej małej zemsty na człowieku, który go uderzył.

Pozostali żołnierze podnieśli Felixa na nogi. Na jego ciało spadły ciosy. Przed oczami zatańczyły mu gwiazdy. Upadł na podłogę, zwijając się w kłębek kopany ciężkimi butami. Przycisnął głowę do piersi i podciągnął kolana do żołądka, bojąc się że ból go pokona. Kopniak trafił go w policzek, odrzucając jego głowę w tył. Na moment ogarnęła go ciemność.

Teraz bał się naprawdę. Rozgniewani żołnierze gotowi byli kontynuować wymierzanie kary, aż będzie martwy, a on nie mógł nic na to poradzić.

- Koniec tego! - krzyknął głos, który Felix rozpoznał jako należący do czarownika. - Ci dwoje są moją własnością. Nie wolno wam uszkodzić żadnego z nich!

Kopniaki ustały. Felix został podniesiony na nogi. Rozejrzał się dziko wokół siebie i zauważył rosnącą na podłodze kałużę czerwonej cieczy wokół leżącego ciała sierżanta.

Jeden z żołnierzy odwrócił człowieka na plecy i Felix zauważył nóż wystający z jego piersi. Oczy sierżanta były szeroko rozwarte i wybałuszone. Jego twarz była biała. Piers nie unosiła się i opadała. Musiał upaść na ostrze kiedy przewrócił go Felix.

- Wrzucie ich do piwnicy - rozkazał czarodziej. - Zamienię później z nimi słówko.

- Umieranie się rozpoczęło! - powiedziała dziewczyna z nutą triumfu w głosie. Spojrzała na rozciągającą się kałużę krwi i oblizwała usta.

Piwnica była zimna i wilgotna. Pachniała drewnem, metalem i dobrami zawartymi w beczkach. Felix poczuł także zapach wędzonego mięsa i sera. To sprawiło, że poczuł się jeszcze bardziej głodny i zdał sobie sprawę, że nie jadł od dwóch dni.

Brzęk łańcuchów przypomniał mu o dziewczynie. Wyczuł w mroku jej obecność. Słyszał jej płytki oddech. Była gdzieś w pobliżu.

- Jak masz na imię pani? - zapytał. Przez długą chwilę była tylko cisza i zastanawiał się, czy zamierza mu odpowiedzieć.

- Magdalena.

- Co tutaj robisz? Dlaczego jesteś w łańcuchach?

Kolejne długie milczenie.

- Żołnierze uważają, że jesteś wiedźmą. Jesteś nią?

Znowu cisza, a potem:

- Nie.

- Ale posiadasz drugie widzenie, a wilki walczyły o ciebie?

- Tak.

- Nie jesteś zbyt rozmowna, prawda?

- Dlaczego miałabym być?

- Ponieważ oboje jedziemy na tym samym wózku i może razem udałoby nam się uciec.

- Nie ma ucieczki. Tu jest tylko śmierć. Wkrótce zapadnie noc. Wówczas nadejdzie mój ojciec.

Powiedziała, jakby przekonana że to wystarczy za całą odpowiedź. W jej głosie była ta sama szalona pewność siebie, co wtedy, gdy przepowiadała śmierć wszystkich mężczyzn na górze.

Felix na przekór sobie poczuł dreszcz. Niezbyt miło było pomyśleć, że jest sam z obłąkaną

kobietą w ciemnej piwnicy. Jeszcze gorzej było zakładać, że nie jest szalona i wie co mówi.

- Jestem przynętą w pułapce na mojego ojca.

- Dlaczego Hrabia chce twojej śmierci?

- Nie wiem. Przez pokolenia mój lud żył w pokoju z ludem Hrabiego. Ale Hrothgar nie jest jak jego przodkowie. Zmienił się. Jest dotknięty zepsuciem, podobnie jak ten jego czarownik.

- Jak udało im się ciebie pochwycić?

- Voorman jest czarownikiem. Wyśledził mnie swoimi zaklęciami. Jego magia była dla mnie zbyt silna. Ale wkrótce przyjdzie po mnie mój ojciec.

- Twój ojciec musi być istotnie potężnym człowiekiem, jeśli potrafi pokonać wszystkich mieszkańców tego zamku.

Nie nastąpiła żadna odpowiedź poza miękkim, ciężkim śmiechem. Felix wiedział, że im szybciej się stąd wydostanie, tym lepiej.

Otworzyły się drzwi prowadzące do piwnicy. Smuga światła rozświetliła ciemności. Rozległy się ciężkie kroki zbliżającego się Voormana. Trzymał w ręce latarnię i opierał się na ciężkiej lasce. Podniósł głowę Felixa, by spojrzeć mu w twarz.

- Uciąłeś sobie interesującą pogawędkę z potworem, nieprawdaż chłopcze?

W głosie mężczyzny pojawiło się coś niedobrego.

- Ona nie jest potworem. Jest tylko żalowaną, oszukaną młodą kobietą.

- Nie mówiłbyś tego znając prawdę, chłopcze. Gdybym zdjął krępujące ją kajdany, twoje jestestwo zostałoby zgładzone w ułamku chwili.

- Czyżby? - powiedział z pewną ironią Felix. Magik zachichotał.

- Takiś pewny siebie, ech? Taki ignorancki wobec prawdziwego wyglądu świata. Cóż byś powiedział chłopcze, gdybym rzekł ci, iż nasze ziemie zaludniają kulty poświęcone Chaosowi, że wkrótce przewrócą cały porządek rzeczy w Imperium.

Czarodziej mówił niemal tak jakby chełpił się tym stwierdzeniem.

- Powiedziałbym, że być może masz rację. - Wiedział, że ta odpowiedź zaskoczyła czarownika. Voorman oczekiwał zwykłego niedbałego zbycia takich rewelacji, jak można się spodziewać po wykształconej klasie Imperium.

- Interesujesz mnie, chłopcze. Dlaczego tak twierdzisz?

Felix sam się zastanawiał, czemu to powiedział. Przyznawał się do wiedzy, za którą mógł spłonąć na stosie jeśli usłyszałby go łowca czarownic. Mimo to, w tej chwili był zziębnięty, zmęczony i głodny oraz nie podobało mu się pouczenie tego irytującego i butnego maga.

- Ponieważ widziałem na własne oczy dowody takiego biegu rzeczy.

Usłyszał szybki wdech czarownika i wyczuł, że być może po raz pierwszy zwrócił na siebie jego pełną uwagę.

- Czyżby? Czas Przemian nadchodzi, ech? Arakkkai Nidlek Zarug Tzeentch? - Voorman przerwał jakby spodziewając się odpowiedzi. Pochylił głowę na jedną stronę. Potarł nos długim kościstym palcem. Jego wstrętny oddech wypełnił nozdrza Felixa.

Felix zastanawiał się, co się dzieje. Słowa wypowiedziane zostały w języku, jaki słyszał już wcześniej, podczas rytuałów zdeprawowanych kultystów, którym przeszkadzili z Gotrekiem podczas pewnej Geheimnisnacht. Imię *Tzeentch* było także bardzo znajome i przerażające. Należało do jednej z najmroczniejszych mocy. Powoli wyraz oczekiwania ustąpił z oblicza Voormana.

- Nie, nie jesteś jednym z Wybranych. A jednak znasz niektóre słowa naszej Litanii. Widzę to w twoich oczach. Nie wydaje mi się, byś był częścią naszego Zakonu. Jak to być może?

Oczywiście było, że czarownik nie spodziewa się odpowiedzi i ostatnie pytanie zadał bardziej do

siebie niż do Felixa. Nagle nastąpił dźwięk ujadania wielu wilków na zewnątrz warowni. Czarownik cofnął się i uśmiechnął.

- Oto przybywa mój kolejny gość. Muszę zaraz iść. Wcześniej wymknął się z obławy, ale wiedziałem, że powróci po dziewczynę.

Czarodziej sprawdził łańcuchy wiążące Magdalenę. Zbadał uważnie pokrywające je runy, uśmiechnął się z zadowoleniem, odwrócił się i odszedł powoli. Mijając Felixa spojrzał na niego. Młody mężczyzna poczuł ciarki na całym ciele. Wiedział, że czarownik rozważa, czy go nie zabić. Potem czarodziej uśmiechnął się złowroźbnie.

- Nie, na ciebie przyjdzie czas później. Pogadam jeszcze z tobą zanim umrzesz, chłopcze! - Gdy czarownik zatrasnął za sobą drzwi, światło zniknęło. Felix poczuł zbierające się w jego duszy przerażenie.

Felix nie miał pojęcia jak długo tam leżał z narastającą w jego sercu rozpaczą. Był uwięziony w ciemności, bez broni i w towarzystwie szalonej kobiety. Czarownik zamierzał go zabić. Nie miał pojęcia gdzie znajduje się Zabójca Trolli i nie miał nadziei na ratunek. Możliwe, że Gotrek zabłądził gdzieś w lesie. Powoli zaświtało mu, że jeśli ma się stąd wydostać, musi tego dokonać o własnych siłach.

To nie wyglądało dobrze. Jego ręce były spętane za plecami łańcuchem. Był głodny, zmęczony i chory z zimna i wyczerpania. Bolały go stłuczenia od wcześniejszego pobicia. Klucze do łańcuchów znajdowały się za pasem czarownika. Nie miał żadnej broni.

Cóż, wszystko po kolei, powiedział sobie. Zobaczymy, co da się zrobić z łańcuchami. Przykucnął podciągając kolana do klatki piersiowej. Łańcuchy zsunęły się na wysokość jego kostek, po czym wyginając się i wiercąc przełożył pętlę pod stopami, tak że znalazła się teraz przed nim. Wysilek sprawił, że zaczął ciężko oddychać i czuł się jakby wyrwał swoje ramiona ze stawów, ale przynajmniej mógł się teraz poruszać bardziej swobodnie, a długi ciężki łańcuch w rękach można wykorzystać jako broń. Zamachał nim przed sobą na próbę. Nastąpił gwizdzący dźwięk przecinanego powietrza.

Dziewczyna zaśmiała się, gdy zrozumiała co robi. Teraz przesuwiał się powoli, ostrożnie stawiając przed sobą stopę, niczym człowiek badający grunt na krawędzi urwiska. Nie wiedział na co może wpaść w ciemności, ale czuł, że lepiej zachować ostrożność. To nie był najlepszy moment by upaść i skrócić sobie kostkę.

Jego zapobiegliwość została nagrodzona, kiedy poczuł pod butem schody. Powoli, ostrożnie wspinał się po stopniach. O ile pamiętał nie zakreślały nigdzie po drodze. Wreszcie jego wyciągnięte dłonie dotknęły drewna. Łańcuchy cicho zadźwięczały. Felix zamarł w bezruchu i nasłuchiwał. Zdawało mu się, że gdzieś w oddali słyszy dźwięki walczących ludzi i wyjące wilki.

Cudownie, pomyślał z goryczą. Wilki dostały się jakoś do strażnicy. Wyobraził sobie długie, smukłe kształty pędzące przez łowiecki dwór, oraz rozpaczliwą bitwę między ludźmi i zwierzętami, która toczyła się kilka kroków od miejsca, gdzie stał. To nie była uspokajająca myśl.

Przez dłuższą chwilę stał niezdecydowany, a potem pchnął drzwi. Nie poruszyły się. Przeklął i zaczął macać w poszukiwaniu klamki. Jego palce dotknęły zimnego metalowego pierścienia. Obrócił go i pociągnął do siebie, a drzwi się otworzyły. Patrzył na długi szereg schodów słabo oświetlonych przez migoczącą latarnię. Sięgnął po nią, a potem pomyślał o dziewczynie.

Jakkolwiek dziwna by nie była, także jest więźniem. Nie zamierzał jej porzucić na łaskę Voormana. Ruszył w dół schodów i gestem dał jej znać, by za nim poszła. Zauważył wygląd jej twarzy. Była blada, napięta i niepokojąca. Jej oczy zdecydowanie odbijały światło jak u jakiegoś zwierzęcia. Zauważało się u niej pewien dziki nieludzki aspekt całej postaci, który w najmniejszym

stopniu nie uspokajał Felixa. Ruszył ku szczytowi schodów, ale dziewczyna wyprzedziła go. Felix cieszył się, że nie będzie miał utkwionych w plecach tych dzikich płonących oczu.

Dźwięki bitwy zbliżyły się. Wilki ujadły. Brzmiały okrzyki bojowe. Magdalena otworzyła drzwi i ruszyła na schody. Ponownie znaleźli się wśród korytarzy dworu. Miejsce było opustoszałe. Wszyscy strażnicy najwyraźniej zostali przyciągnięci wrzawą walki. Wzdłuż korytarza biegł szereg drzwi. Schody po jednej stronie prowadziły na górę, a po drugiej znajdowały się drzwi, zza których dobiegały hałasy bitwy. Coś podrażniło nozdrza Felixa. Wydawało mu się, że czuje spaleniznę. Gdzieś w oddali zarżały przerażone konie.

Rozsądek mówił mu, by skierował się ku schodom na górę, by uciekał od bitewnej wrzawy. Nie należał do żadnej ze stron konfliktu, a odkrycie jego istnienia przez dowolną z nich, może okazać się dla niego fatalne. Im dłużej tamci walczyli ze sobą, tym większe miał szansę na ucieczkę.

Magdalena jednakże zamierzała coś innego. Ruszyła ku drzwiom na końcu korytarza. Jedne z nich prowadziły ku bitwie. Felix złapał za jej łańcuchy i pociągnął. Nie zatrzymała się. Chociaż był wyższy i cięższy, okazała się zaskakująco silna, być może nawet silniejsza od niego.

- Dokąd idziesz?

- A jak myślisz?

- Nie bądź głupia. Nic tam nie wskórasz.

- Co ty możesz wiedzieć?

- Rozejrzyjmy się. Może na górze znajdziemy sposób na uwolnienie się z tych łańcuchów.

Przez chwilę stała niezdecydowana, ale ostatnia uwaga chyba ją przekonała. Razem ruszyli w górę schodów. Dźwięki wycia i okrzyków bojowych za nimi osiągnęły crescendo i nagle zamilkły. Przez chwilę Felix zastanawiał się, co się stało. Czy wilki pokonały obrońców?

Potem znowu usłyszał żołnierzy, którzy zaczęli się skrzykiwać. Słyszał głosy szlachciców nakazujących zabranie rannych do środka i zdał sobie sprawę, że ludzie zwyciężyli - na jakiś czas.

* * *

Na szczycie schodów znajdowało się okno wychodzące na podwórzec dworu. Widział tam tuziny martwych wilków i może pięciu zabitych ludzi. Krew czerwieniła śnieg.

- W jaki sposób do diabła otworzyła się ta brama? - usłyszał pytającego Hrabiego Hrothgara. Felix sam zadawał sobie to pytanie, widząc szeroko otwarte wrota, przez które przedostały się wilki. Potem zobaczył tę istotę i przestał się dziwić.

Na dachu stajni leżał kształt, pół-człowiek i pół-wilk. Felix poczuł mrowienie koniuszków włosów na swoim karku. Wilkołak podniósł się i zeskoczył znikając z pola widzenia. Felix zastanawiał się, czy sobie tego tylko nie wyobraził. Podziękował w modlitwie Sigmarowi, ale w głębi serca wątpił, by to było jego dzieło. Wyglądało na to, że są tu Dzieci Ulrica.

- Ruszajmy - mruknął i odwrócił się kierując w głąb korytarza.

Weszli do biblioteki. Półki pełne książek były tak wysokie, że do wyciągnięcia najwyższych tomów potrzebna była drabina. Felix był zaskoczony ich liczbą. Hrabia Hrothgar nie wydawał się uczonym człowiekiem, ale posiadał zbiór warty komnat jednego z dawniejszych profesorów Felixa na Uniwersytecie w Altdorfie. Zgadywał, że to było pomieszczenie czarodzieja.

Felix przesunął wzrokiem po tytułach. Większość napisana była w Wysokim Klasycznym, języku używanym przez uczonych w całym Starym Świecie. Księgi jakie oglądał dotyczyły głównie wypraw poszukiwawczych, starożytnych mitów i legend, oraz zapisów wiedzy przełożonej z krasnoludzkiego.

Na stoliku przed nim leżała otwarta książka. Felix podszedł i podniósł ją. Była oprawiona w skórę, a na jej grzbiecie nie widniał żaden tytuł. Pergaminowe stronicie były grube, szorstkie i z pewnością stare. Jak na grubość księgi, było w niej zaskakująco niewiele stron. To nie był

wydrukowany tom złożony w ruchomych czcionkach udoskonalonych przez Gildię Drukarzy. Ta księga wykonana była w starym stylu, ręcznie skopiowana i ilustrowana wokół marginesów. Felix zaczął ją czytać i wkrótce tego pożałował. Magdalena najwyraźniej zauważyła wygląd jego twarzy.

- Co to jest? Co jest nie tak? Co tam jest napisane?

- To jakaś uczona księga... zajmuje się magią pewnego rodzaju.

Istotnie tak było. Felix mozolnie przetłumaczył Klasyczny i poczuł dreszcz zgrozy. O ile mógł stwierdzić, było to zaklęcie przemiany duszy, inwokacja ułożona by pozwolić człowiekowi zamienić swoją esencję z kimś innym, kradnąc jego kształt i formę. Jeśli twierdzenia księgi były prawdziwe, wówczas możliwe było, by czarodziej potrafił zawładnąć czyimś ciałem.

W innym czasie i miejscu, Felix uznałby całą rzecz za wartą śmiechu. Tu jednak wydawało się to prawdopodobne. Szaleństwo księgi całkowicie pasowało to tego otoczenia.

To nie uspokoiło Felixa. Został uwięziony w odizolowanej warowni przez grupę kultystów i ich zbrojnych. Strażnica otoczona była przez głodne wilki i odcięta burzą śnieżną. Jakby to nie wystarczyło, w obrębie warowni znajdowały się dwa wilkołaki. A jeden z nich stał tuż za nim.

Felix poczuł mrowienie na całym ciele.

Ruszyli na drugie piętro zamku, idąc wśród echa wycia wilków korytarzami oświetlonymi przez migoczące pochodnie. Tuż przed osiągnięciem zakrętu korytarza, do nozdrzy Felixa dotarł słaby nieprzyjemny zapach, jakby mokrego futra i krwi. Wystawił ostrożnie głowę i zobaczył tam zwłoki leżącego żołnierza. Jego oczy były szeroko otwarte. Wielkie wyłobienia po pazurach przeorały jego pierś. Miał twarz białą jak u wampira. Krew wylewała się z miejsc, gdzie wielkie szczęki rozerwały jego szyję.

W pobliżu ręki martwego leżał miecz. Za pasem tkwił sztylet. Felix odwrócił się do dziewczyny. Uśmiechała się złowrogo. Felix miał ochotę podnieść miecz i uderzyć nią, ale nie zrobił tego.

Przyszła mu do głowy myśl, że może wykorzysta ją jako zakładniczkę i ubije interes z człowiekiem-wilkiem. Odrzucił jednak ten pomysł jako niepraktyczny i niehonorowy.

Zamiast tego pochylił się nad mężczyzną i wyciągnął jego sztylet. Był to długi ostry nóż, niemal tak cienki jak igła. Pomyślał o zamku na łańcuchach. Podniósł ostrze prawą dłonią i przerzucił je ostrzem w kierunku zamknięcia kajdan na lewym nadgarstku. Wyczuł jak porusza się mechanizm, gdy ostry koniec wszedł do zamka. Przez długą napiętą chwilę, obracał i przyciskał ostrze. Nastąpił trzask i kajdany otworzyły się. Felix poczuł opadającą z ramienia i przegubu dłoni masę łańcucha. Próbował powtórzyć cały proces z zamkiem na prawej ręce, ale jego lewa dłoń była mniej zręczna i zabrało mu to więcej czasu.

Sekundy rozciągnęły się w minuty, gdy wyobrażał sobie skradający się do niego kształt o wilczym łbie. Wreszcie nastąpił cichy trzask i druga ręka została uwolniona. Odwrócił się triumfalnie uśmiechając, ale uśmiech zbladł na jego ustach.

Dziewczyna zniknęła.

Felix szedł ostrożnie przez dwór. Wilki znowu zamilkły. Czuł ciężki jak śmierć miecz w rękach. Przekraczając holl znalazł ciała dwóch kolejnych strażników. Obaj mieli rozdarte gardła. Twarze obu wykrzywiały wyraz przerażenia. Powietrze wypełnił dziwny zapach piżma.

Felix rozważał swoje możliwości. Mógł spróbować wybiec przez podwórzec. To nie wydawało się rozsądne. Na zewnątrz ziemię pokrywał śnieg, a las był pełen wilków. Nawet bez ich złowroziej obecności, wątpił czy zajdzie daleko bez jedzenia i ciepłego ubrania.

Wewnątrz dworu znajdował się czarownik, który chciał go zabić, oraz Dzieci Ulrica. A także cała załoga przestraszonych uzbrojonych ludzi, dla których był nieznajomym. To także nie wyglądało zbyt obiecująco.

Zdrowy rozsądek dyktował, by znalazł jakieś miejsce do schronienia i czekał aż jedna ze stron wymorduje drugą. Może nad schodami znajdzie strych, na którym się ukryje, a może był tam jakiś cichy pokój, gdzie...

Zbliżały się głosy. Drzwi na końcu korytarza zaczęły się otwierać. Felix szybko pchnął drzwi za sobą i wskoczył przez nie, zamykając je od środka. Zdał sobie sprawę, że musi być w pracowni Hrabiego Hrothgara. Pod oknem stało masywne biurko. Ze ścian spoglądały rodzinne portrety. Wypolerowana pełna zbroja stała na warcie w alkowie. Okna zasłonięte były przez udrapowane kotary.

Jakiś instynkt kazał Felixowi popędzić przez komnatę i zanurkować za zasłony. Ledwo zdążył. Drzwi do komnaty otworzyły się. Dwaj mężczyźni głośno rozmawiali. Felix poznawał ich głosy. Jeden należał do hrabiego. Drugim był czarodziej.

- Diabli nadali! Voorman, zdawało mi się, że mówiłeś iż twoje łańcuchy trzymają ich mocno jak łapy demonów. Jak udało im się zniknąć?

- Zaklęcia nie zostały przerwane. Wyczułbym to. Podejrzewam bardziej przyziemne rozwiązanie. Być może ktoś z twoich ludzi...

- Sugerujesz, że jeden z moich ludzi mógł być w zмовie z tymi stworami?

- Jeden z twoich służących. Siedzą tu przez cały rok. Kto wie? Dzieci Ulrica żyły na tym obszarze dłużej niż wy. Powiadają, że okoliczna ludność czciła ich, a co najmniej składała im ofiary.

- Możliwe. Możliwe. Ale czy uda ci się znaleźć więźniów? Nie mogli po prostu zniknąć w powietrzu. A co z moimi ludźmi. Ponad połowa jest zabita, a pozostali są przerażeni ponad wytrzymałość zmysłów, skacząc na poruszenie się byle cienia. Lepiej zrób coś szybko, czarowniku, albo będziesz się musiał tłumaczyć przed Magister Magistorum. Sprawy nie mają się tak, jak to obiecałeś Zakonowi.

- Nie wpadaj w panikę, ekscelencjo. Moja magia zwycięży dla dobra sprawy. Czas Przemian nadchodzi, a ty i ja opanowaliśmy jedno z najsilniejszych zaklęć błogosławionego Tzeentcha. Będziemy nieśmiertelni i niepokonani.

- Być może. Teraz jednakże, co najmniej jedna z tych bestii biega na wolności po budynku. Może nawet dwie, jeśli myliłeś się co do młodzieńca.

- To bez znaczenia. Zaklęcie Transmutacji jest gotowe. Wkrótce osiągniemy ostateczne zwycięstwo. Idę odnaleźć nasz pojemnik.

- Idziesz odnaleźć nasz pojemnik, czarowniku? Raczej planujesz zdradę. Strzeż się! Magister dał mi środki bym sobie z tobą poradził, w razie gdybyś okazał się niewierny wobec Zakonu!

Nastąpiło brzęknięcie stali wyciąganej broni.

- Odłóż to, hrabio. - Głos czarodzieja był teraz nerwowy. - Nie znasz mocy takich przedmiotów. Nie będzie potrzeby go używać.

- Zapewnij by tak się stało, Voorman. Zapewnij by tak się stało.

Drzwi otworzyły się i zatrzasnęły. Felix usłyszał jak szlachcic opada na krzesło. Przez chwilę zastanawiał się nad tym Zakonem. Kim był ów tajemniczy Magister? Najpewniej głową jakiegoś nieznanego kultu. Felix odsunął od siebie te myśli. Musiał się martwić innymi rzeczami.

Odsunął nieco kotarę na bok i zobaczył łysinę na tyle głowy hrabiego. Na stole przed nim leżał sztylet. Pokrywały go dziwne lśniące runy. Felix czuł ból oczu, gdy starał się wodzić wzrokiem po liniach tajemniczych znaków. Mimo to, pomyślał, sztylet może się przydać.

Szlachcic podrapał się po karku czując zimny przeciąg od okna za nim. Zaczął sięgać po sztylet. Felix wyskoczył ze swojego ukrycia i rąbnął gałką rękojeści miecza w czaszkę Hrabiego Hrothgara. Szlachcic padł jak ścięty toporem.

Felix ostrożnie sięgnął do sztyletu. Czuł mrowienie skóry na dłoni wyciąganej w stronę ostrza. Z przedmiotu promieniowała niebezpieczna energia. Podniósł go za rękojeść i zauważył że była otoczona matowym metalem: ołowiem. Zdał sobie sprawę, że już wcześniej widział taką dziwną poświatę.

Wyglądało na to, że do wykonania sztyletu użyto spaczenia. Ta broń mogła być równie niebezpieczna dla jego ofiary co dla użytkownika. Felix znalazł pochwę, z której hrabia wyciągnął ostrze. Była okuta ołowiem. Felix poczuł się nieco lepiej, gdy wsunął broń z powrotem do pochwy.

Krótko rozważał pozbycie się sztyletu, ale tylko przez chwilę. W tym piekielnym miejscu, mogło się okazać, że jest to jedyne zabezpieczenie jakie odnajdzie. Przypiął pochwę wokół swojego nadgarstka i był gotów ruszyć dalej.

W kuchni leżało trzech martwych służących. Oni także mieli rozszarpane gardła. Wyglądało na to, że wilkołak zamierzał zabić wszystkich we dworze. Felix nie miał wątpliwości, że sam także zostanie zaliczony do jego mieszkańców.

Patrząc na martwe ciała Felix był prawie gotowy zwrócić resztki jedzenia w żołądku. Prawie. Na stole znalazł świeżo upieczony chleb, a w spizarce ser i wołowinę. Przełknął je łapczywie. Smakowało lepiej niż jedzenie jakie kiedykolwiek spożywał.

Drzwi otworzyły się i do środka weszło dwóch żołnierzy o dzikim wzroku. Spojrzeli na ciała, a potem na niego. W ich oczach pełno było strachu. Felix sięgnął po obnażony miecz na stole.

- Zabiłeś ich - powiedział jeden z mężczyzn, wskazując oskarżycielko palcem.

- Nie bądź głupi - odpowiedział Felix z ustami pełnymi chleba i sera. Przełknął. - Powyrywano im gardła. To zrobiło zwierzę.

Mężczyźni zatrzymali się niezdecydowani. Zdawali się bać ruszyć do ataku, a jednak pełni byli podsycanej strachem wściekłości.

- Widziałeś je? - jeden z nich zapytał wreszcie.

Felix skinął głową.

- Jak wyglądało?

- Było wielkie! Łeb jak u wilka. Ciało człowieka.

Przez sale odbiło się echem dziwaczne wycie. Było blisko. Mężczyźni odwrócili się i popędzili przez drzwi na podwórzec. Gdy wypadli na zewnątrz, wyskoczyły na nich smukłe szare kształty i ściągnęły na ziemię. Za drzwiami czekały zaczajone wilki.

Felix ruszył naprzód, ale nie zdążył pomóc ludziom. Wyglądając zobaczył, że główna brama była znowu otwarta. Obok niej stało coś co wyglądało na dziewczynę. Odrzuciła głowę do tyłu. Chyba się śmiała.

Felix pośpiesznie zamknął drzwi i wsunął zasuwę. Był uwięziony, ale przynajmniej wycie przestało się zbliżać. Usiadł za stołem zdecydowany dokończyć swój być może ostatni posiłek.

Felix znowu skradał się korytarzami, trzymając w jednym ręku miecz, a w drugim lśniący sztylet. Siedział w kuchni tak długo, dopóki pozwolił mu narastający w żołądku strach. Wreszcie lepszym pomysłem zdawało się ruszenie na spotkanie śmierci, niż czekanie na nią jak przerażony królik.

Wszedł do wielkiej sali. Spod wysokiego sufitu zwisały sztandary z herbami Hrabiego Hrothgara. Ściany pokrywały łowieckie trofea w postaci łbów wielu zwierząt. Stały tam też dwie osoby. Jedną z nich był czarodziej, Voorman. Drugą był człowiek-wilk. Był potwornie duży, dwakroć wyższy od Felixa i szerszy niż beczka. Wielkie pazury zaginały się na końcach jego długich łap. W czerwonych wilczych ślepiach lśniła nieśmiertelna nienawiść.

- Przybyłeś zatem, tak jak się tego spodziewałem - powiedział czarownik. W pierwszej chwili Felix zastanawiał się, w jaki sposób czarodziej domyślił się jego obecności, ale później zrozumiał,

że Voorman mówił do człowieka-wilka.

- A teraz ty umrzesz - zwierzęce usta nie przystosowane do ludzkiej mowy zniekształcały słowa. Czarodziej cofnął się. Jego płaszcz zafalował i wokół laski zaśniło światło. Wilk zatrzymał się jak wryty na chwilę, a potem sięgnął i zerwał głowę Voormana potężnym machnięciem łapy z pazurami. Ciało czarownika runęło na podłogę. Krew tryskała z jego poharatanego karku i ochlapała bestię.

Z zewnątrz dobiegło wilcze wycie i dźwięki walki. Bez wątpienia wyrzynani zostają ostatni ludzie, pomyślał Felix. Spojrzał ostrożnie na bestię.

Krew czarownika dymiała. Obłok pary wznosił się ponad jego ciałem, przyjmując kształt maga. Widmo wyciągnęło triumfalnie ręce i popłynęło ku Dziecku Ulrica. Mgła przedarła się do ust i nozdrzy stwora, przez chwilę tamując gardło i uniemożliwiając mu oddychanie. W jego ślepiach zniknął blask, a zamiast niego rozpalilo się piekielne zielone lśnienie.

Kiedy stworzenie przemówilo, rozległ się głos Voormana.

- Nareszcie - rzekł. - Zaklęcie Transmutacji powiodło się. Zdobyłem nieśmiertelność i moc. Do mnie należy siła bestii. Będę żył, aż nadejdzie Lord Tzeentch, by zapanować nad tym światem. Zaiste wszystko na tej ziemi jest zmienne.

Felix stał zdumiony. Jego umysł wypełniło przerażające zrozumienie czego był świadkiem. Plan Voormana zaowocował. Pułapka zadziałała. Zepsuta dusza czarownika przejęła ciało człowieka-wilka. Jego złowroga inteligencja i czarodziejska moc będą żyły obleczone w potworną formę. Voorman posiadał teraz siłę i niezniszczalność Dzieci Ulrica razem ze swoimi własnymi nikczemnymi mocami.

Powoli straszne zielone spojrzenie spoczęło na Felixie. Poczul jak pod wpływem tego wzroku odpływają od niego siły. Na zewnątrz zakwiliły przestraszone wilki i rozległ się dziwnie znajomy okrzyk bojowy. Człowiek-wilk wykonał gest i zahipnotyzowany Felix ruszył naprzód, aż znalazł się w zasięgu uderzenia masywnych zakrwawionych łap. Voorman cofnął rękę zamykając swoje potężne pazury...

Otrząsnąwszy się ze strachu, Felix uchylił się i natarł swoim mieczem. Równie dobrze mógłby próbować przebić kamienny posąg. Ostre ostrze broni odbiło się od ciała. Cios człowieka-wilka rozdarł kaftan Felixa. Felix poczul ból w boku, gdzie zagłębiły się ostre jak brzytwa pazury.

Uskoczył. Tylko swojemu napiętemu refleksowi zawdzięczał, że nie został wypatroszony na miejscu.

Wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie. Człowiek-wilk ruszył w jego stronę. Felix usunął się. Bestia rzuciła się naprzód. Jej pęd był niepowstrzymany jak uderzenie pioruna. Przewrócił Felixa, a potężne łapy zacisnęły się, by zmiażdżyć żebra człowieka niczym gałązki. Felix dziko pchnął sztyletem trzymany w lewej dłoni. Ku jego zaskoczeniu, ostrze przebiło futro. Poczul smród przypominający gnijące mięso, a wilkołak odrzucił w tył swoją głowę i zawył.

Felix dźgał dalej. W miejscach które uderzał, ciało stawało się miękkie. Chwył wilka był teraz słaby. Felix uwolnił się i kłuł dalej. Na futrze wilkołaka pojawiły się czarne plamy, niczym zgnilizna na przedojrzałym owocu. Ciągłe wbijał sztylet. Człowiek-wilk padł, a zgnilizna rozszerzyła się po jego ciele, całkowicie je pochłaniając. Potężny kształt po prostu rozpadł się, pokonany przez Zabójcze runy na sztylcie. Broń ciążyła w zaciśniętej pięści Felixa. Rozwarł swoje zdrętwiałe palce i upuścił ostrze na podłogę. Minęło wiele czasu zanim podniósł się i rozejrzał się po sali. W drzwiach stała ponuro dziewczyna. Za nią niczym kat wychylał się Gotrek. Ostrze masywnego topora spoczywało na jej karku.

- Myślałem, że nigdy nie znajdę końca tych przeklętych śladów. Musiałem też zabić jakieś pięćdziesiąt wilków, zanim dostałem się do środka - obwieścił Zabójca Trolli, z miną profesjonalisty przyglądając się scenie mordy.

- No cóż, człeczyno, wygląda na to, że miałeś noc pełną roboty. Mam nadzieję, że zostawiłeś mi coś do zabicia.